

# Anna Kańtoch

Diabeł na wieży



powergraph

# Anna Kańtoch

Diabeł na wieży



**powergraph**

Warszawa 2018

Anna Kańtoch  
Diabeł na wieży

ISBN: 978-83-64384-78-3

Wydawca:  
Powergraph  
ul. Ceglowska 16/2  
01-803 Warszawa  
tel. 22 834 2519  
e-mail: [powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)  
[www.powergraph.pl](http://www.powergraph.pl)

Copyright © 2005-2018 by Anna Kańtoch  
Copyright © 2018 by Powergraph  
Copyright © 2018 for the cover illustration by Rafał Kosik  
Copyright © 2018 for the cover by Rafał Kosik  
Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Korekta: Maria Aleksandrow  
Skład i łamanie: Powergraph  
Ilustracja na okładce: Rafał Kosik  
Projekt graficzny i opracowanie: Rafał Kosik

**Wyłączna dystrybucja:**



Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. 22 721 30 00 / 11

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

## Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[0. Diabeł na wieży](#)

[1. Czarna Saissa](#)

[2. Damarinus](#)

[3. Serena i Cień](#)

[4. Długie noce](#)

[5. Pełnia lata](#)

*Serdecznie dziękuję Eli Gepfert za pomoc  
udzieloną mi przy pisaniu tych opowiadań*

## 0. Diabeł na wieży

Doktor Robert Darnis nigdzie się nie spieszył.

Pół dnia spędził w powozie i zaczynał już odczuwać nieuniknione skutki długiej podróży: zmęczenie, sztywność mięśni i rozdrażnienie. Dlatego gdy gospoda, w której stanął na posiłek, okazała się niespodziewanie całkiem przytulnym miejscem, postanowił zatrzymać się tu na jakiś czas.

Służący Darnisa, zachwyceni takim obrotem sprawy, pobiegli przenieść bagaże, a nie mniej uradowany karczmarz gorliwie podsuwał gościowi kolejne półmiski i napełniał kielich. Resztę dnia Darnis spędził, napychając pękaty kałdun i spoglądając na siąpiący za oknem listopadowy deszcz. Pozostali klienci – najpewniej chłopcy i słudzy z okolicznych majątków – popatrywali na niego ciekawie, ale nie odważyli się zaczepić. Był z tego rad, bo nie miał najmniejszej ochoty bratać się z pospółstwem.

Dopiero gdy zapadł zmierzch, przed gospodą zatrzymał się jeździec, który wzbudził zainteresowanie tęgiego medyka. To bez wątpienia szlachcic, pomyślał, spoglądając na elegancki płaszcz podróżnego.

Gdy tamten wszedł do sali, ciekawość Darnisa zmieszała się z niechęcią. Nieznajomy nosił skrojony według najnowszej mody kaftan, tyle że moda nakazywała ubierać się w barwy jasne, a strój przybysza był czarny, ożywiony jedynie srebrnymi, pięknie

rzeźbionymi guzami. Spod kaftana wyglądała pieniaca się od delikatnych koronek koszula, rękojeść szpady zdobiły zaś – a jakże – perły i drogie kamienie, więc to, co powinno być bronią, sprawiało raczej wrażenie ślicznej zabawki. Mężczyzna miał gładką twarz o rysach zbyt ostrych, by uznać ją za sympatyczną, choć, skądinąd, odpychająca też nie była. Jasną barwę skóry podkreślały ciemne włosy i oczy, a wypielęgnowane dłonie nigdy chyba nie skalały się pracą fizyczną.

Darnis, który uważał się po trosze za fizjonomistę, bez wahania zaliczył przybysza do grona zniewieściałych elegantów. Nie lubił takich typów, ciekawość jednak przeważyła nad niechęcią.

Zaprosił nieznanego do stołu, podając przy tym swoje nazwisko i zawód.

— Domenic Jordan — przedstawił się tamten w odpowiedzi.  
— Również jestem lekarzem.

A więc to tylko pozer, który usiłuje udawać szlachcica, zmienił zdanie Darnis.

Jordan jadł kolację. Zachowywał się przy tym tak, jakby siedział nie w skromnej gospodzie, lecz przy stole zastawionym najdelikatniejszą porcelaną. Darnis towarzyszył mu, popijając wino. Ciężar konwersacji wziął na siebie, bo nowy gość okazał się wyjątkowo małomówny. Pękaty medyk, który skromność uważał za cnotę młodych pań, a nie dojrzałych mężczyzn, opowiadał o swoich sukcesach, a Jordan słuchał uprzejmie. Mijały leniwe minuty, ironiczny uśmiech bladoliciego lekarza z czasem złagodniał, by w końcu stać się nawet pełnym podziwu. Przynajmniej tak zdawało się Darnisowi, który coraz częściej patrzył na ów uśmiech

przez wypełniony winem kielich.

Domenic Jordan kończył już posiłek, gdy na zewnątrz ponownie rozległ się tętent końskich kopyt. Tym razem towarzyszył mu skrzyp kół powozu. Chwilę później do sali wszedł piętnastoletni może wyrostek, bogato ubrany, ale najwyraźniej mocno speszony. Zdjął czapkę i podszedł do stołu, przy którym siedzieli lekarze.

— Wybaczcie, panowie — wymruczał, kierując słowa do klepek w podłodze. — Moja pani dowiedziała się właśnie, że w gospodzie przebywa lekarz, i prosi, jeśli to nie kłopot, by zechciał przyjąć zaproszenie do rezydencji Ferlay. Młoda panienka, córka pani, od dawna słabuje, a w tej okolicy trudno o dobrego medyka, więc... Jeśli to nie kłopot... Nie kłopot... — Chłopak zaciął się i zaczął powtarzać.

— Synku — powiedział Darnis tonem, jakim zazwyczaj zwracał się do kapryszących małych pacjentów. — Do kogo ty właściwie mówisz? Obaj jesteśmy lekarzami.

Zakłopotany posłaniec poczerwieniał.

Darnis sapnął. Pochłonięte w ciągu dnia jedzenie ciążyło mu w żołądku i marzył już tylko o tym, by położyć się do łóżka i zamknąć oczy. Z drugiej jednak strony, nie zamierzał pozwolić na to, by ten elegancik sprzątnął mu sprzed nosa majątnego pacjenta.

— Cóż — rzucił pozornie niedbale — tak się składa, że mam trochę czasu i chętnie przyjmę zaproszenie. Panu zaś — spojrzał na drugiego medyka — pewnie pilno w dalszą drogę?

— Nie — uśmiechnął się Domenic Jordan. — Ja również nigdzie się nie spieszę.



Ferlay bardzo rozczarowało Darnisa. W mglisty, jesienny poranek rezydencja nieodparcie przywodziła na myśl staruszkę, który niepomny na swój wiek, wciąż chce uchodzić za młodzieńca.

Dom był kwadratowy, przysadzisty, raczej solidny niż piękny. Fasadę pomalowano na ceglasteróżowy kolor, ale farba łuszczyła się i odpadała, odsłaniając ciemne, spękane kamienie. Okiennice, niegdyś zapewne jasnozielone, poszarzały od brudu, przybierając nieciekawą barwę zgniłych liści. Ku oknom pięły się cierpliwie nagie pędy bluszczu, a w szparach między kamieniami rosły kępki mchu i zwiędłej, brązowej trawy. Niewysoka wieża upodabniała rezydencję do małego zamku.

Idąc zarośniętą wąską ścieżką, Darnis zapuścił się w głąb ogrodu. Cierniste gałęzie krzewów chwyciły go za rękawy płaszcza, a wysokie drzewa, o nigdy chyba nieprzycinanych konarach, tworzyły nad głową baldachim z ciasno splecionych gałęzi i pomarszczonych liści. Czuł się trochę tak, jakby kroczył kościelną nawą.

Ścieżka skończyła się nagle, a on wyszedł na okrągłą polankę, na której stało coś, w czym z niejakim trudem rozpoznał kamienną fontannę. Nad popękaną cembrowiną pochylał się Domenic Jordan.

— Znalazł pan coś interesującego? — zapytał Darnis z ciekawością.

Mężczyzna odwrócił się.

— Obawiam się, że trafiłem na zbiorową mogiłę. Proszę samemu zobaczyć.

Na ustach Jordana rysował się leciutki uśmiech, ale Darnis nie dostrzegł tego. Zdawało mu się, że bladolicy lekarz mówi ze

śmiertelną powagą. Podeszedł bliżej z zamarłym sercem, całą siłą woli powstrzymując się przed zaciśnięciem powiek. Spojrzał w dół.

Ułga omal do reszty nie odebrała mu władzy w kolanach, już i tak miękkich jak masło. Potem przyszedł gniew i – zupełnie niespodziewanie – wesołość. Nie wiedział, czy się śmiać, czy też oburzyć.

W basenie fontanny leżały zabawki: pluszowy miś, ołowiane żołnierzyki, drewniana replika karety, pudełko po cukierkach, z którego wysypywały się jakieś drobiazgi, piłka, wykrzywiona w paskudnym uśmiechu karnawałowa maska, konik na biegunach i mnóstwo innych rzeczy, które spotkać można w dziecięcym pokoju. Musiały tu leżeć od dawna, bo większość była mocno już zniszczona – miś porósł zieloną jak mech pleśnią, materiał karnawałowego stroju zbutwiał, a wilgoć zatarła twarze dzieci, które trzymając się za ręce, tańczyły na pudełku po cukierkach.

Podniesionym z ziemi patykiem Jordan przewrócił na plecy pluszowego misia. Zabawkę pozbawiono guzikowych oczu. Ktoś wydarł je siłą, pozostawiając jedynie strzępy nici. Jordan wskazał konika na biegunach. Darnis podążył wzrokiem za wyciągniętą dłonią i wzdrygnął się lekko, bo konik także był ślepy – w miejscu, gdzie powinny się znajdować oczy, ziały dwie wycięte nożem dziury.

\* \* \*

Wnętrze domu prezentowało się odrobinę lepiej niż fasada i ogród. Można tu było znaleźć zarówno stare, wysłużone sprzęty, jak i nowe fikuśne mebelki. Nieliczna służba nosiła zbytkowne

stroje, a Emma Marivel, pani na Ferlay, nie pokazywała się inaczej, jak tylko ubrana we wspaniałe suknie z brokatu, mory lub ciężkiego jedwabiu. Wszystko świadczyło o tym, że choć Ferlay lata świetności ma już za sobą, d'òna Emma nie przyjmuje tego do wiadomości.

Robert Darnis nie potrafił jej jednak potępić. Nie krył, że Emma Marivel wywarła na nim wielkie wrażenie. Była wysoką, jasnoskórą i złotowłosą kobietą o dumnej urodzie, którą ledwo zdołał nadwątlić upływający czas. Siedząc przy stole, pękaty medyk pożerał wzrokiem panią domu, bo w blasku słońca wydała mu się jeszcze piękniejsza niż wczorajszego wieczoru.

Po śniadaniu d'òna Emma zaprowadziła ich do sypialni córki. Weszła pierwsza, w półmroku pochyliła się nad leżącą w łóżku dziewczyną i szeptała długo. Darnis miał wrażenie, że matka i córka spierają się o coś. Jakiś przedmiot przewędrował z rąk do rąk i dopiero wtedy d'òna Emma odsunęła zasłony.

Darnis mało nie krzyknął, ale raczej ze zdziwienia niż z przestachu.

Juliana Marivel siedziała na łóżku z kołdrą podciągniętą pod brodę. Na głowie miała czarny kapelusik z opadającą na twarz gęstą woalką.

D'òna Emma wyszła, a Darnis przysunął sobie krzesło i spróbował przybrać profesjonalny, współczujący wyraz twarzy, zupełnie jakby badanie ukrywających się pod woalką dziewcząt było dla niego codziennością. Jordan stanął przy oknie. Wyglądało na to, że rozciągający się na zewnątrz widok jest dla niego znacznie ciekawszy niż cierpiąca dziewczyna.

Zachęcona przez Darnisa, Juliana zaczęła mówić. Opowiadała o braku apetytu, bezsennych nocach, osłabieniu, duszności w piersi i kołataniu serca. Mówiła długo i chętnie, ale niezbyt jasno, po kilka razy wracała do tych samych objawów. Medyk, nie mogąc spoglądać pacjentce w twarz, patrzył na jej ręce, na szarpiące brzeg kołdry drobne, delikatne palce.

Robert Darnis wyspecjalizował się w leczeniu bogatych, rozkapryszonych dam, którym tak naprawdę nic poza nudą nie dolegało. Był w tym dobry, bo natura obdarzyła go darem wymowy, a przede wszystkim zdolnością słuchania. Wysłuchiwał więc skarg swoich pacjentek, uspokajał je, a potem przepisywał jakiś niezwykle drogi, egzotyczny lek. Przekonał się już, że im trudniejsze do zdobycia składniki medykamentu i im oryginalniejsza jego nazwa, tym szybciej chora wstawiała z łóżka.

W dziewięciu przypadkach na dziesięć, słysząc to, co mówiła Juliana, Darnis powiedziałby, że ma do czynienia właśnie z taką sytuacją – oto znudzona panna wymyśla sobie nieistniejącą chorobę, chcąc w ten sposób zyskać odrobinę uwagi i współczucia.

Tym razem jednak nie miał pewności. Dziewczyna fizycznie była zdrowa, ale w jej głosie wyczuwał autentyczną udrękę. Mimo to zdecydował się potraktować ją w zwykły sposób. Na kartce wypisał receptę – pięć wyciągów z rzadkich ziół, które razem tworzyły po prostu wyjątkowo drogi lek na uspokojenie.

Gdy wyszli z sypialni panny Marivel, Darnis zaproponował Jordanowi spacer po ogrodzie. Atmosfera domu działała na niego przygnębiająco.

— Jak pan sądzi, mamy tu do czynienia z przypadkiem

młodzieńczej hysterii czy też z czymś poważniejszym? — spytał, gdy przechadzali się wąskimi alejkami. Obaj, jakby umówieni, unikali miejsca, które Jordan nazwał zbiorową mogiłą.

Zapytany potrząsnął głową.

— Bezsensowność, brak apetytu, wszystko to bzdury. Ani słowa nie powiedziała nam o tym, co naprawdę ją dręczy, czego się boi.

— Boi się? — Darnis pytająco uniósł brwi, ale nie doczekał się odpowiedzi.

— Widziałem kogoś w ogrodzie — powiedział zamiast tego Jordan. — Chłopca, wpatrującego się w okno pokoju dõny Juliany.

— Jednego ze służących?

— Nie jestem pewien. Stał niedaleko, mimo to nie widziałem go zbyt wyraźnie. Nie wyglądał jednak na służącego.

\* \* \*

Darnis wkrótce przekonał się, że wpadł w pułapkę własnej rutyny.

Ingredencje, które wchodziły w skład przepisanego leku, można było zdobyć jedynie w mieście odległym o dwa dni drogi. Emma Marivel wysłała już służącego, ale miał on wrócić nie wcześniej niż w czwartek rano. Ubłagała więc Darnisa, by został do tego czasu i osobiście nadzorował sporządzanie leku. Medyk zgodził się, kierowany poczuciem winy. Nie sądził, by lekarstwo pomogło panie Marivel, ale liczył, że w ciągu tych dwóch dni uda mu się wyciągnąć z dziewczyny prawdziwą przyczynę jej cierpienia.

Również Jordan zdecydował się zostać. Zapytany przez

Darnisa, wyjaśnił to ciekawością.

— W tym domu — powiedział — dzieje się coś niedobrego, a ja mam zamiar się dowiedzieć co.

Domenic Jordan nie był lekarzem. Miał potrzebną wiedzę, owszem, w tym względzie z pewnością nikt nie zarzuciłby mu oszustwa, ale Darnis znał tak wielu medyków, że bez trudu potrafił rozpoznać kogoś, kto nim nie był. Jego podchwytliwe pytania były uprzejmie zbywane.

Duża, raczej teoretyczna niż praktyczna, wiedza Jordana, jego nienaganne maniery, zamiłowanie do ekscentrycznego czarnego stroju, a przede wszystkim osobliwe poczucie humoru – wszystko to przemawiało za tym, że Darnis miał za towarzysza po prostu dobrze urodzonego, bogatego dziwaka.

I na tym wniosku medyk chwilowo musiał poprzestać.

\* \* \*

Tuż przed zmierzchem zaczął padać pierwszy tego roku śnieg. Domenic Jordan wyszedł do ogrodu. Stał tam przez chwilę z zamkniętymi oczami i uniesioną twarzą. Na skórze czuł płatki śniegu niczym delikatne muśnięcia lodowatych dziecięcych palców.

Gdy otworzył oczy, zobaczył zbliżającą się ku niemu dziewczęcą postać. Szła szybko, nieomal biegła, a jej czarna suknia i czarna woalka wyraźnie odcinały się od śnieżnej bieli.

— Chciałam porozmawiać. Proszę... — powiedziała zdyszana, chwytając go za ramię. Przez chwilę zdawało mu się, że przez gęste oczka woalki widzi błagalny błysk oczu.

— Mama... — ciągnęła Juliana z wahaniem — mama

powiedziała mi, że panowie zostają aż do czwartku. Po co? Przecież to tylko kaprys mamy, doprawdy nie trzeba się mną aż tak przejmować. Prawda, że ostatnio trochę źle się czułam, ale...

Nawet nie patrzyła, dokąd idzie. Jordan pewnie wiódł ją w głąb ogrodu.

— Chciałabym, aby panowie wyjechali — wyrzuciła z siebie desperacko, po czym, przestraszona własną odwagą, znów zaczęła się wahać. — Tak będzie najlepiej. Ja...

Zamilkła i rozejrzała się. Stali przy kamiennej cembrowinie fontanny.

— Interesujące, prawda? — zauważył niedbale, zupełnie jakby nie usłyszał ani słowa z tego, co mówiła. — Już rankiem zwróciłem uwagę na te zabawki. Ciekawe, kto je tu porzucił?

Juliana cofnęła się z lękiem.

— To... to zabawki mojego brata. Jutro wypada pierwsza rocznica jego śmierci. Myślę, że to dlatego tak źle się czuję. Wszystko to nerwy, rozumie pan? Nerwy i przygnębienie, nic więcej.

Spróbowała się roześmiać, ale w jej śmiechu zamiast beztroski zabrzmiały histeryczne nuty. Umilkła, speszona.

— A więc brat pani zmarł rok temu? A po jego śmierci matka wyrzuciła tu zabawki syna?

— Ależ skąd! — Potrząsnęła głową, a Jordanowi zdawało się, że mimo woalki dostrzega jej czujny, pełen napięcia wzrok. — Alan sam je wyrzucił. Powiedział, że ma już trzynaście lat i nie chce dłużej być dzieckiem. Wyniósł zabawki do ogrodu i próbował podpalić, ale deszcz zgasił ogień. Wkrótce potem miał miejsce

ten... wypadek i mój brat zginął. Proszę, czy możemy już wracać do domu? Zimno mi.

Czy twój brat w chwili, gdy stał się dorosły, zaczął wyrywać pluszowym misiom oczy?, w myślach zapytał Jordan, ale nic nie powiedział.

Zawrócili w stronę rezydencji. Śnieg przestał padać, promienie zachodzącego słońca kładły się czerwonymi i pomarańczowymi refleksami na ziemi pokrytej białym puchem.

— Wyjedzie pan? — spytała szeptem dziewczyna.

— Nie — odparł równie cicho.

W pobliżu domu Jordan zauważył wydrapane na śniegu litery. Dziewczyna zaskowyczała jak ranne zwierzę i pobiegła. Ruszył za nią, ale nim zdołał odczytać napis, Juliana już klęczała, ramionami zagarniając śnieg wraz z mokrą ziemią. Zdążył zauważyć tylko trzy litery: RAW, ale nie potrafił zgadnąć, jakiego słowa były częścią.

\* \* \*

Wieczorem Domenic Jordan długo nie mógł zasnąć. W końcu zapalił stojącą przy łóżku świecę i wyszedł z pokoju.

Zmierzał do biblioteki, licząc na znalezienie jakiejś interesującej lektury, która pozwoli mu przetrwać noc. Bez trudu trafił do właściwego pomieszczenia, ale rozczarował się gorzko, bo w bibliotece było zaledwie kilkanaście książek, z czego większość stanowiły tomy kazań sprzed kilkudziesięciu lat. Poświęcił się więc studiowaniu wiszących na ścianach portretów. Najnowszy przedstawiał panią Marivel wraz z dziećmi. Tuż przy matce stał syn (Alan, podsunęła usłudźnie pamięć), a na drugim planie, w cieniu –



córka. Jordan po raz pierwszy ujrzał rysy Juliany. Nie było w nich śladu podobieństwa do matki. Ot, zwyczajna buzia, nawet miła, ale niezbyt ładna. Pomyślał, że kobiety w rodzaju d'òny Emmy – piękne i dumne – zazwyczaj wolą synów niż córki, zwłaszcza jeśli córki te nie dorównują im urodą.

Przeniósł wzrok na chłopca. Alan miał piegowatą, okrągłą twarz rozpieszczonego urwisa i strzechę jasnych, gęstych włosów. Uśmiechał się zawadiacko, ukazując przerwę między przednimi zębami.

Wcale nie zdziwiło Jordana, że Alan z portretu przypomina chłopca, którego rankiem dostrzegł w ogrodzie.

\* \* \*

Następnego dnia przy śniadaniu Jordan pierwszy rozpoczął rozmowę:

— Dowiedziałem się o nieszczęściu, które dotknęło pani rodzinę. Szczerze współczuję. Utrata jedyne go syna to prawdziwa tragedia.

Niosąc do ust łyżeczkę z kawałkiem jajka na miękko, Darnis zamarł. Słowa te, choć wypowiedziane z nienaganną uprzejmością, były pierwszym nietaktem, jaki popełnił Domenic Jordan.

Emma Marivel uniosła głowę i spojrzała Jordanowi prosto w oczy.

— Kochałam Alana bardziej niż kogokolwiek innego na świecie — powiedziała spokojnie, choć było widać, że panowanie nad sobą wiele ją kosztuje. — Nic mi go nie wróci, wiem o tym. Ale wiem też, że syn mój zginął jak bohater i jestem dumna z tego,

co uczynił. Choć przyniosło mu to śmierć, to świadomość, że postąpił jak bohater, jest dla mnie pociechą w rozpacz. Nie lubię o tym wspominać, proszę wybaczyć. To dla mnie zbyt bolesne.

Jordan opuścił głowę, jakby godząc się z porażką. Darnis miał ochotę bić kobiecie brawo.

Ale dòna Emma jeszcze nie skończyła:

— Alan kochał mnie równie mocno, jak ja jego. — Jej piękne, błękitne oczy były puste. Nie spoglądała już na swego rozmówcę. Patrzyła w dal, na coś, czego nikt poza nią nie widział. — Zrobiłabym dla niego wszystko, ale nie zdołałam ocalić go przed śmiercią. Był takim dobrym, kochanym chłopcem... I takim odważnym... Dlatego zginął, zginął jak bohater — powtórzyła, po raz trzeci tego ranka.

O jeden raz za dużo, by Domenic Jordan mógł jej uwierzyć.

\* \* \*

Jordanowi potrzebny był ktoś, kto wiedziałby, co takiego wydarzyło się przed rokiem w rezydencji Ferlay.

Jakaś służąca, gadatliwa, ale nie nazbyt głupia i najlepiej pozbawiona wyobraźni, myślał, przechadzając się po pokojach. Ale trafił tylko na młodziutkie pokojówki, które najwyraźniej potrafiły jedynie się wdzięczyć i chichotać. Potrzebny był mu ktoś starszy, poważniejszy.

Podszedł do jednego z okien. Przez chwilę spoglądał na ogród, potem jego uwagę przyciągnął majacący pomiędzy drzewami kształt.

Z początku zdawało mu się, że to tylko złudzenie, cień rzucany

przez karłowate drzewo o osobliwie wygiętych konarach. Ale ów kształt ruszył w stronę domu i wkrótce Jordan rozpoznał w nim zwinną sylwetkę chłopca. Dzieciak zatrzymał się i spojrzał na niego. Usta poruszały się, jakby coś mówił, ale gdy Jordan otworzył okno i wychylił się na zewnątrz, usłyszał tylko krakanie krążących w powietrzu wron.

Jednak tym razem rysy chłopca były na tyle wyraźne, że nie mogło być mowy o pomyłce. Jeszcze chwilę temu w ogrodzie stał zmarły przed rokiem Alan Marivel.

Jordan zamknął okno i poszedł w stronę kuchni. Kucharki, pomyślał, rzadko kiedy są młode, a często bywają też gadatliwe.

Ale w kuchni zastał jedynie zgarbionego staruszka, który pykając z glinianej fajeczki, grzał się przy piecu.

Jordan usiadł na dębowej ławie.

— Witajcie, dziadku — powiedział uprzejmie. — Od dawna tu służycie?

— Ano od dziecka. — Stary wyjął z ust fajkę. — Najsampierw to za pokojowca byłem, sługę jaśnie pana, ojca naszej pani. Ale że z rąk mi wszystko leciało, to pan pozwolił, żebym się na woźnicę uczył. O, w tym ja dobry byłem! Konie tak potrafiłem batem zaciąć, że jak wichher gnały, a spod kół skry szły! Ale teraz za stary jestem na woźnicę. Latem w ogrodzie trochę pomogę, ale serca nie mam do tej roboty. A nasza pani dobra, chleb mi daje, choć mogłaby jak psa wypędzić.

— A młodego panicza, Alana, znaliście? Możecie mi powiedzieć, jak umarł?

W zręcznych palcach Jordana zamigotała srebrna moneta. Stary

przyglądał jej się chciwie. Nie podobał się słudze ten obcy, blady mężczyzna. Licho zresztą wie dlaczego, po prostu nie podobał się i już. Ale, pomyślał stary rozsądnie, przecież on niczego złego ode mnie nie chce. Wszyscy wiedzą, jak umarł młody panicz. To żadna tajemnica.

— Powiem, czemu nie. Widział jasnie pan wieżę, co przy domu stoi?

Jordan skinął głową.

— Zbudował ją pierwszy pan na Ferlay, Martin Marivel. To był dzielny szlachcic, ale i zły człowiek, tak przynajmniej mówią. Sakiewkę wciąż miał pustą, bo wszystko wydawał na wino i kobiety. W końcu jął się diabelskich sposobów i w tej oto wieży, za pomocą czarnoksiężskich zaklęć, próbował ołów w złoto zmieniać. Ale słabe to widać były zaklęcia, bo sakiewka nadal pustkami świeciła. Aż w końcu przyszedł do niego sam diabeł i mówi: ja ci dam złota, ile tylko zechcesz, ale w zamian za lat pięćdziesiąt, w noc wigilii św. Mateusza, duszę twoją zabiorę. Odtąd wystarczyło słowo, by ołów zamieniał się w czyścusięńkie złoto, a don Martin zasłynął z bogactwa na całą okolicę. A za pół wieku, gdy siedział na wieży, przyszedł po niego diabeł. Don Martin nie pamiętał już o umowie i duszy oddać nie chciał. Ale kto tam poradzi przeciw sile diabelskiej? Zdusił czart nieszczęsnego człowieka i taki był koniec pierwszego z rodu Marivelów. Od tego czasu każdego roku w wigilię św. Mateusza diabeł zjawia się na wieży i czeka od północy aż do świtu. Czeka na kogoś, komu znów mógłby swój diabelski pakt zaproponować. Za dnia mało kto tam zachodzi, a już w nocy... — Stary sługa pokręcił głową.

— Alan Marivel poszedł tam o północy, w wigilię św. Mateusza, prawda?

Starzec przytaknął.

— Młody był i, jak wszyscy młodzi, głupi. Dwa roki temu...

— Rok temu — poprawił odruchowo Jordan.

Stary obrzucił go niechętnym spojrzeniem.

— Dwa roki temu — powtórzył z naciskiem — nasz panicz, panienka Juliana i przyjaciel panicza, Christian Valadour, poszli na wieżę z diabłem porozmawiać. Ale widać tyle czekania mocno czartu krew zepsuło, bo nic nie chciał gadać, jeno od razu do gardeł dzieciom się rzucił, coby ich wszystkich pomordować. Panicz Alan siostrze życie uratował, z pokoiku na wieży w ostatniej chwili ją wyciągnął. Ale przyjaciela ocalić nie zdołał. Diabeł kark mu złamał jak suchą szczapę. O, pamiętam ten dzień jak dziś. Nasza pani kazała panicza Christiana do domu przenieść i medyka wezwać, ale jemu nic już pomóc nie mogło. Leżał tam, zimny i biały jak suknia panny młodej w dzień ślubu, a panicz Alan płakał przy nim. W południe przyjechał ojciec panicza Christiana, hrabia Valadour. To wielki pan, dumny i majątny, a jego ród ponoć równie stary, co królewski. Wszedł i od progu krzyczał, że śmierci syna nie daruje. Ale ledwie na twarz naszej panienki spojrział, od razu spokorniał i pojął, że i on potędze diabelskiej rady nie da. Naszemu paniczowi powiedział, że nie ma mu za złe tej nocnej wyprawy. Nawet podziękował, że ratować przyjaciela próbował. Modlili się potem wszyscy w kaplicy o spokój duszy panicza Christiana i o zdrowie panienki Juliany. Od tamtej pory mało kto widział twarz panienki, ale ja wiem, co diabeł jej zrobił. — Stary zniżył głos, a Jordan

odruchowo pochylił się do przodu. — Ona na policzku ma wypalony ślad diabelskiej dłoni: pięć palców zakończonych pazurami!

Spojrzał w twarz Jordana, chcąc się przekonać, jakie wrażenie wywarła na nim opowieść. Ale mężczyzna milczał, czekając na dalszy ciąg.

Rozczarowany starzec westchnął.

— Przez następny rok — podjął już spokojniejszym tonem — panicz Alan nikł w oczach. Dawniej to był urwis jakich mało, tylko figle miał w głowie. Ale nikt się nigdy na niego nie gniewał, co to, to nie. Wiadomo, jedyny syn, bez ojca chowany, bo pan Marivel zmarł, jak Alan jeszcze w kołysce leżał. Matka świata poza nim nie widziała i rozpuściła dzieciaka. Ale chłopak miał dobry charakter, to trzeba przyznać. Nie mógł przeboleć śmierci przyjaciela. Spowaźniał, schudł, ciągiem smutny chodził. A w rocznicę śmierci panicza Christiana na wieżę się wybrał, z diabłem, co mu przyjaciela zabił, się rozprawić. Ej, biedny, głupi dzieciak. Naszą panią przecucie jakieś tknęło. Nad ranem się zbudziła i do wieży pobiegła. Ale już za późno. Diabeł ścisnął chłopca za gardło i życie z niego wydusił. Pani trumnę zakazała na pogrzebie otwierać, bo podobnież cały siny był i język na wierzchu wyszedł.

Starzec zamilkł, może wspominając młodego panicza, a może po prostu delektując się makabrycznymi szczegółami jego śmierci.

— Widziałem Alana Marivela — powiedział niespodziewanie Domenic Jordan. — Dwa razy. W ogrodzie.

Sługa zachichotał.

— Oj, nie pan jeden. Wszyscy go tu ostatnio widujemy. Najwięcej to chyba ja, z sześć, nie, siedem razy panicza widziałem. Czasem jest jak mgła przezroczysty, a czasem widzę go tak wyraźnie, jak teraz jaśnie pana. Stoi tylko i usta jak ryba otwiera, ale ani słowa nie słyhać. Pewno na diabła próbuje się skarżyć, biedaczek. Ale za takie gadanie pani zaraz by mi głowę zmyła, więc wolę siedzieć cicho.

— Pamiętacie może, gdzie i kiedy go widzieliście?

Starzec podrapał się po głowie.

— Pamięć mam dobrą, chwalić Boga, a i oczy niegorsze. Pierwszy raz to było ze dwa tygodnie temu, w niedzielę...

Jordan wyciągnął z kieszeni oprawiony w skórę notes i kawałek ołowiu. Zaczął notować.

\* \* \*

Domenic Jordan bez trudu odnalazł małe drewniane drzwi prowadzące z ogrodu na wieżę. Przedarł się przez zagradzające mu drogę krzewy i nacisnął klamkę.

Drzwi ustąpiły z jęklwym zgrzytem. Pchnął je mocniej i wsunął się do środka. Unoszący się w powietrzu kurz podrażnił mu nos. Jordan kichnął i sięgnął po chusteczkę. Poczekał, aż jego oczy przywykną do półmroku i ruszył w górę stromymi, spiralnie kręconymi schodami. Wspinając się, liczył wykute w grubym murze wąziutkie okienka. Po ósmym schody się skończyły. Tutaj drzwi nie było i wszedł wprost do pracowni alchemika Martina Marivela.

Przywitał go łopot skrzydeł, w dusznej, martwej atmosferze

brzmiący bardzo osobliwie. Jordan zadarł głowę. Sufit okrągłego pokoiku stanowiło zaledwie kilka pociemniałych ze starości belek. Pomiedzy nimi widać było zwężające się w szpic poddasze. Tam właśnie krążył biały gołąb. Po chwili ptak zniżył lot, wpadł do komnatki, przysiadł na parapecie i wyfrunął przez dziurę w czarnej, nigdy chyba niemytej szybie. Przez ten właśnie otwór wpadało wystarczająco dużo światła, by Jordan mógł dojrzeć rozstawione sprzęty.

Nie było tego wiele. Mała szafka, której drzwi dawno temu wyrwano z zawiasów, opierający się na trzech nogach zakurzony stolik i dwa rozlatujące się ze starości krzesła. Ani śladu diabła, pomyślał Jordan, uśmiechając się lekko. Ale, jeśli wierzyć legendzie, diabeł zjawi się dziś, o północy.

\* \* \*

Domenic Jordan położył na stole w jadalni notes i arkusz papieru. Potem zaostrzył pióro i zanurzył je w atramencie. Starannie przenosił na kartkę chaotyczne notatki, układając daty we właściwej kolejności.

Jeśli miał rację, to w miarę zbliżania się wigilii św. Mateusza widmo młodego Alana Marivela powinno stawać się coraz wyraźniejsze.

Ale tak nie było. Odłożył pióro i zamyślił się, postukując zgiętym palcem w blat stołu.

Duch Alana pojawiał się w ogrodzie, w pobliżu wieży, ale nie zawsze w tym samym miejscu. To jest to, pomyślał Jordan. Liczy się nie tylko czas, ale i miejsce.



Przejrzał ponownie zapiski, tym razem biorąc pod uwagę dwa czynniki. Wynik był taki, jakiego oczekiwał. W miarę upływu dni i w miarę zbliżania się do wieży widmo coraz bardziej przypominało człowieka z krwi i kości.

Z prostego rachunku wynikało, że w noc poprzedzającą dzień św. Mateusza w pokoiku na wieży proces ten osiągnie szczyt.

Dzień św. Mateusza wypadł nazajutrz.

Dzisiejszej nocy, pomyślał Jordan, ktoś, kto odważy się wspiąć na wieżę, spotka tam Alana Marivela i będzie mógł spojrzeć mu w twarz, zupełnie jakby spoglądał na żywego człowieka.

\* \* \*

Rozmawiając ze starym sługą, Jordan poczuł w pewnej chwili, że bliski jest rozwiązania zagadki. Jednak skupiony na słowach starca, nie miał czasu schwytać tej ulotnej myśli, a potem, gdy próbował ją odtworzyć, okazało się, że jest już za późno. Im intensywniej przywoływał ją z powrotem, tym głębiej chowała się w jego umyśle. Pozostało jedynie nieprzyjemne wrażenie, że było to coś ważnego, co z całą pewnością powinien wziąć pod uwagę. Miało to coś wspólnego ze słowami starca i z obrazem zabawek porzuconych w cembrowinie fontanny – tyle wiedział.

Powtarzając więc w myślach słowa starego sługi, wyszedł do ogrodu. Przy fontannie zastał Roberta Darnisa.

— Widzę — powiedział Jordan — że również i pana fascynuje to miejsce.

Pulchny medyk zjeżył się.

— Wyszedłem tylko zaczerpnąć świeżego powietrza — odparł

opryskliwie. — Pokojówka opowiedziała mi właśnie niesamowitą historię, jakoby syn pani Marivel został zaduszony przez diabła, który rok w rok pojawia się na wieży. Słyszał pan o tym?

Jordan skinął głową.

Darnis usiadł na cembrowinie fontanny i otarł pot z czoła.

— Nie znoszę takich opowieści — wyznał. — To znaczy, lubię słuchać o duchach i demonach, gdy siedzę sobie bezpiecznie przy kominku i popijam grzane wino. Ale tutaj... rozumie pan, tutaj takie historie brzmią aż nazbyt wiarygodnie jak na mój gust. A dòna Juliana – uwierzy pan? – ponoć ukrywa pod tą czarną woalką ślad po trzech diablích pazurach.

— Pięciu — poprawił Jordan. — Tak przynajmniej ja słyszałem. Ciekawe — uśmiechnął się — tyle razy spoglądałem diabłu w twarz, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, by policzyć jego palce.

Darnis odpowiedział niepewnym uśmiechem, po raz kolejny myśląc, że poczucie humoru Domenica Jordana zdecydowanie różni się z jego własnym.

Jordan zbliżył się, zamierzając usiąść obok Darnisa, jednak zrezygnował, gdy zobaczył przykrywającą cembrowinę warstwę zimowego błota. Patrzył przez chwilę na zabawki.

— Dlaczego mordercy wydzierają swoim ofiarom oczy? — zapytał.

Darnis spojrział na niego zdumiony.

— A skąd ja mam to wiedzieć?

— To bardzo popularny przesąd. Pan także musi go znać.

Darnis wzruszył ramionami.

— Ach, o to chodzi? Niektórzy wierzą, że w oku ofiary odbija się obraz zabójcy. To nieprawda. W rzeczywistości...

Umilkł, spostrzegłszy, że Jordan wcale go nie słucha. Zimny dreszcz przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa.

— Ma pan na myśli te... zabawki? Że niby ktoś wyłupił im oczy, by nie mogły świadczyć przeciwko mordercy, czy coś w tym rodzaju?

— Uhm — mruknął Jordan. — Właśnie coś w tym rodzaju.

\* \* \*

W jadalni zastał Julianę Marivel. Pochylała się nad stołem, chusteczką ścierając atrament, który wyciekł z przewróconego kałamarza. Chusteczka była maleńką koronkową szmatką, a plama atramentu rozlewała się aż po brzeg stołu. Praca dziewczyny nie miała wiele sensu.

Jordan chwycił ją za nadgarstek. Podskoczyła i próbowała się wyrwać, ale trzymał mocno.

— Ja... — dobiegł go spod woalki załękniiony głos — przewróciłam kałamarz. Taka jestem niezdarna...

Spojrzał na stół i puścił jej rękę.

— Rozmazuje pani tylko tę plamę. A może właśnie o to chodzi? Może chce pani zatrzeć wiadomość, którą ktoś tu dla pani pozostawił?

— Ja... jaką wiadomość? Od kogo?

— Od kogoś, kto próbuje się z panią w ten sposób skontaktować. Pisząc, nie mówiąc, bo mówić nie potrafi. Czego brat chce od pani?

— Mój brat nie żyje! — wrzasnęła i cofnęła się gwałtownie.

Woalka przekrzywiła się. Jordan spokojnie wyciągnął rękę, zdjął kapelusik i cisnął w kąt. Juliana krzyknęła raz jeszcze i zasłoniła twarz rękami, jednak zdążył dostrzec blizny na policzku dziewczyny – nie trzy i nie pięć, lecz cztery głębokie zadrapania, jakby ktoś przejechał jej po twarzy uzbrojoną w pazury łapą.

— Czego chce od pani Alan Marivel?

Sięgnęła po typowo kobiecą broń – rozszlochała się dramatycznie. Ale na Jordanie łkania nie robiły wrażenia. Chwycił ją za ramiona i zmusił, by spojrzała mu w oczy. Wytrzymała jego wzrok nie dłużej niż przez kilka uderzeń serca.

— Chce, żebym powiedziała prawdę! — krzyknęła.

— Prawdę o tym, jak zginął?

Przytaknęła. Domenic Jordan pomyślał o wiszącym w bibliotece portrecie. O synu, uwielbianym przez matkę, i jego nieładnej, zawsze spychanej na drugi plan starszej siostrze. O córce, dla której pozostały jedynie okruchy matczynej miłości.

Juliana wydawała się odgadywać jego myśli. Jej oczy zaokrągliły się ze strachu.

— Niech pan sobie nie wyobraża, że... że ja... że któraś z nas mogłaby go skrzywdzić. Kochałam Alana. Obie go kochałyśmy...

Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu.

— Zabiłyście go tą waszą miłością — powiedział w końcu.

\* \* \*

To dzisiaj jest ta noc, pomyślał Robert Darnis, spoglądając z niepokojem w ciemność za oknem. Dziś na wieży będzie można

spotkać diabła.

No, w każdym razie ja nie zamierzam się tam pchać, dodał w myślach, przeciągnął się i wrócił do łóżka.

Długo nie mógł zasnąć. Zegar stojący na kominku wybił jedenastą, potem wpół do dwunastej. Cicho zaskrzypiały drzwi pokoju sąsiadującego z sypialnią Darnisa. Medyk nadstawił uszu. Tak, nie pomylił się. Ktoś szedł korytarzem.

To Jordan, pomyślał w zdumieniu. Jak nic lezie na tę diabelską wieżę.

Naciągnął kołdrę na głowę, nie chcąc już słyszeć niczego. Zasnął, nim wybiła północ.

\* \* \*

Ranek wstał pogodny, choć mroźny. Ziemię pokrywał gruby, białosrebrny kożuch, który skrzył się w promieniach słońca. Oszronione gałęzie drzew i krzewów wyglądały jak posypane cukrem lodowe łakocie.

Na ten widok, po raz pierwszy od dwóch dni, Darnis uśmiechnął się z prawdziwą radością. Nocne strachy wydały mu się teraz błahym, niegodnym wspomnienia incydentem.

Zmarkotniał na powrót, gdy minęła dziesiąta, a Jordana nadal nigdzie nie było widać. Cicho zapukał do drzwi jego pokoju. Nikt nie odpowiedział, nacisnął więc klamkę i wszedł.

Domenic Jordan bez wątpienia lubił porządek. Przez uchylone drzwiczki szafy medyk mógł zobaczyć złożone w równiutkie kostki koszule, a łóżko było starannie zasłane i przykryte barwną narzutą. Albo Jordan, nie czekając na pokojówkę, sam posłał łóżko, albo, co

znacznie bardziej prawdopodobne, w ogóle nie spał tej nocy w pokoju.

Darnis odwrócił się. Stojąca w drzwiach służąca podskoczyła na jego widok. On również drgnął nerwowo, ale w porę zdążył się opanować.

— Gdzie pan Domenic Jordan? — spytał, starając się, aby zabrzmiało to surowo.

— Pan Jordan wczesnym rankiem kazał osiodłać konia. Chłopak ze stajni mówił, że pytał o drogę do Savajol. To duży majątek, po sąsiedzku leży. Jego właścicielem jest hrabia Valadour.

Do Savajol? Po cóż Jordan miałby tam jechać?

Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, ale słowa służącej trochę go uspokoiły.

W południe przybył sługa, wioząc zamówione przez Darnisa składniki. Medyk przyrządził miksturę i dał ją pannie Marivel. Chwilę później dziewczyna zjawiała się w salonie, oznajmiając, że czuje się już znacznie lepiej. Darnis za grosz jej nie wierzył.

Skutek nie mógł być tak szybki, poza tym lekarstwo miało uspokajać, nie ożywiać. Najpewniej Juliana w ogóle nie tknęła mikstury.

Mimo radosnego, nieco nawet nerwowego szczebiotu dziewczyny, w salonie panowała ciężka atmosfera. Dòna Emma była zła, choć starała się to ukryć pod maską chłodnej dumy. Najwyraźniej nie podobało jej się, że Domenic Jordan przepadł gdzieś, zabierając bez pytania jednego z jej koni.

Darnis nie miał pojęcia, co teraz robić. Czy czekać na Jordana, który nie wiadomo kiedy wróci, czy też może pożegnać się

grzecznie i wyjechać, skoro wykonał już swoje zadanie?

Przeprosił więc i pobiegł do stajni. Mroźne powietrze kłuło go w płucach, gdy zdyszany stanął obok chłopca czyszczącego konia.

— O której pan Jordan wyjechał? — wyrzucił z siebie. — Jak daleko stąd do Savajol? Zdąży wrócić przed zmierzchem?

Chłopak spojrział na niego zdziwiony.

— Ano, czemu nie. Savajol niedaleko. Ale jaśnie pan już z powrotem jest. Przyjechał jakiś kwadrans temu.

Darnis zaklął. Jordan nie raczył zjawić się w salonie i choć w kilku słowach wytłumaczyć pani Marivel swoją nieobecność. Poszedł dokądś, a Darnis miał paskudnie silne przeczucie, że wie, gdzie może go znaleźć.

\* \* \*

Ostrożnie pchnął prowadzące na wieżę drzwi. Uchyliły się lekko. Darnis ani myślał tam wchodzić, przynajmniej nie od razu. Wsunął najpierw głowę.

Wsunął i wrzasnął wniebogłoso. Siedzące na pobliskim drzewie kruki odpowiedziały krzykiem i czarną chmurą poderwały się do lotu.

Darnis klapnął w śnieg. Drzwi otworzyły się szerzej. Stanął w nich Domenic Jordan, śmiejąc się i wymachując trzymaną w ręku karnawałową maską.

— To działa — powiedział z satysfakcją. — Tak właśnie sądziłem.

Nareszcie sprawa jest jasna, pomyślał oszołomiony Darnis. To nie pozer ani ekscentryk. To po prostu kompletny wariat.

Jordan pomógł mu wstać i otrzepać się ze śniegu. Przeprosił przy tym, a Darnis, sapiąc i prychnając, czuł, że jego złość powoli topnieje.

— Że też dorosłego mężczyzny trzymają się takie dowcipy — powiedział raczej z łagodną naganą niż z gniewem. — Skąd pan ma tę maskę?

— Należała do syna pani Marivel. Wyrzucił ją razem z resztą zabawek. Obawiam się, że wilgoć trochę jej zaszkodziła. Dwa lata temu musiała robić znacznie większe wrażenie.

Była to prawda. Gipsową maskę wykonano z prawdziwym artyzmem. Bliżej nieokreślony stwór wykrzywiał się w uśmiechu, który nic dobrego nie zapowiadał. Oczy były przekrwione, zęby ostre, a starczą, trochę jakby zwierzęcą twarz, pokrywały czarne wrzody.

Darnis chrząknął i próbował ratować resztki honoru.

— Nie wystraszyłbym się tego paskudztwa, gdyby nie to, że wciąż myślałem o diable i... — Wzruszył ramionami.

— To samo spotkało Christiana Valadour. Chłopcy poszli na wieżę spotkać się z diabłem, a Alan, który z natury był figlarzem, uznał, że to znakomita okazja, aby nastraszyć towarzysza. Zakładam, że wyprzedził Christiana, założył maskę, uprzednio schowaną w komnatce na wieży, i pokazał się przyjacielowi, który dopiero wchodził po schodach. Ten cofnął się w przerażeniu, stracił równowagę i runął w dół, łamiąc sobie kark.

— Alan zabił swojego przyjaciela? — z niedowierzaniem spytał Darnis.

— Nieumyślnie, ale szczerze wierzył, że jest mordercą. Ta



śmierć mocno ciążyła mu na sumieniu. Spoważniał i dorósł. Wyrzucił też swoje zabawki. A jeśli chodzi o oczy... — Jordan zamilkł.

Tak, mógł to sobie wyobrazić. Alan pochyła się nad suchą cembrowiną fontanny. W rękę trzyma świecę. Za chwilę płomień ogarnie zgromadzone tam zabawki. Oczy pluszowego misia i konika na biegunach spoglądają z wyrzutem, a on nie potrafi znieść ich wzroku. Zabawki trzeba spalić, bo przecież Alan nie jest już małym chłopcem. W sercu nosi mroczną tajemnicę, która uczyniła go dorosłym. Ale nie zmienia to tego, że podpalenie wiernych przyjaciół z dzieciństwa dla Alana równa się niemal morderstwu, a ludzie mówią, że w źrenicach ofiary zawsze pozostaje odbicie twarzy zabójcy. Dlatego chłopiec odkłada świecę, bierze nóż i pomagając sobie paznokciami, tnie i wrywa guzikowe oczy...

Darnis bezradnie potrząsnął głową.

— A blizna na twarzy dõny Juliany? A diabeł?

Ciemne oczy Jordana zabłyśły.

— Chciałbym przeprowadzić pewien eksperyment.

\* \* \*

Domenic Jordan mówił uprzejmie, nie podnosząc głosu. Mimo to Emma Marivel słuchała go z pobladłą twarzą, a Darnis zastanawiał się, kiedy pani domu zdecyduje się wezwać lokaja, który grzecznie wyprosi ich za drzwi. W kącie, kryjąc twarz w cieniu, siedziała Juliana, tym razem – jak zauważył ze zdziwieniem – bez woalki.

— Niepotrzebnie jesteś, pani, tak skromna — mówił Jordan.  
— Dlaczego opowiadasz, pani, o bohaterstwie syna, gdy nieporównanie większą odwagą i przytomnością umysłu wykazała się pani córka?

— Córka? — spytała dōna Emma dziwnie napiętym głosem.

— Tak, córka. Dōna Juliana oczywiście nie brała udziału w nocnej wyprawie na wieżę. Chłopcy rzadko dopuszczają do swych tajemnic starsze siostry. Ale gdy tylko dowiedziała się o tym nieszczęsnym wypadku, nie wahała się działać. Jeśli o północy na wieżę wchodzi dwie osoby, a o świcie jedną z nich znajduje się ze skręconym karkiem, a drugą całą i zdrową, to – zgodzisz się, pani, ze mną – może to wyglądać podejrzanie. Lecz jeśli na wieżę wchodzi trzy osoby: jedna ginie, druga jest ranna, a trzecia szczęśliwie uchodzi cało, a ponadto słowa młodego chłopca poświadczą starsza, rozsądna dziewczyna, to... No cóż, wtedy nawet historia o diable brzmi prawdopodobnie. Ten pomysł z ranami na twarzy był doskonały, rzekłbym iście... szatański. Hrabia Valadour nie miał wątpliwości, że jego syna zabił diabeł, a trudno dochodzić sprawiedliwości, gdy w grę wchodzi siły piekielne. Dōna Juliana wiedziała, że za cenę bólu i oszpeceń może zapewnić bratu bezpieczeństwo. I nie zawahała się. Szczerze ją podziwiam. Powinnaś być, pani, dumna raczej z córki niż z syna.

Emma Marivel podeszła do Jordana i spojrzała na niego płonąącym z wściekłości wzrokiem. Darnis przez chwilę bał się, że go uderzy.

— Skoro wie pan już tyle, panie medyku, czy kim tam pan naprawdę jest, to niech się pan też dowie, że ja to wymyśliłam!

Całą zasługą Juliany było nadstawienie policzka i powiedzenie tego, co powiedzieć jej kazałam! To strachliwe biedactwo miałoby wykazać się odwagą?! Przytomnością umysłu?! Śmieszne! Ja ocaliłam mego syna i mnie on dziękował, całując moje ręce!

— Dziękował! — wrzasnęła Juliana, zrywając się z fotela. Rzuciła się w kierunku matki. — Tak ci dziękował, że w rocznicę śmierci Christiana powiesił się na tej przeklętej wieży! Ale ty nawet wtedy nie pozwoliłaś mu spocząć w spokoju. Kazałaś mi zniszczyć sznur i list, który zostawił. Po śmierci Christiana chwaliłaś się wszystkim, jakiego to masz dzielnego syna, który ocalił siostrę i próbował ratować przyjaciela. A on nie mógł tego znieść! Twój ukochany syn podziękował ci, zakładając sobie sznur na szyję!

Dòna Emma uderzyła ją w twarz. Juliana krzyknęła i rzuciła się na matkę, młóćąc drobnymi piąstkami, ale z postawną kobietą nie miała szans. Pani Marivel chwyciła córkę i potrząsnęła nią jak słomianą kukłą.

— Zamknij się, głupia dziewczyno! Ani słowa więcej, rozumiesz?! — Uderzyła ją raz jeszcze, i znowu, w drugi policzek. Twarz Juliany napuchła od ciosów i łez. — Bzdury wygadujesz, i dobrze o tym wiesz! To nieprawda!

— Prawda! Prawda! — krzyczała dziewczyna piskliwie.

Rozdzielił je dopiero Jordan. W jego oczach widniało zdziwienie człowieka, który trącając kamień, wywołał lawinę.

Emma Marivel odetchnęła głęboko. Szybko odzyskała spokój, w przeciwieństwie do córki, która opadła na podłogę i zwinęła się w kłębek, łkając i kryjąc twarz w zgiętym łokciu.

— Powóz czeka przed domem. Odwiezie panów do gospody.

Żegnam i mimo wszystko proszę przyjąć podziękowania. Moja córka — tu rzuciła pogardliwe spojrzenie szlochającej dziewczynie — z pewnością czuje się już znakomicie, skoro ma siłę urządzić takie przedstawienie.

Wyszła z dumnie uniesioną głową, szeleszcząc piękną, jedwabną suknią. Darnis odetchnął i pomknął do drzwi. Myśl, że za chwilę znów zobaczy przytulne wnętrze gospody i poczciwe, niezbyt mądre gęby swego lokaja i stangreta, podtrzymywała go na duchu.

Juliana usiadła i dłonią przetarła zapuchnięte oczy. Potem wysmarkała się w chusteczkę. Gdy uniosła głowę, jej wzrok padł na stojącego w drzwiach Jordana.

— Jeszcze pan tu jest?

Nie doczekała się odpowiedzi, skądinąd oczywistej.

— Myślę — poskarżyła się cicho — że wszystko byłoby inaczej, gdyby Alan żył. Tak wiele dla niego poświęciliśmy, dlaczego i on nie mógł pocierpieć dla nas odrobinę? Dlaczego musiał pójść na tę wieżę i odebrać sobie życie?

— Dałyście mu wszystko. Wszystko prócz możliwości odpokutowania winy.

— A co pan może o tym wiedzieć? — rzuciła ostro, ale męczyzna nie dał się sprowokować.

— O winie i pokucie wiem wszystko — odparł spokojnie.

Podniosła rękę do oszpeconego bliznami policzka, zapatrzyła się w okno, za którym znów prószył śnieg.

— Uwierzy pan, że w tamtej chwili, gdy matka uderzyła mnie grabkami, naprawdę byłam szczęśliwa? Mówiła do mnie, prosiła,

bym była dzielna, tuliła i głaskała. Myślę, że ten jeden jedyny raz w życiu zależało jej na mnie naprawdę...

Juliana spojrzała na drzwi i zorientowała się, że od jakiegoś czasu przemawia do pustki.

\* \* \*

— Po co jeździł pan do Savajol? — spytał Darnis, uchylając okienko powozu. Z ulgą wdychał świeże, mroźne powietrze. Płatki śniegu osiadły mu na dłoni.

— Pojechałem powiedzieć hrabiemu prawdę o śmierci jego syna. Spełniłem w ten sposób życzenie zmarłego Alana.

— O! A skąd pan wiedział, jakie to życzenie?

— Chłopiec sam mi o tym powiedział. Dzisiejszej nocy, na wieży.

— Więc jednak poszedł pan na tę wieżę! A co z diabłem? Widział pan diabła?

Darnis zadał pytanie lekkim tonem, bo odkąd wyjechali z Ferlay, był w znakomitym humorze, ale Jordan pozostał poważny.

— Nie. Zresztą... — Zawahał się, wspominając matkę i córkę zamknięte w starym domu, który dogorywał powoli pod cienką warstwą blichtru. — Nie trzeba wcale diabła, by stworzyć sobie piekło na ziemi.

## 1. Czarna Saissa

Rainaud d'Andrieux podniósł kieliszek w geście toastu.

Z pięciu bawiących się w ogrodzie dziewcząt tylko jedna, wysoka i rudowłosa, odpowiedziała uśmiechem. Podeszła do zastawionego stołu i sięgnęła po wino.

— Zupełnie jak dzieci, prawda? — rzuciła, spoglądając na koleżanki uganiające się za kolorowym motylem.

Ponad nimi, wysoko na bladobłękitnym niebie, pojawił się czarny punkcik.

Rainaud obserwował swoją trzódkę. Dziewczęta były piękne i młode – żadna nie miała więcej niż osiemnaście lat. Najśmielsza zdjęła buty i pończochy, po czym przebiegła kilka kroków boso. Zaraz jednak usiadła na rozłożonym kocu. Od miesiąca nie padał deszcz i spalona czerwcowym słońcem trawa stała się sucha i szorstka.

W szybko zbliżającym się kształcie można już było rozpoznać jakiegoś dużego ptaka.

Do Rainauda podeszła drobna blondynka i coś mu szepnęła. Zachichotała, odskoczyła, a on wyciągnął rękę i złapał ją zrećnie. Przynął usta do jej połyskującego złotym kolczykiem ucha. Musiał się nachylić, bo panna, krzepko trzymana w pasie, odginała się do tyłu, jakby chcąc uciec przed przystojnym kawalerem. Śmiała się jednak przy tym wesoło.

Ogromny brązowo-czarny orzeł zniżył lot. Nie krążył w poszukiwaniu ofiary. Pędził wprost na Rainauda d'Andrieux.

Blondynce udało się wreszcie wyrwać. Pogroziła młodzieńcowi palcem i schowała się bezpiecznie za rudowłosą dziewczyną, która małymi łyчками popijała wino. To właśnie ona pierwsza zauważyła ptaka.

Rainaud rozłożył ramiona, sugerując, że nic nie potrafi poradzić na kobiecą płochosć i przewrotność. Zrobił przy tym śmieszny minę beznamiętnego szczeniaczka, moknącego w deszczu i proszącego o wpuszczenie do ciepłego domu.

Blondynka parsknęła śmiechem. Na twarzy jej rudej koleżanki zdziwienie właśnie zmieniło się w niepokój.

— Patrzcie! — zawołała.

Młodzieniec spojrzał w niebo.

Dwadzieścia funtów piór, mięśni i pazurów jak z żelaza spadło na jego twarz. Rainaud wrzasnął i zatoczył się do tyłu. Orzeł sięgnął szponem lewego oczodołu, wyrwał gałkę oczną. Krzyk Rainauda, przez chwilę piskliwy jak odgłos noża tnącego szkło, złamał się i przeszedł w chrapliwy skowyt. Wyc zaczęła również jedna z dziewcząt, monotonnie i długo. Dwie inne pobiegły w stronę domu, a blondynka opadła na kolana i wpatrywała się w młodzieńca szeroko otwartymi, pustymi oczami.

Najdzielniej, choć może nie najrozsądniej, zareagowała ruda. Chwyła butelkę wina i rzuciła nią. Nie trafiła, szkło tylko musnęło orła i rozprysło się na kamieniu, a ptak na jeden krótki moment zamarł w bezruchu. Potem odwrócił głowę i spojrzał na rudowłosą.

Dziewczyna, która w swoim życiu miała opowiadać tę historię

setki, jeśli nie tysiące razy, nigdy nie pominęła przy tym tego, co zobaczyła w jego oczach.

To była ludzka inteligencja, zaprawiona nie gniewem czy nienawiścią, ale goryczą.

Ptak sięgnął szponami szyi ofiary. Rudowłosa cisnęła kieliszkiem. Tym razem także chybiła. Orzeł, nie zwracając już na nią najmniejszej uwagi, wzbił się w powietrze.

Dziewczyna podskoczyła, by pomóc Rainaudowi, ale zaraz cofnęła się na widok zmasakrowanego oblicza. Młodzieniec, wyciągając ręce, spoglądał na nią ocalałym okiem, jakby błagał o pomoc. Przez dziurę w lewym policzku prześwitywała biel zębów, z poszatkowanych, wciąż poruszających się warg ciekła krew. Rudowłosa zaszlochała głucho, zasłaniając twarz.

Rainaud zatoczył się i runął na stół.

Rozlane na śnieżnobiały obrus wino było czerwone, ale nie tak czerwone jak krew, która tryskała z przeciętej tętnicy.

\* \* \*

— Lucie otrułem strychniną, skołała w ciągu dwóch godzin. Zgon poprzedziły silne drgawki. Otworzyłem jej ciało, proszę spojrzeć na te charakterystyczne krwawe wybroczyny w tkance mózgowej i w obrębie mięśni. Gosiemu zaaplikowałem podskórną wyciąg z czarciwego oka, Bercie to samo, tyle że roztwór zmieszałem z tłuszczem, którym natarłem ogoloną skórę. Gosi już skołał, Berta jeszcze się trzyma, choć pół godziny temu nastąpił paraliż mięśni.

Siwy jak gołąb profesor Parmenes podreptał do klatek z łaciatymi króliczkami. Był na wpół ślepy i żeby cokolwiek



zobaczyć, musiał niemal wtykać nos pomiędzy oczka siatki.

— Świetnie, świetnie — wymamrotał. — Szkoda tylko, że nie możemy prowadzić badań na czymś większym.

— Na przykład na ludziach.

Profesor spojrział ostro. Brakowało mu poczucia humoru, a nawet gdyby miał naturę wesołą, to żarty asystenta prawdopodobnie i tak wprawiałyby go w konsternację. Domenic Jordan wyglądał bowiem na podręcznikowy wręcz przykład melancholika – był blady, spokojny, a każde zdanie wypowiadał z tak absolutną powagą, jakby słowo „żart” znał jedynie z opowieści.

Parmenes odwrócił się z powrotem w stronę klatek.

— A to co? — W jego głosie zabrzmiała nagle podejrzliwa nuta.

— Królik, panie profesorze — odparł Domenic. — Martwy królik, jeżeli mi się nie zdaje.

— Mój? Jak ma na imię?

Przez twarz Jordana przemknął lekki wyraz irytacji.

— Zapisałem go w dzienniku pod nazwą „królik numer cztery”. Nie widzę sensu w nadawaniu imion zwierzętom, zwłaszcza jeśli tak czy inaczej skazane są na śmierć.

— Nie widzisz sensu, co? Wydaje ci się, mój ty bezczelny młodzieńcze, że skoro jesteś moim asystentem, to już wszystko ci wolno?

— Profesor sam dał mi pozwolenie na zajmowanie się moimi własnymi badaniami. Zaznaczam, iż w żaden sposób nie przeszkadza mi to w wypełnianiu obowiązków, jakie mam wobec

profesora.

Uprzejmy ton zamiast uspokoić staruszka, tylko rozpałił jego gniew. Profesora i asystenta łączyło jedynie zamiłowanie do nauki. Poza tym różnili się pod każdym niemal względem. Parmenes był pozbawionym rodziny i przyjaciół samotnikiem, który mury uniwersytetu opuszczał jedynie wtedy, gdy naprawdę musiał. Jordan natomiast – niezależnie od tego, czy był szlachcicem, czy tylko takiego udawał – ubierał się i zachowywał jak młody hrabia, prowadził światowe życie i miał wysoko postawionych przyjaciół.

O tym ostatnim profesor Parmenes przypomniał sobie, gdy jego starcze oczy zauważyły niewątpliwą przyczynę śmierci królika numer cztery: zawieszony w klatce pęk suszonych ziół związanych nitką, z której zwisała czaszka jakiegoś drobnego ssaka. Prosty wiedźmi amulet wzmocniony śmiertelnymi zaklęciami. Zbyt słaby, by zabić człowieka, ale na drobnego królika w zupełności wystarczający.

\* \* \*

— Czerwony — stwierdził z leciutkim uśmiechem Ipolit Malartre, biskup Alestry. — Jak krew. Bardzo piękny.

Domenic Jordan podziękował łagodnym skinieniem głowy i wsunął pierścień z powrotem na palec. Czekał na dalsze słowa biskupa, bo Jego Ekscelencja z pewnością nie wezwał go po to, by dyskutować o klejnotach.

Ten zaś sięgnął po leżący na orzechowym biurku list.

— Czytaj.

Jordan rozłożył kartkę i skrzywił się na widok bladego,

seledynowego atramentu. Ale związła treść pisma sprawiała już znacznie lepsze wrażenie.

— *Dona Patricia* położyła rękę na Biblii i przysięgła, że *Rainauda d'Andrieux* nie zaatakował ptak, lecz człowiek — przeczytał na głos.

— Ksiądz Sauvin prosi o przysłanie kogoś, kto pomógłby odnaleźć mordercę. Pomyślałem o tobie.

— Czy nie lepszy byłby jakiś kapłan obdarzony łaską jasnowidzenia?

— W Charnavin jest ktoś taki, pewien mnich, którego imienia nie pamiętam. Skoro on nie zdołał pomóc, to sądzę, że w tej sprawie przydadzą się raczej inteligencja i wiedza niż zdolność jasnowidzenia.

Jordan wiedział, że nie może odmówić. Kościół tolerował magię – choć w tym przypadku niechętnie używano tego słowa – jedynie gdy umiejętność uzdrawiania czy jasnowidzenia pochodziła od jakiegoś świętego, a obdarowany używał jej dla ludzkiego dobra. Ale nawet wtedy nie wolno było analizować tego daru ani zastanawiać się nad jego naturą. Ludzi, którzy próbowali zgłębiać magię metodami naukowymi, skazywano na śmierć jak czarowników. Przynajmniej tak nakazywało prawo kościelne. Lecz w praktyce często zdarzało się, iż uczeni znajdowali poparcie jakiejś wysoko postawionej osoby, która zapewniała im bezpieczeństwo.

Domenic Jordan z wykształcenia był lekarzem. Interesowały go przede wszystkim zmiany, jakim pod wpływem magii podlega organizm – w tym wszelkiego rodzaju deformacje, ponadnaturalne

zdolności, a także choroby i w końcu śmierć. Swoje badania mógł prowadzić jedynie dzięki opiece, jaką otaczał go biskup Alestry – człowiek w miarę uczciwy, a przy tym wystarczająco rozsądny, by od czasu do czasu w imię wyższego celu przymknąć na coś oczy. Opieka ta jednak miała swoją cenę – Jordan nie mógł odmówić Jego Ekscelencji. Skądinąd zresztą wcale nie chciał odmawiać. Sprawa zainteresowała go, a wiedział też, że zostanie odpowiednio wynagrodzony.

— To nie wszystko. — Biskup, w milczeniu przyjąwszy zgodę Jordana, sięgnął po kolejny list. — Chciałbym, abyś rzucił okiem i na to, choć nie sędzę, żeby to było coś ważnego.

Autor pierwszego listu, ksiądz Sauvin, był człowiekiem wykształconym, który potrafił jasno formułować myśli. Autor drugiego – również duchowny – pisał dziecinnymi kulfonami, robił błędy ortograficzne i całą stronę poświęcił na przeprosiny za to, że ośmiela się niepokoić tak ważną osobę jak Jego Ekscelencja. Właściwy powód napisania listu Jordan znalazł dopiero w trzecim akapicie.

*Ekscelencja słyszał zapewne o martwym już Upiorze z Charnavin. Któżby zresztą nie słyszał o tym, kogo prosty lud do dziś uwarza za Demona, i o jego straszliwej śmierci? Otóż ja, którym jest ledwo skromnym sługą Kościoła i który wierzyłem, że może jedynie płakać nad pomordowanymi w okrótny sposób, ja w dzień śmierci Upiora z łaski Boga i naszej Świętej pojąłem, iż Charnavin stało się sceną ohydnej zbrodni, będącej policzkiem dla Sprawiedliwości, a ten policzek jest tym samym dla świętej patronki*

*naszego miasta, Alamandy, która wszak tak wielką opieką dąży przedstawicieli prawa.*

— Wielki Boże — powiedział Jordan, gdy skończył czytać.  
— Czy ojciec Fabresse nie mógłby pisać odrobinę krótszych zdań?  
I cóż on właściwie sugeruje?

— Że Upiór był niewinny. — Biskup wzruszył ramionami. Nie wyglądał na zbyt przejętego niejasnymi rewelacjami pocziwego księdza.

Jordan złożył list i schował go do kieszeni.

— Porozmawiam z ojcem Fabresse — obiecał. — I dla jego własnego dobra mam nadzieję, że będzie miał do powiedzenia coś interesującego.

\* \* \*

— To są rękawy alestrańskie — mówił Jordan. — A to zwykłe, zwężane. To natomiast jest jedwab, a to adamaszek. Naprawdę nie widzisz żadnej różnicy?

Peyretou słuchał, wbijając wzrok w równiutko rozłożone kaftany. Wszystkie były czarne i może dlatego wydawały się młodemu słudze identyczne. Jego pan właśnie boleśnie mu uświadomił, że trudno o bardziej mylne przekonanie.

Służący wymamrotał coś niewyraźnie.

— Usiądź — polecił Jordan.

Chłopak przycupnął na brzeżku krzesła. Wytrzeszczone błękitne oczy wyglądające spod jasnych jak len włosów nadawały jego twarzy głupkowaty wyraz, ale Jordan miał nadzieję, że to

raczej efekt strachu niż ociążałości umysłowej. Wciąż jeszcze nie zdecydował, czy zatrzyma go na stałe, i Peyretou próbował udowodnić, że jest znakomitym służącym – tak desperacko, że niemal odbierało mu to zdolność jasnego myślenia.

Domenic Jordan długo wpatrywał się w chłopaka. Pod wpływem tego wzroku młodzieniec kulił się i dygotał, nieświadom, że jego pan błądzi teraz myślami gdzieś bardzo daleko.

Czy powinien zabrać Peyretou do Charnavin, czy może lepiej poszukać sobie nowego służącego i jaką, u licha, ma gwarancję, że nie trafi na kogoś jeszcze gorszego?

— Wyjeżdżam jutro — powiedział. — Chciałbyś mi towarzyszyć?

Peyretou gorliwie skinął głową.

— To może być... — Jordan celowo zawiesił głos — niebezpieczna podróż.

W oczach chłopaka dostrzegł błysk, który stanowił odpowiedź na niezadane pytanie. A więc mały Peyretou w głębi duszy był awanturnikiem. Znakomicie, pomyślał Jordan. Przynajmniej nie będę miał wyrzutów sumienia, ciągnąc ze sobą kogoś, kto wolałby raczej wygrzewać się na słońcu.

— Dobrze, pojedziesz ze mną — powiedział.

Peyretou padł na kolana i spróbował pocałować chlebobawcę w rękę. Jordan podniósł go, szarpiąc za ramię.

— Nigdy więcej tego nie rób. Wystarczy zwykłe „dziękuję”.

— Dziękuję, panie — odparł po chwili chłopak powściągliwie, a Jordan pomyślał, że być może dokonał jednak dobrego wyboru.

— I... panie?

— Tak?

— Ja się nie boję niebezpieczeństwa. Doskonale umiem strzelać z procy — pochwalił się Peyretou, wciąż wbijając wzrok w podłogę. Gdyby uniósł teraz głowę, ujrzałby, że jego pan uśmiecha się lekko.

\* \* \*

— Wygląda na to — powiedział ksiądz Sauvin — że sprawa jest jednak całkiem prosta.

Jordan stał przy oknie, spoglądając na rzekę. Tego roku lato było wyjątkowo upalne, deszcze padały rzadko i Saissa, wbrew swej nazwie nie czarna, lecz brudnożółta, płynęła leniwie, niosąc więcej śmieci i błota niż wody. Do nozdrzy medyka dochodził nieprzyjemny fetor zgnilizny. Charnawińscy notable, jak hrabia d'Andrieux, który zaproponował mu gościnę, pobudowali swoje pałace właśnie wzdłuż rzeki, ale w taki dzień jak dziś trudno było uznać to za szczęśliwy wybór.

Odwrócił się, stając twarzą w twarz z księdzem Sauvinem i hrabią d'Andrieux. Z całą pewnością salon, w którym się znajdowali, był znacznie przyjemniejszy niż widok za oknem. Hrabia był bardzo bogatym człowiekiem, a przy tym obdarzonym znakomitym gustem. Pokój wypełniały dzieła sztuki i pięknie tkane kobierce. Świeczniki i kandelabry wyglądały na zrobione ze szczerego złota, a okna sięgające od podłogi aż po sufit musiały kosztować fortunę. Jordan wiedział też, że hrabia jest właścicielem ziem leżących poza Charnavin – właśnie tam, w jednej z wiejskich posiadłości, przed sześcioma tygodniami zginął jego syn.

— Już niemal straciliśmy nadzieję — mówił dalej ksiądz, poważny starszy mężczyzna. — Charnavin to spokojne miasto, nigdy nie mieliśmy tu kłopotów z czarownikami. Co najwyżej jakaś wiejska baba... — Wzruszył ramionami. — Ale to morderstwo... Żadnych dowodów, świadków, nic. Zasięgnęliśmy nawet rady brata Manfreda, który z łaski naszej świętej patronki został obdarzony zdolnością jasnowidzenia zła i występku.

— I cóż brat Manfred ujrzał w kryształowej kuli? — Jedyne najczulsze ucho wychwyciłoby w głosie Jordana ironię.

— On nie patrzy w kulę, lecz w misę wypełnioną wodą — odparł ksiądz Sauvina spokojnie.

— Święconą? — Tym razem ironia była znacznie wyraźniejsza. Ksiądz obruszył się.

— Proszę nie kpić. Zresztą chodzi o to, że nic nie ujrzał. Dlatego też pozwoliłem sobie napisać do Jego Ekscelencji, prosząc o przysłanie kogoś, kto ma doświadczenie w takich sprawach. — Grymas księdza zdradził, że choć nie śmie głośno podważać decyzji biskupa, to nie uważa Jordana za właściwą osobę. Przysłany z Alestry ekspert wydawał mu się, po pierwsze, nieco zbyt młody, po drugie, cudacznie ubrany (kto to widział, nosić się na czarno niby diabeł z jasełek?), a po trzecie i najważniejsze: nazbyt pewny siebie. Ksiądz, na co dzień przywykły do towarzystwa szlachty, nie prostego ludu, mógł wiele wybaczyć: bogactwo, nawet rozwiązłość, ale jeśli ktoś z niezmaconym spokojem wysłuchał szczegółów makabrycznej śmierci młodego Rainauda, a potem jeszcze ośmielał się żartować z daru świętej, to znaczyło, że nie ma w nim krzty bojaźni bożej.



— Dzisiaj jednak hrabia szczęśliwym przypadkiem odnalazł w biurku syna pewien list. Panie hrabio, jeśli mógłbym prosić...

Hrabia d'Andrieux, zasuszony staruszek, na którego twarzy cierpienie wyryło głębokie bruzdy, pociągnął za sznur dzwonka. Zjawił się barczysty młody sługa, który najwyraźniej już wcześniej uprzedzony, w rękę trzymał rozpieczętowany list. Jordan zaczął czytać napisany ciemnozielonym atramentem tekst, a służący pochylił się nad fotelem hrabiego i troskliwie poprawił starcowi poduszki.

— Dziękuję, Herran. — Hrabia uśmiechnął się ciepło.

*W imię łączącej nas w dzieciństwie przyjaźni wszystko mógłbym Ci wybaczyć. Wszystko prócz odebrania mi panny Castaing, którą od dawna kochałem. Wiesz, że zawsze dotrzymuję obietnic. Otóż przysięgam Ci w tej chwili zemstę, która spadnie na Ciebie równie niespodziewanie, jak na mnie wiadomość, że dòna Laura nie należy już do mnie.*

*Salvair de Fargues*

Jordan skończył czytać i uniósł wzrok znad kartki.

— I ten młodzieniec pokłócił się z pańskim synem, hrabio? — zapytał. — O jakąś pannę Castaing?

Hrabia d'Andrieux skinął głową.

— Syn mój, wstyd powiedzieć, był niepoprawnym kobieciarzem — powiedział, a w jego oczach pojawił się błysk gorzkiej dumy. — Nieraz powtarzałem, że ta namiętność go zgubi, i tak się stało.

— Don Salvair jest czarownikiem?

— Jest cudzoziemcem — wyjaśnił d'Andrieux.

— Przynajmniej w połowie. Jego ojciec przywiózł sobie żonę zza morza. To była ciemnowłosa, pogańska dzikuska, która ledwo władała naszą mową. Ani chybi to właśnie ona wyuczyła syna czarów.

— A don Salvair? Przyznał się?

— Nie. List odnalazłem przed dwiema godzinami. Nikomu prócz księdza jeszcze o nim nie mówiłem.

— Na razie niech więc tak zostanie. Sam wypytam go o te groźby. Wieczorem, nie teraz. Na razie zaś chciałbym panów przeprosić.

Stojąc już w drzwiach, Domenic Jordan odwrócił się. Czekał na słowa protestu, na żądania, aby natychmiast aresztować mordercę. Nie doczekał się.

Gdyby przyszło mu wyrokować na podstawie tej jednej rozmowy, powiedziałyby, że hrabia nie tylko zna nazwisko zabójcy syna – i to nie od dwóch godzin – ale w dodatku wcale nie pragnie dlań kary.

\* \* \*

Domenic Jordan nie kazał zaprzęgać do powozu. Poszedł pieszo, nie chcąc ściągać na siebie uwagi. Lepiej, aby na razie nikt nie wiedział o drugiej sprawie, dla której przybył do tego miasta.

Idąc ulicami, z ciekawością rozglądał się wokół. Charnavin nie bez podstaw uważano za prawdziwą perłę. Niemal wszystkie ulice były tu brukowane i dobrze oświetlone, a na placach stały

marmurowe fontanny. Pałace, nawet niektóre mieszczańskie kamienice imponowały przepychem, w kościołach zaś większą uwagę niż ołtarz przyciągały posągi i obrazy ufundowane przez bogatych mieszkańców. Charnavin było miastem spokojnym, może odrobinę swawolnym – tu w końcu znajdowało się Reix, słynna na cały kraj dzielnica rozpusty – ale bezpiecznym. Dbano tutaj nawet o najuboższych, bo w mieście założono więcej przytułków i szpitali dla biedoty niż w dwa razy większej Alestrze.

Jordan zatrzymał się na moście i przez chwilę patrzył w leniwy nurt Czarnej Saissy. Potem przeniósł wzrok na grupę mężczyzn uwijających się przy brzegu. Jeden z nich bosakiem zahaczył coś, co wyglądało na kupę przegniłych szmat zmieszaną z wodorostami i śmieciami. Powoli, ostrożnie zaczął ciągnąć znalezisko do siebie. Wokół zaczynał się już gromadzić tłum.

Woda zabulgotała, zakotłowała się. Wśród śmieci i wodorostów pojawiło się pasmo długich czarnych włosów. Jakaś kobieta krzyknęła, inna zaintonowała modlitwę, której nikt nie podchwycił.

Mężczyzna z czułością, jakby dziecko jeszcze żyło, wyciągnął na brzeg ciało małej dziewczynki. Jej głowa ledwo trzymała się szyi, z brzucha ktoś wyciął płat skóry i wyjął część wnętrzości. Mężczyzna schylił się i spróbował odgarnąć włosy przesłaniające twarz. Pod wpływem dotyku sinogranatowa napuchnięta skóra zsunęła się jak rękawiczka, odsłaniając nagą czaszkę.

Kobieta, która przed chwilą krzyczała, teraz łkała spazmatycznie, ta zaś, która próbowała się modlić, upadła na kolana, wypuszczając z rąk koszyk z zakupami, i zakryła oczy dłońmi.

— Dwudziesta siódma — szepnął ktoś obok Jordana. — Niech nas Bóg ma w swojej opiece, to już dwudziesta siódma.

\* \* \*

W Charnavin nawet dzielnica biedoty wyglądała tak, że władze miejskie nie miały się czego wstydzić. Jordan minął rząd drewnianych, w miarę solidnych domów, przeszedł obok kościoła – niewielkiego, ale murowanego – i zastukał w drzwi plebanii.

Otworzyła mu kobiecina pomarszczona jak suszona śliwka. Wokół niej unosił się silny zapach ługu, przez który przebijała delikatnie woń starczego ciała.

— Witajcie, matko — zagaił Jordan. — Mam sprawę do tutejszego proboszcza, ojca Fabresse’a. Zastałem go może?

Staruszka cofnęła się w cień.

— To wy nic nie wiecie, panie? — szepnęła trwożnie. — Ojciec Fabresse nie żyje. Dwa dni temu go pochowaliśmy.

— Co się stało?

Staruszka otarła oczy.

— Utonął, biedaczysko. Czarna Saissa dostała jeszcze jedną ofiarę.

Jordan zacisnął wargi. Śmierć proboszcza była zbyt dużym zbiegiem okoliczności, by uznać ją za naturalną. Bardziej prawdopodobne, że ksiądz istotnie odkrył jakąś zbrodnię. Odkrył, a potem wygadał się nieostrożnie i ktoś na zawsze zamknął mu usta.

— Ksiądz proboszcz miał może pomocnika? — zapytał Jordan. — Wikarego?

— Nie, panie. Ojciec Fabresse tylko mnie miał do pomocy, a teraz całkiem sama zostałam. Jutro ma przyjechać nowy proboszcz, trzeba dom wysprzątać...

— Chciałbym zajrzeć do jego papierów. Być może ojciec Fabresse zostawił dla mnie jakąś wiadomość. Proszę zaprowadzić mnie do gabinetu księdza proboszcza.

Jordan liczył na nawyk posłuszeństwa, jaki służba ma wyrobiony wobec wyżej postawionych osób przemawiających rozkazującym tonem. Nie pomylił się, bo gospodyni, choć z miną pełną wątpliwości, ustąpiła i poprowadziła go w głąb mieszkania.

W skromnie urządzonej gabinecie, na zbitych z desek półkach stało zaskakująco dużo książek. Przejrzał je pobieżnie. Kazania, traktaty dotyczące ogrodnictwa i hodowli trzody – ksiądz proboszcz pochodził chyba ze wsi – tomik *Myśli chrześcijańskie na każdy dzień*. Nic ciekawego. Nic, z wyjątkiem oprawionej w skórę księgi wciśniętej skromnie w kąt półki. Jordan spojrział na tytuł i z trudem udało mu się zachować obojętny wyraz twarzy. *O naturze świętych*. Traktat Carla Villaniego, jednego z założycieli Charnavin. Dzieło to, w którym uczony ośmielał się twierdzić, że święci mają ludzkie słabości, zostało uznane za herezję.

Jordan odłożył księgę. Sprawdził jeszcze – ku wyraźnej dezaprobachie gospodyni – zawartość biurka, ale nie znalazł nic, co mogłoby mu pomóc.

— Ojciec Fabresse nie wspominał może, że coś go martwi?  
— zagadnął.

— Ano — kobieta skinęła głową — jakaś troska zżerała księdza proboszcza, to prawda. Ale mnie nie mówił, co go gryzie.

Raz jeno powiedział coś dziwnego, że niby ludzie Upiora za demona mają, ale tak naprawdę w tym mieście kaźden jeden szlachcic to diabeł wcielony.

Gospodyni zamilkła. Jordan podniósł głowę i nadstawił uszu.

— Ktoś puka — powiedział.

— Nic nie słyszę.

— A ja wam mówię, matko, że słyszałem stukanie w drzwi. Lepiej idźcie i sprawdźcie.

Raz jeszcze instynkt posłuszeństwa okazał się silniejszy niż nieufność. Kobieta, ociągając się, podreptała do drzwi. Chwilę później dołączył do niej Jordan.

— Musiałem się pomylić — powiedział, wciskając w pomarszczoną dłoń monetę. — Wybaczcie, matko.

Wyszedł, ścigany zaniepokojonym spojrzeniem starczych oczu.

\* \* \*

Położył księgę na kościelnej ławie, ukląkł i zmówił modlitwę, prosząc o wybaczenie za to, co właśnie uczynił. Potem wstał i rozejrzał się. Jego uwagę zwróciły świece płonące po prawej stronie ołtarza. Ponad nimi zamiast obrazu czy rzeźby wisiały zapisane karty. Jordan zbliżył się.

Każda karta to było jedno dziecięce imię, jeden opis straszliwej śmierci, jedno błaganie o sprawiedliwość.

Słowa zostały wykaligrafowane na pergaminie, nie na zwykłym papierze, tym samym ozdobnym pismem, najprawdopodobniej przez urzędnika pocztowego, który za niewielką opłatą służył pomocą ubogim analfabetom.

Jordan zaczął czytać:

*Marietta, córka Bruna, sześć lat, zginęła siedemnastego kwietnia. Morderca poderżnął jej gardło, a potem rozciął brzuch i wywlókł wnętrzności. Patronko nasza, błagam Cię, klęcząc u Twych stóp, nie odmawiaj nam słusznej zemsty.*

*Amelia Cabirol, pięć lat, zginęła dwudziestego trzeciego kwietnia. Upiór poderżnął jej gardło i rozpruł brzuch. Ja, matka, która ją urodziła i wykarmiła, nie pragnę niczego ponad należną mi sprawiedliwość. Święta patronko, spraw, by cierpiał, jak cierpiało moje dziecko.*

*Artur, syn wdowy Germondy, z ojca Jeana, lat sześć, zamordowany drugiego maja...*

Słowa, całe mnóstwo słów, a z każdego wyzierał ból po strasznej śmierci dziecka. Upiór atakował od tyłu, dzieci nie widziały go i żaden jasnowidz nie potrafił odnaleźć obrazu zabójcy zapisanego w krwi zamordowanych – bo obraz ten, wbrew powszechnemu przesądowi, pozostaje właśnie we krwi, nie w oczach. Dopiero ostatniej ofierze udało się uciec, a wcześniej jeszcze ujrzeć go i – co więcej – rozpoznać. Znakiem charakterystycznym były poderżnięte gardła i głębokie rany podbrzusza, czasem też ślady zębów na wyjętych z ciała organach wewnętrznych. Dwadzieścia siedem ofiar zabitych w niespełna dziewięć tygodni, od początku kwietnia do pierwszych dni czerwca. Jasnowidz z pewnością nie badał wszystkich ciał i Jordan podejrzewał, że od pewnego momentu na konto Upiora zaczęto

zaliczać po prostu każde martwe, okaleczone dziecko, ale nawet gdyby od liczby dwadzieścia siedem odjąć pięć, dziesięć ofiar, to i tak Upiór z Charnavin był ponurym rekordzistą.

Jordan czytał dalej, czując, jak na jego gardle zaciska się obręcz. Imiona, przytłaczająco wiele dziecięcych imion i precyzyjnie opisany koszmar każdej śmierci.

Za jego plecami rozległ się jękliwy zgrzyt. Opanował się z wysiłkiem i spojrzał w stronę wejścia. Przez chwilę w świetle słońca widział wyraźnie zgarbioną kobiecą postać, potem z kolejnym zgrzytem drzwi zatrzasnęły się i nieznajoma znikła w mroku.

Coś w jej lekkich, ostrożnych krokach podpowiedziało mu, że nie chce być widzianą. Cofnął się więc poza żółty krąg światła. Teraz, gdy jego oczu nie oslepiały już płomienie świec, widział ją dość wyraźnie.

Kobieta, tak pochylona ku ziemi, że nie mogło to być spowodowane wiekiem, lecz raczej jakąś deformacją, stanęła na palcach i z wysiłkiem sięgnęła święconej wody. Zabułgotało i chwilę później sporych rozmiarów bukłak znikł pod warstwą chust otulających drobną sylwetkę.

Garbuska, nadal stąpając ostrożnie i cicho jak kot, zbliżyła się do ołtarza. Nożykiem ucięła kawałek prostego białego obrusu i ruszyła w stronę świec, które płonęły pod kartami z imionami dzieci.

Jordan wynurzył się z mroku i złapał ją za kołnierz. Była tak drobna i lekka, że uniósł ją w górę jedną ręką. Fiknęła nogami.

— Nie wiem, po co ci to wszystko, wiédźmo — warknął — ale



od tych świec trzymaj się z daleka, pojmujesz?

Postawił ją na ziemi. Zaśmiała się nieoczekiwanie czystym, wolnym od lęku głosem.

— To świece zapalone za zamordowane dzieci — wyjaśniła. — Złe świece, w których zbyt wiele jest bólu i nienawiści. Ja nie uprawiam magii, w której potrzebne byłoby coś takiego. Tutaj przyszłam jedynie się pomodlić, podumać nad okrucieństwem tego świata. Tak jak i ty, panie, przynajmniej tak sędzę.

Jordan zdumiał się, bo garbuska mówiła jak osoba wykształcona. Z całą pewnością nie urodziła się w tej dzielnicy.

— Nigdy wcześniej nie spotkałem się z takim zwyczajem — powiedział już znacznie łagodniej.

— Patronką naszego miasta jest przecież święta Alamanda, opiekunka sędziów, katów, jasnowidzów, a nawet straży miejskiej, wszystkich, którzy walczą ze złem. Nic więc dziwnego, że ludzie zwracają się do niej z prośbami o sprawiedliwość.

— Ale to jest kościół pod wezwaniem świętego Ignacego, nie Alamandy — zwrócił jej uwagę,

— Prawda. — Skinęła głową, a jemu się zdawało, że w mroku uśmiecha się lekko. — Kościół naszej patronki stoi na rynku, w samym środku Charnavin. Tam właśnie ludzie zanoszą swe prośby. Ale gdy Upiór zaczął zabijać, kartek zrobiło się tak dużo, że ojciec Sauvina powiedział w pewnym momencie: dość. Nie w smak mu było, że jego bogaci, szlachetnie urodzeni parafianie każdej niedzieli będą spoglądać na ścianę zapełnioną imionami ubogich dzieci. Tak więc nasz świętej pamięci proboszcz zabrał karty i przeniósł tutaj.

— Upiór mieszkał w tej okolicy?

Znów wybuchnęła tym czystym, butnym śmiechem, który powinien należeć raczej do pięknej dziewczyny niż do zdeformowanej garbuski.

— Upiór, mój panie, był czystej krwi arystokratą. Ludzie wołają: Upiór, jakby nie miał imienia, ale on nazywał się Joan Baptiste de Mareuil. Najstarszy syn barona de Mareuil. Pierwszą ofiarą była jakaś mieszczańska córeczka. Potem młodzieniec najwyraźniej doszedł do wniosku, że w naszej dzielnicy znajdzie większe pole do popisu. Tutaj dzieci włączą się samopas nawet po zmroku. Tak więc uciekł bogatemu tatusiowi i zamieszkał w piwnicy opuszczonego, na wpół spalonego domu. Ludzie, którzy po niego przyszli, mówią, że żył gorzej niż zwierzę w wygrzebanej w ziemi jamie. Wiesz, panie, jak zginął?

Jordan skinął głową. Przypomniał sobie przy tym list ojca Fabresse'a. Być może, pomyślał, najstarszy syn barona de Mareuil w rzeczywistości był niewinny.

— No, śmierć miał taką, na jaką zasługiwał — powiedziała czarownica bez cienia współczucia. — Czasem się zastanawiam, czy aby naprawdę nie wstąpił w tego chłopca demon. Trudno uwierzyć, że ludzka istota mogła robić takie rzeczy. Z drugiej jednak strony, wygląda na to, że on myślał całkiem rozsądnie. Był sprytny, długo nie pozwalał się złapać.

Zamilkła. Jordan nie zadał następnego pytania.

— Znałam go — dodała niespodziewanie. — Niezbyt dobrze, bo moja rodzina to żadna szlachta. Ale spotkałam go parę razy w dzieciństwie, jeszcze zanim ojciec wyrzucił mnie z domu.

— Wymownym gestem wskazała zdeformowane plecy.

— I jaki był?

— Nijaki — przyznała otwarcie. — Małomówny, spokojny, z tych, co to ludzie zawsze mówią, że „nigdy by się po nim czegoś takiego nie spodziewali”.

— A Rainaud d’Andrieux? Może i jego znałaś?

— Nie. On także nie żyje, prawda?

Jordan nie odpowiedział.

— A ojciec Fabresse? — zapytał zamiast tego.

Wzruszyła ramionami.

— Trudnię się magią, ale nasz święty Ignacy nie ma, jak widać, nic przeciwko czarownicom. Czasem więc chodziłam na niedzielne msze, i owszem, ale z proboszczem rzadko rozmawiałam.

— A może imię Salvair de Fargues coś ci mówi?

Kobieta skinęła głową.

— Widywałam go tu. Przywoził pieniądze, od czasu do czasu jakieś ubrania i prosił, żeby ojciec Fabresse rozdał to ubogim. Miły chłopak, wcale nosa nie zadziera. Cóż mnie, panie, tak wypytujesz?

Znów nie doczekała się odpowiedzi. Kiedy odezwała się chwilę później, w jej głosie po raz pierwszy zabrzmiał strach.

— Nie powiesz, panie, nikomu o tym, co robiłam?

— To nie moja sprawa.

Odetchnęła z ulgą.

— Jesteś, panie, dobrym człowiekiem. Powrózę ci w zamian.

— Dziękuję, nie trzeba.

— Nic więcej nie mogę ci dać, panie. Pomyślmy: jedna rzecz z przeszłości, by przekonać cię, iż mówię prawdę, i jedna

przepowiednia. Miałeś, panie, bardzo szczęśliwe dzieciństwo i rodziców, którzy cię rozpieszczali. Ale nic dobrego cię nie czeka. Umrzesz, nim skończysz dwadzieścia pięć lat.

— Moje dzieciństwo było paskudne, a lat mam dwadzieścia sześć. Albo więc od roku jestem martwy, czego nie zauważyłem, albo ty, pani, powinnaś poszukać sobie innego zajęcia — powiedział Jordan, bardziej rozbawiony niż zirytowany.

— Skoro tak mówisz, panie — ze śmiechem zgodziła się czarownica. — Gdybyś jednak potrzebował kiedyś pomocy, zapytaj o dom Modesty Veran – pod takim imieniem jestem tu znana. Każdy wskaże ci drogę.

Wyszła z kościoła, a Jordan odczekał chwilę i podążył za nią. Nie zapomniał o księdze, ukradzonej z gabinetu ojca Fabresse’a. Nie miał wyrzutów sumienia. Gospodyni nawet nie zauważy straty, a nowy proboszcz najpewniej wrzuciłby heretyckie dzieło do ognia. Lepiej więc, by traktat Villaniego znalazł się w rękach Jordana, który potrafi zrobić z niego lepszy użytek.

\* \* \*

Na pierwszy rzut oka Charnavin nie zmieniło się wcale. Przekupki przy straganach nawoływały głośno, koła powozów rażno turkotały na bruku, matki strofowały dzieci, by te nie próbowały taplać się w fontannach, i tylko unoszący się znad rzeki fetor psuł wrażenie piękna i harmonii. Ale Jordan wyczuwał w pozornie zwyczajnych odgłosach miasta fałszywą nutę. W ten gorący sierpniowy dzień Charnavin przypominało psa, który wpełzł w kąt, by w spokoju lizać zranioną łapę.

Na ustach przechodniów widniały przyklepione uśmiechy, ale w ich oczach Jordan dostrzegał pustkę, jakby przeżycia minionych dni wypaliły w nich wszelkie uczucia, pozostawiając jedynie coś na kształt przepelnionego bólem zdumienia. Czasem pośrodku wesołej na pozór pogawędki ludzie milkli i pogrążali się w ponurych wspomnieniach, dopóki ktoś desperackim żartem nie podtrzymał gasnącej rozmowy. W Charnavin wciąż żyła pamięć o Upiorze i jego ofiarach. Dlaczego tak się stało? Nie było to jedyne miasto, które dotknęło nieszczęście, a ludzie mają zdolność zapominania. Ale w tym przypadku zbrodnie były zbyt straszne, by szybko powrócić do codziennego życia, może też zaważyło to, że koszmar jeszcze się nie skończył – wciąż przecież znajdowano martwe dziecięce ciała. A może chodziło o coś jeszcze innego. Gdy sprawiedliwości staje się zadość i morderca ginie pod toporem kata, ludzie czują ulgę, ale makabryczna śmierć Upiora jedynie rozjątrzyła ranę.

A na dodatek, uświadomił sobie Jordan, istniała jeszcze możliwość, że Joan Baptiste de Mareuil był niewinny, a prawdziwy morderca wciąż pozostawał na wolności. Przynajmniej coś takiego sugerował w swoim liście ojciec Fabresse. Być może część dzieci, których zwłoki odnaleziono w ciągu ostatniego miesiąca, w rzeczywistości zginęła już po aresztowaniu syna barona de Mareuil. Trudno stwierdzić, czy ciało przebywało w wodzie cztery czy osiem tygodni, a panujący tego lata upał mógł przyspieszyć rozkład. Pozostawało jeszcze pytanie, czy istniał związek pomiędzy zbrodniami Upiora a śmiercią Rainauda d'Andrieux. Jordan mógłby się założyć, że tak. Joan Baptiste de Mareuil i Rainaud d'Andrieux

pochodzili z tej samej sfery, byli w jednym wieku, możliwe więc, że dobrze się znali.

Jordan znalazł się w najbogatszej dzielnicy i spacerował teraz wzdłuż rzeki, mijając siedziby charnawińskich wielmożów. Większość pałaców była opustoszała, z jednego właśnie wynoszono meble. Przypomniawszy sobie ludzi, których poznał podczas poprzedniego pobytu w Charnavin. Markiz de Vic, który bardziej dbał o swoje konie niż o trzech rozbrykanych synów. Uroczą wdowę, Estrela de Mireio, u której spotkać można było najmodniejszych malarzy i poetów. Don Fabian, chwalcący się, że u niego w domu wszystkie naczynia zrobione są ze szczerego złota. Narcis Rudel i jego przepiękna córka – „partia w sam raz dla księcia”, jak mawiał dumny ojciec. Nieładna, ale zdumiewająco bystra dōna Mirelha, wodząca na pasku swego nijakiego męża. A także don Sicart, don Jironi, hrabia de Liberau... Jordan nie znał ich zbyt dobrze – dwa lata temu spędził w Charnavin ledwo parę dni, ale wszyscy zapadli mu w pamięć. Charnawińczycy, tak jak i samo miasto, mieli swój urok i styl. A teraz okna ich pałaców i domów zabito deskami, a bramy opleciono ciężkimi żelaznymi łańcuchami.

Jordan wszedł do cukierni, kupił posypanego makiem precla i zapytał właściciela o powód tak masowej wyprowadzki.

Mężczyzna strzepnął obrus i rozłożył go na jednym ze stołów.

— To z powodu Upiora — wyjaśnił. — Tak mi się zdaje. Mówią, że to nie był człowiek, jeno diabeł czy demon jakowyś. A teraz jeszcze ta pogoda. Ani kropli deszczu, Czarna Saissa sam brud niesie. Zarazy tylko patrzeć. — Wzdrygnął się. Był

wystarczająco stary, by pamiętać epidemię sprzed dwudziestu pięciu lat: upał i unoszący się nad miastem smród, ciała, których nie miał kto pochować, leżące w coraz węższym i płytszym nurcie Saissy. — Mówię ci, panie, czekają nas ciężkie czasy. W mieście dzieją się dziwne rzeczy. Mojemu sąsiadowi przyśniło się, że jego pomocnik pieniądze z kasy podbiera. I, wyobraź pan sobie, okazało się, że to prawda. Znam też dziewczynę, do niedawna całkiem zwyczajną, która teraz bezbłędnie potrafi rozpoznać, czy ktoś kłamie, czy nie. A wczoraj usłyszałem o pewnym kupcu, ten z kolei bez wazenia każdą fałszywą monetę pozna. To znak, pojmujesz pan? Znak od Boga, żebyśmy się opamiętali, zanim będzie za późno. Ani chybi wkrótce spadnie na nas kara boża.

— Kara za co?

— Za Reix, rzecz jasna. Za rozpustę, która tam się odbywa. Z całego kraju ludzie przyjeżdżają, żeby wydać pieniądze u jakiejś dziwki albo zagrać w karty. Pomyślałbyś pan tylko? Z całego kraju!

Jordan zapłacił i wyszedł, wyrzucając po drodze niedojedzonego precla. Zmierzając w stronę pałacu hrabiego d'Andrieux, minął szeroki plac, przy którym stał gmach sądu. Tu właśnie zginął Upiór. Nie było procesu, wyroku ani czekającego z toporem kata. Rozwścieczony tłum przedarł się przez kordon strażników, którzy nie stawiali zresztą zbytniego oporu, i rozszarpał Joana de Mareuil na strzępy.

\* \* \*

Po powrocie Jordan z zadowoleniem stwierdził, że Peyretou rozpakował już jego rzeczy. Przebrał się więc i chwilę później,

odświeżony i w znacznie lepszym humorze, siedział w fotelu, czytając znaleziony na sekretarzyku list.

*Pozwalam sobie przesłać Ci, panie, zaproszenie na dzisiejszy wieczór do domu d'ony Orsuli – najlepszego domu w całym Reix. Ufam, iż propozycja ta nie zostanie zrozumiana fałszywie. Moim życzeniem jest jedynie, aby Pan wywiózł z Charnavin jak najlepsze wspomnienia.*

Jordan zmiął kartkę w kulkę i cisnął za siebie. W ślad za listem podążył czarny prostokącik. Za kogo on mnie ma?, pomyślał, czując, jak wzbiera w nim gniew. Z chęcią złapałby teraz starego hrabiego za koszulę i powiedział mu w oczy parę przykrych rzeczy.

Opanował się, podniósł zaproszenie i wrzucił je do szufladki, którą zatrzasnął z taką siłą, jakby pragnął w ten sposób odgrodzić się od przeczytanych słów.

\* \* \*

Spotkali się w domu Eliasa de Fargues'a, stryja młodego Salvaira. Jordan, który poprosił o możliwość porozmawiania z młodzieńcem sam na sam, usiadł w małym saloniku. Gdy Salvair pojawił się w drzwiach, wskazał mu miejsce naprzeciw siebie. Dzielił ich tylko okrągły stoliczek z blatem z zielonego szkła, tak niski, że Jordan bezustannie uderzał w niego kolanami. Sięgnął po list.

— Ty to napisałeś?

Salvair, śniadoskóry i ciemnowłosa, o twarzy, która wciąż



jeszcze nie straciła dziecięcej miękkości, ostrożnie skinął głową.

— I wszystko to prawda? Rainaud zabrał ci ukochaną, a ty obiecałeś mu zemstę?

Kolejne skinięcie.

— I zabiłeś go?

Był przygotowany na gorący protest, na przerażenie, nawet na przyznanie się do winy. Ale nie na udrękę i rozpacz, które odmalowały się na twarzy Salvaira.

Chłopak milczał długo. Zbyt długo.

— Nie. Ja tylko... napisałem list.

— Jednym słowem: miałeś powody, by go zabić, ale tego nie zrobiłeś.

— Tak. — Tym razem w głosie Salvaira zabrzmiała nuta ulgi i wdzięczności, jakby Jordan podpowiedział mu właściwą kwestię.

— Często zdarza ci się grozić ludziom już po ich śmierci?

— Nie rozumiem.

Jordan rozłożył na stoliku dwa listy.

— Ten — wskazał list ojca Sauvina do biskupa — został napisany osiem dni temu, ten zaś, z twoim podpisem, przed sześcioma tygodniami. Przynajmniej tak wynika z daty. Oba napisano bardzo modnym ostatnio atramentem w kolorze igieł świerku. Jest bardzo elegancki, ale ma jedną wadę: blaknie po trzech, góra czterech dniach. Widzisz, pismo w liście do biskupa już przybrało seledynową barwę, w twoim zaś litery nadal mają piękny ciemnozielony kolor. Jak to możliwe?

Chwila milczenia, gdy chłopak zbierał myśli, a potem już nie rozpacz, ale wręcz panika pojawiająca się w jego oczach.

— Ja... nie wiem. To musi być jakaś pomyłka.

— Nie ma żadnej pomyłki. Mogłeś napisać ten list, nie przeczę, ale z pewnością nie przed śmiercią Rainauda.

Salvair wpatrywał się w niego szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Potem spuścił głowę, jego ramionami wstrząsnął szloch. Ten wyrośnięty, szesnasto- lub siedemnastoletni młodzieniec płakał jak dziecko.

Jordan milczał. Wygląda na to, że sprawa jest prosta – tak powiedział ksiądz Sauvin. Potem pokazał mu list, osobliwy list, który musiał zostać napisany już po śmierci adresata.

A teraz autor owego listu siedział przed nim niczym skazaniec z rezygnacją czekający na ścięcie. Nie buntował się, nie próbował zapewniać o swej niewinności. Salvair de Fargues, niezależnie od tego, czy naprawdę zabił Rainauda d'Andrieux, czy też nie, pogodził się już z losem. Jordan wiedział, że wystarczy jedno tylko pytanie, a chłopak przyzna się do winy. Prosta sprawa, zupełnie tak, jak powiedział ojciec Sauvin.

Ale Jordan nie wierzył, by naprawdę była to prosta sprawa, i dlatego nie zadał już żadnego pytania.

\* \* \*

Minęła północ, gdy Jordanowi udało się jednak przekonać samego siebie, że wizyta w Reix nie jest wcale złym pomysłem. To tylko ciekawość, nic więcej, rozgrzeszył się, bo dla Jordana właśnie pragnienie wiedzy – nawet jeśli dotyczyło rzeczy najbardziej błahych – mogło usprawiedliwić większość win.

Reix było sporych rozmiarów dzielnicą leżącą na obrzeżach

Charnavin. Część ulic – dostępnych tylko dla pieszych – przykryto dachem tak, że tworzyły długie, szerokie tunele, rozświetlone ciepłym blaskiem kolorowych latarni: zielonych, czerwonych i żółtych. Po lewej i prawej stronie ciągnęły się rzędy podobnych kamienic. Na parterze każdej z nich znajdował się wielki hol, z oknami tak wysokimi i szerokimi, że przechodzący ulicą człowiek bez trudu sięgał wzrokiem aż do szklanych fontann, przetykanych złotem kobierców i donic z egzotycznymi kwiatami. Na piętrze natomiast pomieszczenia były mniejsze i bardziej przytulne, pełne miękkich foteli i kanap, a jeszcze wyżej znajdowały się po prostu dyskretne, zamykane na klucz pokoje. Na tym nie koniec, bo w Reix każdy dom miał także ogród. Niektóre połączono z budynkiem tak przemyślnie, iż nikt nie potrafił rozpoznać, gdzie kończy się naturalna zieleń, a gdzie zaczyna hol wypełniony roślinami w donicach. Inne, tak jak ulice, przykryto dachem. Były to mroczne, pełne cieniolutnych ziół i kwiatów ogrody, w których płonęły przedziwne latarnie w kształcie zwierząt czy otwartych do krzyku ust. W jeszcze innym Jordan ujrzał okrągłe sztuczne jezioro. Pływały po nim wysmukłe łodzie, w których wylegiwali się na wół rozebrani ludzie, podczas gdy ukryta w krzewach orkiestra przygrywała rzewnie.

Roześmiał się, czując, jak opuszcza go napięcie. Reix stanowiło przedziwną mieszankę wyobrażeń o niewinności rajskiego ogrodu z marzeniami o pełnej przepychu rozpuście i egzotycznych rozkoszach. Wszystko to było czasem naiwne, czasem pretensjonalne i zabawne, ale, do licha, robiło wrażenie. Jordan raz jeden w życiu odwiedził dom publiczny i doskonale pamiętał tę

wizytę. Rozkosz była tam podszyta poczuciem grzechu, w oczach kobiet zamiast miłości – choćby i udawanej – widniały jedynie chciwość i zmęczenie, a wino piło się po to, by utopić w nim smutek. W Reix natomiast panowała atmosfera karnawałowej zabawy, porozbierane dziewczęta sprawiały zaś raczej wrażenie frywolnych nimf niż dziwek.

Spróbował poddać się radosnemu nastrojowi, ale nawet siedząc w saloniku dònny Orsuli, na kanapie obitej różowo-czerwonym ałtąsem, nie potrafił do końca wyzbyć się goryczy.

Dziewczyna, którą przywołał gestem, miała jasne włosy i wielkie błękitne oczy. Zapytał ją o imię.

— Rosita — odparła wysokim głosem.

Imię brzmiało tak typowo kurewsko, że natychmiast poczuł przypływ złości. Wszystko w tej dziewczynie było udawane: i niewinne spojrzenie, i naiwny wyraz buzi. Ale zmieszany z goryczą gniew niespodziewanie podziałał na niego jak silny afrodyzjak. Napiętnowana grzechem Rosita budziła jego pożądanie i nie potrafił jej się oprzeć.

\* \* \*

Ostatnia świeca mrugnęła czerwonym ślepiem i zgasła, w górę uniosła się smużka szarego dymu. Słońce na zewnątrz rozbłysło mocniej, wypełniając hol półcieniami i złotymi plamami blasku. W Reix wstawał świt.

Znużony Petre trwał na posterunku. O tej porze, gdy życie w dzielnicy zamierało, nie spodziewał się żadnych kłopotów. Sięgnął więc po flaszkę wina, pociągnął solidny łyk i z ulgą

odnalazł w głębokim fotelu najwygodniejszą pozycję. Przymknął oczy, pogrążając się w czujnym półśnie. Wyjątkowo czujnym, bo Petre wart był pieniędzy, które mu płacono.

Słyszając lekkie kroki, uniósł powieki. Przez hol szedł szczupły chłopiec ubrany w jasnozielone spodnie i nieco ciemniejszy kaftan. Petre podniósł się i odprowadził go wzrokiem.

Nieznajomy podszedł do doney Orsuli i szepnął jej parę słów. Ze swojego miejsca Petre widział, jak twarz kobiety zmienia się i blednie. Zrozumiał, że życzenie spóźnionego klienta nie przypadło doney Orsuli do gustu. Jeszcze zanim zdążyła dać mu dyskretny znak, znalazł się przy chłopaku i złapał go za kołnierz.

— Chodź, mały — powiedział, starając się, żeby zabrzmiało to w miarę ciepło. Żał mu było chłopca i nie chciał używać siły. Jeszcze nie. — Wracasz do domu.

Dzieciak odwrócił się. Wyglądał dokładnie tak, jak Petre się spodziewał. Przesadnie bogaty strój dodawał mu nieco powagi, ale nic nie mogło ukryć gładkiej twarzy szesnastoletniego najwyżej wyrostka. Jedyne głęboko osadzone czarne oczy i zrosnięte u nasady nosa brwi budziły lekki niepokój.

Chłopak podniósł ręce i pchnął Petra w pierś. Mężczyzna z przekomicznym wyrazem zdziwienia w oczach wylądował na podłodze. Zerwał się zaraz sprężyście, czując, jak gniew wypełnia mu żyły.

Nic nie zdążył zrobić. Następny cios – tym razem kantem dłoni w głowę – odebrał mu przytomność. Dóna Orsula wrzasnęła. Chłopak pochylił się nad leżącym, rozpiął mu koszulę i położył dłoń na piersi. Wyglądał teraz jak doktor szukający pulsu chorego

pacjenta.

Dòna Orsula zwilżyła językiem wyschnięte wargi.

— Co ty ro... — urwała, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi.

Długie palce chłopca kończyły się spiłowanymi w szpic paznokciami. Teraz paznokcie te wbiły się w skórę Petra. Dzieciak wepchnął dłonie w ciało bez wysiłku, zupełnie jakby było to miękkie ciasto. Zgiął palce pod żebrami i szarpnął w górę.

Dòna Orsula zaczęła wyć. Na jedną straszną chwilę jej świat ograniczył się do krzyku i tego koszmarnego widoku, który miała przed oczami. Otrzeźwił ją dopiero huk strzału. Chłopak upadł na pierś Petre'a, twarzą wprost w odsłonięte, wciąż pulsujące serce.

Ktoś podtrzymał ją, podprowadził do kanapy. Rozpoznała bladoliczego medyka, któremu hrabia d'Andrieux polecił okazać „jak największe względy”. Mężczyzna odłożył pistolet, zwilżył w fontannie chusteczkę i przetaił jej twarz. Dòna Orsula szybko przychodziła do siebie.

— Nie żyje? — spytała.

— Obaj już nie żyją — odparł po chwili wahania.

— Kto to... Ja nie rozumiem... — zająknęła się bezradnie. Lecz zaraz jej umysł zaczął pracować. Nieważne, kim był ten dzieciak. Ważne, co teraz powinna zrobić. Powiadomić straż miejską? W życiu! Aż wzdrygnęła się na ten pomysł. Rozgłos mógłby tu jedynie zaszkodzić. Trzeba dyskretnie pozbyć się ciała...

Jordan – kobieta przypomniała sobie nazwisko gościa hrabiego – zdawał się odgadywać jej myśli.

— Mężczyznę — wskazał zwłoki Petre'a — pozostawiam pani. Chłopca zabiorę ze sobą.

— Ależ po co? — zdumiała się.

Uśmiechnął się lekko.

— Cóż, jestem lekarzem. Interesują mnie wszelkiego typu anomalie, a ten dzieciak wygląda mi na bardzo interesujący przypadek.

— On jest martwy — przypomniała rozsądnie dōna Orsula.

Uśmiech Jordana stał się szerszy i bardziej kpiący.

— Z mojego punktu widzenia martwi są czasem więcej warci niż żywi.

\* \* \*

— Wejź, panie.

Młoda czarownica cofnęła się, przepuszczając Domenica Jordana. Raz tylko spojrzała na ciało, które dźwigał na rękach, jednak nic nie powiedziała. Przeprosiny zbyła machnięciem ręki. Najwyraźniej postanowiła zagrać rolę osoby, której nic w życiu już nie zaskoczy.

Wnętrze domku było przytulne, schludne i wcale nie ubogie. Jordan położył chłopca na łóżku, zawrócił i zamienił parę zdań z czekającym na zewnątrz stangretem. W tym czasie Modesta Veran cisnęła w kąt otulającą jej ciało chustę i pospiesznie zmieniła koszulę nocną na domową suknię. Potem dopiero podeszła do chłopca. Skinieniem dłoni przywołała Jordana, który stanął właśnie w drzwiach izby.

— Nie potrafię mu pomóc — powiedziała. — Przykro mi. Skona w ciągu najbliższych minut.

— Nie sędzę.

Przewrócił chłopca na brzuch i rozerwał mu koszulę. Garbata czarownica uniosła lekko brwi na widok okrągłej rany w plecach, dokładnie na wysokości serca.

Jordan kazał jej rozdmuchać żar w piecu i zagrzać wody. Pół godziny później do drzwi zapukał Peyretou. W rękę trzymał skórzaną torbę. Jordan zdjął kaftan, podwinął rękawy koszuli i sparzył wrzątkiem narzędzia chirurgiczne. Peyretou, zagryzając wargi, patrzył na zmuśny proces wydobywania kuli. Od czasu do czasu łowił wzrokiem zdumione spojrzenie kobiety stojącej po drugiej stronie łóżka. Dla niej nic tu nie miało sensu. Nawet jeśli chłopiec jakimś cudem przeżył strzał prosto w serce, to grzebanie w jego ciele z pewnością mogło jedynie przyspieszyć nieunikniony koniec. Jednak ranny żył nadal, a gdy Jordan z lekkim uśmiechem triumfu zważył w dłoni płaski kawałek ołowiu, wydało jej się nawet, że chłopiec odetchnął z ulgą.

\* \* \*

Jordan zostawił Peyretou u czarownicy, a sam wrócił do pałacu hrabiego d'Andrieux. Wykąpał się, przebrał i poprosił o możliwość zatrzymania jeszcze na ten dzień pożyczonego powozu, bo jego własną karetę przystosowano raczej do dłuższych podróży niż do jazdy po mieście.

Po śniadaniu stangret zawiózł go do domu d'ony Patricii, ubogiej krewnej hrabiego d'Andrieux, która fatalnego dnia była świadkiem śmierci swego kuzyna.

Rudowłosa dziewczyna zrobiła na nim jak najlepsze wrażenie. W krótkich, wyważonych zdaniach opowiedziała mu wydarzenia



tamtego popołudnia, ani razu nie okazując przy tym własnych uczuć. Jordan, który obawiał się szlochów i mdlenia, podziwiał jej opanowanie. Rozpłakała się za to stara matka Patricii, i to tak bardzo, że córka musiała wyprowadzić ją z pokoju.

— Proszę wybaczyć — powiedziała po powrocie. — Rainaud był ulubieńcem mamy.

Jordan pominął tę uwagę milczeniem.

— Kto najczęściej bywał gościem u pani kuzyna? — zapytał.

Patricia zaczęła wymieniać imiona i nazwiska. Przy siódmym z kolei Jordan roześmiał się cicho.

— Czy pani kuzyn miał wyłącznie przyjaciółki, nie przyjaciół? Odwzajemniła uśmiech.

— O tak, Rainaud uwielbiał otaczać się dziewczętami.

Jordan zastanowił się, jak sformułować kolejne pytanie.

— A czy któraś z nich była mu... szczególnie bliska?

Patricia, jak wiele dziewcząt ze zubożałych rodzin, potrafiła nazywać rzeczy po imieniu, bez fałszywego wstydu:

— Nie przez dłuższy czas. Rainaudowi potrzebna była nie tyle kochanka, ile adorujące go stadko wielbicielek.

— Nigdy nie dochodziło na tym tle do żadnych konfliktów? Słyszałem, że don Rainaud pokłócił się ze swoim przyjacielem Salvaiem de Fargues'em z powodu d'ony Laury Castaing.

— Któż panu nagadał takich bzdur? — spojrzała na niego w zdumieniu. — Po pierwsze, Rainaud i Salvair nigdy nie byli przyjaciółmi. Mój kuzyn nawet w dzieciństwie wolał się bawić z dziewczynkami niż z chłopcami, a de Fargues... Cóż, jego wychowywał stryj, człowiek bardzo apodyktyczny i nieznoszący

sprzeciwu. Lubi trzymać go blisko siebie, w domu, i w rezultacie chłopak niewiele ma okazji, by spotykać się z rówieśnikami. Po drugie, dòna Laura, owszem, należała do orszaku mojego kuzyna, ale Salvaira ledwo znała. Nie sędzę, by zamienili ze sobą więcej niż parę zdań. Trudno więc przypuszczać, by Rainaud i Salvair pokłócili się z jej powodu.

Mówiła z wielkim przekonaniem, choć przecież nie mogła mieć pewności. Mimo to Jordan był skłonny jej uwierzyć. Pamiętał o tamtym liście, który pokazał mu hrabia d'Andrieux. Uderzał w nim nie tylko kolor atramentu, ale także dobór zdań. Wydawały się nazbyt sztuczne, jakby wzięte z książki, nie z serca. Brakowało w nich pasji, której można by się spodziewać po zdradzonym kochanku. Teraz słowa dòny Patricii potwierdziły podejrzenia Jordana – jeśli nawet de Fargues rzeczywiście zabił Rainauda, to powodem z pewnością nie była panna Laura Castaing.

— A słynny Upiór? Czy pani kuzyn znał syna barona de Mareuila?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— To niezbyt duże miasto, tu wszyscy się znają. Prawdopodobnie więc i oni zostali sobie przedstawieni, ale, o ile wiem, nie łączyła ich bliższa znajomość.

Nie była to odpowiedź, jakiej oczekiwał, ale z drugiej strony niczego jeszcze nie przekreślała. Rainaud mógł mieć przed kuzynką sporo sekretów. Jordan postanowił przy najbliższej okazji spytać hrabiego, choć nie liczył zbytnio na uczciwą odpowiedź.

\* \* \*

Domenic Jordan przykazał Peyretou pomagać w pielęgnowaniu rannego chłopca, ale wyglądało na to, że ani służący, ani garbata czarownica nie będą mieli wiele do roboty. Pacjent spał spokojnie, a z twarzy nie schodził mu lekki, zdrowy rumieniec. Zbudził się tylko raz, na chwilę, ale jego oczy patrzyły na wół przytomnie. Modesta Veran wykorzystała ten moment na wlanie mu do gardła jakiegoś ziołowego, niezbyt miło pachnącego wywaru i chłopiec na powrót zapadł w sen.

Widząc to, Peyretou zdecydował się zostawić rannego z czarownicą i wyjść na miasto. Domenic Jordan dbał nie tylko o własną elegancję – zależało mu też na dobrej prezencji służącego i Peyretou, pusząc się jak paw, spacerował teraz po gwarnych ulicach Charnavin w błękitnym kaftanie i wysokich, błyszczących butach. Nie dostrzegał nic z tego, co wczoraj zwróciło uwagę Jordana – ani pustych oczu przechodniów, ani niepewnych uśmiechów na ich wargach. Dla niego Charnavin było uroczym miasteczkiem, akurat odpowiednim, by przystojny, ładnie ubrany chłopak z naprawdę dużego miasta, czyli z Alestry, mógł tu zrobić właściwe wrażenie.

Trafił na zatłoczony plac targowy, zatrzymał się przy straganie z amuletami i czarodziejskimi akcesoriami. Sprzedająca była śliczną młodą kobietą i Peyretou, niewiele się zastanawiając, spytał o cenę pierwszego z brzegu przedmiotu: zawieszzonego na rzemyczku kawałka bazaltu. Rozpoczęły się chytre targi, obficie okraszone okrzykami udawanego oburzenia i zalotnymi uśmiechami. Wkrótce jednak Peyretou musiał ustąpić miejsca jakiejś staruszce, bo Domenic Jordan był wprawdzie panem

hojnym, ale nie rozrzutnym i jego sługa nie miał aż tylu pieniędzy, by pozwalać sobie na spełnianie wszystkich zachcianek. Staruszka podniosła kryształową kulę i przez chwilę obmacywała ją jak połec mięsa. Potem zupełnie niespodziewanie krzyknęła, rzuciła kulę i spojrzała na opinający jej biodra pas. Twarz wykrzywiło jej przerażenie, a zaraz później gniew. Powiodła wzrokiem po kłębiącym się przy straganach tłumie.

— To ona! — wrzasnęła, wskazując chudą dziewczynę, która kilkadziesiąt kroków dalej wpinała we włosy kościany grzebyk. — Ukradła mi sakiewkę! Łapać złodziejkę!

Wskazana odwróciła się, zobaczyła wycelowany w siebie palec i niewiele myśląc, wzięła nogi za pas. Staruszka nadal darła się jak opętana, ludzie przepychali się w stronę źródła krzyków. Korzystając z zamieszania, dziewczynie omal nie udało się uciec, ale ktoś przytomny złapał ją za kołnierz i osadził w miejscu. Staruszka podreptała do niej triumfalnie, ciągnąc za sobą gromadkę ciekawskich, wśród których znajdował się także Peyretou. Z drugiej strony już nadchodził strażnik miejski.

— To złodziejka — wysapała staruszka. — Przeszukaj ją, panie, a głowę daję, że znajdziesz moją sakiewkę z niebieskiego płótna.

Dziewczyna ubrana była jak posługaczka: w narzucony na suknię fartuch z głęboką kieszenią z przodu. Strażnik sięgnął do kieszeni i wyciągnął pękata sakiewkę.

Dziewczyna poczerwieniała, spuściła głowę. Zapanowała groźna cisza, przzerwana naraz pełnym potępienia pomrukiem tłumu.

— Chwila — odezwał się nagle mężczyzna, który złapał winowajczynię. — Ja tu czegoś nie rozumiem. Ona — wskazał staruszkę — zaczęła krzyczeć, kiedy tamta — skinienie głową ku dziewczynie — była już daleko. Skoroś widziała, matko, jak panna ci sakiewkę kradnie, to czemuś nie wrzeszczała od razu?

Niechęć tłumu odrobinę zelżała, w oczach złodziejki zabłysła nadzieja. Podejrzliwe spojrzenia skierowały się teraz na staruszkę, ale ta nie straciła głowy.

— W czarodziejskiej kuli ujrzałam, co przed chwilą się zdarzyło — oznajmiła, zadzierając z satysfakcją nos. — Kule, o, przy tamtym straganie sprzedają.

Ładniutka sprzedawczyni amuletów dostrzegła swoją szansę.

— To znakomite kule — powiedziała prędko — przeszłość pokażą, zgubę każdą odnajdą, a jeszcze przyszłość wywróżą...

— Dość tego — przerwał strażnik. — Dziewczyna idzie ze mną, a wy, matko, na drugi raz nie zerkajcie tak chętnie w kryształowe kule, bo dobry Bóg się zagniewa i karę jaką na was ześle.

Tłum powoli się rozchodził. Peyretou złapał za ramię sprzedawczynię amuletów.

— Zaczekaj, pani — poprosił szeptem. — Naprawdę te kule są takie dobre?

Spojrzała niepewnie, zastanawiając się, czy może mu zaufać. Chłopak wydał jej się sympatyczny, zaczęła więc mówić:

— Kule są niezłe, owszem, ale problem polega na tym, że w kuli zobaczyć coś może tylko czarownica, a ta staruszka nie bardzo mi na taką wygląda.

— No więc co się stało?

Kobieta rozejrzała się i pociągnęła Peyretou pomiędzy stragany.

— Mandy się obudziła — szepnęła mu w ucho.

— Mandy? — Chłopak zmarszczył brwi.

— Święta Alamanda — zniecierpliwiła się kobieta. — Tak sobie myślę, że zbrodnie Upiora wyrwały świętą z letargu. Sprawiedliwość zawsze leżała jej na sercu, więc teraz obdarza ludzi zdolnością jasnowidzenia zbrodni, tych poważnych i tych błahych, jak dzisiaj. To zdarza się coraz częściej. Tydzień temu pewna kobieta wskazała zabójcę męża dzięki temu, że jej się wyśnił. Mówię ci, młodzieńcze, za parę tygodni w Charnavin nie będzie ani jednego złodzieja, oszusta czy mordercy, a za to połowę mieszkańców stanowić będą jasnowidze. Nie jestem pewna — z powątpiewaniem potrząsnęła głową — czy będzie mi się podobało życie w takim mieście.

\* \* \*

— Mój przyjaciel, baron de Mareuil. — Hrabia przedstawił starszego, wysokiego mężczyznę, a Jordan natychmiast pomyślał, że oto ma przed sobą ojca osławionego Upiora, a przynajmniej tego, którego za Upiora uważano.

Dziwne, ale przy zgarbionym, złamanym nieszczęściem hrabim d'Andrieux baron wyglądał niemal na okaz siły i zdrowia. O bólu, jaki przeżył, świadczyły jedynie głębokie bruzdy wokół ust i pustka w szarych oczach.

Hrabia d'Andrieux zaproponował, by wyszli do ogrodu. Odprowadził ich Herran, który podtrzymywał wolno drepczącego

gospodarza. Tym razem Jordan przyjrzał się służącemu uważniej. Troskliwość, jaką ten okazywał starcowi, a także pewne podobieństwo rysów twarzy pozwoliły Jordanowi odgadnąć prawdę. Herran był nieślubnym synem hrabiego. Ubrany zbyt elegancko jak na swój stan, ze szpadą przy boku, wyglądał bardziej na młodego panicza niż na sługę. Być może, pomyślał Jordan, sprytny Herran zajmie wkrótce miejsce zmarłego Rainauda d'Andrieux.

Usiedli w niewielkim murowanym pawiloniku znajdującym się w głębi ogrodu, Herran sięgnął do drewnianej skrzyni po kieliszki, odkorkował butelkę, którą przyniósł ze sobą, rozlał wino i odszedł.

Hrabia zwrócił się do barona de Mareuila:

— Powtórz, proszę cię, co mi mówiłeś. Pan Jordan — wymawiał, jak wszyscy Okcytańczycy, „Jourdain” — powinien to usłyszeć.

Ojciec Upiora upił łyk wina.

— Widzisz, panie, tuż przed śmiercią nieszczęsnego Rainauda byłem świadkiem jego kłótni z młodym Salvaiem de Fargues'em. Don Salvair groził Rainaudowi, krzyczał, że wkrótce go zabije. Chodziło, jeśli dobrze pamiętam, o jakąś dziewczynę. Nie zwróciłem na to wtedy większej uwagi, wszak gwałtowne sprzeczki to cecha młodości. Dopiero dziś, gdy hrabia powiedział mi o liście, pojąłem, że zamiary don Salvaira były jednak poważne.

Jordan milczał, spoglądając pod światło na rubinowozłoty płyn w kieliszku.

— I cóż pan na to? — przerwał ciszę zniecierpliwiony hrabia. — Czy nie czas kazać aresztować tego młodzieńca?

Jordan postawił nietknięte wino na drewnianym stoliczku.

— Czy panowie także zamierzają wyprowadzić się z miasta?  
— zapytał uprzejmie.

Hrabia skrzywił się, jakby w słowach Jordana było coś niestosownego.

— Tak, istotnie — odparł zimno. — Pod koniec sierpnia pożegnamy się z Charnavin. Nie rozumiem jednak...

— I stać panów na stratę tylu pieniędzy? — przerwał mu Jordan. — Dzielnica jest niemal opustoszała, ceny domów muszą tu spadać na łeb na szyję.

— Doprawdy, drogi panie — równie chłodno odezwał się baron de Mareuil. — Sądzisz, że to ma jakieś znaczenie? To miasto jest przeklęte, cóż w tym dziwnego, że ucieka stąd każdy, kto może sobie na to pozwolić?

Jordan skłonił głowę, na pozór pokonany siłą argumentacji rozmówcy. Baron podniósł kielich z winem. Promień słońca padł na szkło, wtopił się w rubinowy płyn. Wino w kielichu barona wydało się Jordanowi nagle mętne niczym brudna, rzeczna woda. Uznał, że musiała to być mamiąca oko gra świateł.

\* \* \*

Jeszcze tego samego dnia Salvair de Fargues poprosił Jordana o spotkanie. Na powrót znaleźli się w tym samym przytulnym saloniku, w którym rozmawiali ostatnim razem. Dziś jednak młodzieńcowi towarzyszył stryj, don Elias, wysoki i oschły mężczyzna w średnim wieku. Był to jedyny obecnie mieszkaniec Charnavin, którego Jordan pamiętał ze swej poprzedniej wizyty



w tym mieście.

— Chcę się przyznać. To ja zabiłem Rainauda d'Andrieux — powiedział cicho, ale pewnie stojący przy parapecie Salvair. Jego profil rysował się ostro na jasnym prostokącie okna. Jordan i don Elias siedzieli przy zielonym stolczku, spoglądając na młodzieńca.

— Aha. — Skryta w cieniu twarz Jordana nie wyrażała niczego. — Opowiedz mi o tym.

— Czy to konieczne? — spytał don Elias, marszcząc brwi.

Jordan skinął głową, gestem poprosił o milczenie i spojrzał wyczekująco na Salvaira.

— Opowiedzieć? Jak to? — W głosie młodzieńca zabrzmiało tyle dziecinnego zdumienia, że Jordan uśmiechnął się mimowolnie.

— Zwyczajnie. Opisz mi po kolei wszystkie czynności, które wykonałeś od momentu, gdy powziąłeś ten niezbyt... hm, chrześcijański zamiar. Opowiedz, w jaki sposób twoje ciało zmieniło się w ciało orła, jak zaatakowałeś don Rainauda i tak dalej.

— To nie tak. — Salvair potrząsnął głową. — Człowiek nie może zmienić się w zwierzę. Trzeba...

— Od początku — przypomniał łagodnie Jordan.

— Tak więc najpierw odwiedziłem menażerię doktora Caffy'ego. Tam można kupić różne egzotyczne stworzenia: jadowite skorpiony, ptaki, nawet lwy i tygrysy. Ja kupiłem orła. Zaniósłem go do domu, wziąłem kawałek kredy i na podłodze wyrysowałem ochronny krąg, bo w opuszczone ciało łatwo może wtargnąć jakiś zbłąkany duch czy demon. Potem położyłem się pośrodku, a klatkę z orłem ustawiłem tuż obok głowy...

— Klatka była zamknięta na kłódkę?

— Och, nie. To nie miałoby sensu. Zamknąłem ją na prostą zasuwkę. Ptak nie mógłby jej otworzyć, ale człowiek w ciele ptaka już tak, nawet jeśli wziąć pod uwagę, że do dyspozycji ma jedynie dziób i pazury. Potem przeniósłem swoją świadomość w ciało orła. Nauczyła mnie tego moja matka. Później... Czy muszę mówić, co było później?

— Nie, wystarczy. — Podobną wiedzę mógł posiadać tylko człowiek praktykujący magię albo ewentualnie ktoś taki jak Jordan, interesujący się czarami jedynie teoretycznie. Ale niewiele było osób, dla których magia stanowiła dyscyplinę naukowych dociekań. — Dlaczego to zrobiłeś?

Salvair zacisnął usta w wąską kreskę i wyzywająco spojrzął w oczy Jordana.

— Czytał pan list, który napisałem do Rainauda. Każde słowo to prawda.

— Tym dziwniejsze jest, że za grosz ci nie wierzę.

De Fargues wzrokiem poszukał pomocy u stryja.

Mężczyzna wstał i objął go, ale w geście tym niewiele było miłości czy choćby tylko sympatii. Don Elias przypominał raczej człowieka, który kurczowo ściska swoją własność, chroniąc ją przed zakusami złodzieja.

— Salvair przyznał się i to powinno w zupełności wystarczyć — powiedział chłodno. — Naszą rozmowę uważam za skończoną.

Jordan spojrzął na nich uważnie.

— Cóż, wasza wola. Ostatecznie dla chłopca to żadna różnica, czy w aktach sądowych znajdzie się prawdziwy powód śmierci

Rainauda, czy też nie. On i tak zginie pod toporem kata.

\* \* \*

Pod wieczór upał wcale nie zelżał, a tylko zaległ nieruchomo nad miastem, bezwietrzny, suchy, drażniący nos i gardło drobinkami kurzu, wzbijanego stopami przechodniów.

Jordan wysiadł z powozu, odesłał stangreta i zapukał do drzwi domu Modesty Veran. Miał przy sobie parę najniezbędniejszych rzeczy, by zatrzymać się u czarownicy przez jakiś czas. Gdy opuszczał pałac, hrabia d'Andrieux wyglądał na zaniepokojonego. Nic jednak nie powiedział. Stosunki pomiędzy nim a Jordanem były tak napięte, że obaj woleli ograniczyć się jedynie do wymiany nic nieznaczących uprzejmości.

Peyretou otworzył i cofnął się w głąb sieni. Minę miał dość niewyraźną, a Jordan bez większego trudu odgadł przyczynę.

— Obudził się?

Młody sługa skinął głową. Przez zazwyczaj tak spokojną twarz Jordana przemknął skurcz, który uważniejszy obserwator mógłby uznać za grymas lęku.

— Sądziłem, że dłużej to potrwa — wymruczał.

Ciemnowłosy chłopiec, który jeszcze tego ranka wydawał się bliski śmierci, teraz siedział na łóżku wyprostowany i całkowicie przytomny. Rysy twarzy miał napięte, w oczach czaiła się groźba. Przypominał psa, który tuż przed atakiem czujnie obserwuje przeciwnika. Jego górna warga uniosła się, odsłaniając mocne zęby i Jordan niemal spodziewał się, że usłyszy ostrzegawcze powarkiwanie. Jednak gdy chłopiec odezwał się, głos zabrzmiał

zdumiewająco normalnie.

— Uratowałeś mnie, kiedy tamta kobieta strzeliła mi w plecy — powiedział, a Jordanowi udało się ukryć zaskoczenie. Nie zamierzał wyprowadzać chłopca z błędu. — Dlaczego? Czego ode mnie chcesz? Jeśli spróbujesz zatrzymać mnie siłą, zabiję cię.

Jordan szeroko otworzył drzwi. Peyretou, który podsłuchiwał przy dziurce od klucza, odskoczył jak obłąany wrzątkiem.

— Droga wolna.

Chłopiec nie ruszył się z miejsca. Napięte rysy złagodniały, a w oczach pojawiła się ciekawość.

— Mam dla ciebie propozycję. — Jordan zamknął drzwi i ostrożnie zbliżył się do siedzącej na łóżku postaci. — W zamian za uratowanie życia zostaniesz ze mną, powiedzmy, przez trzy dni. Będę zadawał ci pytania i spisywał odpowiedzi. Potem odejdiesz.

Chłopiec wyszczerzył zęby. Nadal w jego twarzy było coś osobliwie zwierzęcego, choć teraz nie przypominał groźnego psa, lecz skorego do zabawy szczeniaka.

— Czemu nie. Zaczynaj.

— Muszę cię jakoś nazywać. Masz jakieś imię?

— Matka wołała na mnie Fiari.

— Dobrze, Fiari. Pytanie drugie: dlaczego zabiłeś tamtego człowieka w Reix?

— Bo stanął mi na drodze — odparł chłopak bez emocji.

\* \* \*

— Pozwolisz, panie, że spróbuję jeszcze raz? — Modesta Veran wybiegła za Jordanem na próg domu. — Daj mi chwilę...

Urodziłeś się w ubogiej rodzinie, tylko własnemu uporowi zawdzięczasz to, że zdobyłeś wykształcenie, a także majątek i możesz teraz uchodzić za szlachcica. Wkrótce jednak stracisz ponad pięćset tysięcy eccu i na powrót zaczniesz klepać biedę.

Jordan zachichotał.

— Kiedy ja naprawdę jestem szlachcicem, a co do mojego majątku, to obawiam się, że trochę go pani przeceniasz. Nigdy w życiu nie miałem pięciuset tysięcy eccu.

Młoda czarownica z urazą obrzuciła spojrzeniem elegancki czarny kaftan Jordana, jakby chciała powiedzieć, że ktoś, kto nie dysponuje taką sumą, powinien bardziej uważać, na co wydaje pieniądze. Potem wróciła do domu, a Jordan i Peyretou ruszyli w dół ulicy. Fiari szedł kilka kroków przed nimi.

W każdym innym okcytańskim mieście letni wieczór był porą, gdy zmęczeni upałem mieszkańcy wylegali na ulice. Lecz w Charnavin zmierzch nie przyniósł ze sobą ani odrobiny chłodu. Ludzie pochowali się po domach, latarnie paliły się jedynie nad drzwiami opustoszałych gospód i tawern. W ciszy i mroku daleko niosło się echo kroków.

— Mogę o coś spytać, panie? — szepnął Peyretou.

— Pytaj.

Sługa rzucił niepewne spojrzenie na Fiariego i jeszcze bardziej zniżył głos:

— Kim on jest?

Jordan zwolnił, zwiększając dystans pomiędzy nimi a idącym z przodu chłopcem. Ciekawość kiedyś mnie zgubi, pomyślał z błyskiem gorzkiego humoru. Zdawał sobie sprawę, że Fiari

zgodził się na zaproponowany układ bynajmniej nie z wdzięczności. Chłopcu po prostu pochlebiało zainteresowanie Jordana, który wypytywał go, a odpowiedzi starannie zapisywał w notesie. Dla niego był to rodzaj zabawy, ale jak każda zabawa, tak i ta mogła mu się wkrótce znudzić. A wtedy Fiari odejdzie, zabijając każdego, kto spróbuje mu przeszkodzić. Niewiele w tym chłopcu pozostało ludzkich cech. Był całkowicie amoralny, pozbawiony wyrzutów sumienia, a także o wiele silniejszy i zręczniejszy niż przeciętny człowiek. Jordan bał się, że w razie czego, pomimo dwóch pistoletów, które przezornie zabrał z domu, nie zdoła sobie z nim poradzić. Nie miał też pojęcia, co zrobi, gdy minie wyznaczony termin.

— Niewykształceni ludzie nazywają takich jak on wilkołakami. Nie zmienia się w zwierzę w czasie pełni księżyca, to bajki, ale jest bardzo silny, szybki, a jego rany, nawet te poważne, goją się ze zdumiewającą łatwością. Sam zresztą widziałeś. Niezwykle interesujący przypadek, ofiara klątwy rzuconej na niego najprawdopodobniej jeszcze w dzieciństwie.

— Czy to można by zdjąć? Znaczący, tę klątwę?

Jordan zastanowił się.

— Myślę, że tak, choć wymagałoby to sporych umiejętności magicznych. Kłopot jedynie polega na tym, że Fiari wcale nie chce być człowiekiem.

\* \* \*

Rosa Duprat, jedyna ocalała ofiara Upiora, miała czternaście lat, a wyglądała na co najmniej siedemnaście. W ramionach

kołysała maleńkie niemowlę. Jordan nie bardzo mógł uwierzyć, że gustujący w dzieciach poniżej dziesiątego roku życia Upiór zainteresował się tą wyrośniętą pannicą, która na początku czerwca musiała być w ostatnim miesiącu ciąży.

— Czego panowie ode mnie chcecie? — hardo rzuciła Rosa, ale na dnie jej oczu pozostał cień niepokoju.

Dziecko zbudziło się i zapłakało. Do pokoju weszła starsza kobieta ubrana już w nocny strój i zabrała niemowlę. No proszę, dziewczynę stać nawet na niańkę, pomyślał Jordan, z premedytacją przedłużając milczenie i jednocześnie rozglądając się wokół.

Dom, w którym się znajdowali, do złudzenia przypominał dom garbatej czarownicy. Położony w podłej dzielnicy i na pozór skromny, wewnątrz urządzony był bardzo przytulnie. Rosa Duprat, sierota, która do niedawna szorowała podłogi w pałacu barona de Mareuila, z pewnością nie cierpiała biedy.

— Chciałbym wiedzieć — powiedział Jordan spokojnie — kto zapłacił ci za oskarżenie Joana Baptiste'a de Mareuila?

Oczy dziewczyny przypominały teraz okrągłe spodki. Z sąsiedniego pokoju dobiegał coraz głośniejszy płacz dziecka. Opiekunka ostrożnie uchyliła drzwi, wysunęła głowę i spojrzała na młodziutką matkę.

— Ona jest głodna — szepnęła.

— Wynoś się i zamknij drzwi! — wrzasnęła Rosa. — I nie waz się tu więcej przychodzić!

Chwilę później z dziecięcym płaczem zmieszał się nerwowo nieco głos nucący kołysankę.

Domenic Jordan podszedł do dziewczyny i spojrzał jej w oczy.

— Posłuchaj mnie, panienko — powiedział spokojnie, ale tonem tak zimnym, że Peyretou odruchowo skulił ramiona. — Wybrano cię prawdopodobnie ze względu na to, że jesteś dość bystra. W przeciwnym wypadku nie potrafiłabyś wiarygodnie kłamać przed sądem. Spróbuję więc odwołać się do twego rozsądku. Ktoś dał ci ten dom i pieniądze, ktoś zapewnił opiekę tobie i dziecku. W zamian chciał tylko, byś oskarżyła syna barona de Mareuila, a potem trzymała buzię na kłódkę. Nie mam pojęcia, kim jest ten człowiek, ale dowiem się, z twoją pomocą czy bez niej. A w całym Charnavin nie ma nikogo, kto mógłby przeciwstawić się woli biskupa Alestry. Rozumiesz mnie dobrze, panienko? Pójdiesz na dno razem z twoim tajemniczym opiekunem, a twoje dziecko zostanie sierotą. Będzie dorastać jak ty, w ochronce, a nim skończy dziesięć lat, pójdzie na służbę szorować podłogi. Dokładnie tak jak ty. Chciałabyś tego? Nie sądzę. Dlatego daję ci szansę. Chcę usłyszeć nazwisko tego człowieka, nic więcej.

Dopiero teraz w przerażonych oczach zamigotała iskierka zrozumienia. Jordan poczuł przypływ niechęci do samego siebie. Rosa była jeszcze dzieckiem, więc zastraszenie jej przyszło mu zdumiewająco łatwo. Żałował tego, ale nie cofnął się.

Dziewczyna poruszyła ustami.

— Nazwisko. Teraz. Zaraz — powtórzył, nadal nie podnosząc głosu.

Spuściła głowę i pociągnęła nosem.

— Baron de Mareuil — szepnęła. — To baron de Mareuil kazał mi oskarżyć swego własnego syna. Panie, co ja mam teraz zrobić?



Rozmowa z Rosą przekonała Jordana o jednym: Joan Baptiste de Mareuil był jednak Upiorem. Żaden ojciec, nawet najmniej kochający, nie mógłby pragnąć skazania niewinnego syna. Jordan uświadomił sobie, że już na początku popełnił błąd, pozwalając zasugerować się słowom biskupa Alestry, podczas gdy w rzeczywistości ojciec Fabresse wcale nie twierdził, że nazywany Upiorem człowiek był niewinny. Niewykształcony proboszcz miał kłopoty z jasnym formułowaniem myśli, a z jego listu dało się wywnioskować tylko tyle, że odkrył jakąś mroczną tajemnicę związaną ze śmiercią Upiora.

*... który wierzyłem, że może jedynie płakać nad pomordowanymi w okrutny sposób...* Jordan przeczytał te słowa raz, a potem drugi i trzeci. Zdanie na pozór zdawało się nie mieć żadnego związku z treścią listu, możliwe jednak, że właśnie tutaj krył się klucz do rozwikłania tajemnicy.

Gdzie ojciec Fabresse mógł „płakać nad pomordowanymi”? W domu? Na cmentarzu? A może w kościele, przy kartach, na których wypisano imiona zabitych? A jeśli tak, to w którym kościele, bo takie karty wisiały przecież i u świętego Ignacego, i u patronki miasta?

Kościół świętej Alamandy miał ponad sto pięćdziesiąt lat, dokładnie tyle, ile liczyło sobie Charnavin. Tablice z nazwiskami zamordowanych, jeśli tylko zrobiono je z czegoś twardszego niż zwykły papier, mogły przetrwać tyle czasu.

Jordan zapalił nową świecę i sięgnął po księgę, którą ukradł zmarłemu ojcu Fabresse'owi. Dom Modesty Veran pogrążył się we śnie i nikt nie przeszkadzał mu w studiowaniu heretyckich

wywodów Carla Villaniego. Nim świeca zgasła w kałuży wosku, znalazł odpowiedź, której szukał. Na dworze było jeszcze ciemno, ale niedługo powinien wstać wczesny letni świt.

Jordanowi pozostawało już tylko czekać, aż wrota kościoła świętej Alamandy zostaną otwarte.

\* \* \*

Wpadające do wnętrza kościoła przez otwarte drzwi promienie słońca wycinały w ciemności długie, wąskie tunele. Wiszące w nich szare drobinki kurzu drgały leciutko.

Przy ołtarzu płonęły dwie samotne świece. Jordan zapalił od jednej z nich latarnię, którą przyniósł ze sobą, i zanurzył się w mroku prawej nawy.

Były tam, i owszem. Całą ścianę, od wysokości, do jakiej z trudem sięgał dorosły człowiek, aż po kamienną podłogę pokrywały tablice. Marmurowe, drewniane, czasem tylko pergaminowe – z tych ostatnich zostało niewiele ponad wiszące na zardzewiałych gwoździach strzępy. Ale reszta, choć mocno okopcona przez płonące pod nimi przez jakiś czas świece, wciąż była czytelna. Jordan zauważył też, że ktoś niedawno usunął z tablic nieco kurzu i pajęczyn.

Zaczął od początku, od roku, w którym założono miasto i zbudowano kościół. Pierwsza interesująca tablica pochodziła z roku 1603. Tamtej wiosny, dokładnie dziewiątego kwietnia, została zamordowana ośmioletnia Franceska, córka kupca Dedieu. Zginęła tak, jak ginęły ofiary Upiora: poderżnięte gardło, rozcięty brzuch, częściowo wyjęte wnętrzności.

Szukał dalej, przeglądając kronikę zbrodni miasta Charnavin. Żadnych pospolitych przestępstw: bójek w karczmie czy drobnych kradzieży. Tylko zbrodnie najcięższe, takie, że człowiek gotów jest upaść u stóp ołtarza i płacząc, błagać o sprawiedliwość.

Kwiecień roku 1633. Córeczka niejakiego Claude'a d'Eyssette'a, ledwie czteroletnia. I znów podejrzięte gardło, głębokie rany podbrzusza...

Kolejnych trzydzieści lat, kolejne tablice. Otruci mężowie, podpalenia, rozboje, ciała znalezione w mrocznych zaułkach z nożem w plecach. Rzeczy straszne, ale takie, które zdarzają się w każdym mieście. A potem rok 1663, znów kwiecień. Tym razem chłopiec o nazwisku, którego Jordan nie potrafił odczytać, prawie dwunastoletni, zginął z podejrziętym gardłem...

Jordan poszukał tablic z 1693 roku. Znalazł jedną, oczywiście z kwietnia. Elena Gourbeyre, niespełna sześćioletnia, umarła dokładnie w ten sam sposób, co ofiary Upiora...

Rok 1723. Przez chwilę szukał właściwej tablicy. Znalazł, tuż nad ziemią. Jednak dziecko zginęło nie w kwietniu, lecz miesiąc później, w maju...

I w końcu kwiecień roku 1753. W Charnavin zabijać zaczyna człowiek, który wkrótce zyska sobie miano Upiora...

Zaabsorbowany, nie usłyszał kroków za plecami. Z zamyślenia wyrwał go dopiero trzask odwodzonego kurka. Jordan wyprostował się i odwrócił, ale było już za późno.

— Pójdiesz ze mną — powiedział Herran. Czuł się bardzo pewnie z ciężkim pistoletem w ręce i mając za plecami trzech barczystych drabów. Jordan podniósł wyżej latarnię. Twarze ich

były zdumiewająco podobne do siebie: złamane nosy, blizny, zarośnięte policzki.

Podobne były także ich postawy, bo każdy zaciskał dłoń na rękojeści rapiera.

\* \* \*

Jordan, ponaglany przez Herrana, skierował się w stronę ogrodowego pawiloniku, tego samego, w którym poprzedniego dnia pił wino. Hrabia d'Andrieux już czekał. Drabom kazał zostać na zewnątrz, Herranowi pozwolił wejść.

W powietrzu unosił się swąd zgaszonych świec, ale nikt nie pofatygował się, by otworzyć okno i pawilonik pogrążony był w półmroku. Jordan zbliżył się, by spojrzeć hrabiemu w twarz. Pod wpływem jego wzroku starzec wzdrygnął się lekko.

— Usiądź, panie — powiedział. — Spotkanie nasze nie jest najszcześniejsze, lecz wciąż przecież możemy zachowywać się jak kulturalni ludzie.

Herran odebrał Jordanowi szpadę. Zbliżył się teraz do okna, gdzie przez szparę w okiennicach przenikała odrobina światła. Dłuższą chwilę obracał broń w rękach, dziwiąc się jej lekkości, zdobieniom, precyzji wykonania. Przez jego usta przemknął pogardliwy grymas. W myślach nazwał szpadę „zabaweczką” i odłożył na drewnianą skrzynię z naczyniami stołowymi. Błąd, pomyślał Jordan. Od broni dzieliły go tylko trzy kroki.

Herran przysunął sobie krzesło i usiadł. Pistolet położył na udzie, palec wciąż trzymał na spuście.

— Nie sądz, panie — powiedział d'Andrieux — że kazałem cię

tu przyprowadzić, by się przed tobą usprawiedliwić. Chcę tylko, byś zrozumiał pewne rzeczy.

Zamilkł. Jordan nie odpowiedział. Odruchowo poprawił opadające na czoło włosy, cofnął rękę i spojrzał na nią z niesmakiem. Zapomniał, że dłonie ma pokryte kurzem. Niespiesznym gestem wytarł je w chusteczkę.

— Charnavin zostało założone dokładnie sto sześćdziesiąt dwa lata temu — podjął po chwili hrabia. — Od początku stał tu kościół świętej Alamandy, istniało także Reix, wówczas dość podła dzielnica rozpusty. Elitę Charnavin stanowili moi przodkowie, a także przodkowie rodów de Mareuil, de Fargues, de Liberau, de Mireio i jeszcze kilku innych. To właśnie oni wpadli na myśl, by przekształcić Reix w dzielnicę, gdzie będzie można znaleźć zwykle w takich razach rozrywki: kobiety, hazard, proste czary miłosne, tyle że w znacznie... hm, szlachetniejszej oprawie. Niestety, rosła też moc patronki miasta. Inni święci uzdrawiają chorych, strzegą podróżnych, czy nawet odnajdują zagubione przedmioty, święta Alamanda natomiast, zgodnie z wolą wiernych, wzięła pod opiekę stróżów prawa i sama stanęła po stronie sprawiedliwości. Ponoć w tamtych czasach wystarczyło wstąpić do straży miejskiej, by stać się silniejszym i zręczniejszym, a zostać sędzią, by zyskać na bystrości umysłu, przypadki jasnowidzenia zdarzały się zaś dwa razy częściej niż w innych miastach. Oferowane w Reix rozrywki nie są, przynajmniej w większej części, nielegalne, ale dla naszej patronki nie ma to znaczenia. Jej poczucie sprawiedliwości zgadza się raczej z tym, co w powszechnej opinii uchodzi za „moralne” niż z literą prawa. A z gniewem świętej nie ma żartów. Życie

właściciele domów w Reix zaczęło przypominać życie w cieniu wulkanu, który w każdej chwili może wybuchnąć. Rozwiązanie znalazł dopiero Carlo Villani. Święta Alamanda chce sprawiedliwości? Na początek dajmy jej więc zbrodnię, która wstrząśnie całym miastem. Niech zginie dziecko, bo śmierć dziecka budzi największy gniew. Oczywiście musi pochodzić z bogatej rodziny, bo losem najbiedniejszych nikt prócz nich samych się nie przejmuje. Zginie zamordowane w okrutny sposób, a przerażeni, żądni zemsty ludzie przez kilka dni będą mówić jedynie o sprawiedliwej karze, która powinna spaść na mordercę. I sprawiedliwości stanie się zadość. Morderca zostanie aresztowany, przyzna się, podając jakiś w miarę prawdopodobny powód zabójstwa, a kat zetnie mu głowę. Emocje charnawińczyków opadną, usatysfakcjonowana tym spektakularnym triumfem sprawiedliwości Alamanda zapadnie w błogą drzemkę. Za każdym razem poświęcić się musiał jeden z nas. Wynajęcie jakiegoś podłego rzezimieszka nie wchodziło w rachubę. Człowiek ten musiał dobrowolnie pójść na śmierć, a poza tym triumf sprawiedliwości jest większy, gdy skazany zostaje szlachcic. Sekret przechodził z ojca na syna, a co trzydzieści lat wtajemniczeni spotykali się, by wylosować spośród siebie mordercę. Bezpieczeństwo i bogactwo za cenę jednej ofiary co trzydzieści lat. Sam osądź, panie, czy było warto. Musisz też przyznać, że dobrze wydawaliśmy nasze pieniądze. Charnavin jest jednym z najpiękniejszych miast w całej Okcytanii. Nie ma wśród nas nikogo, kto nie kochałby Charnavin...

Starzec zamyślił się. Tym razem także Jordan nie przerwał

ciszy.

Hrabia d'Andrieux odchrząknął.

— Ryzyko, że ktoś zdoła domyślić się prawdy, było nikłe. Co prawda, dzieci ginęły zawsze w ten sam sposób, który jeden z nas już na początku uznał za najlepszy. Poderżnięte gardło sprawiało, że dziecko konało szybko, nie męcząc się, a rozpruty po śmierci brzuch to makabryczny szczegół, który miał wstrząsnąć ludźmi. Podobieństwo to mogło zwrócić czyjąś uwagę, ale akta sądowe niszczy się po ćwierćwieczu, a w ciągu trzydziestu lat krążące po mieście opowieści zmieniają się tak bardzo, że więcej w nich zmyślenia niż prawdy. Raz tylko, trzydzieści lat temu, gdy byłem młodym jeszcze człowiekiem, nasza tajemnica omal nie wyszła na jaw. Ten, który wyciągnął czarny los, stchórzył. Dla własnego bezpieczeństwa musieliśmy go zabić, a na jego miejsce wybraliśmy innego. Tegoż roku... Ale dlaczego tylko ja mam mówić, panie Jordan? Wiesz już, panie, co zdarzyło się tegoż roku.

— W kwietniu — spokojnie podjął wątek Jordan — czarny los wyciągnął Joan Baptiste de Mareuil. Spokojny, trochę nijaki chłopak. Zabił dziecko, dokładnie tak, jak chcieliście. Ale nie zamierzał potem spokojnie czekać, aż zostanie aresztowany i skazany, o nie. To jedno morderstwo zbudziło w nim diabła. Chciał zabijać dalej. I zabijał. Byliście przerażeni, ale żaden z was nie mógł po prostu pójść do sędziego i powiedzieć: jestem pewien, że dzieci morduje ten właśnie człowiek. Proszę nie pytać, skąd to wiem. Proszę po prostu złapać go i uciąć mu głowę. Dlatego baron de Mareuil zapłacił jednej ze służących, by oskarżyła jego syna. Udało się. Kryjówka Upiora została odnaleziona, on sam

aresztowany. Procesu nie było, jak sądzę, ku waszej wielkiej uldze. Istniało przecież ryzyko, że chłopak zdradzi sędziemu tajemnicę. Pozornie wszystko skończyło się jak zawsze – sprawiedliwym ukaraniem mordercy. Ale makabra zbrodni Upiora, a później śmierć zabójcy, który zginął bez sprawiedliwego procesu, rozszarpany przez tłum ludzi, spowodowały odwrotny efekt. Święta Alamanda, miast zasnąć spokojnie, rozgniewała się i obudziła na dobre. Zrozumieliście, że nadszedł wasz kres. Trzeba było ratować, co się da, i zmykać z Charnavin. Potrzebowaliście jednak czasu, ostatecznie nikt z was nie jest biedakiem, który mógłby w pół godziny spakować kuferek i zniknąć. A święta w każdej chwili mogła odkryć, że oszukiwano ją przez półtora wieku. Należało znaleźć coś, co na jakiś czas odwróci uwagę świętej Alamandy. Tak więc znów ciągnęliście losy. Zdaje się jednak, że to, co zrobił Upiór, zbudziło w was wyrzuty sumienia, bo postanowiliście, że tym razem ofiarą będzie także jeden z was. Z ciekawości, jak wybraliście ofiarę?

— Don Salvair wybierał spośród karteczek z naszymi nazwiskami. Nikt prócz niego nie miał pojęcia, kto ma być ofiarą. Gdybym to wiedział, oddałbym własne życie w zamian za syna. Zresztą, to był pomysł barona de Mareuila. Ja byłem przeciwny.

— Tak czy inaczej, śmierć don Rainauda dała wam to, czego potrzebowaliście: czas. Nawet więcej, niż się spodziewaliście. Tym razem święta Alamanda nie popisała się i nikt nie zdołał odkryć mordercy. Ksiądz Sauvin poprosił więc o pomoc biskupa. Sauvin nie jest jednym z was, prawda? W przeciwnym wypadku nie wysłałby listu.



— Oczywiście, że nie jest jednym z nas. To prostak.

— Nie chcieliście, aby ktoś obcy mieszał się w wasze sprawy, ale było już za późno. Postanowiliście więc obrócić mój przyjazd na własną korzyść. Miałem tylko złapać mordercę za kark i zawlec przed oblicze sędziego. Podsuwaliście mi kolejne dowody winy don Salvaira, a i sam młodzieniec gotów był przyznać się jak najszybciej, by zaoszczędzić sobie udreki. Aha, byłbym zapomniał: wasze sumienie obciąża także śmierć ojca Fabresse'a. Nie był zbyt bystrym człowiekiem, ale miał współczującą naturę i czytał czasem tablice znajdujące się w kościele świętej Alamandy. A gdy przez przypadek wpadło mu w ręce dzieło Carla Villaniego, nie wyrzucił książki, lecz przejrzał ją i skojarzył fakty. Nie szukał pomocy u księdza Sauvina – zbyt często widywał go w waszym towarzystwie – jednak zdradził się przed Salvaiem de Fargues'em, którego uważał za miłego chłopca. W ten sposób wydał na siebie wyrok.

Hrabia otworzył usta, chcąc powiedzieć coś jeszcze. Chciał mówić o swojej miłości do Charnavin, o tym, że przecież zdarzało się już, iż pojedyncze ludzkie życie poświęcane było w imię wyższych celów. A w tym przypadku celem było Charnavin – miasto spokojne, bezpieczne, a przede wszystkim bogate i bardzo piękne. Zrezygnował jednak, bo Jordan poruszył się, zabłąkany promień słońca padł na jego twarz i hrabia ujrzał wpatrzony w siebie chłodny, ironiczny wzrok.

— I ja także muszę umrzeć, prawda? — powiedział Jordan.  
— Musicie mnie zabić, nim służba zacznie się kręcić po ogrodzie. Nie mam więc wiele czasu. Czy zgodnie z tradycją mogę przed

śmiercią liczyć na spełnienie ostatniego życzenia?

— Słucham.

— Mógłbym prosić o lusterko?

\* \* \*

Do niedawna Peyretou nie golił się wcale. Hodował miękkie, jasne włoski, licząc, że wkrótce przekształcą się w bujne wąsy i brodę. Potem jednak ktoś powiedział mu, że golenie przyspiesza porost włosów, i od tego czasu chłopak pracowicie drapał gładkie policzki.

Ten ranek także zaczął od naostrzenia brzytwy, napełnienia miski wodą i sięgnięcia po zwierciadło.

\* \* \*

— Lusterko?

— Tak, lusterko. Może być małe, takie, jakie kobiety zwykły zabierać ze sobą w podróż.

Herran parsknął z pogardą.

— Przynieś lusterko — powiedział hrabia znużonym głosem człowieka, który dla świętego spokoju ustępuje niegrzecznemu dziecku.

Po chwili Herran postawił przed Jordanem podróżne zwierciadelko oprawione w czerwoną, wytłaczaną w złoty wzór skórę.

— Mógłbyś odemknąć okiennice? — poprosił Jordan. Potem przejrzał się i starł z policzka smugę kurzu. Pchnął lusterko w stronę hrabiego.

— Spójrz, panie.

Hrabia zmarszczył brwi. Herran stał za jego plecami, wpatrując się w Jordana z wyraźną nienawiścią.

— Nie widzę w tym żadnego sensu — powiedział d'Andrieux.  
— Kończmy już tę komedię, zaczyna mnie to nudzić.

— Nie żądam przecież zbyt wiele. Chcę tylko, abyś rzucił, panie, okiem na własne odbicie.

Z grymasem niechęci na ustach hrabia pochylił się nad lustrem. Zamarł. W pawiloniku zapanowała cisza. Herran postąpił pół kroku do przodu i spojrzał ojcu w twarz, doskonale teraz widoczną w świetle poranka. Krzyknął cicho.

Skóra starca była blada, z lekkim odcieniem szarości, jak brzuch śniętej ryby. Oczy zapadły się w głąb, a rysy wyostrzyły tak bardzo, że do złudzenia przypominał odnalezioną w szczelnie zamkniętej trumnie mumię.

— Ty umierasz. — Hrabiemu zdało się, że głos Jordana dobiega z bardzo daleka. — To zaraza. Spróbuj teraz wstać, a poczujesz zawroty głowy. Potem przyjdą dreszcze, poty i gorączka, która rozpali twoje ciało. Skonasz w ciągu kilku godzin.

— Baron de Mareuil... — wyszeptał Herran. — Wczoraj wcześniej wrócił do siebie, mówiąc, że źle się czuje...

— Dosyć. — Hrabia z całą siłą, na jaką stać było jeszcze jego ręce, uderzył lustrem o kant stołu. Powierzchnia zwierciadła rozprysła się; zwielokrotniona w kilkunastu odłamkach twarz wyglądała jeszcze upiorniej. Jęknął i zamknął oczy.

Usłyszał metaliczny świst, potem zduszony krzyk. Nic więcej. Podniósł powieki, ujrzał wytrzeszczone oczy swego nieślubnego

syna i jego gardło przeszyte szpadą. Jordan wyszarpnął ostrze, ciało Herrana zwały się na ziemię. Hrabia wstał, ale zakręciło mu się w głowie i z powrotem opadł na krzesło. Zdołał jednak krzyknąć. Prawdę mówiąc, krzyczał znacznie głośniej niż jego umierający syn.

Pierwszemu drabowi, który wpadł do pawiloniku, Jordan strzelił w twarz z pistoletu Herrana. Zaraz odrzucił bezużyteczną broń, bo w drzwiach stał już drugi drab. W rękę, podobnie jak pierwszy, trzymał rapier. Starli się nad leżącym w progu ciałem.

Rzezimieszek był silnym i dobrze wyszkolonym szermierzem, Jordan nie cofnął się jednak, choć iść naprzód też nie zamierzał – stojąc w drzwiach, nie dawał szansy ataku trzeciemu przeciwnikowi.

Siła i umiejętności nie na wiele się zdały wynajętemu rzezimieszkowi. Upadł na zwłoki swego towarzysza, a Jordan lekko przeskoczył dwa ciała i zbliżył się do ostatniego draba. Ten cofnął się, ale nie zdążył już podjąć decyzji, czy walczyć, czy też uciekać. Zdumiony Jordan ujrzał, jak przeciwnik osuwa się na kolana, a potem wali na ziemię.

Nieprzytomnego mężczyznę dopadł Fiari i skrzył mu kark. Potem wstał i rozejrzał się. Przez otwarte drzwi pawiloniku widać było bladą twarz hrabiego, który nie krzyczał już, lecz tylko pojękiwał cicho.

— Radziłbym ci zostawić go w spokoju — powiedział Jordan ostrzegawczo. — Jest chory, a to bardzo zaraźliwa choroba.

Fiari parsknął lekceważąco, ale został na miejscu. Peyretou, dotąd stojący na uboczu, niepewnie podszedł do Jordana. W lewej

pięści wciąż ścisnął dwa sporych rozmiarów kamienie. Z całych sił starał się nie patrzeć na trupy.

— Widzę, że będę musiał nauczyć cię strzelać z pistoletu.  
— Jordan uśmiechnął się lekko. — Nie mogę przecież pozwolić, byś w mojej obronie rzucał w ludzi kamieniami. Choć może wolałbyś jednak zrobić sobie procę?

Służący nie odpowiedział.

— Bystry z ciebie chłopak — pochwalił go Jordan.  
— Domyśliłeś się, że tu będę?

Przez chwilę w Peyretou walczyły chęć skłamania z chęcią pochwalenia się niezwykłym przeżyciem, a może i ze zwykłą szczerością.

Zdecydował się na prawdomówność.

— Nie, panie. Ja miałem wizję! Dzisiaj przy goleniu ujrzałem w zwierciadle ciebie i tamtych... — Wskazał leżących na ziemi rzezimieszków.

— I dlatego masz na podbródku taką paskudną szramę? A ja już myślałem, że napadł cię po drodze jakiś bliski krewniak Upiora.

Peyretou rzeczywiście zaciął się brzytwą, ale nie mieściło mu się w głowie, że ktoś może żartować z tego w takiej chwili. Wymamrotał więc tylko coś niezrozumiale. Jordan zlitował się i odciągnął chłopaka na bok, z dala od leżących na ziemi ciał.

— Biegnij i sprowadź tu lekarza. Albo nawet dwóch. W tym domu panuje zaraza.

A ja, pomyślał zdjęty nagłym lękiem, częściej zajmowałem się umarłymi niż żywymi i nie sądzę, bym zdołał kogoś uratować.

W kościele panował przyjemny chłód i cisza. Czasem tylko jakiś wierny klękał w ławie i odmawiał krótką modlitwę. Rzucił też zdumione spojrzenie na sylwetkę rozciągniętą krzyżem przed ołtarzem i uśmiechał się z politowaniem. Ubrany na czarno mężczyzna wyglądał na pogrążonego w żarliwej modlitwie, a gorliwość religijna nie była wśród charnawińczyków popularna.

Mieszkańcy Charnavin mylili się jednak. Jordan nie modlił się, lecz próbował przemówić świętej do rozsądku. Leżał krzyżem na zimnej kamiennej posadzce, bo spośród wielu sprzecznych informacji krążących na temat świętych pewne było tylko jedno: wszyscy lubili, by wierni wykazywali się właściwą pokorą. Nie wiedział, czy święta Alamanda go usłyszy, ale nie miał wyboru. Nad miastem zawisła groźba, z której mieszkańcy Charnavin na razie w ogóle nie zdawali sobie sprawy. A jak na ironię, gniew świętej miał dotknąć ludzi niewinnych, bo większość tych, którzy byli winni, dawno już opuściła miasto.

O tym właśnie mówił Jordan. Przekonywał, prosił, błagał, z nadzieją, że choć część dotrze do właściwych uszu. Gdy brakowało mu słów, zaczynał raz jeszcze, od początku. Czasem łapał się na tym, że wypowiada zdania bezmyślnie, jak dziecko klepiące wieczorną modlitwę. Przywoływał wtedy w pamięci twarze służących, którzy umierali w pałacu hrabiego, i słowa natychmiast odzyskiwały znaczenie.

Wieczorem do kościoła wśliznął się Peyretou. Ukłękł i pomodlił się w intencji chorych, ale brakowało mu cierpliwości Jordana. Usiadł więc w ławce, a gdy przekonał się, że jego pan nie ma zamiaru w najbliższym czasie wstać, ułożył się wygodnie

i zasnął.

\* \* \*

Ktoś zbudził Peyretou, szarpiąc go bez ceregieli za ramię. Chłopak usiadł, przetaił oczy. Od spania na twardej, wąskiej ławce bolały go wszystkie mięśnie.

— Co to? — zapytał, bo pierwszą rzeczą, jaka zwróciła jego uwagę, był osobliwy odgłos, którego otumaniony jeszcze snem umysł nie mógł z niczym skojarzyć.

— Deszcz — odparł Jordan, poprawiając zmierzwione włosy i pognieciony kaftan.

Peyretou odwrócił się. Wrota kościoła były otwarte, wpadały przez nie strugi wody i chłodny wiatr. Tuż przy wejściu utworzyła się już spora kałuża, przez którą brnął mężczyzna w mokrej sutannie i sięgających kolan kaloszach.

— No proszę — powiedział ojciec Sauvin. — Zastanawiałem się wczoraj wieczorem, czy nie wyrzucić was z kościoła przed zamknięciem. Cieszę się, że tego nie zrobiłem. To zdumiewające, ale święta wysłuchała chyba waszych modlitw. Wracam właśnie z pałacu hrabiego. Zmarł tylko d'Andrieux, troje służących powraca do zdrowia, a od wczorajszego wieczoru nikt nowy nie zachorował. W domu barona de Mareuila podobnie. Wygląda więc na to, że jednak unikniemy zarazy.

— Gdzie Fiari?

Peyretou, wpychający właśnie do ust wielkie kęsy chleba z miodem, zakrztusił się i poczerwieniał. Zapomniał, że wczorajszego popołudnia pan przykazał mu pilnować wilkołaka.

Jordan nie rozgniewał się jednak. Poczuł nawet ulgę na myśl, że Fiari poszedł sobie, uwalniając go w ten sposób od odpowiedzialności.

Niestety, ulga była krótkotrwała. Ojciec Sauvin, który zaprosił ich na śniadanie, odstawił kubek cienkiego wina i spojrzał na Jordana.

— Jeśli chodzi o tego ciemnowłosego chłopca, to jest on u mnie. Nie chciał wejść do kościoła ani nawet na plebanię. Noc spędził w szopie na narzędzia, a przed chwilą widziałem, jak rzucał kamieniami w mojego kota. Będę wdzięczny, jeśli zabierzecie go stąd jak najszybciej. Nie podoba mi się ten młodzieniec.

Jordan marzył już tylko o tym, by wyjechać z Charnavin. Najpierw jednak musiał odzyskać swój powóz, a przede wszystkim stangreta, który wciąż jeszcze przebywał w pałacu hrabiego. Lekarz wypuścił go z objętego kwarantanną domu, dopiero gdy Jordan listownie poświadczył, że bierze na siebie całkowitą odpowiedzialność. W międzyczasie napisał też do Modesty Veran i posłał Peyretou z listem. Służący wrócił, gdy gotowy do drogi powóz stał przed kościołem. Deszcz przestał padać, powietrze było świeże i czyste.

Jordan wskazał Fiariemu wewnątrz karety.

— Miałeś mi towarzyszyć przez trzy dni — przypomniał.

Młodzieniec wzruszył ramionami i wsunął się na skórzane siedzenie. Wyglądał na znudzonego. Nie złamał warunków umowy, ale był już tego bliski. Ruszyli w drogę.

— To odpowiedź. — Peyretou wyciągnął z kieszeni złożoną na pół kartkę.



Jordan pomyślał, że młoda czarownica zapewne zechciała podziękować mu za dość pękatą sakiewkę dołączoną do listu. Było to jednak nie podziękowanie, lecz kolejna wróżba.

*Jak to mówię, do trzech razy sztuka, czytał. Spróbujmy więc tak: zabiłeś kiedyś kogoś, zamordowałeś skrytobójczo, bo wierzyłeś, że tak trzeba, że to jest słuszne. A dzisiaj, nim zajdzie słońce, zabijesz znowu, nie patrząc swej ofierze w twarz, tłumacząc sobie, że w ten sposób unikasz znacznie większego zła.*

List nie miał podpisu. Jordan zmiął go w kulkę i wyrzucił przez okno powozu.

Tym razem Modesta Veran pomyliła się tylko w jednym.

Fiari umarł, patrząc swemu zabójcy w oczy.

## 2. Damarinus

*Dla Jakuba Ćwieka, który podsunął  
mi pomysł na to opowiadanie*

Domenic Jordan brnął po kolana w wodzie, ciągnąc za sobą martwe ciało.

Tuż przy brzegu zatrzymał się, poprawił chwyt na kołnierzu ciężkiej od wilgoci marynarskiej kurtki. Fala, dłuższa i większa niż poprzednie, liznęła mu uda, woda wlała się do wysokich butów. Zaklął, postąpił dwa kroki i szarpnięciem wywłókł zwłoki na mokry żwir, kładąc je obok pozostałych. Wyprostował się, zachodzące słońce rzucało teraz na plażę jego cień, długi i ostry niczym nóż. Za nim na falach unosiły się szczątki niewielkiego statku, uwięziony wśród skał szarobiały żagiel wydymał się na wietrze. Ponad linią wody przeczytać można było wypisaną na burcie nazwę: „Dei Gratia”.

Jordan rozejrzał się, szukając wzrokiem dwóch mężczyzn, którzy pomagali mu wyciągnąć z wody poprzednie ciała. Znalazł ich stojących pośród gapiów. Miejscowi chłopcy z ciekawością spoglądali na nieboszczyków, ale nikt się nie kwapił, by podjąć jakąkolwiek decyzję.

— Przepuście mnie, do wszystkich diabłów! Rozstąpić się, ale już!

Przez tkwiący na brzegu tłumek przepchnął się jeździec. Zeskoczył z konia i podszedł do czternastu ciał ułożonych w równy rząd. Pochylił się, spojrzął na uszy jedynej kobiety, które rozdarło, brutalnie zrywając z nich kolczyki, potem przeniósł wzrok na bosa stopy jej sąsiada.

Jordan nie patrzył na ciała, patrzył na przybysza. Ramiona wysokiego mężczyzny już lekko pochylały się do przodu, ale wciąż czuło się promieniującą z nich siłę. Siwe włosy rozwiewał ciągnący od morza wiatr, wytarta, zniszczona sutanna dla wygody rozpięta była do połowy ud, odsłaniając połatane spodnie i buty do konnej jazdy. Za pasem przybysza tkwiły dwa solidne pistolety. Jordan uśmiechnął się. Ojciec Inian, proboszcz Dolnego Tarris, bez wątpienia był osobiwą figurą.

— Selvenes — rzucił teraz, pospiesznie żegnając zmarłych znakiem krzyża. — Znów palili na brzegu ognisko. Rabusie! Mordercy! — wypluwał słowa, jakby każde z nich musiał wyrywać sobie z głębi trzewi.

Tłumek zafalował. Gapie wywrzaskiwali coś w miejscowym dialekcie, z którego Jordan niewiele rozumiał. Zwrócił się więc do księdza.

— Nie wiadomo, czy oni zostali zamordowani! — powiedział głośno, starając się przekrzyczeć narastający za jego plecami hałas.

— Hę? — Ojciec Inian posłał mu ponure spojrzenie. — Co pan mówisz? A niby co im się stało? Patrz pan. Ten tutaj ma rozcięte czoło, ten obok strzaskany bark, a kobieta...

— A kobieta — wpadł mu w słowo Jordan — zmarła na skutek tak wyrefinowanej tortury, jaką jest zmiżdżenie trzech palców

lewej dłoni. Dajmy temu spokój, ojcze. Te obrażenia powstały, gdy nad ranem przy wysokiej fali ciała uderzały o skały.

— To co ich zabiło? Magia? — zapytał kapłan ze złością, najwyraźniej podrażniony kpiącym tonem rozmówcy.

Jordan potrząsnął głową.

— Może po prostu utonęli — powiedział spokojnie, pochylając się nad ciałem bosonogiego mężczyzny. Z kieszeni jego kaftana wyjął dziennik w skórzanej oprawie. Ostrożnie rozlepił wilgotne kartki, licząc, że w środku znajdzie coś, co pozwoli mu ustalić tożsamość zmarłego. Rozczarował się. Nazwisko na pierwszej stronie było już tylko plamą bladoniebieskiego atramentu, a rysunki na pozostałych kartkach nie wyglądały wiele lepiej – z trudem dało się w nich rozpoznać coś, jakby szkice owadów i zwierząt.

Jordan wyprostował się. Gwar za jego plecami wzmógł się jeszcze. Wśród krzyków udało mu się wychwycić jedno tylko słowo, to samo, które słyszał już z ust ojca Iniana.

Selvenes.

Leśni ludzie.

\* \* \*

Dolne Tarris było niewielką wioską rybacką położoną malowniczo nad brzegiem morza. Dwadzieścia lat temu pewien arystokrata wybudował tu willę, którą nazwał Sol Ceri. Jak łatwo się domyślić, uroki życia na łonie natury szybko mu się znudziły i Sol Ceri przeszła w ręce przedsiębiorczego don Jamme'a, który postanowił założyć tu uzdrowisko.

Jordan nie wróżył mu powodzenia. Wyjazdy nad morze w celu

polepszenia zdrowia stały się wprawdzie ostatnio modne, ale położone na uboczu Tarris nie miało szans z wielkimi, pełnymi atrakcji uzdrowiskami. Mimo to tej kapryśnej, wietrznej wiosny w Tarris przebywało aż czterech kuracjuszy. Piątym mieszkańcem Sol Ceri był Domenic Jordan, teraz zmierzający szybkim krokiem w stronę willi.

Nie mógł pozbyć się wrażenia, że unoszące się w przybrzeżnej wodzie szczątki „Dei Gratii” kryją w sobie jakąś zagadkę. Morscy rozbójnicy rozpalali na brzegu ognisko, a gdy statek roztrzaskiwał się o skały, dobijali marynarzy, którym udało się przeżyć. Ale żadna z ran, które Jordan widział dzisiejszego wieczoru, nie wyglądała na zadaną ludzkimi rękoma. Obrażenia były zbyt powierzchowne, zbyt chaotyczne. Albo cała załoga „Dei Gratii” utonęła, oszczędzając tym samym rozbójnikom pracy, albo...

Druga możliwość była znacznie bardziej przerażająca.

Dwadzieścia minut później Jordan wracał tą samą drogą, niosąc skórzaną lekarską torbę, w której spoczywały narzędzia częściej służące do rozcinania martwych ciał niż do ratowania życia. Gdy dotarł w pobliże plebanii, zapadł już zmierzch. Wiatr wzmógł się i zmienił kierunek; wiał teraz od strony łąk, niosąc ze sobą ostry, świeży zapach trawy.

Przed plebanią kilkunastu mężczyzn męczyło się, przytrzymując niespokojne konie. Wierzchowce rżały i próbowały się wyrwać, mężczyźni przekrzykiwali się nawzajem. Pochodnie w ich rękach gasły co chwila, duszone coraz gwałtowniejszymi podmuchami wiatru. W końcu, nie bez pomocy ojca Iniana, wszyscy znaleźli się w siodłach, a mało praktyczne pochodnie

zastąpiono prostymi latarniami z płytkami rogowymi zamiast szybek. Gdy ich światła wtopiły się w ciemność i w oddali ucichł tętent kopyt, Jordan podszedł do księdza.

— To znów pan. — Ojciec Inian podniósł na wysokość oczu latarnię, w której płomień trzepotał jak purpurowa ognista ćma. — Kim pan właściwie jesteś, co?

\* \* \*

— Domenic Jordan — powtórzył ojciec Inian. — I zatrzymałeś się pan w Sol Ceri?

Jordan przytaknął cierpliwie.

Ksiądz obrzucił gościa niechętnym spojrzeniem. W świetle stojącej na stole świecy widział wyraźnie jego ekscentrycznie czarny strój, zbyt drogi i elegancki jak na kogoś, kto zdecydował się odzyskać zdrowie akurat w Sol Ceri. Widział też twarz Jordana, o cerze bardzo bladej w porównaniu do większości Okcytańczyków, ale zdecydowanie należącej do człowieka zdrowego, nie chorego.

Jordan, potwierdzając przypuszczenia księdza, pchnął w jego kierunku wyciągnięty z kieszeni list.

Ojciec Inian przebiegł wzrokiem tekst i zerknął na podpis.

— W życiu bym nie przypuszczał, że Jego Ekscelencję może interesować, co się u nas dzieje — wymruczał.

— Nawet do Alestry dotarły pogłoski o tej... przedziwnej wojnie, którą tutaj toczycie.

— Nie jesteś pan przypadkiem czarownikiem czy kimś w tym rodzaju?

— Jestem tylko lekarzem, choć przyznam, że interesuje mnie magia. Można nazwać to ciekawością naukowca.

Zacięta twarz proboszcza nie złagodniała ani na chwilę. Z istnieniem magów godził się, tak jak godził się z istnieniem szczurów czy innych szkodników. Bez wątpienia Bóg miał jakiś zamysł, pozwalając im żyć, lecz dla ojca Iniana nie ulegało wątpliwości, że tutaj, na ziemi, zadaniem porządnego człowieka jest walka z tego rodzaju stworzeniami. Myśl, że ktoś mógłby traktować magię „z ciekawością naukowca”, nie mieściła mu się w głowie.

Niemniej Domenic Jordan nosił w kieszeni list podpisany przez samego biskupa i ojciec Inian nie mógł tego zlekceważyć. Wolno, niechętnie skinął głową.

— Czego pan ode mnie oczekujesz?

\* \* \*

Drewniany stół zajmowały dwa ciała leżące na bokach i przytulone do siebie niczym zsiniali z zimna kochankowie we wspólnym łóżu. Resztę zwłok ułożono wprost na ziemi pod kamiennymi ścianami.

— Niewiele tu miejsca — wymruczał usprawiedliwiająco ojciec Inian.

Jordan postawił świecę na stole pomiędzy bosą stopą mężczyzny a obutą w zniszczony trzewik nogą kobiety.

— Zajmę się najpierw nimi — powiedział. — Potem ojciec pomoże mi przenieść następnych.

— Nie — zaprotestował ksiądz. — Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Radź pan sobie sam albo czekaj do rana i proś kogo

innego o pomoc.

Jordan skrzywił się lekko. Nie mógł czekać. W tak małych miejscowościach jak Tarris wiadomości rozchodziły się błyskawicznie, był więc pewien, że rankiem przed kostnicą zgromadzi się tłum oburzonych mieszkańców, zagląających przez szpary w okiennicach i szturmujących drzwi.

— Proszę więc znaleźć kogoś i posłać do Sol Ceri po mojego służącego. Teraz, nie rankiem. Służący nazywa się Peyretou.

Bał się, że ojciec Inian i tym razem odmówi, ale ksiądz skinął tylko głową i wyszedł bez słowa.

\* \* \*

Gdy skończyli pracę, zbliżał się już świt. Peyretou wrócił wypocząć do Sol Ceri, a Jordan skierował się w stronę plebanii.

Ojciec Inian nadal miał ponurą minę, ale czekał z gorącą wodą, mydłem i ręcznikiem. Jordan wyszorował ręce, zmienił koszulę na świeżą, którą przezornie zabrał dla niego Peyretou, a potem dołączył do księdza siedzącego przy stole i popijającego grzane wino.

Proboszcz podsunął mu kubek. Jordan spróbował i z aprobatą skinął głową. Wino smakowało dobrze, przyjemnie rozgrzewając przy tym zziębnięte ciało. Podziękował, a ksiądz, tak jak się tego spodziewał, zignorował jego słowa.

Jordan rozejrzał się. Wnętrze było ubogie, ale czyste – zgadywał, że księdzu pomaga w sprzątaniu któraś z wiejskich kobiet – a jednak plebania w pewien sposób sprawiała wrażenie opuszczonej. Znajdowały się tu tylko najpotrzebniejsze sprzęty,



a od kamiennych, nagich ścian wiało zimowym jeszcze chłodem. Nigdzie ani śladu osobistych drobiazgów. Nietrudno było zgadnąć, że mieszka tu samotny mężczyzna, który niewiele czasu spędza w domu.

Ojciec Inian pierwszy przerwał milczenie.

— Znalazłeś pan coś ciekawego? — spytał sarkastycznie.

— Czterech mężczyzn bez wątpienia utonęło — odparł Jordan. — Najprawdopodobniej wczorajszego wieczoru bądź w nocy, czyli wtedy gdy statek wpadł na skały. Pozostali... Cóż, z nimi mam pewien problem. — Umilkł. Słuchał przez chwilę monotonnego wycia wiatru, do którego dołączył szum deszczu. Potem spojrzał na księdza.

— Problem polega na tym — powiedział łagodnie — że rozkład tych ciał był bardziej posunięty, a stężenie pośmiertne w ich mięśniach ustąpiło niemal całkowicie, co oznacza, że ludzie ci zginęli nie wczorajszej nocy, lecz dzień, może nawet dwa wcześniej. Gdy „Dei Gratia” rozbiła się o skały, większość jej załogi była już martwa.

— A przyczyna śmierci?

— Nie jestem pewien.

— Zaraza? — Ksiądz pobladł lekko.

— Nie sądzę — uspokoił go Jordan. — Ci pierwsi zmarli w tym samym dniu, może nawet w tej samej godzinie, pozostali żyli jeszcze, gdy „Dei Gratia” wpadła na skały. Nie znam zarazy, która w jednym momencie zabija grupę osób, a potem nagle przestaje się rozprzestrzeniać. Poza tym jedno z tych ciał zbadałem bardzo dokładnie i nie znalazłem żadnych śladów choroby.

Przerwał, upił łyk wina.

— Na pokładzie „Dei Gratii” bez wątpienia wydarzyło się coś przerażającego — kontynuował. — Sądę, że coś ich zaatakowało, w jednej chwili zabijając większość załogi i pasażerów. Ci, którzy pozostali przy życiu, nie zdołali poradzić sobie ze sterem i żaglami, a ponadto strach doprowadzał ich niemal do obłądu. Nic dziwnego, że gdy ujrzeli na brzegu światło, natychmiast skierowali tam statek, licząc, że znajdą bezpieczną przystań i pomoc.

— Ale co wydarzyło się na pokładzie tego statku? — Ksiądz wyraźnie zaczął się niecierpliwić.

Jordan, wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie irytująco wręcz spokojnego.

— Stawiałbym na truciznę — powiedział. — Jest wiele szybko działających trucizn, które nie pozostawiają w ciele zmarłego widocznych śladów. Jeśli ktoś dosypał czegoś takiego do wspólnego posiłku, to ocaleli tylko ci marynarze, którzy akurat pełnili wachtę.

— W takim razie zabójca musiał być szaleńcem — orzekł ojciec Inian. — W przeciwnym wypadku po cóżby ktoś miał truć wszystkich bez wyjątku?

Jordan przytaknął.

— A dlaczego ci, którzy przeżyli, nie wrzucili ciał do wody? — spytał ksiądz.

— Któż to wie? — Jordan wzruszył ramionami. — Może liczyli na to, że w porcie zwłoki trafią w ręce jasnowidza, który znajdzie przyczynę śmierci, a może im także przyszło do głowy, że to zaraza, i bali się dotykać ciał?

Ojciec Inian wypił resztkę wina, podniósł się bez słowa i powędrował do kuchni. Wrócił po chwili, niosąc kolejny dzbanek. Tym razem wino było chłodniejsze, ale Jordan i tak z wdzięcznością przyjął poczęstunek. Myślał przy tym o jasnowidzach, którzy potrafią czytać w martwych ciałach, ale tych znaleźć można było tylko w dużych miastach, a zresztą mieli oni zbyt wiele pracy, by zajmować się zagadką statku, który rozbił się niedaleko miejscowości o nazwie Dolne Tarris.

Cokolwiek zdarzyło się na pokładzie „Dei Gratii”, jej załoga najprawdopodobniej zabierze ze sobą tajemnicę do grobu, pomyślał Jordan.

— Biedni ludzie — wymamrotał ojciec Inian.

Ścisnął w dłoni kubek i patrzył przed siebie szklistym wzrokiem. Jordan pojął, że ksiądz jest na najlepszej drodze do upicia się na smutno. Pojął też, że stan taki nie jest bynajmniej kapłanowi obcy. Proboszcz musiał zaglądać do kielicha z mszalnym winem znacznie częściej, niż wymagały tego kościelne ceremonie.

— To nie pierwszy taki przypadek, prawda? Wcześniej były inne statki? — zapytał Jordan.

Ksiądz ożywił się.

— „Dei Gratia” jest trzecia — powiedział, a w jego oczach znów pojawił się mściwy błysk. — Dwa pierwsze, znacznie większe niż ten, rozbiły się jesienią: jeden we wrześniu, drugi pod koniec października. Od początku było wiadomo, że to robota selvenes. Oni się z tym nawet nie kryją, rozpowiadają wszystkim wokół, skąd mają świecidełka, które noszą. Przeklęta krew i rasa! — Ksiądz wyglądał, jakby miał ochotę splunąć, ale w końcu

ograniczył się do uderzenia pięścią w stół. — Pisałem w tej sprawie do naszego księcia, prosiłem, by przysłał ludzi, którzy zrobią z nimi porządek. Nawet nie odpowiedział. A teraz pojawił się pan... — Po raz pierwszy w oczach ojca Iniana Jordan dostrzegł cień sympatii. Musiał jednak rozwiać złudzenia kapłana.

— Ja nie przyjechałem tu, by z kimkolwiek robić porządek. Nawet nie wiedziałem o tych statkach. Mogę jednak coś dla ojca zrobić. Znam osobiście księcia de Remoussina. Napiszę do niego. Być może mojej prośby wysłucha.

Ojciec Inian nie podziękował, ale w jego oczach wciąż widać było ów cień sympatii.

— Jeśli ojciec nie jest zbyt zmęczony... — Jordan urwał, a gdy rozmówca milczał, kontynuował — proszę mi opowiedzieć o selvenes i o wojnie pomiędzy Dolnym a Górnym Tarris.

— To pan nic o tym nie wiesz?

— Znam tylko plotki, a chciałbym usłyszeć o wszystkim od ojca.

Ksiądz westchnął i przeczesał dłonią włosy. Wyglądał na znużonego i Jordan przez chwilę poczuł przypływ współczucia. Powinien teraz pożegnać się i dać temu niemłodemu już przecież człowiekowi odpocząć. Ale ojciec Inian miał trudny charakter i Jordan wiedział, że powinien wykorzystać okazję, gdy ksiądz jest w miarę przyjaźnie nastawiony.

— No, ja tam panu wiele więcej niż plotki nie powiem — zaczął po chwili. — Wszystko zaczęło się przed stu laty i nikt nie wie, jaka jest prawda. Wiadomo tyle, że już wtedy istniały tu dwie wioski: Dolne i Górne Tarris. Obie należały do jednego pana.

Dolne Tarris tworzyło ledwie parę rybackich chałup, Górne Tarris było większe, prawie jak małe miasteczko. Z kościołem i karczmą. I zamkiem. W zamku mieszkała rodzina de Veysse'ów. I tutaj — ksiądz skrzywił się — trudno już odróżnić prawdę od legendy. Pan na zamku miał sześciu synów. Albo dwunastu. Nawet dwudziestu. W to ostatnie uwierzyć trudno, bo kobieta to nie królicza, żeby tyle dzieci urodzić. W każdym razie miał też córkę, najmłodszą. Dziecko było dziwne i też nie bardzo wiadomo, na czym owa dziwność polegała. Jedni mówią, że Ursanna – bo tak miała na imię – była głucha, inni, że potwornie brzydka, a jeszcze inni twierdzą, że mała od dzieciństwa potrafiła czarować. Tak czy inaczej, bracia nie przepadali za siostrą i ponoć tłukli ją przy każdej okazji. A czasem i bez okazji. Któregoś dnia Ursanna postanowiła się zemścić. A trzeba pamiętać, że w tamtych czasach żyło jeszcze sporo istot, które lud nazywał selvenes, leśnymi ludźmi, choć oni ludźmi wcale nie byli. W jednej wersji Ursanna znalazła siebie wśród nich kochanka, w innej sama tylko w połowie była człowiekiem, bo jej matka nie dochowała mężowi wierności. Selvenes pomogli dziewczynie otruć, zamordować w zwykły sposób czy za pomocą magii, wstaw tu sobie pan, co chcesz, wszystkich braci. Jednego po drugim, od najstarszego do najmłodszego. A ojciec Ursanny umarł z żalu. Miejscowe opowieści mówią o tym wszystkim dość szczegółowo, ale ja oszczędzę tego panu, bo znów nie wiadomo tu nic pewnego. Tak czy siak, po niedługim czasie na zamku panowała już Ursanna i grupa jej nieludzkich przyjaciół. Proboszcz zebrał wówczas paru najwierniejszych parafian i przeniósł się z nimi do Dolnego Tarris,

ale reszcie mieszkańców Tarris Górnego widać takie towarzystwo nie przeszkadzało. — Ksiądz parsknął z pogardą i zamilkł, oburzony.

— Od stu lat — podjął po chwili już spokojniej — krew selvenes miesza się z krwią zwykłych wieśniaków i tamci z Tarris Górnego to teraz jeden w drugiego półludzie i czarownicy. I poganie. Kościół zamienili w tancbudę, do księdza, mojego poprzednika, który pojechał z nimi rozmawiać, strzelali z łuków. I nie ma pokoju pomiędzy Tarris Górnym a Dolnym. Raz my im zajdziemy za skórę, raz oni nam. W zeszłym miesiącu urok rzucili na naszą uzdrowicielkę, aż w gorączce zgorzała. Na to myśmy im pięć chałup z dymem puścili, a da Bóg, przyjdzie czas, gdy całe Górne Tarris spłonie w ogniu.

— A chrześcijańskie miłosierdzie? — przypomniał Jordan.

— Diabła tam warte miłosierdzie — warknął Inian, rzucając mu nieprzychylnie spojrzenie. — Jeśli ludziom siłą miłości i szacunku do Boga w gardło nie wepchniesz, to żyć będą w grzechu jak zwierzęta. Albo selvenes.

— Jak na duchownego, ojciec ma dość osobliwe poglądy.

Jordan pochylił się i palcami zgasił świecę, która dopalała się na stole. Izbę wypełniło przymglone poranne światło. Ojciec Inian podszedł do okna. Promienie słońca padały teraz na jego twarz, szarą ze zmęczenia, pobrużdżoną i poznaczoną czerwonymi żyłkami. Domenic już miał się pożegnać, gdy kapłan odwrócił się gwałtownie.

— Przyjechali — powiedziały. — Potrzebują pomocy.

W izbie nagle zrobiło się tłoczno. Mężczyźni byli mokrzy i ubłoceni, cuchnęli końskim potem, spalenizną i krwią. Wysoki, ogorzały młodzieniec, dotąd podtrzymywany za ramiona, przewrócił się w progu, jęknął głucho i znieruchomiał. Jeden z tych, którzy go podtrzymywali, złapał księdza za koszulę i wybełkotał coś, wskazując leżącego na ziemi towarzysza. Mówił niewyraźnie, bo brakowało mu większości zębów. Krew, która wyciekła z ust, zaschła na brodzie, tworząc z kępki rzadkiej brody brudnoczerwony sopel.

Ojciec Inian chwycił mężczyznę za nadgarstki i siłą oderwał jego rękę od swojej koszuli.

— Zostają tylko ranni! — wrzasnął. — Reszta do domu! Drobne skaleczenia niech wam opatrzą matki i żony.

Cokolwiek mówić o miejscowym proboszczu, trzeba przyznać, że miał u swych parafian posłuch. Wychodzili z ociąganiem, jeszcze w progu odwracając się i wyrzaskując jakieś słowa, które Jordan uznał za przechwałki i pogróżki pod adresem selvenes. Po chwili w izbie został tylko leżący w progu młodzieniec i postawny brodaty chłop, który sztywno przysiadł w kącie. Jordan ze zdziwieniem zauważył, że z jego ramienia sterczy grot strzały.

— On pierwszy — powiedział brodaty dość wyraźnie, celując brudnym paluchem w towarzysza. — Ja wytrzymam.

Jordan i proboszcz przenieśli nieprzytomnego na stół. Młodzieniec miał paskudną ranę na brzuchu, ciągnącą się na skos aż pod serce. Na szczęście ostrze nie uszkodziło narządów wewnętrznych, ale gdy Jordan zdarł przyschnięty materiał koszuli, z głębokiego rozcięcia znów połała się krew.

Nim zdążył powiedzieć słowo, ojciec Inian był przy nim, trzymając miskę pełną ciepłej wody, gąsiorek wódki i parę płóciennych ręczników. Jordan oczyścił brzegi rany i odwrócił się, aby poprosić o igłę i jedwabne nici. Nie musiał. Ksiądz już trzymał w rękach odpowiednie akcesoria wyciągnięte z lekarskiej torby Jordana.

— Uczyłem się kiedyś na cyrulika — wyjaśnił. — Mogę go pozszywać.

Jordan zawahał się, spojrzawszy na drżące palce kapłana.

— Lepiej ja to zrobię.

Zszywał płaty mięśni, jedną ręką ściskając brzegi rany, drugą ostrożnie wbijając igłę. W pewnym momencie młodzieniec oprzytomniał, zajęczał i szarpnął się mocno. Z rany znów popłynęła krew, płótno przyłożone pospiesznie do skóry przesiąkło czerwienią.

— Przytrzymaj go, ojczy — syknął Jordan przez zaciśnięte zęby. — Albo przetłumacz mu, żeby się nie ruszał. Nie zdołam zaszyć tej rany, jeśli się będzie tak rzucał.

— Na studiach tego pana nie uczyli? — spytał ksiądz z ową bezbrzeżną pogardą, jaką cyrulicy żywią do uniwersyteckiej medycyny.

— Uczyli, ale odwykłem od pracy z żywymi — wyjaśnił Jordan. — Większość moich pacjentów leży teraz bardzo spokojnie.

Ojciec Inian wymruczał gniewnie, że z takich spraw nie należy żartować, ale wyszeptał do ucha rannego parę uspokajających słów i młodzieniec przestał się szarpać, pojękując już tylko cicho.



Była jedenasta rano, gdy Domenic Jordan jadł w Sol Ceri późne śniadanie. Towarzyszyła mu pulchna dōna Margalida i jej piętnastoletnia siostrzenica, która w Tarris kurowała osłabione płuca.

— Andrea — dōna Margalida zwróciła się do dziewczyny — przynieś mi szal, pójdziemy na spacer. Nie spiesz się, kochanie. I tak będziemy musiały poczekać, aż trochę się przejaśni.

Gdy Andrea wyszła, ciotka rzuciła okiem na chmurzące się za oknem niebo, potem spojrzała na Jordana.

— Paskudna pogoda, prawda?

Przytaknął w milczeniu.

— Oczywiście na wiosnę często tak bywa. Deszcz i wiatr, sztormy na morzu... — zamilkła.

Jordan nie miał najmniejszego zamiaru pomagać w podtrzymaniu rozmowy.

Kobieta sięgnęła po stojący na stole dzbanek i wlała do kubka z winem odrobinę wody. Nie wypiła, odsunęła kubek, jakby nagle przestał jej się podobać, i w zamian wzięła do ręki kromkę chleba. Miętosila ją przez chwilę.

— Nic dziwnego, że w taką pogodę statki rozbijają się o skały — podjęła zdesperowana. — Słyszałam, że pan badał wyciągnięte z wody ciała. Wielu ludzi uważa, że sekcja to bezczeszczenie zwłok, i oczywiście jest to obrzydliwe, ale... — pod wpływem wzroku Jordana mówiła coraz wolniej i mniej pewnie. — No, czasem przecież nie ma innego wyjścia... To znaczy, ja rozumiem...

— Chciałaby pani dowiedzieć się, co znalazłem? — spytał

uprzejmie Jordan. — Mogę opowiedzieć, jeśli naprawdę pani tego chce.

Dòna Margalida zamilkła na dobre. Chleb w jej rękach zmienił się w sporych rozmiarów kulkę. Wyraźnie unikała wzroku sąsiada. Wreszcie wciągnęła głowę w ramiona.

— Nie o to mi chodziło. Ja tylko...

Z ulgą odwróciła twarz w stronę Andrei, która pojawiła się w drzwiach. Wyszarpnęła jej z rąk szal i zarzuciła sobie na ramiona.

— Gdzie się podziewałaś? — syknęła ze złością. — Myślisz, że nie mam nic lepszego do roboty, jak tylko na ciebie czekać?

— Przecież ciocia mówiła, że mam się nie spieszyć — powiedziała dziewczyna.

W jej słowach nie było ani złośliwości, ani pokory, tylko łagodne przypomnienie. Dòna Margalida zacisnęła usta; sympatyczna, pucółowata twarz kobiety, jakby stworzonej do niańczenia małych dzieci, przybrała nieprzyjemny wyraz. Andrea nawet tego nie zauważyła. Stała przed ciotką jak zawsze spokojna i obojętna, ściskając szkicownik, z którym nie rozstawała się prawie nigdy. Była bardzo ładna: zgrabna, ciemnowłosa i niebieskooka. Od dawna już musiała przyciągać męskie spojrzenia, ale w jej zachowaniu nic nie świadczyło o tym, że dziewczyna zdaje sobie sprawę z tego, iż dzieciństwo ma już za sobą.

\* \* \*

— Nie zimno ci, kochanie?

— Nie, ciociu.

— Wiatr jest dość silny. Mogę ci dać mój szal. Usiądź na nim,

jeśli nie chcesz go nosić. Nie powinnaś siedzieć na gołej skale. Możesz się zaziębić. Dać ci szal?

— Nie trzeba, ciociu.

Uśmiech na twarzy dòny Margalidy powoli zmienia się w grymas złości.

— Powinnaś jednak zabrać coś ciepłego. Czy ja zawsze muszę ci o wszystkim przypominać? Sądzisz, że przez całe życie będę się tobą opiekować? Czy ty mnie w ogóle słuchasz?!

— Słucham, ciociu. Na przyszłość postaram się być uważniejsza.

— Patrzysz na mnie, jakbyś wcale nie słuchała. — Dòna Margalida odwróciła się w stronę morza, skąd nadciągały kolejne podmuchy wiatru.

Nie miała własnych dzieci i całą miłość, jaką w sobie nosiła, przelała na siostrzenicę. Ale Andrea okazała się bardzo niewdzięcznym obiektem macierzyńskiej troski. Nie była złym dzieckiem, wręcz przeciwnie, znajomi dòny Margalidy często powtarzali, że jej siostrzenica jest niezwykle grzeczną i dobrze wychowaną panną, tyle że Andrea nie potrafiła odwzajemnić miłości. Zarówno troskliwość, jak i połajanki ciotki traktowała z tą samą łagodną obojętnością. Zachowywała się, jakby wśród ludzi była tylko gościem, pełnym dobrej woli, ale w gruncie rzeczy niezbyt zainteresowanym tym, co się wokół niego dzieje.

Dòna Margalida spacerowała powoli. Skały ciągnęły się tylko wzdłuż brzegu, szybko ustępując miejsca szerokiej łące, dość ubogiej, bo wiejące znad morza wiatry pozwalały tu rosnąć tylko twardym, silnym trawom i solnym astrom. Dopiero w oddali – tam,

gdzie leżało Górne Tarris – widać było zarysy pierwszych drzew.

W jednej z płytkich żwirowych zatoczek kobieta dostrzegła grupę chłopów brodzących w wodzie i składających na brzegu wyłowione szczątki rozbitego stateczku. Szybkim krokiem wróciła do siostrzenicy. Dziewczyna pochylała się nad szkicownikiem, jej oczy błyszczały, policzki poróżowiwały. Uśmiechała się. Dòna Margalida jeszcze nigdy nie widziała, by widok jakiegokolwiek człowieka wywołał na twarzy Andrei taki uśmiech.

— Przejdę się trochę, kochanie, dobrze? Poradzisz sobie sama?

— Oczywiście, ciociu.

Dòna Margalida rzuciła jeszcze siostrzenicy spojrzenie pełne poczucia winy i potruchtała w stronę zebranych na brzegu chłopów.

Andrea została sama.

Podniosła głowę, patrząc na linię horyzontu. Tego dnia niebo było szaroniebieskie, a morze miało odcień granatu. Ponad jej głową wiatr pędził chmury, bardzo ciemne, niemal czarne i wydłużone w kształt groteskowych, poszarpanych palców. Palce te czasem przesłaniały słońce i na ziemię padał cień. Pozbawiony kolorów krajobraz zmieniał się wtedy, a okrągła kałuża tuż przy stopach dziewczyny wyglądała niczym wielkie martwe oko w oprawie zszarzałych rzęs. A chwilę później słońce znów rozblyskiwało na niebie, w kałuży zapalały się złote iskry i trawy odzyskiwały zieloną barwę.

Dziewczyna zmieniła kredkę na zieloną i wróciła do rysowania.

Nie podniosła głowy, gdy podeszli do niej Jordan i Peyretou. Dopiero gdy młody służący usiadł tuż obok, wymruczała zdawkowe powitanie.

— Czy mogę spytać, co pani rysuje, dòno Andreo? — odezwał się grzecznie Peyretou.

Dziewczyna była tylko zubożałą szlachcianką, a ponadto jej ciotka wyraźnie dawała do zrozumienia, że wciąż uważa siostrzenicę za dziecko – w przeciwnym wypadku Peyretou nie odważyłby się pierwszy rozpocząć rozmowy.

— Krajobraz.

— Mogę zobaczyć?

Dziewczyna odsłoniła kartkę.

— Ładny — przyznał.

— Dziękuję.

Peyretou zakręcił się niecierpliwie. Był przystojnym młodzieńcem i nie przywykł, by dziewczęta odpowiadały mu tak obojętnie.

— Malarka z panny raczej nie będzie — zauważył. — Widziałem już znacznie lepsze rzeczy.

Jordan wzdrygnął się lekko. Chłopak z całą pewnością nie powinien zwracać się w ten sposób do dziewczyny, która stała w hierarchii społecznej wyżej od niego. Innym razem wziąłby służącego na bok i solidnie natarł mu uszu. Teraz jednak nie zareagował, bo Andrea wcale nie wyglądała na urażoną tymi słowami.

— Nie chcę być malarką — powiedziała uprzejmie. — Ja tylko lubię rysować.

Peyretou wstał, wbił ręce w kieszenie kaftana i nie oglądając się, długimi krokami poszedł w tę samą stronę, gdzie niedawno zniknęła dòna Margalida.

Andrea skończyła rysunek, wytarła ubrudzone pastelowymi kredkami dłonie i rozejrzała się. Peyretou nigdzie nie było widać, obok stał tylko Domenic Jordan.

— Czy pański służący się na mnie gniewa? — zapytała.

— Obawiam się, że tak. — Jordan uśmiechnął się.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie zdołał cię obrazić.

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się.

— Nie pojmuję — powiedziała po chwili.

Położyła na kolanach pudełko z kredkami i zaczęła je porządkować.

— Jesteś irytująca, d'òno Andreo — wyjaśnił Jordan — choć pewnie nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. Znałem kiedyś dziewczynę bardzo do ciebie podobną. Nie można jej było zranić. Chroniła ją wiara.

— Wiara? — Andrea podniosła na Jordana oczy, spodziewając się znaleźć w jego twarzy wyraz chłodnej ironii. Zdziwiła się, bo tym razem mężczyzna był całkowicie poważny. — W Boga?

— A także w anioły. — Dopiero teraz jego wargi wykrzywiły się w lekkim, pełnym gorzki uśmiechu.

— Ja w anioły nie wierzę. — Andrea zamilkła, spojrzała na rozciągający się wokół krajobraz. Jej oczy rozblęły. — Ale wierzę we wróżki. To jest bardzo dobre miejsce, by spotkać wróżki.

\* \* \*

— Ta dziewczyna i jej rysunki! — mruzczał Peyretou, idąc krok za Jordanem. — Trudno uwierzyć, że ktoś może tak siedzieć

i rysować, jakby nic więcej go nie obchodziło! I właściwie co ona rysuje? Trawę? Skały? Ile razy można podziwiać tę samą cholerną skałę?

Rzucił niepewne spojrzenie na Jordana, bojąc się, że tym razem przeholował. Czasy, gdy Peyretou był lęklwym chłopcem, który pełen obaw zaczynał służbę, już dawno minęły. Chłopak nabrał pewności siebie i bywało, że ośmielony milczeniem pracodawcy, pozwalał sobie za wiele. Na szczęście miał wystarczająco dużo rozsądku, by wiedzieć, że milczenie to wynika nie tyle z nadmiernej łaskawości pana, ile z tego, że Domenic Jordan paplaniny swego służącego wcale nie słucha. Medyk potrafił też skarcić Peyretou jednym tylko spojrzeniem, które w mgnieniu oka odbierało chłopcu całą odwagę.

Dlatego też, wciąż mówiąc, Peyretou popatrywał od czasu do czasu ostrożnie na pracodawcę.

Jordan milczał obojętnie.

— Wczorajszego wieczoru, tuż po kolacji, zdarzyło się coś dziwnego — ciągnął chłopak. — Andrea, znaczy się dònà Andrea, miała przy sobie ten swój szkicownik, a jej ciotka poprosiła, żeby pokazała rysunki wszystkim przy stole. A ona wstała i powiedziała, że owszem, bardzo chętnie, ale najpierw musi przeprosić na chwilę. I wyszła, zabierając ze sobą szkicownik. A wróciła już z innym. Kartki były inne.

Jordan zatrzymał się i odwrócił. Peyretou wstrzymał oddech.

— Jesteś pewien?

Chłopak odetchnął.

— Tak — przytaknął gorliwie. — Dònà Margalida, dònà Maria

i don Valier są... niezbyt młodzi i nie mają najlepszego wzroku. Nie widzieli, że te kartki się różnią. Ale ja widziałem wyraźnie. Miały inny kolor. Pierwsze szkice narysowano na ciemniejszym, jakby bardziej szarym papierze, a te drugie na jasnym, takim żółtawym. Wygląda na to, że ona nie chciała pokazać tych rysunków, które miała przy sobie, i poszła do pokoju po inne. Ciekawe dlaczego?

— Nie mam pojęcia. — Jordan ruszył naprzód, a Peyretou nie mógł odgadnąć, czy jego pana istotnie to nie interesuje, czy też może nie chce zdradzać się ze swoją ciekawością przed służącym.

Przyspieszył kroku, by zrównać się z pracodawcą.

— Ciekaw jestem, co na tych rysunkach było. Pewno dóna Margalida, gdy wczoraj po południu przewróciła się na schodach, a spódnica podjechała jej prawie do...

Urwał, bo w końcu doczekał się potępiającego spojrzenia Domenica Jordana. Zamilkł i nie odezwał się aż do Sol Ceri.

\* \* \*

Przez cały ranek i popołudnie chłopci znosili na plebanię wyłowione z wody rzeczy. W większości były to do niczego nieprzydatne śmieci: połamane deski, szczątki roztrzaskanych sprzętów, rozbite naczynia. Czasem zdarzały się cenniejsze znaleziska, przeoczone przez selvenes, takie jak para solidnych skórzanych butów, które pewien chłop przywłaszczył sobie z pomrukiem zadowolenia. Znalazł się i dziennik pokładowy, niestety zbyt zniszczony, by dało się z niego cokolwiek odczytać. Ale dopiero napisy na szczątkach beczek, w których niegdyś



znajdowało się basteńskie wino, pozwoliły poznać port przeznaczenia „Dei Gratii”: Dubès. Średniej wielkości miasto usytuowane jakieś półtora dnia drogi w dół wybrzeża.

Jeszcze tego samego popołudnia Jordan, zgodnie z daną ojcu Inianowi obietnicą, napisał do księcia de Remoussina. Drugi list wysłał do mieszkającego w Dubès znajomego, prosząc go, by dowiedział się wszystkiego, co zdoła, na temat niewielkiego statku o nazwie „Dei Gratia”, zmierzającego tam z ładunkiem basteńskiego wina.

Nie zamierzał beczynnie czekać na odpowiedź. Na godzinę przed zachodem słońca zszedł do stajni i kazał osiodłać sobie konia. Odmówił, gdy Peyretou zapytał, czy może z nim jechać. Chłopak nieźle strzelał z pistoletów i był do przesady nawet odważny, ale przecież Jordan jechał do Górnego Tarris nie walczyć, tylko spokojnie porozmawiać i nie chciał brać ze sobą uzbrojonego po zęby narwanego siedemnastolatka.

\* \* \*

Jordan, który kochał wszystko, co uporządkowane i harmonijne, pomyślał w pierwszej chwili, że w życiu nie słyszał gorszej muzyki.

Była chaotyczna, gwałtowna, szarpiąca nerwy. Rozpoznawał dźwięk skrzypiec i fletni, a także podzwanianie blaszanych dzwoneczków, ale pozostałych instrumentów nie znał. Niektóre brzmiały groźnie jak odzywające się w nieregularnych odstępach głucho dudnienie, które przywodziło na myśl sygnały przesyłane przez prymitywne istoty przyczajone w lesie. Inne wydawały się już

tylko zabawne, jakby ktoś grał na wypełnionych wodą kieliszkach i dmuchał w szklane butelki.

Po zastanowieniu uznał, że muzyka ta nie była jednak pozbawiona swoistego dzikiego piękna. Zdawała się pochodzić z pradawnych czasów, gdy ludzie żyli wolni w lasach, czasów, gdy nie istniała jeszcze cywilizacja z jej dyktatem tego, co jest ładne i modne.

Domenic Jordan, który sam był wytworem cywilizacji od czubków eleganckich butów aż po starannie związane na karku włosy, otrząsnął się z zauroczenia i poklepał bok konia, niespokojnie strzygącego uszami.

Siwa klacz stąpała ostrożnie środkiem drogi. Po jednej i drugiej stronie ciągnął się szereg wiejskich chałup. Dobiegały z nich śmiechy dzieci i odgłosy zwykłej krzątanimy, a od czasu do czasu w oknach pojawiały się zaciekawione twarze, ale na zewnątrz nie było nikogo. Mieszkańcy Górnego Tarris, widząc nadjeżdżającego obcego, chowali się w domach i ryglowali drzwi.

Muzyka płynęła z murowanego kościoła, który stał na końcu wsi. Jordanowi zostało jeszcze jakieś dwadzieścia kroków.

Do księdza, który przyjechał z nimi porozmawiać, strzelali z łuków, przypomniał sobie słowa ojca Iniana.

Miał nadzieję, że tutejsi chłopci traktują w ten sposób jedynie kapłanów.

Mylił się.

Strzała wyfrunęła z dachu chałupy, którą właśnie mijał. Klacz kwiknęła, cofnęła się, uginając jednocześnie tylne nogi. Jordan wysunął stopy ze strzemion, chwycił tkwiące w olstrach przy

kulbace pistolety. Zdążył. Zeskoczył z siodła, nim klacz zwała się na ziemię. Z jej boku, zagłębiona aż po lotki, wystawała strzała.

Schronił się za rogiem przeciwległego domu. Przytulony do ślepej ściany, z nabitymi pistoletami w rękach, czekał na następny ruch łucznika. Ale nie było więcej strzał. Nikt też nie biegł do Jordana, nie próbował go atakować.

I tylko płynąca z wnętrza kościoła muzyka umilkła nagle, przycichły dobiegające z domów śmiechy.

Leżąca na środku drogi klacz nie mogła zdechnąć. Rżała przeraźliwie i wyciągała łeb, rozdymając chrapy, a pod lśniącą, mokrą od potu skórą prężyły się mięśnie. Na jeden krótki moment udało jej się podnieść, stanęła na szeroko rozstawionych nogach, dygocząc i kapiąc z pyska krwawą pianą, a potem znów runęła na ziemię. Jordan podziękował w duchu Bogu, bo sądził, że koń wreszcie padł. Zbyt wcześnie. Klacz poderwała łeb, naprężyła szyję. Przekręciła się do pozycji kłęczącej, ale wstać już nie potrafiła. Oddychała tylko chrapliwie, wciąż napinając mięśnie.

Jordan ścisnął w spoconych dłoniach rzeźbione rękojeści. Miał cztery kule i zbyt mało czasu, by ponownie załadować pistolety, gdyby ktoś próbował go zaatakować.

Klacz zarżała raz jeszcze. Jordan wyciągnął rękę, wycelował. W zdenerwowaniu chybił, kula uderzyła w końską szczękę, gruchocząc ją. Klacz przestała rzeć, ale wciąż żyła, odłamki kości sterczały groteskowo z czegoś, co do niedawna było pyskiem. Potrząsnęła łbem, na moment zwracając się w stronę Jordana i rozbryzgując wokół deszcz szkarłatnych kropel.

Zaklął z rozpaczą i wybiegł na drogę. Drugą kulę wpakował

wprost w oszalałe cierpieniem oko.

Podniósł głowę.

Przed nim stał łucznik, chudy wyrostek w przyciasnej koszulinie i przykrótkich spodniach, najwyraźniej odziedziczonych po starszym bracie. W rękach trzymał łuk, nałożona na cięciwę strzała skierowana była w ziemię. Przez moment Jordan zastanawiał się, czy nie poderwać broni, nim tamten wyceluje. Zdążyłby to zrobić, był tego niemal pewien. Ale chłopak nie wyglądał zbyt groźnie. I nie chciał zabijać – mierzył do konia, a nie do mężczyzny. Tamta strzała miała raczej ostrzegać, pokazać, kto tu rządzi.

A i Jordan nie przyjechał tu po to, by walczyć, lecz żeby porozmawiać.

Wolno, spokojnie rozłożył więc ręce, w których wciąż trzymał pistolety.

Wyrostek powiódł wzrokiem za jedną dłonią mężczyzny, potem za drugą. Nie mógł oderwać oczu od lśniącej stali.

— Posłuchaj — powiedział łagodnie Jordan. — Niepotrzebnie zabiłeś mi konia. Chcę tylko porozmawiać

Chłopak zamrugał, jakby obudzony ze snu.

— Zabierz mu pistolety — zabrzmiał za plecami Jordana kobiecy głos. — Nie lubię broni palnej. Szpadę możesz zostawić. Pasuje do niego.

Jordan wręczył chłopakowi broń. Ubawiła go myśl, że młody łucznik wygląda na bardziej oszołomionego od niego. On sam zdążył już odzyskać spokój.

Odwrócił się. Stojąca za nim kobieta skrywała twarz

w szerokim kapturze płaszcza.

— Chodź ze mną — powiedziała.

Poprowadziła go do murowanego kościoła, tego samego, który według słów ojca Iniana selvenes zmienili w tancbudę. Za Jordanem zamknęły się ciężkie wrota.

\* \* \*

Światła... Były tu światła, ale jakieś dziwne, znajdowały się na granicy pola widzenia i umykały, gdy próbował na nie spojrzeć. Kościół wypełniały szepty i chichoty, westchnienia, ciepło rozgrzanej tańcem skóry. Płomienie świec zapalały błyski w oczach, wyławiały z mroku jasne jak len włosy, delikatne usta, zgrabne nosy. Spróbował dojrzeć w półmroku choć jedną konkretną osobę, ale wzrok napotykał tylko ciemność. Złote, roziskrzone twarze zdawały się być wszędzie, tylko nie tam, gdzie akurat patrzył.

Zmęczony i zirytowany, uniósł głowę. A tam ponad bawiącymi się selvenes płynął przez ciemność rozpięty na krzyżu Zbawiciel. Jordan przypomniał sobie, że w tej części kraju istniał osobliwy zwyczaj wieszania krzyża pod stropem kościoła, poziomo, tak by wierni mogli lepiej go widzieć.

Umęczony Chrystus spoglądał w dół. Ktoś usposobiony poetycko pomyślałby pewnie, że jego oczy są pełne smutku, ale poezja była ostatnią rzeczą, na jaką Jordan miał teraz ochotę.

Pozwolił przewodniczce poprowadzić się w stronę ołtarza. Siedziała na nim drobna figurka. Jordan wziął ją w pierwszej chwili za małą dziewczynkę, ale to nie było dziecko, lecz kobieta,

skurczona ze starości. Miała co najmniej sto lat. Może nawet sto piętnaście.

— Ursanna de Veysse? — powiedział niepewnie. Staruszka zachichotała.

— Sanna. Przywykłam do takiego miana.

Jordan wiedział, że sytuacja już dawno wymknęła mu się spod kontroli, a tego nie lubił. Mimo to zachował uprzejmy wyraz twarzy i dobre maniery.

— Przyjechałem tu, by z wami porozmawiać — powiedział. — Będę wdzięczny, jeśli znajdzie się ktoś, kto zechce odpowiedzieć na moje pytanie.

— Przyjechał, żeby porozmawiać — zaszemrał głos za jego plecami.

— To bardzo głupie — wyszeptał głos z prawej. — Możemy go zabić.

— Ale odważne — tym razem odezwał się głos z lewej, nieco z tyłu.

— Dlaczego mielibyście mnie zabijać? — Jordan mówił w przestrzeń, do nikogo konkretnego. Ursanna de Veysse, wciąż chichocząca leciutko, nie wydawała mu się stosowną partnerką do rozmowy. — Nie stanowią dla was żadnego zagrożenia.

— U ludzi najbardziej lubię ich logikę — zaśmiał się ktoś.

Ursanna de Veysse zdawała się nie zwracać żadnej uwagi na jego słowa.

— Zdejmijcie mnie — zażądała kapryśnie.

Natychmiast z mroku wynurzyły się dwie silne ręce, złapały ją pod ramiona i postawiły na ziemi.

— Chodź. Pokażę ci coś.

Poprowadziła go w bok, w stronę prawej nawy. Zniecierpliwiony Jordan był coraz bliższy wybuchu.

Kobieta przystanąła i wykonała coś, co od biedy mogłoby ująć za taneczny pląs.

— Tu leży mój brat Felix — oznajmiła. — A tu Guibert. I Ramon. A tu – już nie pamiętam, może kilka kroków dalej? – mój ukochany najmłodszy braciszek Rafael. Widzisz? Tańczę na grobach moich najbliższych. To takie przyjemne!

Cierpliwość Jordana skończyła się w tym momencie. Odwrócił się, błyskawicznym ruchem wyciągnął na chybił trafił rękę. Coś pisnęło w mroku i jego palce zwały się na kawałku delikatnego materiału. Przesunął chwyt, obejmował teraz dłonią szczupłe kobiece ramię.

— Dòna Ursanna nie jest zbyt interesującą rozmówczynią. — Nie podniósł głosu, ale jego palce zaciskały się coraz silniej. Kobieta, którą trzymał, wydała zduszony okrzyk. — Chciałbym porozmawiać z kimś, kto ma nieco jaśniejszy umysł.

\* \* \*

— O czym chcesz pan rozmawiać?

Jeszcze przed chwilą przysięgłby, że w kościele jest co najmniej trzydzieści osób, teraz zorientował się, że otaczająca go grupka liczy tylko piętnastoro selvenes, a ściślej biorąc: siedmioro czystej krwi selvenes i ośmioro mieszaińców.

— O „Dei Gratii”.

— Niewiele tam było rzeczy, które warto ukraść — zaśmiała

się jedna z kobiet, ta sama, która go tu przyprowadziła. Odrzuciła kaptur, odsłaniając jasne włosy i połyskujące w uszach kolczyki z różowych pereł. — Ale zabrałam sobie te kolczyki. Poprzedniej właścicielce nie były już potrzebne.

— Ograbiamy podróżnych — powiedział mężczyzna siedzący u stóp ołtarza naprzeciw Jordana. W jego bladej twarzy zwracały uwagę wielkie zielone oczy. — Czasem także ich zabijamy, jeśli nie są wystarczająco uprzejmi, by wcześniej utonąć. Potępia nas pan, prawda? — Patrzył wyzywająco, z kpiącym uśmiechem.

— Oczywiście, że tak — odparł chłodno Jordan. — Ale nie przyjechałem tu, by wygłaszać kazania. Chcę tylko zadać wam jedno pytanie. Moje potępienie nie ma z tym nic wspólnego.

Zielonooki wyglądał na rozczarowanego. Skinął przyzwalająco głową.

Jordan opowiedział im, co odkrył, badając wyłowione z wody ciała. Słuchali w milczeniu, a on nic nie potrafił wyczytać z ich twarzy.

— Zastanawiałem się — powiedział na koniec — czy wśród rzeczy, które zabraliście ze statku, nie było czegoś, co pozwoliłoby rozwiązać tę zagadkę. Mogłoby to być coś... bo ja wiem, dziwnego, nietypowego. Coś, czego nie spodziewalibyście się tam zastać.

Zielonooki pokręcił głową. Kpina zniknęła z jego oczu.

— Nic takiego nie znaleźliśmy.

W tym momencie roześmiała się stojąca na uboczu kobieta. Jej włosy w przeciwieństwie do większości selvenes miały kasztanowy, a nie złoty kolor.

— Ale przecież możemy dać ci, panie, coś znacznie lepszego.



Nie wszyscy pasażerowie „Dei Gratii” zginęli, jednego z nich znaleźliśmy, gdy unosił się na wodzie. Był taki śliczny i bezbronny, że nie mieliśmy serca go dobić. Jest teraz w zamku i powoli wraca do zdrowia.

Jordan powiódł wzrokiem po otaczających go uśmiechniętych twarzach. Żartowali sobie z niego? Może i tak, choć w przypadku selvenes wszystko było prawdopodobne. Może rzeczywiście postanowili ocalić jednego z pasażerów tylko dlatego, że był śliczny i bezbronny?

A jeśli tak, to musiał ich koniecznie przekonać, by pozwolili mu z tym człowiekiem – chłopcem? – porozmawiać.

Nie zdążył jednak nic powiedzieć. Wąskie witrażowe okno rozprysło się nagle; na posadzkę u stóp Jordana spadł kamień.

Selvenes krzyknęli i cofnęli się.

— Mordercy! — wrzasnął ktoś na zewnątrz kościoła.  
— Rabusie!

Poparł go zgodny chór głosów. Drugi kamień wleciał do środka przez wybite okno, trzeci stłukł następną szybę. Selvenes cofali się coraz bardziej w stronę przeciwległej ściany, oszołomieni, bezradni, patrząc, jak kolejne szyby wzdłuż prawej nawy sypią się w odłamki. Jordan odsunął się również, ale stanął za ołtarzem, z dala od jakichkolwiek okien. Postąpił rozsądnie, bo w tym momencie pękła pierwsza szyba po lewej stronie i kolorowe szkło posypało się na głowy stojących tam selvenes.

Kasztanowłosa kobieta wrzasnęła i rzuciła się do wyjścia. Pozostali ruszyli za nią. Mocowali się chwilę z szerokimi wrotami, ale te, podparte czymś z zewnątrz, nie chciały ustąpić.

— Jest drugie wyjście! — krzyknęła kasztanowłosa, biegnąc w stronę bocznych, znacznie węższych drzwi.

— Nie! Tamci tylko na to czekają! — Jordan spróbował zagrozić jej drogę, ale wyminęła go zwinnie. Dopadł ją tuż przy drzwiach, złapał za włosy i pociągnął w tył. Za późno, już trzymała rękę na klamce, drzwi otworzyły się.

Kula, która przeszła jej głowę, mało nie urwała mu palców. Puścił włosy i kobieta osunęła się na ziemię. Ktoś napierał na drzwi, próbował je zamknąć, nie zważając na leżące w progu ciało. Jordan odepchnął go, otworzył drzwi szerzej i pochylił się. Następna kula przeleciała mu niebezpiecznie blisko twarzy, poczuł na policzku powiew gorącego powietrza. Przesunął ciało, ktoś zatrzasnął drzwi. Jordan wyprostował się.

— Chodźmy na dzwonnice — zaproponował zielonooki. Jego twarz była zacięta, zdecydowana. Nie wyglądał już na oszołomionego ani bezradnego. Wskazał stojące pod ścianą długie łuki. — Możemy przecież strzelać do nich z góry.

Pozostali entuzjastycznym pomrukiem wyrazili zgodę. Zielonooki wziął na plecy maleńką Ursannę de Veysse i selvenes idąc gęsiego, zniknęli w drzwiach prowadzących na wieżę. Jordan usłyszał zgrzyt przekręcanego w zamku klucza.

Został sam, jeśli nie liczyć martwej kobiety. Z zewnątrz wciąż dochodziły krzyki, nieco cichsze teraz i pełne bezradnej złości.

Odciągnął ciało dalej i stanął przy wejściu. Ostrożnie nacisnął klamkę, pchnął drzwi, uskakując jednocześnie w bok. Czekał. Trwało dłuższą chwilę, nim jego uszu dobiegł stłumiony oddech i w progu stanął barczysty chłop. Wolno, niepewnie postąpił krok

w głąb kościoła.

Jordan chwycił go za ramię, drugą ręką bez większego trudu wrywając mu z dłoni starą rusznicę. Chłop otworzył usta.

— Poznajesz mnie? — zapytał Jordan. Przezornie stanął tak, by światło świec padało na jego twarz. — Wczoraj pomagałem twoim kompanom, pamiętasz?

Tamten skinął głową i wyrzucił z siebie kilka pospiesznych słów. Jordan uznał, że chłop pyta go, skąd się tutaj wziął.

— Później. Teraz chciałbym stąd wyjść. Wróc do swoich i powiedz, żeby nie strzelali, gdy stanę w drzwiach, dobrze? — starał się mówić wolno, bardzo wyraźnie.

Chłop ponownie skinął głową. Zrozumiał, dzięki Bogu. Mieszkańcy Dolnego Tarris musieli jakoś dogadywać się z przebywającymi w Sol Ceri kuracjuszami i najprawdopodobniej ten wieśniak rozumiał Jordana o niebo lepiej niż Jordan jego.

Ponad coraz bardziej chrypliwe i zniechęcone krzyki wzbił się nagle wrzask, w którym dźwięczała rozniecona na nowo wściekłość. Jordan zrozumiał, co się stało.

— Strzelają do was z dzwonnicy — powiedział. — A podejrzewam, że w mroku widzą znacznie lepiej niż wy. Wracajcie do domu.

\* \* \*

Domenic Jordan ostrożnie zbliżył pióro do papieru i jednym precyzyjnym ruchem wykreślił biegnący od kości ramiennej mięsień.

Rysował wilkołaka, którego zabił zeszłego lata. Zabił i rozciął

jego ciało, by zobaczyć, jak pracują mięśnie. Teraz porównywał notatki, próbując stworzyć z nich spójny obraz organizmu, któremu magia nadała niezwykłą moc. Ale w jego rysunku magii nie było. Leżał przed nim schematyczny obraz martwego ciała, obdartego ze skóry i z odsłoniętymi mięśniami. Zwyczajne zwłoki, jakich Jordan widział już dziesiątki.

Podniósł głowę. Zbliżała się pora kolacji i jak zawsze o tej godzinie Sol Ceri wypełniła się tupotem nóg i głosami służby biegającej tam i z powrotem.

Ktoś zapukał cicho i po chwili, nie czekając na zaproszenie, do pokoju wsunęła się Andrea z nieodłącznym szkicownikiem pod pachą.

— Straszny tam gwar — powiedziała. — Czy mogłabym tu przez chwilę posiedzieć?

Skinął głową i wrócił do pracy. Andrea lubiła od czasu do czasu przychodzić do jego pokoju. Jordan nie zadawał żadnych pytań, nie próbował nawiązywać rozmowy, a Andrea wydawała się zadowolona z tej namiastki samotności, jaką dawało jej jego milczenie. Zazwyczaj poprawiała coś w szkicowniku lub po prostu przeglądała rysunki, a Jordan zajmował się swoimi sprawami.

Tym razem było inaczej.

Andrea położyła szkicownik na kolanach i wbiła wzrok w plecy pochylonego nad biurkiem Jordana.

— Ta dziewczyna, o której pan wczoraj mówił — powiedziała. — Ta podobna do mnie, która wierzyła w anioły.

Dorysował jeszcze jeden mięsień i spojrzał na Andreeę.

— Tak?

— Co się z nią stało?

— A co miałyby się stać?

Andrea zmarszczyła brwi. Wydawała się zagubiona i zmieszana. I przejęta, a to było do niej niepodobne.

— Pytam, bo wtedy, nad morzem, mówił pan o niej jakby... umarła.

Jordan spojrzął na leżącą na biurku kartkę. Tuż obok głowy wilkołaka widniał sporych rozmiarów kleks. Odłożył ostrożnie cieknące pióro, z pedantyczną dokładnością kładąc je tak, by nie zaszkodziło więcej żadnym papierom. Sięgnął po bibułę, starannie osuszył plamę. Położył kartkę na pozostałe i wyrównał brzegi stosu.

Spojrzał na dziewczynę.

— Oczywiście, że nie umarła.

Andrea nie wyglądała na przekonaną. Nic dziwnego, pomyślał Jordan. Sam sobie bym nie uwierzył.

Drzwi otworzyły się, w progu stanęła dóna Margalida. Odnalazła wzrokiem Andreę i skrzywiła się.

— Zaczekaj w naszym pokoju. Chcę zamienić z tobą parę słów.

Gdy Andrea wyszła, kobieta zwróciła się do Jordana:

— Cóż pan sobie wyobraża, spotykając się z moją siostrzenicą w takim miejscu? Czy w panu nie ma odrobiny przyzwoitości?

— Dobrze — odparł uprzejmie Jordan — znajdę inne miejsce na nasze spotkania. Ten pokój rzeczywiście nie wygląda najlepiej.

Dóna Margalida poczerwieniała z oburzenia.

— Miałam na myśli... Tak sam na sam, to nie wypada...  
— urwała.

Domenic Jordan budził w niej... nie, nie lęk, to byłoby za dużo

powiedziane, ale coś w rodzaju niepokoju. Przez całe życie obracała się w środowisku spokojnych mieszczan i jak dotąd nie знаła nikogo podobnego do tego bladego, zawsze ubranego w czerń mężczyzny.

— Czy i dzisiaj rano towarzyszył pan mojej siostrzenicy? — zapytała. Miało to zabrzmieć obcesowo, a okazało się bardzo grzeczne.

Jordan milczał. Zeszłej nocy nie spał w ogóle, dzisiaj więc obudził się dopiero koło jedenastej i rankiem z pewnością nikt mu nie towarzyszył. Ale nie zamierzał tłumaczyć się przed tą kobietą.

— Straciłam ją z oczu na całe trzy godziny — wymruczała d'ona Margalida usprawiedliwiająco. — Ostatnio ciągle gdzieś znika. Mówi, że spaceruje nad morzem.

\* \* \*

Ojca Iniana obudził szelest.

Wsparł się na łokciu, wzrokiem usiłując przebić ciemność. Szelest powtórzył się, tym razem wyraźniejszy. Ojciec Inian rozpoznał w nim cichy odgłos skradających się kroków. Sięgnął po pistolet, który leżał na stoliku przy łóżku. Chłód metalu jak zawsze uspokoił go, pozwolił poczuć się pewniej.

Wstał ostrożnie. Jedynym jasnym punktem w pokoju był prostokąt okna i właśnie tam skierował się ksiądz. Wyjrzał na zewnątrz.

Wokół domu kręciła się jakaś postać. Chodziła tam i z powrotem, przykucając co jakiś czas i drapiąc w mur, jak zwierzę szukające drogi ucieczki. Ojciec Inian odemknął haczyk

i otworzył okno. Nieznajomy stał teraz w świetle księżyca, odwrócony tyłem do księdza. Kapłan widział wyraźnie jego chudą, chłopięcą sylwetkę i rozczochraną czuprynę.

Wychylił się przez okno, wyciągając rękę z pistoletem.

— Nie ruszaj się! — krzyknął. — Mam broń!

Chłopak puścił się biegiem przez podwórko. Ksiądz nacisnął spust. Kula sięgnęła celu i intruz upadł z cichym okrzykiem.

Proboszcz pospiesznie zapalił latarnię i wybiegł na zewnątrz. Na ziemi leżał chudy wyrostek w przyciasnej koszuli. Miał strzaskane ramię i był nieprzytomny. Ksiądz przerzucił sobie bezwładne ciało przez plecy i – na przemian jęcząc „biedne dziecko” i przeklinając po żołniersku – zaniósł chłopca na plebanię.

\* \* \*

Kapitan Audert, parskając i rozchlapując wokół wodę, mył się pod stojącą na podwórku pompą. Wokół kręciło się trzydziestu żołnierzy z jego oddziału. Wynosili na zewnątrz wszystkie stoły i krzesła, jakie udało im się znaleźć na plebanii. Co jakiś czas na podwórku pojawiali się miejscowi chłopci, a żaden z nich nie przychodził z pustymi rękami. Przynosili bochenki chleba, masło, sery, miski z okraszoną słoniną kaszą i dzbany piwa, czasem też kawały pieczonego prosięcia czy smażone morskie ryby. Na stołach piętrzył się stos potraw zdolny zaspokoić apetyty dwa razy większej liczby osób.

Wygląda na to, pomyślał kapitan Audert, że na tym cholernym zadupiu przynajmniej dają dobrze jeść.

Zauważył przy tym, że część z tych, którzy przynieśli

poczęstunek, wcale nie zamierza odejść. Zbili się przy płocie w gromadkę, tkwiąc tam z typowo chłopskim uporem i cierpliwością.

Parsknął i ponownie wsadził głowę pod strumień płynącej z pompy wody.

— Zamierzasz pan zaatakować zamek? — powiedział ktoś tuż nad jego uchem.

Przetarł chustką twarz. Obok stał młody, ubrany w czerni mężczyzna.

— Aha — potwierdził Audert.

— Kiedy?

— Dziś w nocy. Lepiej to zrobić, zanim tamci się dowiedzą, że tu jesteśmy. No i chcę szybko wrócić do domu. Do dzieci i ciepłego wyrka żonki. Nie mam zamiaru utkwic w tym... eee, Tarres, Tarris czy jak tam zwą tę wiochę.

Audert schował chustkę do kieszeni i z trudem dopiął kurtkę munduru na potężnym brzuszysku. Miał krótko ścięte, przetykane siwizną włosy, mokre teraz i nastroszone, oraz czerwoną twarz tłuściocha.

— Nie wiem, czy to rozsądny pomysł — powiedział ten czarny, który przedstawił się jako Domenic Jordan.

— E tam. — Kapitan wzruszył ramionami. — Poszczyściło się nam w tym waszym... Tarros? Tarres?

— Tarris. To prosta nazwa. Jeśli bardzo się pan postarasz, na pewno zdołasz ją zapamiętać.

Audert łypnął na Jordana z niechęcią.

— W każdym razie — podjął — tutejszy proboszcz, w gorącej



wodzie kąpany klecha, ustrzelił w nocy dzieciaka. Nie wiem po cholere, szczerze mówiąc. Tak czy siak, dzieciak oprzytomniał dziś koło południa i okazał się potulny jak baranek. On jest od nich, pojmujesz pan? Służy w zamku. Nie trwało pół godziny, jak żeśmy go namówili, żeby nam pomógł. Ojczulek zmienia mu właśnie opatrunek, a później dzieciak wróci do tamtych, na zamek. Powie, że uciekł ojczulkowi. A dziś w nocy otworzy nam bramę.

— Oczywiście nie za darmo?

— Nie tak, jak pan myślisz. — Kapitan zachichotał, aż zatrząsły się jego tłuste policzki. — Dzieciak został zdrajcą za parę fikuśnych pistoletów. Ponoć świsnął je jakiemuś biedakowi, tak przynajmniej zrozumiałem, a selvenes bez litości zabrali mu zabawki. Tak więc zawarliśmy umowę: my podrzynamy gardła selvenes, a znalezione pistolety zostają własnością... eee, zapomniałem, jak mu tam było. Rozumiesz pan? Prosta sprawa.

— Nie bardzo — zaprotestował Jordan. — Pistolety są moje i chcę je odzyskać.

Kapitan Audert przez chwilę spoglądał na niego z uwagą.

— Zmyślasz pan — zawyrokował w końcu.

— Dwustrzałowe, lufy oprawione w łoża z drewna orzechowego, nabijane srebrnymi i złotymi maswerkami, rzeźbione zamki i okucia — powiedział cierpliwie Jordan.

Audert przecesał dłonią mokre włosy, burząc je jeszcze bardziej.

— Dzieciak mówił coś podobnego — przyznał z niechęcią. — Uparłeś się, człowieku, żeby utrudnić mi życie? Co ja panu zrobiłem? Ja tylko wykonuję swoje obowiązki, nie? No nie patrz

pan na mnie takim wzrokiem, bo mi się wszystko w środku przewraca. Dostaniesz pan swoje pistolety. Znajdę dzieciakowi inne.

\* \* \*

— Panie Jordan?

Ojciec Inian dogonił go, odprowadził parę kroków, by oddalić się od wciąż kręcących się po podwórku żołnierzy i chłopów, którzy właśnie próbowali zawrzeć znajomość.

— Ten chłopiec, którego zraniłem — przez twarz księdza przemknął wyraz bólu, ale nadal patrzył Jordanowi w oczy, nie odwracając wzroku — wyznał właśnie, że przyszedł tu podrzucić mi śmiercionośny urok. Z rozkazu tych przeklętych selvenes oczywiście, niech ich piekło pochłonie. Zgubił ten urok gdzieś koło domu. Szukałem go, ale nie znalazłem. Wiesz pan coś o tym?

— To był taki specyficzny urok, prawda? Mały skórzany mieszek pełen sproszkowanych ziół, kości i spalonych kart z zaklęciami. Zgadza się?

— Coś pan z nim zrobił?

— Spaliłem u ojca w kominku.

— Czyś pan oszalał?! — wybuchnął ojciec Inian. — Wiesz pan, co zrobiłeś?! Ściągnąłeś przekleństwo na mój dom, teraz będę musiał...

— Niechże ojciec się uspokoi. Spaliłem ten urok na zewnątrz, nad bieżącą wodą. Nikomu nic się nie stanie. Proszę o wybaczenie, nie wiedziałem, że ojciec aż tak się zdenerwuje.

Ksiądz oddychał ciężko, starając się odzyskać spokój. Z trudem

udało mu się opanować. Potem odwrócił się, spojrzął na żołnierzy i chłopów, którzy tworzyli już jedną grupę.

— Przyłączysz się pan do nas, prawda? — zapytał. — Wielu ludzi z wioski się przyłączyło. Kapitan Audert powiedział, że nie ma nic przeciwko, bylebyśmy mieli jakąś własną broń.

— My? Ksiądz wybiera się z nimi?

— Czemu nie? — warknął swoim zwykłym nieprzyjemnym tonem. — A pan?

— Ja zostaję.

— Obleciał pana tchórz? Nosisz pan tę szpadę u boku tylko po to, żeby ładnie wyglądać? Myślałem...

— Może ojciec sobie darować resztę. I tak nie pojedę. Ale mam do ojca prośbę.

Ksiądz poprawił pas z bronią, który nosił na biodrach, obciągnął sutannę, tak by guziki układały się prosto, w jednej linii. Takim samym gestem żołnierze sprawdzali, czy ich mundury dobrze leżą.

— Nie przywykłem do częstego spełniania próśb.

— A ja nie przywykłem do tego, by często prosić. Może więc uda nam się porozumieć. Tam, w zamku, powinien być ktoś z „Dei Gratii”. Młody chłopak, prawdopodobnie. Młody i ładny. Nie zabijcie go przez przypadek razem z resztą, dobrze? Chciałbym z nim porozmawiać.

\* \* \*

Do zamku musieli wejść północną bramą, bo droga do południowej, częściej używanej, wiodła przez Górne Tarris. Nie

będzie żadnych kłopotów, zapewnił ojciec Inian, który przy milczącej zgodzie Auderta objął funkcję zastępcy kapitana. Tam nawet nie ma straży, selvenes zawsze wierzyli, że obronią ich grube mury, magia i psy, które nocą biegają po dziedzińcu. Jako ochronę przed magią żołnierze i miejscowi nosili poświęcone medaliki z wizerunkiem św. Imberta. Ochrona przed psami... cóż, z pewnością wystarczą kule z muszkietów.

„Wszystko pójdzie gładko”, powiedział więc ojciec Inian i szczerze w to wierzył. Teraz, jadąc wśród żołnierzy przez rzadki las, czuł się jak za dawnych dobrych dni. Nie potrzebowali latarni, księżyc świecił wystarczająco jasno. W jego blasku smukłe pnie młodych sosen miały srebrny kolor.

Ksiądz dotknął rękojeści pistoletu, ciesząc serce jej chłodem i gładkością. Potem obejrzał się. Gdzieś na końcu milczącego oddziału znajdował się ten arystokratyczny medyk ze stolicy i jego młody służący. Ojciec Inian nie miał pojęcia, dlaczego Domenic Jordan w ostatniej chwili postanowił się do nich przyłączyć. Zapytał, ale ten lakonicznie odparł: „Zaszły pewne nowe okoliczności”, i więcej nie odezwał się ani słowem.

\* \* \*

Konie zostawili w zagajniku pod opieką jednego z chłopów. Potem przez otwartą północną bramę cicho i ostrożnie wśliznęli się na dziedziniec. Zamek był niewielki, przysadzisty, zbudowany najwyraźniej w czasach, gdy bardziej dbano o wartości obronne niż o estetykę. Jordan rozejrzał się, rejestrując grube i wysokie mury, przytulone do nich warsztaty, a w końcu wznoszący się pośrodku

donżon i stojącą niedaleko wieżę kuchenną. Wszystko to, oblane światłem księżyca w pełni, miało bladossrebrny kolor, taki sam jak sosny, które niedawno mijali. Ale tam, w zagajniku, barwa ta wydawała się piękna. Tutaj kojarzyła się tylko z chłodem zimy, z opuszczeniem i samotnością. I śmiercią. Może przede wszystkim ze śmiercią.

Jordan wciągnął w płuca powietrze, mając wrażenie, że razem z nim wdycha panującą w zamku grozę. Wziął pożyczony od ojca Iniana pistolet, ale w przeciwieństwie do księdza jemu chłód metalu nie przyniósł ulgi.

— Mam dziwne przeczucie, że coś tu jest nie w porządku — wymruczał ktoś nad jego uchem.

Jordan też sądził, że coś tu jest nie w porządku, ale nie potrzebował do tego żadnych przeczuć.

Nigdy, na Boga, nigdy nie zdarza się, by – nawet w środku nocy – w tak dużym budynku panowała całkowita cisza. Zawsze znajdzie się ktoś, komu zbierze się na nocny spacer, ktoś, kto pod osłoną ciemności obłapia w kącie dziedzińca służącą, ktoś, czyje chrapanie słychać przez uchylone okno.

Tymczasem na zamkowym dziedzińcu słychać było tylko niespokojne oddechy żołnierzy i chłopów. I łopot szmaty zawieszanej w drzwiach jednego z warsztatów. Nic więcej.

Ktoś samowolnie skrzesał ogień i zapalił pochodnię. W jego ślady poszli inni. Ciepłe światła rozproszyły nieco upiorny blask. Ludzie poczuli się pewniej. Spoglądali teraz wyzywająco, gotowi do ataku. Chcieli walczyć, zmierzyć się z przeciwnikiem z krwi i kości.

Wiatr szarpnął mocniej zawieszoną w drzwiach szmatą, języki ognia w pochodniach pochyliły się w prawo. Kapitan Audert postąpił kilka kroków i zatrzymał się w pół drogi do donżonu. Zawahał się, próbując znaleźć w sobie odwagę, by iść dalej.

W tym momencie spoza kręgu ciepłego światła pochodni wypadł jakiś kształt, zwinny, wielki jak młode cielę, ciemniejszy jeszcze od mroku. Bestia skoczyła kapitanowi do gardła, mężczyzna zdążył tylko wydać cichy, zaraz zduszony krzyk i upadł na ziemię. Nim ktokolwiek zdążył zareagować, rozległ się strzał, bestia zaskowyczała i cofnęła się. Jordan dobił ranne zwierzę strzałem w łeb. Wszystko to rozegrało się błyskawicznie, w ciszy, którą przerwały tylko krzyk człowieka, skowyt i odgłosy strzałów.

Teraz cisza pękła ostatecznie. Ludzie przekrzykiwali się – ci, którzy stali z tyłu, pytali, co się stało, ci, którzy wszystko widzieli, próbowali tłumaczyć. Jordan klęczał nad Audertem otoczony przez ciasny kordon mężczyzn, iskry z pochodni spadały mu na włosy, ciepło ognia, gdy żołnierze pochylali się, by spojrzeć na ranę kapitana, parzyło skórę.

Audert umierał. W rytm uderzeń serca z rozdartego gardła wypływała krew. Jordan próbował uciskiem na tętnicę zatrzymać krwotok, z góry jednak wiedział, że sprawa jest przegrana. Rana była zbyt duża, kapitan bladł z każdą chwilą, próbował jeszcze coś mówić, ale jego oczy patrzyły coraz mniej przytomnie. W końcu krwotok ustał.

Jordan podniósł się. Dłonie wytarł w chusteczkę, od razu, póki krew nie zdążyła zaschnąć. Przepchnął się przez tłum żołnierzy. Peyretou chwycił go za łokieć.

— Nie żyje?

Jordan skinął głową. Chłopak wyglądał na rozczarowanego.

— To ja strzelałem — wyjaśnił. — Myślałem, że uratowałem mu życie.

— Strzelając z takiej odległości, w mroku, równie dobrze mogłeś trafić zwierzę, jak człowieka. Jesteś bardzo szybki, to dobrze, ale wolałbym, abyś na przyszłość pomyślał trochę, zanim zrobisz coś takiego.

— Ja...

— Wiem, że chciałeś dobrze — przerwał mu Jordan. — Ale o tym, że nie zostałeś mordercą, zdecydował przypadek, a nie twoje umiejętności. Biorę cię ze sobą także po to, byś mnie chronił, nie chciałbym jednak któregoś dnia skończyć z kulą własnego służącego w plecach.

— Przepraszam.

Jordan nie zwracał już uwagi na słowa Peyretou.

Pod prowadzącą do donżonu bramą leżało ciało.

Służący zauważył je również i chcąc jak najszybciej odwrócić uwagę od własnej osoby, pobiegł tam. Pochylił się i zaraz cofnął, następując na stopę stojącego za nim mężczyzny. Zachwiał się. Jordan podtrzymał go.

— Czego cię uczyłem? — zapytał łagodnie.

— Że umarłych nie trzeba się bać — wyszeptał Peyretou. — I ja się nie boję, ale tu wszystko jest takie...

Jordan skinął głową, palcami, na których wciąż jeszcze miał krew, zamknął oczy zmarłemu. Drgnął lekko. Z głębi donżonu dobiegło nagle przeciągłe wycie, głos, jaki mogłaby wydać z siebie

najbardziej samotna i przerażona istota na ziemi. Jordan nasłuchiwał przez chwilę. Rozpoznał ten głos, ale nie mógł, nie chciał myśleć o tym, co w nim usłyszał. Za nim na dziedzińcu znów rozległy się strzały. Nie odwrócił się, ale z krzyków żołnierzy zrozumiał, że pojawiły się następne psy. Pchnął jedno ze skrzydeł bramy i wszedł do donżonu. Peyretou po chwili wahania ruszył za nim.

Jordan wspinał się po schodach wyłożonych złoto-czerwonym dywanem, prowadzony dobiegającym z góry głosem. Blask pochodni, którą niósł Peyretou, odbijał się krwawo w kamiennych ścianach korytarza.

Drugie ciało leżało na podeście z rozpostartymi ramionami i głową skierowaną w dół schodów. Jordan rozpoznał zielonookiego, najwyraźniej śmierć spotkała go, gdy w panice usiłował wybiec na zewnątrz. Medyk przeszedł obok, tym razem nawet nie zamykając zmarłemu oczu. Peyretou znów się zawahał, ale w końcu, dzwoniąc zębami, ruszył za pracodawcą.

Kolejne leżało nieco wyżej, w poprzek stopni. Następne trzy tuż obok, jedno na drugim, tworząc splecione kłębowisko rąk i nóg. Peyretou zajęczał.

— Panie...

— Zawróć, jeśli chcesz. Prawdę powiedziawszy, nie sędzę, byś mi się na coś przydał.

— Czy ten... ktoś, kto ich zabił, wciąż tu jest?

— Myślę, że tak — odparł Jordan. — I nie wiem, czy to ktoś. Może raczej coś. Idziesz dalej?

Pochodnia drżała w ręku Peyretou, ale chłopak dzielnie skinął



głową.

— Jesteśmy już niedaleko — powiedział Jordan.

I rzeczywiście, to przerażające wycie, które wciąż słyszeli, dobiegało teraz z całkiem bliska. Nagle głos załamał się, przeszedł w urywany, chrapliwy skowyt. A potem znów w krzyk, monotony, długi, bolesny. Peyretou zadygotał, bo uświadomił sobie to, o czym już od dawna wiedział Jordan.

To krzyczał człowiek, nie zwierzę.

Musieli mocno przycisnąć się do ściany, by ominąć leżących na schodach selvenes. Jordan stanął na podeście drugiego piętra i rozejrzał się. Głos dobiegał z jednego z ciągnących się wzdłuż korytarza pokoi, tego najbliższego, tuż z lewej.

Jordan nacisnął klamkę, a gdy drzwi nie ustąpiły, przekręcił klucz. Peyretou z pochodnią w ręce stanął w progu, ale dalej już nie wszedł. Nie mógł ruszyć się z miejsca. Nie musiał. Dwa źródła światła – wpadający przez okno blask księżycy i płonąca pochodnia – sprawiały, że bez trudu można było dostrzec to, co znajdowało się w pokoju.

W wielkich, martwych oczach zapalały się iskry – to srebrne, księżycowe, to znów ciepłe, złotoczerwone. Wtem jedną parę oczu przesłoniły opadające powieki. Na Peyretou spoczął wzrok, w którym nie było już śladu człowieczeństwa. Chłopak wrzasnął i cofnął się. Jordan wszedł do środka.

— Andrea?

Przez głowę Peyretou przeleciało wspomnienie. Oto dzisiejszego popołudnia dóna Margalida skarży się, że jej siostrzenica znów gdzieś zniknęła. „Czy nie wie pani, dokąd

poszła?”, pyta jeden ze starszych kuracjuszy. Dòna Margalida potrząsa głową. „Powiedziała, że wróżki zaprosiły ją do siebie. Ale to był żart, oczywiście. Myślałam, że po prostu idzie pospacerować nad morzem”.

Peyretou śmiał się wtedy z tych wróżek. Teraz ta chwila i ten beztroski śmiech wydawały się odległe o całe stulecia.

Jordan zbliżył się do dziewczyny, która klęczała na podłodze, nadal dławiąc się krzykiem.

— Zabiorę cię stąd — powiedział łagodnie.

Chyba nawet nie zrozumiała. Szaleństwo – to było dokładnie to słowo, o którym bał się myśleć od chwili, gdy usłyszał jej głos.

Spróbował ją podnieść i w tym momencie szczęki dziewczyny zacisnęły się na jego dłoni. Mocne zęby przebiły skórę, zaczęły szarpać i rozrywać ciało. Jordan krzyknął, wolną ręką sięgnął jej gardła. Rozwarła szczęki dopiero wtedy, gdy – zupełnie tak, jak postąpiłby z psem – na moment pozbawił ją tchu. Andrea odzyskała oddech, krzyknęła raz jeszcze i – jedyna dobra rzecz tej upiornej nocy – zemdląca.

Jordan podniósł leżący na ziemi szkicownik i zabrał służącemu pochodnię, a Peyretou już bez trudu wziął nieprzytomną na ręce.

\* \* \*

— Co tu się dzieje? — wypytywał ojciec Inian. — I co się panu stało w rękę? Ugryzł pana pies?

— Nie pies. Dziewczyna. To nie żart — zapewnił pospiesznie Jordan, zanim ksiądz otworzył usta. — Ojczy, musimy wszyscy jak najszybciej opuścić ten zamek. — Rozejrzał się. Żołnierze i chłopci

nabrali już odwagi i kręcili się teraz po dziedzińcu, próbując zaglądać do warsztatów i piwnic. Część poszła w stronę pomieszczeń gospodarczych, a całkiem spora grupka zmierzała właśnie do donżonu. — Niech ojciec na nich wrzaśnie, każe im się stąd wynosić.

— Sam pan to zrób. Chyba że wrzeszczenie jest poniżej pana godności — parsknął ksiądz.

Jordan pokręcił głową.

— Ojca szybciej posłuchają. Przecież ojciec był kiedyś żołnierzem, prawda?

Ksiądz przytaknął.

— Ciała powinniśmy wziąć ze sobą, chciałbym im się przyjrzeć. Ale proszę powiedzieć żołnierzom, by nie wazyli się brać nic innego. Coś, co jest na tym zamku, a co wcześniej znajdowało się na „Dei Gratii”, zabiło już ośmioro ludzi.

— Świeże powietrze może być bardzo skutecznym lekarstwem, prawda? — zapytała dōna Margalida.

— Z pewnością jej nie zaszkodzi — odparł Jordan. Drugą część tego zdania, która brzmiała: „...ani nie pomoże”, litościwie przemilczał.

Dōna Margalida wyprowadziła siostrzenicę na zewnątrz. Andrea posłusznie dreptała u jej boku ze wzrokiem wbitym w ziemię i głową schowaną w ramionach.

Jordan po chwili wahania wstał i poszedł za nimi.

\* \* \*

To był pierwszy prawdziwie ciepły dzień tej wiosny. Słońce

grzało mocno, błękitna tafla wody lśniła, gładka jak lustro. Andrea siedziała na przybrzeżnej skale, tej samej, na której niedawno rysowała krajobraz. Teraz jej ręce spoczywały beczynnie na kolanach, dziewczyna, spoglądając na czubki swoich butów, kołysała się lekko i mruzczała coś do siebie. Tuż obok wełnista owieczka skubała soczystozieloną trawę.

Jordan siedział nieco dalej, obserwując obie kobiety.

— Straszny upał dziś, prawda, kochanie? — mówiła dóna Margalida. — Jak tak dalej pójdzie, będziemy mieli wyjątkowo gorące lato. Może wyjedziemy gdzieś na północ, w góry, gdzie jest chłodniej? Co ty na to, kochanie? Chciałabyś zobaczyć góry? Takie wysokie, z czapą bielutkiego śniegu na szczytach? Na pewno by ci się spodobały.

Przytuliła dziewczynę i pogłaskała ją po ciemnych włosach. Andrea bezwolnie przyjmowała pieśczoły.

— Ojej! — pisnęła kobieta. — Jaką ty masz rozgrzaną głowę! Zaszkoży ci to słońce. Powinnyśmy zabrać kapeluszy. Ale nie martw się, kochanie. Zawiążę ci moją chustkę. O, widzisz, tak lepiej, prawda? Jak ślicznie wygląda moja mała dziewczynka!

Kręciła się wokół siostrzenicy jak troskliwa kwoka. Jordan uświadożył sobie nagle, że dóna Margalida właściwie wygląda na zadowolony ze stanu, w jakim znalazła się Andrea. Nagromadzona w niej czułość, potrzeba otoczenia kogoś opieką w końcu znalazły ujście. A dziewczyna już nie będzie broniła się przed tą miłością. Nie będzie odpowiała ciotce tym irytująco grzecznym tonem, nie będzie patrzyła tak, jakby w jej głowie działały się rzeczy daleko bardziej interesujące od ciotczyńskich słów.

Andrea postradała zmysły, a dòna Margalida w końcu czuła się komuś potrzebna.

Jordan nie mógł na to patrzeć. Wstał, odszedł kilka kroków i zatrzymał się nad brzegiem morza. Zerwał się leciutki wiaterek, leniwa fala liznęła czubek jego buta.

Od nocy, gdy wraz z Peyretou znaleźli martwe ciała selvenes, minęły już dwa dni.

Przez ten czas nikt ani z Dolnego, ani z Górnego Tarris nie wchodził do zamku. Była to zasługa ojca Iniana, który na prośbę Jordana zastraszył ludzi, mówiąc, że nad miejscem tym wisi klątwa. Domenic Jordan wiedział jednak, że nie potrwa to długo. Wkrótce przyjedzie wyznaczony przez księcia de Remoussina nowy właściciel, pan Tarris, który zamieszka w zamku. A wcześniej jeszcze chłopci, skuszeni pozostawionymi tam drogocennymi przedmiotami, mogą zebrać się na odwagę i przekroczyć bramę.

A wtedy znów zaczną ginąć ludzie.

Nie miał więc wiele czasu, by rozwiązać zagadkę. Brakowało mu jednak jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Rozmawiał ze służbą, która uciekła z zamku tamtego wieczoru, ale niewiele się dowiedział. Ich relacje były dość zgodne. Po południu selvenes wrócili na zamek, prowadząc ze sobą ładną ciemnowłosą dziewczynę. Zabrali ją do pokoju na drugim piętrze, gdzie czekała już Ursanna de Veysse, kazali podać wino i owoce. Zza drzwi dochodziły śmiechy i śpiewy, wszyscy najwyraźniej znakomicie się bawili.

A potem selvenes zaczęli umierać. Dwoje skonało już w pokoju, pozostałym udało się wybiec na zewnątrz. Młoda

pokojówka, która chciała pomóc swojej pani, nagle upadła bez życia na schodach. I wtedy pozostali służący, przekonani, że mają do czynienia z potężną magią, po prostu uciekli. Żaden z nich nie widział tajemniczego napastnika, który tego popołudnia siał w zamku śmierć.

Ktoś – Jordan nie wiedział kto, bo na widok jego miny służący pospiesznie zwalali winę jeden na drugiego – przekręcił klucz, pewnie w nadziei, że w ten sposób odgrodzi się od niebezpieczeństwa. Nie wiedział, że w środku została dziewczyna, której udało się uniknąć śmierci. Dziewczyna, której dziewięć godzin spędzonych w pokoju razem z dwójką zmarłych na zawsze odebrało rozum.

W ciałach selvenes, podobnie jak w przypadku marynarzy i pasażerów „Dei Gratii”, Jordan nie znalazł żadnych śladów, dzięki którym mógłby rozwikłać zagadkę ich śmierci. Jediną wskazówką pozostawały słowa selvenes. Wtedy, w kościele, powiedzieli mu, że wyłowili z wody jednego z pasażerów. Był taki śliczny i bezradny, że nie mieliśmy serca go dobić, mówili, śmiejąc się. Teraz powoli wraca do zdrowia. Ale służba zaprzeczyła, by w zamku przebywał ktoś taki. Selvenes zakpili sobie z Jordana. Ale gdyby w ogóle nie było żadnego nieprzytomnego pasażera, żart ten nie miałby sensu. Miałby za to sens, gdyby ów śliczny i bezradny pasażer był... no właśnie, kim?

I dlaczego nikt nie widział mordercy? Młoda pokojówka skonała na oczach pozostałych służących, a mimo to nikt nie potrafił powiedzieć, co właściwie ją zabiło.

Może morderca jest niewidzialny.

Albo tak mały, że trudno go dostrzec.

W głowie Jordana pojawiło się niejasne wspomnienie. Te słowa: „maleńki morderca” z czymś mu się kojarzyły. Gdzieś już je słyszał albo czytał. I piękny. Właśnie tak: „maleńki, piękny morderca”.

Selvenes wspominali, że uratowany z „Dei Gratii” pasażer był bardzo ładny.

Z zamyślenia wyrwał Jordana krzyk. Krótki, ostry, straszny. I w jakiś upiorny sposób podobny do tamtego przeciągłego wycia, które słyszał w zamku.

Odwrócił się. Dòna Margalida szarpała się z siostrzenicą, najwyraźniej nie mogąc sobie z nią poradzić. Ramiona dziewczyny młóciły powietrze, Andrea poruszała się jak zepsuta mechaniczna lalka: sztywno, chaotycznie, z nieludzką determinacją. Parła naprzód w stronę morza, kalecząc na ostrych skałach dłonie i kolana. Uciekała przed czymś, co znajdowało się na łące. Dòna Margalida próbowała ją przytrzymać, uspokajając jednocześnie.

Jordan podbiegł i chwycił dziewczynę. Z jej otwartych ust wciąż wydobywały się chrapliwe krzyki, wybałuszone, po brzegi wypełnione grozą oczy wpatrywały się teraz w łąkę, w jeden punkt, w którym nic, na Boga, nic nie było przerażającego.

— Co się stało, kochanie? Powiedz, ciocia zaraz ci pomoże...

Zdesperowany Jordan uderzył Andreę w twarz. Pierścień, który nosił teraz na prawej, zdrowej dłoni, rozciął jej wargę. Wąski strumyczek krwi pociekł po brodzie dziewczyny. Krzyczała coraz ciszej, zachłystując się, jakby nie mogła złapać tchu. W końcu umilkła.

Strumyczek krwi na brodzie powoli zwalniał bieg, aż zamarł zupełnie.

Jordan położył nieruchomą dziewczynę na ziemi. Nie oddychała już. I nie musiał nawet rozcinać jej ciała, by poznać przyczynę śmierci.

W ten radosny, słoneczny dzień, gdy wiosenny wiaterek poruszał długimi źdźbłami traw, po błękitnym niebie krążyły mewy, a na uchu wełnistej owieczki przysiadł kolorowy motyl, Andrea umarła z przerażenia.

\* \* \*

— Panie... — Peyretou na widok wyrazu twarzy pracodawcy cofnął się i zamilkł.

— Tak?

Chłopak przez chwilę zbierał się na odwagę. Na szczęście Jordan wyglądał już na opanowanego. — Posłaniec właśnie przyniósł list. Z Dubès.

\* \* \*

Ojciec Inian upadł obok kuchennego stołu. Chyba. W każdym razie właśnie tam pił mocną wódkę pędzoną przez tutejszych chłopów, a gdy skończył się jej zapas, przerzucił się na wino mszalne. Spił się jak świnia, myśląc o tym, jak wiele pracy go czeka, nim zdoła przywrócić Bogu mieszkańców Górnego Tarris, i o tym, co wydarzyło się w zamku. On także wiedział, że jeśli w najbliższym czasie nie uda się odnaleźć tajemniczego zabójcy, w zamku znów ktoś umrze.



Niewiele pamiętał z tej nocy. Rankiem ktoś chwycił go pod ramiona i zawlókł do łóżka, a nawet przewrócił na bok, dzięki czemu ksiądz nie zadławił się własnymi wymiocinami. Potem nieznanym dobroczyńcą odszedł, a ksiądz zasnął.

Zbudził się po południu, gdy słońce powoli zbliżało się do horyzontu. Ktoś potrząsał nim mocno.

— Czy chciałby ojciec zobaczyć portret mordercy?

Zadane uprzejmym tonem pytanie było dość cudaczne i ojciec Inian, uznając, że to sen, postanowił je zignorować. Zamknął na powrót oczy. Oprzytomniał na dobre dopiero wtedy, gdy ktoś wylał mu na głowę kubel zimnej wody. Usiadł na posłaniu i rozkaszał się. Pod jego czaszką rozlewało się pulsujące ognisko bólu, a suchy jak pieprz język przywarł do podniebienia, lecz ksiądz myślał już w miarę jasno.

Domenic Jordan podał mu szklanekę wody, potem następną.

— Chcę ojcu coś pokazać — powiedział. — Coś bardzo ważnego.

\* \* \*

— To o tym mordercy to nie żart?

— Nie. Proszę spojrzeć.

Jordan podał księdzu rysunek. Ojciec Inian patrzył przez chwilę na zbiorowy portret znajomych Andrei. Znajomych, których z pewnością nie zaakceptowałyby dóna Margalida.

— To jeden z selvenes. Od początku tak myślałem! Który to?

— Ojciec widzi tylko to, co chce zobaczyć — skarcił go łagodnie Jordan. — Proszę przyjrzeć się uważniej.

Wstał i otworzył okno. Słoneczne światło zakłuło księdza pod czaszką. Jęknął.

— Tutaj.

Ojciec Inian powiódł wzrokiem za palcem Jordana. Selvenes siedzieli na kobiercu w jakimś pokoju, z tyłu, za ich plecami, znajdował się stół. Stał na nim wielki szklany słoć z uwięzionym w środku kolorowym motylem. Rysunek nakreślono na tyle precyzyjnie, by rozpoznać, iż nie jest to żaden z miejscowych okazów. Motyl był zbyt duży, zbyt egzotyczny.

— Nie pojmuję...

— Otrzymałem dziś list, który potwierdził moje podejrzenia. Znajomy, którego prosiłem o pomoc, podał mi między innymi nazwiska dwóch pasażerów „Dei Gratii”. Dla jednego z nich, mężczyzny o nazwisku Rustic Damarin, podróż do Dubès była ostatnim etapem znacznie dłuższej drogi. Wracał do domu aż z leżącej u wybrzeży Nowego Świata Wyspy Prawdziwego Krzyża, gdzie spędził ostatnie lata. Nazwisko to pewnie nic ojcu nie mówi, ale ja je znam. Na Uniwersytecie Alestrańskim wiele o nim swego czasu dyskutowano. Jakieś półtora roku temu przysłał list, właśnie z Wyspy Prawdziwego Krzyża, w którym chwalił się, że odkrył osobliwe stworzenie. Był to motyl od jego nazwiska nazwany Damarinusem. Motyl ten był ponoć wyposażony w niezwykle system obronny. Damarin twierdził, że pył na jego skrzydłach zawiera nieznaną truciznę, która błyskawicznie paraliżuje układ oddechowy. Pył osypuje się podczas lotu, a każdy ptak czy drapieżnik, który znajdzie się wystarczająco blisko, by wciągnąć go do płuc, natychmiast pada martwy. W przypadku większych

stworzeń, takich jak ludzie, trwa to odrobinę dłużej, ale tak czy inaczej, skutek jest ten sam. List Damarina został wtedy wyśmiany, powszechnie uważano, że takie stworzenie nie może istnieć. Najwyraźniej niesłusznie. Wypuszczenie Damarinusa w zamkniętym, niezbyt wielkim pomieszczeniu, takim jak kajuta statku czy zamkowa komnata, to niemal pewna śmierć dla wszystkich tam zebranych. Zwłaszcza że ludzie nie uciekają przecież na widok pięknego, kolorowego motyla. Każdy w pierwszej chwili podchodzi, by przyjrzeć mu się z bliska. A nim ktoś pojmie, co się dzieje, jest już za późno.

— A dziewczyna? Andrea? Ona przecież przeżyła.

— Pewnie dlatego, że coś rysowała. W takich chwilach Andrea nie zwracała uwagi na nic innego.

— I ten... Damarinus teraz jest w zamku?

— Wyfrunął z pokoju, nim jeszcze zamknięto drzwi: świadczy o tym to, że jedna ze służących zmarła na schodach. Nie wiem, gdzie jest teraz.

— To co ja mam z tym zrobić?

— Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Motyle w ogóle nie żyją długo, a ten na dodatek znalazł się w niesprzyjającym środowisku. Być może już jest martwy. Z drugiej strony, nasz Damarinus jest z pewnością dość odpornym egzemplarzem, nie zaszkodziło mu nawet zamoczenie w wodzie morskiej. Ale decyzja, czy i kiedy wejść do zamku, należy do ojca. Wierzę, że ojciec sobie poradzi, jeżeli, rzecz jasna, wcześniej nie zabije ojca alkohol — dodał złośliwie Jordan, składając rysunki.

Wyszedł, zostawiając ojca Iniana siedzącego przy stole z ciężką

głową wciąż podpartą rękoma, ale już z żywszym błyskiem w oku. Teraz, gdy ksiądz miał konkretny problem do rozwiązania, od razu poczuł się lepiej.

Obrazki Andrei, zarówno te rysowane w zamku, jak i te wcześniejsze, przedstawiające selvenes na tle nadmorskiego krajobrazu, Jordan postanowił zatrzymać. Nie z sentymentu, nie był człowiekiem sentymentalnym, ale dlatego że dziewczynie udało się to, co nie powiodło się jemu, gdy kreślił swojego obdartego ze skóry wilkołaka.

Andrei udało się bowiem uchwycić całą niezwykłość, całą magię tych wielkookich i szpiczastouchych istot, które miejscowa ludność nazywała selvenes.

### 3. Serena i Cień

— To była bardzo trudna decyzja, panie Jordan. Nie sądziłam, że będę zmuszona zwrócić się do kogoś o pomoc. To trochę... osobiste. Rozumiesz pan, prawda? — Chwila oczekiwania na odpowiedź. — Potem jednak pojęłam, że nie poradzę sobie, że to nie jest problem na głowę słabej kobiety. — Lekki ruch wachlarzem, trzepotanie rzesami. — Liczę na pana dyskrecję. Oczywiście ja miałam jak najlepsze intencje, ale ludzie są tacy okropni, tylko by plotkowali. I tak już opowiadają o mnie różne kłamstwa. Niektórzy sądzą, że ja jako kobieta upadła... — przerwa, by rozmówca mógł zaprzeczyć — w ogóle nie mam reputacji, o którą mogłabym dbać, ale proszę mi wierzyć... Panie Jordan? Panie Jordan, przez cały czas milczy pan jak zaklęty. Rozmowa ze mną nudzi pana? A może to o mnie chodzi? Proszę przyznać uczciwie: nie lubi mnie pan?

— Nie lubię pani, *dòno Carloto*. Czy teraz wreszcie przejdzie pani do rzeczy?

Kobieta z trzaskiem zamknęła wachlarz. Jej mocno upudrowana twarz wykrzywiła się w grymasie złości. Szybko jednak odzyskała panowanie nad sobą.

— Więc nie pomoże mi pan? — Znów ten kokieterijny ton.

Carlota Daures zaczynała jako zwykła prostytutka – ponoć nawet niezbyt droga – a potem przez dwadzieścia pięć lat była

oficjalną kochanką zmarłego niedawno hrabiego d'Arrous. To, że d'Arrous trzymał ją przy sobie tak długo, zawdzięczała w równej mierze przyzwyczajeniu hrabiego, co własnemu sprytowi. Nie mogła więc być głupia i ton naiwnego dziewczątka zupełnie do niej nie pasował. Mimo to ze ślepotą właściwą starzejącym się, a niegdyś pięknym kobietom upierała się, by podziwiać nie jej rozum, lecz urodę.

Domenic Jordan, maskując znudzenie, rozejrzał się wokół. Dòna Carlota poprosiła o spotkanie w „dyskretnym miejscu poza granicami miasta”, którym to miejscem okazała się oberża leżąca przy trakcie Alestra–Mouls. Na piętrze, oprócz pokoi gościnnych, znajdował się także niewielki, przytulny salonik – rzeczywiście jakby stworzony dla spiskowców.

— Pomogę, jeśli powie mi pani, o co chodzi.

Jego rozmówczyni wiedziała, kiedy należy się poddać. Zrezygnowała z kokieterii i zaczęła mówić. Jej opowieść była prawdziwa najwyżej w połowie, ale Jordan nie miał kłopotów z właściwą interpretacją faktów.

Dwa miesiące temu dòna Carlota zainteresowała się pewnym młodym, ale bardzo utalentowanym artystą, który na la Garrosse malował przechodniom portrety. Niestety, chłopak nie tylko odrzucił oferowaną mu pomoc, ale jeszcze znieważył dobrodziejkę. Postanowiła więc nauczyć go grzeczności. Kupiła na miedzianym targu niewielki (to słowo podkreśliła trzy razy) urok i kazała mu go podrzucić. Jednak chłopak okazał się równie zdolnym czarownikiem, co malarzem. Udało mu się odwrócić urok i skierować go przeciw kobiecie. Od tego czasu dòna Carlota

z trudem zasypia i budzi się zupełnie niewypoczęta przed świtem, najwykwintniejsze potrawy mają dla niej smak trawy i rzeczno-  
mułu, a gdy niedawno skaleczyła się leciuteńko nożykiem do  
obierania owoców, krew sączyła się z rany przez półtora dnia.  
Schroniła się przed oczami ciekawskich alestrańczyków w Mouls,  
w swojej wiejskiej posiadłości i prosi teraz, by Jordan zechciał do  
niej dołączyć i znaleźć sposób na zlikwidowanie uroku. Wszak  
Domenic Jordan, choć co prawda nie jest magiem (na szczęście,  
podkreśliła, bo magom w ogóle nie ufa), na czarach zna się jak nikt.

— A chłopak? — zapytał Jordan.

— Zniknął — odparła z nienawiścią, ale też jakby z żalem.

Spojrzał jej w twarz i zobaczył kobietę, która niegdyś sprzedała  
się znacznie starszemu mężczyźnie i teraz sama próbowała kupić  
sobie młodego kochanka. Młodzieniec, zupełnie jak w ludowych  
opowieściach, wzgardził jej miłością i naraził się na gniew.

Na jeden krótki moment Domenic Jordan nie zapanował nad  
rysami twarzy. Carlota Daures patrzyła mu w oczy i wiedziała już,  
że on wie.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

— Prosiłem, by pod żadnym pozorem mi nie przeszkadzać  
— Jordan zwrócił się do młodego służącego, który stanął w progu.

— Wiem, panie. — Peyretou nerwowo przełknął ślinę.  
— Proszę o wybaczenie. Ale pewien mężczyzna jest ciężko ranny  
i mówi, że natychmiast musi widzieć się z lekarzem.

\* \* \*

Ku zdumieniu Jordana Peyretou poprowadził go nie do

któregoś z pokoi gościnnych, ale w dół, do piwnic.

— Ten człowiek, on nazywa się Patrice Tourtou, nie ma pieniędzy — wyjaśnił służący. — Gospodarz pozwolił mu tu zostać, bo wygląda na to, że Tourtou niedługo umrze.

Patrice Tourtou istotnie konał w maleńkim składziku, tuż obok piwniczki na wino. Wszystkie sprzęty odsunięto na bok, by zrobić miejsce dla materaca, na którym położono mężczyznę. Przy jego głowie stał gliniany kubek, tuż obok świeca, powoli dopalająca się w rozlanej na podłodze kałuży wosku.

W składziku cuchnęło wilgocią, zgnilizną i śmiercią.

— Proszę odesłać służącego — powiedział Tourtou nieoczekiwanie stanowczym głosem.

Gdy Peyretou zniknął za drzwiami, Jordan podszedł i spróbował ściągnąć koc okrywający Patrice'a Tourtou aż po brodę. Mężczyzna chwycił go w garść — lewą dłonią, bo prawa została ucięta w nadgarstku.

— Nie.

— Muszę pana obejrzeć, skoro mam pomóc.

Patrice Tourtou pokręcił głową. Na starczej twarzy perlił się pot. Miał wysoką gorączkę, ale jego oczy spoglądały dość przytomnie.

— Nie potrzebuję pomocy. Nie takiej. Wiem, że umieram. Rozbójnicy — wyjaśnił. — Konie spłoszyły się i poniosły, gdy zaczęli strzelać. Powóz przewrócił się, woźnica zginął, a mnie zmiażdżyło obie nogi. Obrabowali mnie wtedy i zostawili na drodze jak psa. Właściciel tej gospody przygarnął mnie, wezwał medyka. Wdała się gangrena. Medyk obciął to, co pozostało z moich nóg.



Nie pomogło. Zgorzel posuwa się coraz dalej, a ja gniję, rozpadam się od środka. Nie zostało mi wiele czasu.

Jordan wiedział, że powinien teraz zaprotestować, zapewnić, że wszystko będzie dobrze i chory na pewno wyzdrowieje. Nie zrobił tego. Mdląca, intensywna woń zgnilizny mówiła sama za siebie, a Patrice Tourtou nie wyglądał jak ktoś, kto lubi być oszukiwanym.

— Kiedy się dowiedziałem, że jest pan w tej gospodzie, pomyślałem, że to cud. Zrządzenie boskie, rozumie pan? Słyszałem o panu, pan nazywa się Domenic Jordan, prawda?

Medyk skinął głową. Sądząc po nazwisku, Tourtou nie był nawet szlachcicem. A więc już nawet mieszczanie zaczynają o mnie plotkować, pomyślał. Nie przerywał jednak, nie ponaglał pytaniami. Wiedział, że starzec toczy teraz walkę z bólem i gorączką, z całych sił starając się zachować przytomność umysłu.

— Mam do pana prośbę — ciągnął Patrice Tourtou. — I wierzę, że mi pan nie odmówi. Ja umieram, a umierającemu się nie odmawia. Chodzi o moją córkę, panie Jordan. Od czternastu lat szukam dla niej ratunku. Byłem już chyba u wszystkich kapłanów i magów w tym kraju, ale żaden nie potrafił jej pomóc. Wracalem właśnie z Mouls, z niczym zresztą, bo tamtejszy czarownik nawet nie chciał mnie wysłuchać. Teraz pan jest moją ostatnią nadzieją. Moją i mojej córki. Czy wierzy pan w Boga?

Pytanie zaskoczyło Jordana.

— Tak — odparł po chwili.

Starzec skrzywił się z dezaprobatą.

— Coś za długo pan się zastanawiał. Proszę więc przysiąc nie na Boga, lecz na życie i zdrowie pańskiego ojca.

— Uwierz, panie, że taka przysięga nie byłaby wiele warta — chłodno powiedział Jordan. — Czy nie wystarczy panu po prostu moje słowo?

Starzec przymknął oczy. Był wyczerpany i Jordan przez chwilę myślał, że stracił przytomność.

— Ma pan rację — szepnął jednak Tourtou po chwili. — Ufam panu. Uwierzę, jeśli obieca pan, że zrobi wszystko, by ocalić życie mojej córki.

— Obiecuję.

Ciekawość kiedyś mnie zgubi, pomyślał Jordan, nie po raz pierwszy w życiu. Słowa umierającego starca zaintrygowały go i wolał teraz zająć się ratowaniem córki Patrice'a Tourtou przed nieznanym niebezpieczeństwem niż rozwiązywaniem banalnego problemu d'ony Carloty – nawet jeśli ta druga sprawa, w przeciwieństwie do pierwszej, przyniosłaby mu korzyści finansowe. Ponadto starzec miał rację: nie odmawiało się ostatniej prośbie umierającego.

— Moja córka, Serena — rozpoczął opowieść Patrice Tourtou — w wieku dziewiętnastu lat zrobiła coś bardzo głupiego. Miała już wtedy męża, ale pod wieloma względami pozostała jeszcze dzieckiem. I to, co zrobiła, takie właśnie było: głupie i dziecinne.

Zamknął oczy, po chwili podniósł powieki i ruchem głowy wskazał kubek z wodą. Jordan przytrzymał mu go przy wargach. Patrice Tourtou pił długo.

— Serena wraz z przyjaciółmi przywołała demona — podjął. — Niektórzy mogą sądzić, że było w tym coś złego, chęć zrobienia komuś krzywdy, ale tak naprawdę to tylko młodzińska ciekawość.

Czy pan w dzieciństwie nie robił takich rzeczy?

— Pyta pan, czy przyzywałem dla zabawy demony? Nie, z natury byłem bardzo poważnym dzieckiem, więc i przywoływanie demonów traktowałem z największą rozwagą. Mogę zresztą zaoszczędzić panu dalszej opowieści: demon nie chciał odejść, prawda?

— Od czternastu lat ściga moją córkę — przyznał Tourtou. — Serena już kilka razy cudem uniknęła śmierci. Przeprowadzamy się z miasta do miasta, żyjemy jak tropione zwierzęta, wiecznie w strachu, wciąż oglądając się za siebie, nie śpiąc po nocach. Po przeprowadzce zazwyczaj przez jakiś czas jest spokój, ale nigdy nie trwa to dłużej niż rok–dwa. Teraz wróciliśmy do Alestry, tam, gdzie wszystko się zaczęło, bo Serena sądzi, że w tłumie łatwiej się ukryjemy. Ale ja w to nie wierzę. On znajdzie nas i tam, tak jak znalazłby wszędzie: za morzem, na egzotycznych wyspach. Może już nawet teraz... — Starzec zamilkł, a przez jego twarz przemknął wyraz przerażenia, widoczny nawet w wykrzywionych bólem rysach. — Ucieczka nie jest wyjściem. Jedyne wyjście to śmierć tego stworzenia, rozumie pan?

— Rozumiem doskonale. Nie wiem, czy zdołam go zabić. Ale obiecałem, że zrobię wszystko, by ocalić pana córcę życie, i dotrzymam słowa.

— To dobrze. — Tourtou znów przymknął oczy. Oddychał ciężko. — Moja córka mieszka we wschodniej dzielnicy, na ulicy Tkaczy. Ja... dziękuję panu.

— Mógłbym zostać z panem przez jakiś czas — powiedział Jordan cicho.

— Żeby nie musiał umierać w samotności?

— Tak.

— Wszyscy umieramy w samotności. Myślę, że pan dobrze o tym wie. A teraz proszę już iść. Życie mojej córki jest w niebezpieczeństwie. Nie wolno panu tracić czasu.

\* \* \*

— Przykro mi — powiedział Jordan. — Nie mogę jechać z panią do Mouls. Wracam do Alestry.

— Ależ nie może pan tego zrobić!

Dòna Carlota raz jeszcze przesłoniła twarz wachlarzem. Tym razem jednak ten zalotny gest był mechaniczny, wykonany bardziej z przyzwyczajenia niż w nadziei na zwycięstwo. Tak naprawdę liczyła na siłę pieniądza, nie na kokieterię. Nazwisko Domenica Jordana znano wśród alestrańskiej szlachty. Pracował na uniwersytecie, gdzie za cichą zgodą biskupa zajmował się badaniami nad magią. Jednak uniwersytecka pensja była niska, a on lubił wystawne życie, gdy więc zdarzało się, że taki czy inny arystokrata prosił go o dyskretną pomoc, Jordan rzadko odmawiał.

On potrzebuje pieniędzy, myślała Carlota Daures. Na ten elegancki powóz, którym zajechał przed oberżę, i na modny, choć nie wiedzieć czemu całkowicie czarny strój, który ma na sobie.

— Sądziłam, że doszliśmy do porozumienia — powiedziała więc przymilnie.

— Przykro mi — powtórzył uprzejmie. — Myślę, że w zupełności wystarczy pani pomoc miejscowego księdza.

Opanowanie Jordana wyraźnie wytrącało kobietę z równowagi.

Rysy jej twarzy stężały w osobliwym wyrazie w pół drogi pomiędzy zalotnym uśmiechem a grymasem złości.

— Ależ ja powiedziałam panu... — zaczęła raz jeszcze i urwała raptownie.

— Oczywiście możesz pani liczyć na moją dyskrecję — odparł, wciąż nie podnosząc głosu, ale już z leciutkim śladem złości w słowach. Myśłami przebywał w Alestrze, na ulicy Tkaczy.

W oczach, które odprowadziły go do drzwi, nie było ani cienia uśmiechu.

\* \* \*

Później, gdy Domenic Jordan powiadomił już Serenę i jej siostrę o śmierci Patrice'a Tourtou, gdy złożył wyrazy ubolewania – zbyt oszczędne, zbyt suche, wiedział o tym, ale nigdy w takich chwilach nie potrafił zdobyć się na coś więcej niż konwencjonalne: „przykro mi” – odwrócił się w stronę okna i udając zainteresowanie tym, co dzieje się na zewnątrz, dał im chwilę dla siebie.

W salonie przestronnego mieszczańskiego domu przy ulicy Tkaczy zebrało się pięć osób. Obrócił się teraz lekko, tak by móc obserwować ich w dużym trzyczęściowym lustrze, które wisiało na przeciwległej ścianie.

Serena Maillieu siedziała na kanapie, szlochając, z twarzą ukrytą w dłoniach. Obejmowała ją, również płacząca, starsza siostra, Nicomeda. Nicomeda – o czym Jordan wiedział, bo zdążył już zebrać trochę informacji – nie wyszła za mąż, od lat mieszkała z Sereną i pomagała jej prowadzić dom. Była to kobieta zdumiewająco nijaka, ubrana w workowatą, niezgrabną suknię,

z włosami przykrytymi czarną chustką, jakby już teraz, przed ukończeniem czterdziestego roku życia, spieszyła się przekroczyć granicę dzielącą niechcianą starą pannę od szanowanej staruszki.

Po drugiej stronie Sereny zajął miejsce jej mąż, Fris Maillieu. Kilka lat młodszy od żony, mimo szczerych chęci, by w jakiś sposób ją pocieszyć, sam wydawał się mocno zagubiony. Czwartą osobą w salonie był ojciec Malaquias, daleki kuzyn rodziny Tourtou, a piątą syn Sereny z pierwszego małżeństwa, Jacme.

Ojciec Malaquias położył ręce na ramionach płaczących, przytulonych do siebie kobiet.

— Powinnyście wypocząć — powiedział łagodnie. — Fris, czy mógłbyś...

— Oczywiście. — Maillieu, najwyraźniej zadowolony z pretekstu, który dawał mu okazję do jakiegokolwiek działania, poderwał się i wyprowadził z salonu obie kobiety.

Ojciec Malaquias podszedł do Jordana. Był to młody, przystojny ksiądz o przedwcześnie posiwiałych włosach, które zamiast dodawać mu powagi, czyniły go tylko bardziej interesującym. Pracował jako kapelan w klasztorze marcjanek i Jordan pomyślał – niezbyt stosownie do chwili – czy obecność takiego księdza nie budzi w sercach niewinnych siostrzyczek zbyt wielu zdrożnych myśli.

— Naprawdę Patrice umierając, prosił, by ocalił pan jego córkę?

Jordan skinął głową.

— On bardzo kochał Serenę — powiedział ojciec Malaquias w zamyśleniu. — Wszyscy bardzo ją kochamy. Choć

— uśmiechnął się gorzko — w naszym przypadku wiele jest w tym poczucia winy.

— A więc i ojciec brał udział w tym fatalnym seansie?

— Tak, niech mi Bóg wybaczy. Całe moje życie jest próbą odpokutowania za tamten czyn.

Jordan skrzywił się lekko. Najpierw umierający starzec, który kazał mu przysięgać na życie i zdrowie ojca, a teraz ten ksiądz — rodzina Tourtou widać miała skłonność do dramatycznych gestów i górnolotnych wyrażeń.

— Kto jeszcze brał w tym udział?

— Serena, oczywiście. I Nicomeda. Ja, Roman Garavel, pierwszy mąż Sereny, i Fris, jego kuzyn.

— Wszyscy zgromadzeni dziś wieczór w salonie? — Ojciec Malaquias spojrzał na Jordana ze zdziwieniem.

— Nie pomyślałem o tym, ale owszem, tak. Nawet Jacme, choć on wtedy miał tylko trzy latka i spał w łóżeczku.

— Ale obudziłem się, prawda? — odezwał się Jacme. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział od chwili, gdy Jordan zjawił się w ich domu. — Matka mi mówiła. Obudziłem się i zacząłem płakać.

— Tak, ale byłeś wtedy dzieckiem, a panu Jordanowi chodziło z pewnością o osoby dorosłe. — W głosie ojca Malaquiasa wyczuwało się lekkie zniecierpliwienie.

Jacme zacisnął wargi, widać protekcjonalny ton księdza nie przypadł mu do gustu.

Chłopak, najzupełniej stosownie do sytuacji, wyglądał na zrozpaczonego, a jednak Jordan był pewien, że Jacme cierpiał już

wcześniej, zanim dowiedział się o śmierci dziadka. Już wtedy, gdy Domenic Jordan wchodził do salonu, by przekazać rodzinie tragiczną wiadomość, rzuciła mu się w oczy ta naznaczona bólem młodzieńcza twarz.

— Zastanawiam się — powiedział cicho Jordan — czy w ciągu tych czternastu lat, które minęły od przywołania demona, któreś z was zadało sobie to najważniejsze, podstawowe pytanie. I zastanawiam się też, czy ktoś zdołał znaleźć na to pytanie odpowiedź.

Spojrzał na ojca Malaquiasa, potem na Jacme. Na twarzy księdza malowało się zdumienie, najwyraźniej nie wiedział nawet, o czym Jordan mówi.

Za to Jacme patrzył na niego wyzywająco.

— Nie wiem, jaka jest odpowiedź, ale mogę zadać pytanie — mówił, nie spuszczać wzroku z twarzy Jordana. — A brzmi ono: dlaczego spośród sześciu osób, które brały udział w seansie, demon wybrał akurat moją matkę? Dlaczego tylko ją ściga? Tylko ją próbuje zabić?

Ksiądz zmarszczył brwi.

— Głupstwa wygadujesz, mój drogi. A twój ojciec?

— Ojciec zginął, bo próbował bronić matki.

— Cóż, może to i prawda... — ojciec Malaquias zawahał się — ale nie mam pojęcia, dlaczego demon wybrał akurat Serenę. Najpewniej to czysty przypadek, trudno spodziewać się po demonach ludzkiej logiki.

— Bardzo popularny pogląd — powiedział Jordan. — I wygodny. A także w wielu przypadkach błędny.



Jacme spojrział na niego z błyskiem aprobaty w oczach.

— Wygląda pan wprawdzie niewiele lepiej niż zwykły dworski fircyk, ale widać, że zna się pan na rzeczy — powiedział łaskawie.

— Jacme! — oburzył się ksiądz, a Jordan zacisnął szczęki, powstrzymując wybuch śmiechu.

\* \* \*

Na prośbę ojca Malaquiasa służąca rozpałała w kominku, bo wrześnieowe wieczory bywały już chłodne. Usiedli niedaleko ognia w staroświeckich fotelach, zbyt miękkich i głębokich, by były wygodne, a jednak dających miłe wrażenie przytulności.

— Jeśli mam wam pomóc — powiedział Domenic Jordan — przede wszystkim muszę wiedzieć, w jaki sposób demon przedostawał się do domu i czym udawało się go przepłoszyć.

Fris Maillieu, który dołączył do nich przed chwilą, spojrział bezradnie na ojca Malaquiasa. Czerwony odblask ognia padał teraz na jego okrągłą twarz okoloną brązowymi, miękkimi jak u dziecka włosami. Na lewym policzku drgał leciutko mięsień, powieki zaciskały się w serii nerwowych mrugnięć.

Ojciec Malaquias, poproszony wzrokiem o pomoc, milczał.

— No cóż... — z wahaniem powiedział Fris Maillieu — o tym najlepiej opowiedziałaby panu moja żona, ale nie możemy przecież jej niepokoić, prawda? — Cierpliwy, proszący wzrok spoczął teraz na Jordanie. — Ona teraz śpi, biedactwo, a Nicomeda przy niej czuwa.

W chęci chronienia żony przez tego mężczyznę, który sam wydawał się słaby i bezradny jak dziecko, było coś przejmującego.

Mimo to Jordan ustąpił nie dlatego, że słowa Frisa Maillieu wzruszyły go. Po prostu nie potrzebował rozmawiać z Sereną już teraz.

Skinął głową, a Fris uśmiechnął się z wdzięcznością.

— Ja o wszystkim opowiem! — Jacme niecierpliwie pochylił się w stronę Jordana.

Młodzieniec miał skłonność do koloryzowania. Nic dziwnego, bo w większości wydarzeń, o których opowiadał, brał udział jako dziecko albo wręcz słyszał o nich z drugiej ręki. Mówił jednak do rzeczy, podając najważniejsze szczegóły i pół godziny później Domenic Jordan miał już w miarę jasny obraz sytuacji.

Demon, przez Patrice'a Tourtou nazwany Cieniem, bo wciąż podążał za Sereną, nie był istotą z bajek i legend. Nie przenikał przez ściany, nie unosił się w powietrzu, a pierwsze promienie wschodzącego słońca nie zmieniały go w kupkę popiołu. Był natomiast niezwykle silny, zręczny i odporny na ból, a także uzbrojony w długie, ostre jak brzytwy pazury i wilcze zęby. Atakował głównie nocą, choć nie zawsze: jeden z ataków zdarzył się w południe, gdy Serena wypoczywała w ogrodzie, a inny pod wieczór na zatłoczonej ulicy.

Rodzina Tourtou broniła się przed Cieniem, używając poświęconych medalików, amuletów i zaklęć – tych aprobowanych przez Kościół, wzywających pomocy któregoś ze świętych, i tych zakazanych, czarnoksięskich. Większość z nich skutkowałą, ale tylko raz. Demon, zetknąwszy się z tego rodzaju magią, nabierał na nią odporności i następnym razem trzeba było szukać czegoś nowego. Czasem skuteczne okazywały się bardziej przyziemne

środki: dwie kule, które pewien służący wpakował w pierś Cienia, ogień, ostrze szpady. Ale nawet wtedy demon miał tyle siły, by uciec. Dwa razy Serena Maillieu uniknęła śmierci, barykadując się w pokoju i głośno wzywając pomocy. Demon, który najwyraźniej miał instynkt samozachowawczy, odbiegał od drzwi, gdy widział zbliżającą się z pochodniami i muszkietami służbę. Raz – ale to było zupełnie na początku, tuż po owym fatalnym seansie – Cienia spłoszyło zwyczajne bicie kościelnych dzwonów, które odezwały się w ostatniej chwili, gdy pochylał się już nad swoją ofiarą. Serena spędziła wtedy w łóżku półtora tygodnia. Większość ataków kończyła się tylko strachem. Większość, ale nie wszystkie.

Z rąk Cienia zginął młody służący, który uzbrojony w kuchenny nóż, próbował bronić swojej pani, a także dwóch przypadkowych przechodniów. Ci z kolei, zgodnie z wpojonymi zasadami, widząc szarpiącą się z jakąś postacią kobietę, rzucili się na ratunek. I oczywiście zginął Roman Garavel, pierwszy mąż Sereny.

— Myślę — wtrącił się ojciec Malaquias — że teraz lepiej zrozumie pan moją kuzynkę. Serena żyje dręczona potwornymi wyrzutami sumienia, przez cały czas obwiniając się za śmierć tych ludzi. To bardzo wrażliwa kobieta, panie Jordan. Nie zasłużyła na to, co ją spotkało. — Zwrócił się do chłopaka — opowiedz panu Jordanowi, jak zginął twój ojciec.

Jacme być może nie był najlepiej wychowanym młodzieńcem, ale z pewnością miał duży talent narracyjny. Opowieść o śmierci ojca snuł ściszym, dramatycznym głosem. Mówił o śniegu, który tamtej zimy, gdy chłopiec miał osiem lat, sypał prawie codziennie,

i o zaspach tworzących się na ulicach maleńkiej miłościny, w której wtedy mieszkali. W tym miasteczku – co Jacme podkreślił z satysfakcją, a Jordan znów musiał powstrzymać się od śmiechu – ich rodzina pełniła rolę „prawie szlachty”. Mieli wtedy elegancką karocę, do której zaprzęgali szóstkę koni. I ta właśnie karoca utknęła któregoś wieczoru w śnieżnej zaspie. Wciśnięty w kąt siedzenia Jacme patrzył, jak jego ojciec otwiera okno i woła woźnicę, a porywisty wiatr włacza mu słowa z powrotem w gardło. Woźnica nie odpowiedział, odezwały się za to konie, szóstka pięknych zaprzęgowych karoszy. Rżeniem, najpierw cichym, potem coraz głośniejszym, dały znać, że coś jest nie w porządku.

— Wilki — szepnął Jacme, bo raz już słyszał tak rżące konie, gdy w ciemnym lesie pod ich powóz podchodziło wygłodniałe stado.

Tym razem byli nie w lesie, lecz w środku miasta i Serena wiedziała już, kto znajduje się na zewnątrz.

— Nie! — krzyknęła, gdy mąż otworzył drzwiczki karocy.

Do środka, wraz z lodowatym podmuchem wiatru, wtargnął śnieg. Płatki, poszczepiane w ciężkie białe grona, osiadały na twarzach pasażerów. Wisząca z boku powozu latarnia rzucała krąg światła o średnicy nie dłuższej niż pół łokcia, zaraz potem blask ginął, zduszony przez ciemność.

— Połamię sobie nogi — wymruczał Roman Garavel, słuchając coraz bardziej histerycznego rżenia koni, które miotaly się w uprzęży. Najbardziej na świecie kochał swoją jasnowłosą, łagodną żonę, a potem synka. Na trzecim miejscu była szóstka czarnych koni.

I wtedy karosze ucichły na jedną króciutką chwilę, tuż przed tym, jak drewniany dach karocy pękł z trzaskiem i dwie ręce wyciągnęły się chciwie po Serenę. Garavel miał przy sobie szpadę, ale nie chciał jej użyć, bojąc się, że zrobi krzywdę żonie. Trzymał więc ją tylko, starając się wyszarpnąć z uścisku Cienia. Wtedy dach załamał się zupełnie i demon wpadł do środka. Garavel zaatakował szpadą, na oślep, bo na tak krótkim dystansie, w zamieszaniu i ciemnościach, nie było mowy o prawdziwej walce. Zranił demona, ale ten zdołał ostrymi pazurami poderżnąć mu gardło. Mężczyzna upadł, a w drzwiach karocy pojawiła się – nareszcie! – sylwetka woźnicy, który miał bronić swych państwa. Woźnica, dygocząc ze strachu, wystrzelił z pistoletu i to wystarczyło, by osłabiony, broczący krwią demon uciekł.

Jacme zamilkł. Jego oczy płonęły, jakby raz jeszcze przeżywał wydarzenia tamtego wieczoru. Gdy drżącym głosem mówił o bohaterstwie ojca, z trudem hamował wzruszenie. Zaraz potem spojrzał na delikatnego, nerwowego Frisa Maillieu i w oczach młodzieńca pojawiła się niechęć.

— Czy ktoś kiedyś widział twarz demona? — spytał Jordan.

— Nie — odpowiedział ojciec Malaquias. — Zawsze ukrywa ją w cieniu obszernego kaptura. Czy to ma jakieś znaczenie?

— Nie wiem, ale jeśli ktoś nie chce pokazać swej twarzy, to pewnie ma ku temu jakieś powody. Choć oczywiście — Jordan nie odmówił sobie tej drobnej, wypowiedzianej nienagannie uprzejmym tonem złośliwości — to demon, więc nie można stosować do niego zasad ludzkiej logiki.

— Peyretou.

— Tak, panie?

Chłopak, dotąd spędzający czas ze służącymi Sereny Maillieu, wybiegł na spotkanie pana. Wyszli przed dom, gdzie czekał już powóz Jordana.

— Zamieszkasz tu przez pewien czas w pokojach dla służby. Chcę... — Jordan urwał, starając się precyzyjnie sformułować życzenie.

Nie ulegało wątpliwości, że jeśli chodzi o zabezpieczenia magiczne, dom Sereny Maillieu jest prawdziwą fortecą. Nie pominięto niczego, od najprostszych babskich sposobów, takich jak nacieranie framug sokiem z roztartych liści werbeny, aż po wiszącą na drzwiach wejściowych tabliczkę ze skomplikowanymi – i pewnie równie drogimi – cudzoziemskimi zaklęciami. Mimo to chciał jeszcze, by w domu był obecny ktoś rozsądny (w miarę rozsądny, poprawił się w myślach; w przypadku Peyretou takiego właśnie należało użyć określenia) i odważny, kto potrafi posługiwać się bronią.

Ktoś, kto nie należy do rodziny Sereny Maillieu, bo Domenic Jordan znał prawdopodobną odpowiedź na pytanie, które dziś zadał.

— Chcę, żebyś pilnował Sereny Maillieu. Dostaniesz izbę naprzeciwko jej sypialni. Okno jest zakratowane, a ty w nocy będziesz pilnował drzwi. Spać możesz w dzień, ale tylko wtedy, gdy pani Maillieu będzie w domu. Gdyby chciała wyjść na zewnątrz, pójdiesz za nią, pojmujesz?

Chłopak skinął głową.

— Być może przesadzam — ciągnął Jordan — ale nie wiem, ile

mamy czasu, zanim Cień znów ją znajdzie. Może kilka miesięcy, a może tylko kilka godzin.

— A jej mąż? — buntowniczo odezwał się Peyretou. Nowe zadanie nie bardzo mu się podobało. Wyglądało na dość monotonne i niezbyt interesujące. — Nie upilnuje żony?

— Fris Maillieu ma nie więcej rozumu i odwagi niż dziesięcioletnie dziecko — w głosie Jordana nie było pogardy, tylko zwykłe stwierdzenie faktu.

Peyretou udał, że nie słyszał. To nie były słowa przeznaczone dla uszu służącego. Nigdy nie wiedział, czy cieszy go to, że jego pan ufa mu na tyle, by mówić przy nim takie rzeczy, czy też wręcz przeciwnie, powinien być urażony, bo Domenic Jordan czasami zdaje się traktować go jak domowy sprzęt.

— Jeszcze jedno... — zawahał się. Nie miał pewności, czy Peyretou poradzi sobie z zadaniem, które chciał mu powierzyć, ale, do licha, jeśli nie zaryzykuje, nigdy się nie dowie, a Jordan pod pewnymi względami był ryzykantem. Czasem takie właśnie eksperymenty przynosiły zaskakujące korzyści.

— Spróbuj zaprzyjaźnić się z młodym Jacme. Może ci się uda, jesteście prawie w jednym wieku. A potem wypytaj go dyskretnie o demona.

— Myślisz, panie, że on coś wie? — Chłopakowi rozbłyśły oczy.

— Wie, domyśla się albo tylko sądzi, że wie. Możliwa jest każda z tych wersji. Tylko, na litość boską, bądź ostrożny. Wolę, żebyś nic nie zrobił, niż żebyś popsuł wszystko. — To akurat nie było prawdą, ale Peyretou także miał skłonności do ryzykanctwa

i Jordan uznał, że lepiej ostudzić jego zapał, niż go podsycać.

— Pamiętaj, że na ciebie liczę — dodał jeszcze, a twarz Peyretou rozpogodziła się momentalnie.

Domenic Jordan nie był surowym panem, ale też rzadko mówił swemu służącemu podobne rzeczy.

\* \* \*

Słoneczne światło odbijało się od wypolerowanych rondli i garnków, rzucając na ściany kamienic swawolne zajęczki. Słysząc było szcęk metalu uderzającego o metal i nawoływania sprzedawców, leniwe teraz, jak zawsze późnym popołudniem, kiedy ruch na targu powoli zamierał. Od czasu do czasu z oddali dobiegały pomruki zbliżającej się burzy. W dusznym powietrzu rozchodziła się przyjemna woń wygarbowanej skóry, bo na targu, zwanym przez alestrańczyków „miedzianym”, sprzedawano także buty, torby, pasy i inne tego typu wyroby. Z maleńkich cukierenek, położonych w pobliskiej kamienicy jedna koło drugiej, niczym rząd dziupli, pachniało świeżym ciastem. Czasem jednak, z podobną częstotliwością jak pomrukiwania burzy nadchodzącej nad Alestrę, powoli, lecz nieuchronnie mieszał się z tymi przyjemnymi zapachami inny, znacznie bardziej niepokojący. Składał się z ciężkiej woni egzotycznych ziół, świeżych i trawionych ogniem, wilgotnej pleśni, kurzu, a także czegoś nieokreślonego, co kojarzyło się z ciemnością i chłodem.

W Alestrze na miedzianym targu tak właśnie pachniała magia.

Domenic Jordan wszedł przez drzwi sprytnie ukryte pomiędzy jedną cukierenką a drugą. Mężczyzna siedzący za zasłoną



z barwnych koralików dał mu znak, by poczekał.

Jordan usiadł na krześle, jednym z trzech, które stały w czymś, co od biedy mogłoby uchodzić za poczekalnię. Przymknął oczy. Słuchał monotonnego głosu mężczyzny, który wróżył właśnie młodej dziewczynie – bo to musiała być młoda dziewczyna – że czeka ją wspaniała przyszłość u boku przystojnego, bogatego i czułego męża.

Chwilę później dziewczyna wybiegła na zewnątrz. Uśmiech rozjaśniający twarz uczynił ją prawie ładną.

Jordan odsunął zasłonę z koralików.

— Wchodź, wchodź.

Mężczyzna, który podniósł się z krzesła na jego powitanie, był bardzo wysoki, a tutaj, w niewielkiej izdebce z niskim sufitem, sprawiał wrażenie olbrzyma. Był także bardzo chudy, jego skóra, cienka jak pergamin i pożółkła, zdawała się z trudem opinać wielkie kości. Szczególnie nieprzyjemne wrażenie budziła łysa jak kolano głowa i twarz do złudzenia przypominająca nagą czaszkę.

— Abre. — Jordan wyciągnął rękę.

— Jak zawsze do twoich usług. — Chudzielec wyszczerzył zęby w szerokim, nieoczekiwanie sympatycznym uśmiechu.

Abrego Jorasa i Jordana łączyło zainteresowanie magią, ale o ile Domenic Jordan próbował stworzyć z niej naukę, o tyle Abre Joras po prostu zbierał osobliwości. Nie kolekcjonował jednak przedmiotów, lecz opowieści: wśród nich legendy, krążące wśród ludzi plotki, bajania wiejskich kobiet i historyczne – lub pseudohistoryczne – fakty wyczytane w starych księgach. Jego wiedza była chaotyczna, nieusystematyzowana, a czasem bardziej

zabawna niż poważna, ale też w wielu przypadkach głębsza od wiedzy Jordana.

Abre Joras odsunął na bok świecę i pozbiierał ze stoliczka karty, którymi przed chwilą wróżył. Przypominało to rodzaj osobliwego kamuflażu. Jasnowidz, w tak oczywisty sposób fałszywy, że na jego optymistyczne przepowiednie dawały się nabierać tylko młodziutkie dziewczęta, w rzeczywistości był człowiekiem o niepokojących zainteresowaniach i umiejętnościach. Abre Joras nie umiał wróżyć z kart, ale miał inny talent, który budził niechęć Kościoła.

Domenic Jordan usiadł, przez chwilę przyzwyczajając oczy do panującego w izdebce półmroku. Kurz i dym z zapalonego w kącie kadzidła drapały go w gardle.

— Jak mniemam — Abre Joras znów uśmiechnął się, ukazując duże żółte zęby — nie przyszedłeś jedynie po to, by odwiedzić starego przyjaciela. Potrzebujesz pomocy?

Jordan nie zaprzeczył. Nie chciał tracić czasu na konwencjonalne uprzejmości. W krótkich, zwięzłych zdaniach opowiedział o prześladowającym Serenę Maillieu demonie.

— Przypuszczam — zakończył — że ów Cień to istota, którą nazwałem *servus*, niezbyt silny, ale dość sprytny człekokształtny demon. A tego typu istoty przywołuje się, by wykonały konkretne zadanie.

— I coś takiego miało miejsce podczas tamtego seansu? Ktoś wezwał demona, by zabił Serenę Maillieu?

Jordan skinął głową.

— Tylko w ten sposób można wytłumaczyć, że Cień atakuje

tylko jedną osobę. Mam w związku z tym pewien pomysł, przyznam, że dość osobliwy... — Odkasznął, próbując pozbyć się z gardła tłustego kadzidlanego dymu.

— Czy jest możliwe, że ktoś wydał Cieniowi rozkaz, nieświadom tego, co właściwie robi? Czy słyszałeś już o takim przypadku?

„Jasnowidz” zmarszczył brwi.

— Dlaczego coś takiego przyszło ci do głowy?

— Gdyby ktoś świadomie pragnął śmierci Sereny Maillieu, zabiłby ją prędzej czy później w inny sposób — wyjaśnił Jordan.

— Nie czekałby przez czternaście lat, aż zrobi to demon. Sądzę więc, że podczas tego seansu ktoś pomyślał sobie: a gdyby tak demon, którego właśnie przywołujemy, zabił Serenę? I Ciebie odebrał to jako rozkaz. Być może było to pomyślane z nienawiścią, a może tylko ot, tak sobie. Może ten ktoś wie już, co zrobił, a może nie. Może nawet nie pamięta o słowach, które przemknęły mu w pewnej chwili przez głowę.

— Nie słyszałem o czymś takim, ale to możliwe, owszem.

— Abre Joras znów uśmiechnął się szeroko. — Strasznie dużo tych „może”.

Jordan z powagą skinął głową.

— Właśnie dlatego tak bardzo mnie ta sprawa martwi.

\* \* \*

Grzmoty były coraz bliższe, coraz groźniejsze. Niebo pociemniało, a powietrze się ochłodziło. W podmuchach wzmagającego się wiatru wirowały brązowe i złote liście.

Jordan przyspieszył kroku. Mijał teraz sklepy, w których wystawiano na sprzedaż maski, kępy sztucznych włosów w marchewkowym odcieniu i kolorowe lampiony z charakterystycznymi knotami, tak długimi, by można je przywiązać do zapalającego sznura. Prawda, pomyślał, przecież Davalada już za pięć dni.

Schronił się przed burzą w jednej z cukierni na La Garrosse. Usiadł przy stoliku i zamówił kawę. Ten egzotyczny napój Okcytańczycy poznali dopiero niedawno. Dostać go można było tylko w stolicy i tylko w najbardziej znanych i najdroższych cukierniach.

Upił łyk, patrząc, jak grube krople deszczu spływają po mlecznych szybach. Za nimi widział zamazane sylwetki przechodniów kulących się pod markizą. Żaden z nich nie zamierzał wydać kilkudziesięciu eccu tylko po to, by schować się przed deszczem. Cukiernia świeciła pustkami, prócz Jordana była tu tylko para w średnim wieku – on przysypiał nad pustym talerzykiem, ona dziobała jeszcze widelczykiem ciastko z kremem.

Drzwi otworzyły się, dzwonek oznajmił przybycie nowego klienta.

Mężczyzna otrzepał płaszcz z kropel wody, rozejrzał się i ruszył wprost do Jordana.

— Pan zajął moje miejsce — oznajmił. Miał arogancką twarz człowieka nawykłego do rozkazywania innym, ale, co było dziwne, wcale nie wydawał się zagniewany.

— Przecież miejsca jest mnóstwo — zdumiał się Jordan.

— To mój stolik — upierał się mężczyzna.

— Nie sądzi pan, że to trochę dziecinne?

Później, gdy Jordan miał czas, by przemyśleć całą sytuację, doszedł do wniosku, że Tobias d’Eyquem nawet nie próbował udawać. W chwili, gdy Jordan użył słowa „dziecinne”, na jego twarzy pojawił się wyraz triumfu.

— Pan mnie obraził. Żądam satysfakcji.

To było tak absurdalne, że Jordan roześmiał się. Już wtedy wiedział, że popełnia błąd. Wiedział też, że błędu tego nie da się naprawić.

— Nazywam się Tobias d’Eyquem. Jutro przyślę sekundanta. Ja ustalam broń, panu pozostaje czas i miejsce. Walczymy do końca, póki jeden z nas nie zginie. Nic innego nie wchodzi w rachubę.

W momencie, gdy mężczyzna się przedstawił, Jordan mocniej zacisnął palce na uszku filiżanki.

Wiedział już, kim jest ten człowiek. Pozostawało tylko pytanie, dlaczego najlepszy szermierz Okcytanii chce go zabić.

— Nawet nie spytał mnie pan o nazwisko — powiedział cicho.

— Ani o to, gdzie mieszkam. Po co ten idiotyczny pretekst? Wolałbym znać prawdę. Dlaczego pragnie pan mojej śmierci?

Siedząca przy sąsiednim stoliku para przyglądała im się z ciekawością.

Tobias d’Eyquem zawahał się, przez chwilę Jordan sądził, że otrzyma uczciwą odpowiedź. Ale d’Eyquem szybko odzyskał pewność siebie.

— Żądam satysfakcji — powtórzył. W jego oczach wciąż nie było ani śladu gniewu, lecz tylko trzymane krótko na wodzy

podniecenie przed zbliżającą się walką.

Domenic Jordan puścił uszko filizanki.

— Zabiję pana, jeśli mnie pan do tego zmusi.

D'Eyquem parsknął nieprzyjemnym śmiechem.

— Niech pan nie będzie śmieszny.

Wyszedł, nie zadawszy sobie trudu, by w ochronie przed wciąż siekącym deszczem naciągnąć na głowę kaptur płaszcza.

\* \* \*

Następnego dnia skreślony przez Peyretou list pilnie wezwał Jordana do domu Sereny Maillieu.

Zastał swego służącego w towarzystwie Jacmego, Frisa Maillieu i Nicomedy. Stali na trawniku przed domem, tuż przy frontowych drzwiach. Nikt nie odwrócił się, by powitać Jordana, wszyscy wpatrywali się w futrynę.

W dębowym drewnie widniały cztery głębokie rysy, jak ślady pazurów.

Jordan przyjrzał im się uważnie. Potem sięgnął po nóż i czubkiem ostrza przesunął po jednej z rys. Na ziemię coś upadło.

Jacme i medyk schylili się równocześnie, ale Jordan był szybszy. Podniósł kawałek ułamanego paznokcia, zbyt grubego i ostrego, by uznać go za ludzki.

— No to mamy już dowód. — Poblady Jacme powiódł wzrokiem po zebranych. — Cień tu był. Dziś w nocy.

— Zatrzymało go wiszące na drzwiach zaklęcie — powiedział Jordan. — Wspominałeś, że musi upłynąć trochę czasu, nim demon uodporni się na pewien rodzaj magii. Pamiętasz?

— Tydzień — potwierdził Jacme. — Nigdy nie wracał wcześniej.

Bał się, to było widać, ale zachowywał przytomność umysłu. Jordan zaczynał nabierać szacunku do tego nieufnego, gniewnego chłopaka.

W tym momencie w progu stanęła Serena w prostej domowej sukni, zaspana, z nieuczesanymi włosami. Fris Maillieu spojrzał na żonę z przerażeniem i Jordan pojął, że ona jeszcze o niczym nie wie. Więcej, że nikt nie chce, by wiedziała.

— Co się stało? — Kobieta szeroko otworzyła wielkie błękitne oczy. Te właśnie oczy były jej największym atutem. Poza tym wyglądała na typową mieszczkę, odrobinę zbyt pulchną, z pociągłą, miłą twarzą. Była w niej jednak jakaś łagodność i bezradność, więc Jordan rozumiał, dlaczego wszyscy pragną otaczać ją opieką.

Fris Maillieu otworzył usta, by wybąkać jakieś niezręczne kłamstwo.

— Cień przyszedł dziś w nocy do pani domu — uprzedził go Jordan, który uważał, że w takich sytuacjach człowiek ma prawo wiedzieć, co mu zagraża. — Na razie powstrzymało go zakłęcie, ale za kilka dni uodporni się na nie i wróci.

Nicomeda popatrzyła na niego karcąco, a Fris Maillieu spoglądał tak, jakby Jordan dokonał świętokradztwa. Jedyne w oczach Jacmego dostrzegł coś w rodzaju błysku niepewnej aprobaty.

Serena zachwiała się, zasłoniła twarz dłońmi. Jęknęła głucho. Fris Maillieu objął ją niezręcznie.

Nicomeda podeszła do nich energicznie.

— Chodź, kochanie, pójdziemy na górę. Przygotuję ci kubek mocnego grzanego wina. Potem zastanowimy się, co dalej.

— Chwileczkę — powstrzymał ją Jordan. — Chciałbym coś zaproponować. Rozwiązanie proste, choć nie pozbawione pewnej dozy ryzyka. Gdy Cień wróci, a wróci na pewno, wpuścimy go do domu i zastawmy pułapkę. Nie sądzę, aby był na tyle inteligentny, by podejrzewać coś takiego. Potem odetniemy mu odwrot i zabijemy go.

— A Serena? — Fris Maillieu zmarszczył brwi. — Gdzie ona wtedy będzie?

— Oczywiście w domu. W przeciwnym wypadku demon nie przyjdzie.

— Chce pan jej użyć jako przynęty? — piskliwie oburzył się Fris Maillieu. — Nie zgadzam się!

— W tym przypadku decyzja należy do pana żony. Pani Maillieu?

Serena oderwała rękę od twarzy.

— Ja... Nie wiem... — zająknęła się, patrząc na nich przez łzy. — Och, gdybym miała w sobie więcej odwagi! Ale ja nie potrafię... nie zdołam tego zrobić! Powinnam umrzeć, wiem o tym!

Uciekła, szlochając, w głąb domu. Fris Maillieu pospieszył za nią.

— No i co pan najlepszego zrobił? — rzuciła sarkastycznie Nicomeda. — Moja siostra jest bardzo wrażliwa, trzeba postępować z nią delikatnie!

Jordan zawrócił w stronę powozu. Nie przejął się odmową Sereny. Kobieta przypominała mu rozpieszczone dziecko, któremu



nie pozwalano dorosnąć. A jeśli dziecko boli ząb, to, na litość boską, nikt nie pyta go o zgodę na wyrwanie. Dlatego był skłonny przeprowadzić swój plan – jego zdaniem jedyny sensowny w tej sytuacji – choćby i bez zgody Sereny Maillieu. Pewien problem stanowiła konieczność pozbycia się reszty domowników, ale i to dałoby się rozwiązać, gdyby tylko miał trochę czasu.

Tydzień, myślał, idąc w stronę powozu. Boże, spraw, by Cień nie wrócił wcześniej. Nie mam prawa prosić o ten tydzień, ale tak bardzo go teraz potrzebuję.

\* \* \*

Siostra Esmena, dawniej nazywana po prostu Niną, była zakonnicą od piętnastego roku życia, czyli licząc dokładnie, od dwóch i pół roku.

Czasami zdawało jej się, że trwa to już całą wieczność.

Każdy dzień przypominał poprzedni. Poranna msza, skromny posiłek, praca, modlitwa, znów praca, wczesna kolacja, msza wieczorna i w końcu krótki sen, jedyny moment, w którym mogła zostać sam na sam ze swymi myślami. Monotonne życie sprawiało, że w klasztorze najmniejszy drobiazg urastał do rangi wydarzenia. Przypalona owsianka podana na śniadanie, nagłe zerwanie przyjaźni pomiędzy siostrą Manuelą a siostrą Audetą, pytanie, czy ojciec Malaquias nie zatrzymuje aby ładniutkiej siostry Desideraty zbyt długo w konfesjonale. Plotki, obmowy, kliki i koterie działające przeciwko innym klikom i koteriom. Złośliwości, obłuda i wszystkie te małe, ale paskudne grzeszki, które rodzą się w zamkniętych społecznościach.

Trzeba też było pamiętać o podopiecznych marcjanek.

Siostry od początku istnienia zakonu zajmowały się kobietami upadłymi, a swoją misję miłosierdzia pełniły z pełną pogardy i złości pasją. Każdą ulicznicę najpierw golono na łyso, by jej włosy nie budziły już grzesznego pożądania, a później ubierano w szarą płócienną suknię. Sukni tych nigdy nie dopasowywano do chwilowych właścicielek i zdarzało się, że kobiety chodziły, przytrzymując w rękach zbyt długie brzegi, a innym spódnice ledwo zakrywały kolana. Do kompletu podopieczne dostawały jeszcze drewniane chodaki, które zakładane na bose stopy, zawsze obdzierały je do krwi. Tak wyposażone, zostawały wprzęgnięte w kołowrót klasztornej życia. Msza poranna, modlitwa, praca... W ich przypadku liczyła się przede wszystkim praca. Kobiety szyły i tkwały, a siostry sprzedawały ich wyroby. Esmena wiedziała, że do marcjanek trafiały ulicznice nie najmniej zepsute, pragnące się nawrócić, lecz te najmniej sprytne.

Większość z nich była zbyt stara, głupia czy leniwa – lub wszystko naraz – by zapewnić sobie utrzymanie. Pozbawione dachu nad głową, przemarznięte i głodne, pukały do klasztornej bramy. Lecz gdy tylko nabrały nieco ciała, a na zewnątrz ociepliło się, z radością powracały na ulicę, by najdalej za kilka miesięcy znów znaleźć się u marcjanek.

Oczywiście zdarzały się wyjątki. Esmena patrzyła właśnie na jeden z nich.

Kobieta, choć bardzo chuda, nie wyglądała na zagłodzoną. W jej sposobie poruszania się była jakaś zwierzęca gracja i żywotność, a ogolona głowa wcale jej nie szpeciła. Wręcz

przeciwnie, sprawiała, że wydawała się w specyficzny sposób... piękna. Tak, ona jest piękna, myślała Esmena. Choć nie jest to ta konwencjonalna uroda, którą podziwia większość ludzi. Jej piękno jest inne, dzięki i oryginalne. To uroda drapieżcy, nie kobiety.

Nieznajoma nie potrafiła – albo nie chciała – mówić. Została tu przyprowadzona wczorajszego dnia przez jakąś litościwą staruszkę, która znalazła ją na ulicy moknącą w deszczu. Siostry marcjanki uznały nową podopieczną za głupią niemowę. Esmena miała co do tego wątpliwości. Może i kobieta rzeczywiście była niedorozwinięta, ale jednocześnie wydawała się... – Esmena przez chwilę szukała właściwego słowa – ... niebezpieczna.

Tego ranka, gdy obserwowała nieznajomą łapczywie pożerającą wodnistą owsiankę, nie uszło jej uwagi, że stopy kobiety są ubłocone. Czy wychodziła gdzieś w nocy? Oczywiście to zabronione, ale ona była na tyle zwinna i silna, by przeskoczyć klasztorny mur.

I jeszcze jedno. Esmena już wcześniej zwróciła uwagę na paznokcie kobiety: długie, ostre, w osobliwym ciemnożółtym kolorze.

Teraz jednego z tych paznokci brakowało.

\* \* \*

— Jest dobry — przyznał Abre Joras.

— Dobry? — Domenic Jordan uśmiechnął się z wysiłkiem.

— Jest znakomity. To prawdziwy geniusz.

Stali na galerii otaczającej wielką salę, w której fechtmistrz i jego trzech uczniów prowadzili właśnie lekcje. Ten, który walczył

z fechtmistrem, od dawna już lekcji nie potrzebował. Nadal jednak przychodził tu, by – jak twierdził – nie wyjść z wprawy. Domenic Jordan uważał, że prawda jest nieco inna.

— On nie może przeżyć dnia, nie trzymając w dłoni szpady — powiedział. — A największą przyjemność sprawiają mu pojedynki. Żyje po to, by o poranku stanąć naprzeciw kolejnego przeciwnika, walczyć i w końcu zabić. Nic więcej się nie liczy. To człowiek skoncentrowany na jednym tylko celu, dlatego jest tak dobry.

Abre Joras skrzywił się.

— Czy coś takiego można nazwać życiowym celem?

W ciemnych oczach Jordana na chwilę pojawił się ironiczny błysk.

— Dlaczego nie? Znam człowieka, który twierdzi, że żyje tylko po to, by kolekcjonować rzeźbione tabakierki.

Jeśli wierzyć plotkom, Tobias d’Eyquem miał za sobą ponad czterdzieści pojedynków. Był znany z tego, że nie okazuje przeciwnikom litości. Jego sumienie obciążała już śmierć co najmniej trzydziestu osób. Siedem razy został ranny, w tym dwukrotnie dość ciężko, ale nie przeszkodziło mu to dokończyć walki.

Nigdy nie przegrał.

— Odkąd rozeszła się wieść, że czeka mnie pojedynek z d’Eyquemem — ciągnął Jordan spokojnie, z lekko ironicznym uśmiechem na ustach — a uwierz, że rozeszła się błyskawicznie, dostałem już kilkanaście listów, w tym pięć propozycji różnych magicznych amuletów i maści, które jakoby miałyby ochronić mnie

przed ranami, a także jedną propozycję przeprowadzki do Romefort i objęcia stanowiska na tamtejszym uniwersytecie, przy czym autor zapewniał, że mój honor na tym nie ucierpi, bo do Romefort nie docierają wieści z Alestry. Potem były cztery bileciki od alestrańskich dam, zawierające mniej lub bardziej nieprzyzwoite propozycje umilenia mi ostatnich godzin życia, bukiet kwiatów, tak wielki, że śmiało mógłby uchodzić za wieniec pogrzebowy, a nawet wiersz. Na koniec otrzymałem zaś ponaglenie od mojego krawca domagającego się natychmiastowej spłaty długu. Teraz czekam już tylko na przedsiębiorcę pogrzebowego, który przyjdzie wziąć miarę na trumnę.

Jordan wychylił się przez poręcz galerii. W sali na dole Tobias d'Eyquem walczył z trzema pomocnikami fechtmistrza. Rozbrajał ich z dziecinną łatwością, czekał, aż podniosą szpady, po czym wszystko powtarzało się od początku.

— Ciekaw jestem — dodał Jordan — czy ktoś w tym mieście wierzy, że przeżyję ten pojedynek?

Jego zwycięstwo wydawało się tym bardziej wątpliwe, że sprawiał wrażenie chorego. Twarz miał poszarzałą, pokrytą drobniutkimi kropelkami potu, a ruchy ostrożne i niepewne. Każde słowo, każdy ironiczny uśmiech wiele go kosztowały.

Abre Joras widział to wszystko, a jednak lojalność wobec przyjaciela przeważała.

— Tak, ja — powiedział i ze zdumieniem odkrył, że mówi szczerze. — Choć Bóg mi świadkiem, że nie mam pojęcia, jak zamierzasz to zrobić.

— Wspaniałe, prawda? Och, uwielbiam to! Od razu przypomina mi się dzieciństwo, gdy z matką przychodziłam popatrzeć, jak zapalają lampy Davalady. Spójrz! Nie brakuje ani jednej!

Kolejny nasączony naftą sznur, podpalony przez posługacza z pochodnią, zaczął płonąć. Ogień piał się w górę i wkrótce wysoko w mroku jedno po drugim rozbłysły barwne światła. Lampiony wisały ponad drzewami na specjalnie w tym celu zbudowanych konstrukcjach. Ułożono je w kształt kwiatów i zwierząt, a gdy udało się zapalić wszystkie i w świetlistych, kolorowych liniach nie było ani jednej przerwy, ludzie bili brawo.

Trwała noc Davalady, kiedy to Okcytańczycy żegnali odchodzące lato i witali jesień. W miejskim parku, jak co roku, urządzono z tej okazji festyn. Były karuzele, namioty cyrkowe, słodycze, gorące napoje, sztuczne ognie i oczywiście gromady poruszających się na szrudłach przebierańców w luźnych czerwonych i zielonych szatach, białych maskach i marchewkowych sztucznych czuprynach na głowach.

Tej nocy sztywny podział na szlachtę i pospólstwo zacierał się nieco. Jednak i tutaj, w parku, widać było, że dobrze urodzeni starają się trzymać razem, zachowując przy tym pewną powściągliwość kontrastującą z entuzjazmem reszty gości, którzy krzyczeli z radości, przepychali się i palcami pokazywali największe atrakcje.

Stojąca obok Jordana dóna Teresa była wyjątkiem. Ta przysadzista, niemłoda już kobieta przypominała rozradowane dziecko. Raz po raz wydawała głośne okrzyki, a jej oczy błyszczały

podnieceniem. Jordan wiedział, że dwadzieścia lat temu, gdy dòna Teresa była jeszcze panną, z powodu tych iskrzących się oczu i rumieńców na pulchnych policzkach stoczono niejeden pojedynek.

— Spójrz!

Na ciemnym niebie rozbłysły pierwsze sztuczne ognie. Dòna Teresa wpiła palce w ramię Jordana.

— Och, czuję się teraz zupełnie jak mała dziewczynka! Dzieciństwo to najszczęśliwszy okres w życiu człowieka. Tak bym chciała znów mieć sześć lat, przychodzić tu z mamą, jeść precle, pić wiśniową oranżadę i czuć się jak księżniczka z bajki!

Jordan delikatnie uwolnił ramię. Pragnienie powrotu do dzieciństwa, tak częste u ludzi, dla niego było zupełnie niezrozumiałe. Dzieciństwo kojarzyło mu się tylko z bezradnością, strachem i upokorzeniem.

Podeszła do nich markiza de Borneill spowita w obłok gazowych koronek i kwiatowych perfum, potem posiwiały, wyprostowany jak struna don Joan Crisostome z nieodłącznym psem myśliwskim u nogi, z którym ponoć chodził nawet do kościoła, i elegancki don Lucan, podpierający się laską, choć nie był kulawy ani stary. Laska jednak, przywieziona dawno temu z Malakki, stanowiła jego znak rozpoznawczy. Don Lucan miał zwyczaj, rozmawiając z kimś, kręcić nią młynka lub – jak teraz – wystukiwać na płytach chodnika rytmy popularnych oper. Tym razem Jordan rozpoznał bez trudu fragment trzeciego aktu *Wieśniaczej doli*.

Towarzystwo powiększało się z każdą chwilą. Domenic Jordan był popularny wśród alestrańskiej szlachty. Jego ekscentryczny

czarny strój, osobliwe poczucie humoru, niezwykle i niebezpieczne zainteresowania budziły fascynację i przyciągały ludzi. Co prawda, większość dobrze urodzonych zadawała sobie przy tym podstawowe pytanie: czy Domenic Jordan jest, czy nie jest szlachcicem, ale jak dotąd nikomu nie udało się znaleźć jednoznacznej odpowiedzi. Nie miał przed nazwiskiem charakterystycznego „de”, lecz ci, którzy znali go dziesięć lat temu, pamiętali, że nim przyswoił sobie śpiewną wymowę alestrańczyków, mówił z północnym akcentem, a na północy szlachta nosiła przecież najprzedziwniejsze nazwiska. Jego samego nikt do tej pory nie zapytał, być może w obawie, że usłyszy zaprzeczenie.

Kolejny sztuczny ogień rozsypał się w zielone i brązowe smugi, tworząc na niebie obraz palmy. Tym razem nawet szlachta głośno krzyknęła z podziwu, a ręce złożyły się do oklasków.

— Słyszałam już — zaszczebotała pachnąca kwiatowymi perfumami markiza de Borneill, która bez żenady odepchnęła dònę Teresę i zajęła miejsce przy boku Jordana — że pojutrze ma pan pojedynek z Tobiasem d’Eyquemem. To straszny człowiek! Dlaczego najdzielniejsi młodzi ludzie muszą ginąć w pojedynkach?!

Uśmiechnął się lekko. Rozbawiło go to zaliczenie do grona „najdzielniejszych młodych ludzi” połączone z absolutną pewnością, że nie przeżyje starcia z d’Eyquemem. Reszta towarzystwa najwyraźniej podzielała tę pewność. Namawiano go, by wyjechał z Alestry, ale namawiano niezbyt usilnie. Alestrańczycy liczyli na odrobinę rozrywki, a Domenic Jordan



dzielnie ginący w pojedynku, którego przecież nie mógł wygrać, był znacznie bardziej interesujący niż Jordan tchórz chyłkiem umykający z miasta.

Jedynie dòna Teresa wydawała się szczerze przejmować jego sytuację.

— Oni są głupi — rzuciła z typową dla niej bezpośredniością, odwołując go na bok. — Ja tam wcale nie jestem pewna twojej śmierci. Jednak ty naprawdę źle wyglądasz. Domenicu, czy ja powinnam się o ciebie martwić?

Zawahał się. Dòna Teresa zasługiwała na uczciwą odpowiedź, ale nie mógł przecież powiedzieć jej prawdy.

Zauważyła jego niepewność.

— Wycofuję pytanie — powiedziała pospiesznie. — Wierzę, że sobie poradzisz.

Więc to już druga osoba, która nie wysłała mnie zawczasu na cmentarz, pomyślał Jordan. Chyba powinienem czuć się podniesiony na duchu.

Dòna Teresa cofnęła się lekko, bo ścieżką nadchodziła hrabina d'Esquerra w sukni tak szerokiej, że zaczepiała o parkowe krzewy. Wokół niej unosił się intensywny zapach różanych perfum zmieszany z mniej przyjemną wonią środków, którymi służba hrabiny tępiła mole wygryzające dziury w jej wspaniałych toaletach.

Przywitała się z Jordanem na sposób alestrańczyków, chwytając go za ręce i podając jednocześnie do pocałunku policzek pokryty grubą warstwą pudru. Jeśli i ona zacznie mówić o pojedynku... — pomyślał. Ale co innego zaprzętało w tej chwili głowę hrabiny.

— Właśnie rozmawiałam z pańską podopieczną — paplała, wciąż nie puszczając jego rąk. — Dlaczego nic nam pan o niej nie powiedział? Czyżby dlatego, że jej dziadek dorobił się majątku, handlując wschodnimi przyprawami? Niepotrzebnie! Serena Maillieu to urocza kobieta. I jaka przy tym dzielna! Widać Bóg chciał poddać mnie próbie, mówi do mnie z takim niesamowitym, chwytającym za serce smutkiem i łagodnością. Nie wiem, czy w jej sytuacji zdobyłabym się na tyle spokoju. Z całego serca współczuję tej biedaczce. Los bardzo ciężko ją doświadczył. To niesprawiedliwe, że niektórzy żyją sobie szczęśliwie, a innych spotyka tyle tragedii, prawda?

\* \* \*

Spocony i przerażony, Peyretou przepychał się przez tłum. Ominął kobietę z wrzeszczącym dzieckiem na ręku, zanurkował pomiędzy szcudłami przebierańca zonglującego pochodniami i przedarł się przez grupę pijanych wyrostków, którzy obrzucili go wyzwiskami. Przekleństwa utonęły w zgiełku. Wokół widział roześmiane twarze, białe jak mąka maski i znów światła, karuzele, gdzie w takt prostych melodyjek obracały się konie i smoki, barwne płachty namiotów i znów światła, mnóstwo świateł. Pochodnie niesione przez służących, parkowe latarnie, lampiony Davalady i wykwitające na nocnym niebie sztuczne ognie.

Zacisnął zęby, prąc w stronę najbardziej okazałych namiotów, gdzie zawsze zbierała się szlachta.

Charakterystyczną postać w czarnym ubraniu zauważył od razu.

— Panie! — wrzasnął, przekrzykując domorosłą śpiewaczkę,

która wraz z grającym na fujarce chłopcem urządziła koncert przy jednej z alejek. — Panie!

Jordan zwolnił kroku, ale nie zatrzymał się.

— Wybacz, panie... — wydyszał Peyretou, doganiając go — ale nie potrafiłem jej upilnować. Ona uparła się, żeby pojechać na festyn, a ja... ja... Zgubiłem ją i teraz nie wiem, gdzie jest...

— Ja wiem.

Wskazał jeden ze skromniejszych namiotów, żółty jak szafran, z pomarańczowymi frędzlami. Tuż przed nim stała Nicomeda, jak zawsze w prostej, praktycznej sukni i chustce na głowie.

— Gdzie Serena? — Jordan nie bawił się w uprzejmości. Dawno już nie czuł takiego gniewu i wcale nie próbował go stłumić.

Nicomeda cofnęła się ze strachem.

— W środku...

Namiot był podłużny i dość szeroki. Jordan widział ludzi przesuwających się korytarzem pomiędzy dwoma szeregami luster. Śmiali się i pokazywali sobie nawzajem zniekształcone odbicia.

Wśród nich, w pół drogi pomiędzy wejściem przednim a tylnym, stała Serena Maillieu. Ujęła w ręce rąbek sukni i dygnęła wdzięcznie. Jej odbicie – z pewnością groteskowo grube lub chude jak trzcina – powtórzyło ukłon i kobieta zachichotała.

Przy wyjściu zrobiło się zamieszanie, ktoś wrzasnął: „Wchodzi się drugą stroną!”, ktoś inny: „Uważaj, jak łazisz”.

Pomiędzy lustrami szła teraz postać, którą w pierwszej, ale tylko w pierwszej chwili można było wziąć za kobietę ubraną w niekształtną szarą suknię, z głową osłoniętą nie chustką nawet,

lecz byle jak udartym kawałkiem szmaty.

Peyretou ni to krzyknął, ni to ze świstem wciągnął powietrze.

Zmierzająca w stronę Sereny postać miała w sobie tyle człowieczeństwa, co chodzący na dwóch łapach i ubrany w sukienkę tygrys.

Szła niespiesznie, nie spuszczać wzroku z upatrzonej ofiary. Powoli cichły śmiechy, ci bystrzejsi, którzy wiedzieli już, że dzieje się coś niezwykłego, potrzęsali ramionami mniej spostrzegawczych towarzyszy. Niektórzy wycofywali się w stronę wyjścia, inni zostawali, gapiąc się z daleka na niezwykłą postać. Nikt jednak nie podszedł bliżej i wkrótce wokół Sereny i jej Cienia zrobiło się pusto.

Jakaś dziewczyna roześmiała się jeszcze raz, nieco nerwowo, jakby spodziewając się, że to wszystko okaże się tylko osobliwym żartem.

Szybko umilkła.

Domenic Jordan miał w rękach pistolety. Strzał wydawał się łatwy. Serena Maillieu stała wciąż w tej samej pozie na środku lustrzanego korytarza, a Cień zbliżał się, idąc lewą stroną. Odległość była niewielka. Dobry strzelec mógł pociągnąć za spust bez obawy, że zrani kobietę.

Jordan odwrócił się, wcisnął pistolety w ręce Peyretou.

— Strzelaj — powiedział. — Ja nie dam rady. No już!

Chłopak zdążył jeszcze zauważyć, że dłonie Jordana drżą, i pomyślał, że z jego panem dzieje się coś złego.

W tej samej chwili tylnym wejściem wpadł Jacme i wymachując szpadą, ruszył w stronę Cienia.

Peyretou wycelował i strzelił.

Kula musnęła czoło Cienia i zdarła mu z głowy chustę. Jedno z luster rozprysło się, a odłamki posypały na stojącą naprzeciw siebie parę. Przez moment patrzyli sobie w oczy: elegancka, pulchna kobieta i zwierzęco zwinny, wciąż sprężony do ataku demon.

Domenic Jordan był zbyt chory, by zauważyć coś więcej, ale ten właśnie obraz utkwiał mu w głowie. Dwie tak różne postacie, na króciutką chwilę zastygłe w bezruchu i spoglądające na siebie.

Potem Serena Maillieu krzyknęła krótko, ostro, a Cień odwrócił się i uciekł, odtrącając zagrażającego mu drogę Jacmego.

\* \* \*

— Będzie bolało? — Serena Maillieu szeroko otworzyła błękitne oczy.

— Będzie — odparł Jordan, ostrząc nóż.

Na pozór był opanowany, w rzeczywistości jednak wciąż buzował w nim gniew. Serena Maillieu wyszła dziś wieczór, choć przykazał jej zostać w domu, choć wiedziała, że poza strefą ochronną wciąż działającego zaklęcia grozi jej niebezpieczeństwo. Być może inni uważali to za uroczo nieodpowiedzialne czy odważne. Dla niego Serena Maillieu była tylko idiotką, która omal nie ściągnęła śmierci na siebie i swojego syna.

Cienki jak igła odłamek utkwiał w policzku, tuż przy linii szczęki. Serena, próbując go wydłubać, wepchnęła tylko lustrzaną drzazgę głębiej. Jordan polecił Frisowi Maillieu, by przytrzymał jej głowę, a potem chirurgicznym ostrzem podważył odłamek

i wyciągnął go.

Miał rację, bolało. Serena krzyknęła cicho, a mąż objął ją, szepcząc pocieszająco.

Nicomeda, Peyretou i służący, którzy mimo późnej pory nie spali jeszcze, czekając na powrót państwa, otoczyli ich teraz ciasnym kręgiem. Wszyscy byli bladzi, wyraźnie poruszeni, ale w salonie panowało milczenie.

— Gdy mój służący strzelił, chusta owijająca głowę Cienia spadła — powiedział Domenic Jordan, opatrując skaleczenie. — Czy widziała pani wtedy jego twarz?

Serena Maillieu, która przez cały czas była nienaturalnie wręcz spokojna, wolno pokręciła głową. Jej oczy miały na wpół przytomny wyraz i Jordan zastanowił się, czy kobieta w ogóle rozumie, co on mówi.

— Proszę się zastanowić — nalegał. — Była pani bardzo blisko.

— Nic nie widziałam.

— Proszę dać jej spokój! — oburzyła się Nicomeda, a Fris Maillieu poparł ją. — Nie widzi pan, że biedactwo ledwo się trzyma na nogach?

— A ty? — Jordan odwrócił się w stronę Jacmego, który siedział w rogu salonu.

— Nic nie widziałem — powtórzył za matką, ale jego słowa były nie ciche, jak jej, lecz ostre, wyzywające.

Jordan skapitulował. Było wpół do trzeciej w nocy i nie sądził, by o tej godzinie udało mu się czegoś dowiedzieć. Poleciał Frisowi Maillieu zaprowadzić żonę do łóżka.

Odwróciła się jeszcze w drzwiach.

— To moja wina, prawda? — zapytała cichutko, a w jej głosie słyhać było pragnienie, by Jordan jak najszybciej zaprzeczył.  
— Przeze mnie demon omal nie zabił Jacmego.

— Kochanie — Fris Maillieu starał się podtrzymywać żonę, choć biorąc pod uwagę, że on był drobniutki, a ona pulchna, kobieta nie bardzo miała się na czym oprzeć — jak zawsze myślisz o wszystkich, tylko nie o sobie. Przecież to ty miałaś dziś zginąć!

Wybuchnęła płaczem.

— Ale w ten właśnie sposób zginął Roman! I ten młodziutki służący, i tamci mężczyźni na ulicy! Umarli, bo próbowali mnie bronić! Na każdego sprowadzam śmierć! Gdybym miała dość odwagi, wyszłabym teraz przed dom i zaczekała na demona, i... i...  
— Zachłysnęła się szlochem.

Fris Maillieu objął ją.

— Nie można tak myśleć... Nie można... — szeptał.

Nicomeda ucałowała siostrę, a służący, w zależności od odwagi, głośniejszymi lub cichszymi pomrukami wyrażali swoje współczucie.

Jacme wstał i wyszedł, zatraskując drzwi salonu. Domenic Jordan odprowadził go zamyślonym wzrokiem.

\* \* \*

— Peyretou, czy ty zdążyłeś zauważyć twarz Cienia?

— Nie, panie. — W głosie chłopaka brzmiało poczucie winy. Zazwyczaj był pewny siebie, lecz dziś zawiódł już trzy razy. Zgubił Serenę Maillieu w tłumie, spudłował, celując do demona, a na

dokładkę w momencie, gdy spadła osłaniająca Cień szmata, odwrócił wzrok.

— Ja też nie.

Jordan umilkł. Peyretou obrzucił go niespokojnym spojrzeniem. Domenic Jordan wyglądał już znacznie lepiej. Jego cera nabrała koloru, a dłonie, gdy opatrywał Serenę Maillieu, były pewne. Mimo to chłopak nie przestawał się martwić. Co będzie, jeśli pan zginie w pojedynku? Przecież wszyscy mówią, że musi zginąć, a on sam wygląda tak, jakby strach doprowadził go już na krawędź ciężkiej choroby.

\* \* \*

— Jacme Garavel wyjechał. — Peyretou skulił się, jakby oczekiwał ciosu.

— Dokąd?

Domenic Jordan nie podniósł głosu, ale chłopak nie miał złudzeń. Wiedział, że wiadomość nie spodoba się panu. Jego zwykła pewność siebie ulatniała się z każdą godziną. Był prostym młodzieńcem i świetnie nadawał się do nieskomplikowanych zadań. Kazano mu pilnować Sereny Maillieu, więc w miarę możliwości spełniał swój obowiązek. Czuł się jednak coraz bardziej zagubiony i bezradny. Pani Maillieu robiła, co chciała, a troska, jaką okazywała jej reszta rodziny, bardziej przeszkadzała, niż pomagała. A Jacme, ten sam, który według Domenica Jordana wiedział coś lub się czegoś domyślał, wyjechał i Peyretou nie mógł w tym przeszkodzić.

— Do Romefort — odparł więc z niezwykłą u niego pokorą.



— Ma zamieszkać przez jakiś czas u krewnych. Dzisiaj wczesnym rankiem pani Maillieu kazała spakować kufer syna i przed ósmą wyjechali. Znaczący się, on i służący.

Jordan zauważył zmieszanie chłopaka i poczuł litość.

— Poradzimy sobie bez niego — powiedział, zaskakując tym Peyretou, który spodziewał się ostrej reprimendy. — Jestem niemal pewien, że młodzieńcowi kazano wyjechać, bo widział twarz Cienia. Serena Maillieu też musiała ją widzieć. Nie wiem, dlaczego nie chce o tym mówić, ale mam sposób, by to z niej wyciągnąć.

\* \* \*

Ubrany w strój wizytowy Abre Joras wyglądał osobliwie. Modnie jaskrawe kolory zamiast łagodzić, podkreślały jeszcze wysoką, niezgrabną sylwetkę i woskowożółtą twarz podobną do trupiej czaszki. Nic dziwnego, że służący pod byle pretekstem wchodzili do salonu i gapili się na niego z nieskrywanym zainteresowaniem.

Jordan wyprosił ich grzecznie, lecz stanowczo. Na jego prośbę wyszła również Nicomeda i, po dłuższej chwili, Fris Maillieu. Więcej kłopotu miał z ojcem Malaquaisem, który po południu wpadł z wizytą, by – jak powiedział – przynieść Serenie duchową pociechę.

— Nie bardzo pojmuję, jakie pan ma zamiary. — Ksiądz zmarszczył brwi, popatrując na Abrego Jorasa, który stał naprzeciw fotela Sereny Maillieu, najwyraźniej niepewny, czy bez pozwolenia pani domu wolno mu usiąść.

— Proszę mi zaufać. — Jordan łagodnie kierował księdza ku

drzwiom.

— Wolałbym przy tym być — upierał się ojciec Malaquias.

— To niemożliwe. — Jordan darował sobie dalsze wyjaśnienia.

— Zapewniam jednak, że pani Maillieu nie grozi najmniejsze niebezpieczeństwo.

Ksiądz w końcu wyszedł, a Domenic Jordan przekręcił klucz w zamku.

Serena Maillieu, jakby obudzona ze snu, spojrzała na niego z przestrawieniem.

— Co pan robi?

— Nic takiego. Nie chcę tylko, by ktoś nam przeszkadzał.

Nerwowo oblizwała wargi, a jej oczy błędziły od jednego mężczyzny do drugiego, rozważając, od kogo może się spodziewać większej pomocy. Zdecydowała się na Abrego Jorasa. Mimo budzącej niepokój powierzchowności wydawał się sympatyczniejszy niż Jordan.

— Zasuń zasłony, Domenicu — powiedział Joras.

W pokoju zapanował mrok. Abre zapalił świecę i ustawił ją na stoliczku przed fotelem Sereny Maillieu. Usiadł naprzeciw kobiety.

— Najważniejsze, by mi pani zaufała. — Uśmiechnął się, a jego głos brzmiał kojąco. Odpowiedziała niepewnym uśmiechem.

— Nie zrobię pani krzywdy. Pomogę pani tylko przypomnieć sobie pewne fakty. Widzisz, pani, w głowie człowieka siedzi mnóstwo rzeczy, o których on sam już nie pamięta. A ja mam sposób na to, by te rzeczy wydobyć ot tak... — Zrobił ruch, jakby pociągał za niewidzialny sznurek. Mówił jak do dziecka, a Serena Maillieu, choć wciąż odpowiadała uśmiechem, wcale nie wydawała się

bardziej odprężona. — Przecież chce pani, by ten koszmar wreszcie się skończył, prawda?

Skinęła głową. W jej oczach czaił się lęk.

— Proszę spojrzeć na świecę. Nie, nie na mnie, ale na płomień świecy. Proszę skupić na niej całą uwagę, wszystkie myśli...

Głos Abrego Jorasa nabrał szczególnej barwy. Mówił coraz ciszej, coraz bardziej monotonicznie, każde słowo z nieodpartą siłą przyciągało uwagę, ale ich treść nie miała znaczenia. Ważny był ton głosu, ciepły i głęboki.

Ważna była świeca.

Jordan podszedł cicho do fotela kobiety. Towarzysz dał mu znak, by poczekał. Chwilę później głowa Sereny Maillieu opadła do tyłu. Spała.

— Chciałbym — powiedział Abre — aby pani przypomniała sobie wczorajszy wieczór. Proszę się nie bać — dodał, gdy wzdrygnęła się gwałtownie, a jej twarz pobladła jak płótno. — To już minęło, a demon uciekł. To tylko wspomnienie.

Uspokoila się nieco.

— Stała pani w namiocie krzywych luster, pamięta pani? Cień szedł w pani stronę, a potem kula zerwała mu z głowy chustę i jedno z luster rozprysło się. Był taki moment, gdy mogła pani zobaczyć twarz demona. Chcę, aby przypomniała sobie pani tę właśnie chwilę.

Abre Joras pochylił się do przodu, a Jordan odruchowo zacisnął dłonie w pięści.

— Czy widzi pani twarz Cienia?

Spod zamkniętych powiek Sereny stoczyły się dwie duże łzy.

— Ja... — Szarpnęła głową. Mięśnie jej twarzy zadrgały, jakby spokojną tafłę wody zmącił nagły podmuch wiatru. — Nie... Niczego nie widzę.

— Jest pani pewna?

Oddech Sereny był teraz płytki, dłonie zaciskała na poręczy. Szarpnęła się raz jeszcze, wygięła ciało w łuk i Jordan pomyślał, że za chwilę zerwie się z fotela.

— Uspokój ją — szepnął.

Pod wpływem słów Jorasa mięśnie Sereny rozluźniły się i kobieta opadła na fotel. Jednak jej oddech nadal był krótki, nerwowy.

— Nic nie widziałam, nic nie widziałam... — powtarzała.

— Ależ owszem, widziałaś — mruknął Jordan.

Abre Joras w zamyśleniu pokręcił głową.

— Nic nam nie powie. I ja sędzę, że widziała twarz demona, lecz jej opór jest zbyt silny. Nawet teraz, gdy powinna być całkowicie pod moim wpływem, miała na tyle silną wolę, by sprzeciwić mi się w tej jednej kwestii. To nie dziecinny kaprys, Domenicu. Ona naprawdę nie chce, by ktokolwiek dowiedział się, co ujrzała wczorajszego wieczoru.

Jordan dotąd sądził, że widok twarzy demona wiązał się dla Sereny z jakimś upokarzającym wspomnieniem, z jakimś sekretem niewielkim, lecz wstydliwym. Serena Maillieu nie przyznałaby się do czegoś takiego. Należała do ludzi, którzy unikając drobnych nieprzyjemności, pakują się w tarapaty znacznie większe.

Teraz nie był już taki pewny, czy rzeczywiście chodzi tu o lęk przed upokorzeniem.

— Zapytaj o seans, podczas którego przywołali demona — polecił.

Ale i tym razem nie dowiedział się niczego sensownego. Serena i jej bliscy bawili się w czarnoksiężstwo za pomocą dość prymitywnego pentagramu, czterech czarnych świec i krwi kota, któremu Roman Garavel poderżnął gardło. Według Jordana, mieli jakieś trzydzieści procent szans, że to w ogóle zadziała.

— Spytaj więc — powiedział — czy nie wie, kto mógłby chcieć ją zabić.

— Tak po prostu?

— Tak po prostu.

— Jak sobie życzysz.

Joras zadał pytanie, a na twarzy kobiety pojawił się niepewny uśmiech, który po chwili poszerzył się.

— Och, nie — odparła, energicznie potrząsając głową. — Z pewnością nikt nie chciałby mnie skrzywdzić. Wszyscy zawsze byli dla mnie tacy mili, tacy dobrzy. Nawet w dzieciństwie, kiedy tak długo chorowałam i żaden lekarz nie potrafił mi pomóc, i mój tato nosił mnie na rękach, za każdym razem, gdy chciałam popatrzeć na ogród, brał mnie na ręce i wynosił z domu, i nie pozwalał, żeby służący nosili mnie w fotelu, bo mówił, że dopóki starczy mu sił, to on będzie nosił swoją małą córeczkę...

Mówiła coraz szybciej i mniej składnie, wpadając w dziecinny ton. Joras spojrział ze zdziwieniem na Jordana.

— Wiesz, o czym ona mówi?

— Nie mam pojęcia — odparł tamten. — Ale wygląda na to, że Serena Maillieu naprawdę ma pecha. Przewlekła choroba

w dzieciństwie, a teraz prześladujący ją od czternastu lat Cień. Trochę za dużo jak na jedną osobę, nie sądzisz?

\* \* \*

Trzy kobiety krzątały się po kuchni. Nicomeda pracowała na równi z kucharkami, ubrana w fartuch, z rękoma aż po łokcie ubabranymi mąką. Spod ciasno zawiązanej chustki wymknęły się dwa jasne kosmyki i przylgnęły do spoconego czoła. Na przemian rzucała służącym krótkie polecenia, to znów śmiechem odpowiadała na ich żarty. Jordan nigdy dotąd nie widział jej tak ożywionej i z niejakim zdziwieniem pojął, że w tym domu najszczęśliwsza jest osoba, której na pozór zupełnie nie powiodło się w życiu. Nicomeda nie miała męża ani dzieci, mieszkała u młodszej siostry i pracowała dla niej, a mimo to nie żywiła pretensji ani wygórowanych ambicji. Należała do tych ludzi, którym rozsądek i pogoda ducha pozwalają cieszyć się z losu, jaki Bóg im przeznaczył.

Na widok Jordana przerwała wyrabianie ciasta i skinieniem głowy zachęciła, by podszedł bliżej.

Wkroczył w gęstą atmosferę przesyconą dymem i aromatem zawiesistych sosów.

— Chciałbym zadać pani jedno pytanie — zaczął, podczas gdy Nicomeda spoglądała na niego z zainteresowaniem.

Jej oczy patrzyły inteligentnie i żywo. Tak mogłaby wyglądać Serena Maillieu, gdyby zeszczuplała odrobinę i pozbyła się z twarzy owego wyrazu, który większość ludzi brała za łagodność, a który dla Jordana był jedynie ospałą obojętnością człowieka

przyzwyczajonego do tego, że inni decydują o jego życiu.

— Wiem, że siostra pani chorowała długo w dzieciństwie, nie mogła chodzić, a żaden lekarz nie potrafił jej pomóc. Chciałbym wiedzieć, co to była za choroba.

Spojrzała ze zdziwieniem, ale nie zadała żadnego pytania. Przykazała jednej z kucharek dobrze pilnować sosu grzybowego, odprowadziła Jordana na bok i zaczęła opowiadać.

Wszystko zaczęło się, gdy Serena miała siedem lat. Dziewczynka obudziła się rano, skarżąc się na zdrtwiałe nogi. Służąca roztarła jej łydki i uda, sądząc, że poprzedniego dnia dziecko zbyt dużo biegało i stąd sztywność mięśni. Jednak następnego ranka wszystko się powtórzyło. Masaże i gorące kąpiele pomagały na krótko, Serena słabła coraz bardziej i dwa miesiące później miała już problemy z chodzeniem. Rosła szybko, ale nogi jakby nie nadążały za rozwojem reszty ciała. Pozostały szczuplutkie i dziecinne, a do tego jeszcze sztywne jak kołki, tak że jej chód – gdy jeszcze mogła chodzić – przypominał kroki kogoś, kto po raz pierwszy w życiu porusza się na szrudłach. Lekarze nie potrafili zgodzić się co do diagnozy. Jedni mówili o zapaleniu nerwów, inni o samoistnym paraliżu spowodowanym unoszącymi się w powietrzu szkodliwymi miazmatami, jeszcze inni wspominali klątwę. Patrice Tourtou woził ukochaną córkę od medyka do medyka, nie omijając także magów, a nawet wiejskich znachorów. Próbowano ją leczyć za pomocą nakłuwania igłami, morskich kąpieli i okładów z płótna nasączonego krwią gołębia, co ponoć miało wspomóc obieg leniwej krwi. Wszystkie te zabiegi Serena znosiła z godną podziwu cierpliwością i pogodą ducha. Nie

zaprotestowała, nawet gdy ojciec zamówił u miejscowego kata, znającego się nieco na anatomii, żelazne kajdany, które zakładano dziewczynce na nogi w nadziei, że ich ciężar wyćwiczy i wzmocni słabnące mięśnie. Serena niemal przez pół roku poruszała się o kulach, wlokąc za sobą dodatkowy ciężar. Nie pomogło, a Patrice Tourtou zwątpił w medycynę i zwrócił się o pomoc do świętych.

I wydarzył się cud. W trzynastym roku życia, gdy wszyscy już stracili nadzieję, Serena została uzdrowiona przez świętą Ravossę. Dziewczynka z dnia na dzień odzyskiwała siły, jej nogi zaczęły rosnąć i wkrótce dogoniły resztę ciała, a mięśnie, dotąd wiotkie i bezużyteczne, wreszcie stały się mocne.

W dniu, gdy było już pewne, że Serena wraca do zdrowia, Patrice Tourtou najpierw rozplakał się, żałując tylko tego, że jego żona nie dożyła tej chwili, a potem kazał kupić dwie beczki najlepszego basteńskiego wina i pozwolił służbie pić do woli.

Sam zaś wyszedł w mrok, zostawiając za sobą pogrążony w zabawie dom.

W pewnym sensie Patrice Tourtou był człowiekiem prymitywnym. Niewiele dzieliło go od jego dziada, który pływał na statkach handlowych. A marynarze są przesądni. Wierzą, że za każdą łaskę trzeba zapłacić, im większa łaska, tym większa musi być zapłata. W przeciwnym razie święty odbierze człowiekowi to, co wcześniej dał, a może ukarze jeszcze większym nieszczęściem.

Dlatego Patrice Tourtou zapłacił katu, by obciął mu prawą dłoń, a potem zaniósł ją do kościoła świętej Ravossy i położył wśród kwiatów, biżuterii i dziecięcych bucików. Ksiądz pewnie wyrzucił upiorny dar, bo następnego dnia rano już jej tam nie było, ale



Patrice Tourtou miał spokojne sumienie.

Przynajmniej aż do chwili, gdy sześć lat później Serenę zaczął prześladować Cień.

Jordan zastanowił się, czy Patrice Tourtou umierał pełen poczucia winy, w przeświadczeniu, że święta uznała tamtą ofiarę za zbyt małą i ukarała Serenę, nasyłając na nią demona.

Uznał, że to bardzo prawdopodobne.

Swoją drogą, ciekawe, czy ojciec nieszczęsnej kobiety zwrócił kiedykolwiek uwagę na osobliwe podobieństwo łączące te dwie sprawy. Za pierwszym razem chodziło o nieznaną chorobę, za drugim o prześladowającego Serenę demona. Jednak w obu przypadkach nieszczęście Sereny trwało długo, całymi latami, w obu przypadkach jej rodzina przenosiła się z miejsca na miejsce, daremnie poszukując ratunku, a nikt, nawet najlepsi specjaliści, nie potrafił pomóc Serenie.

Jordan miał jeszcze jedno pytanie. Choć właściwie nie musiał go zadawać.

Znał już odpowiedź.

\* \* \*

Święcona woda miała dla niej lekko stęchłą, żelazistą woń i Esmena, przeżegnawszy się, zawsze starannie wycierała dłonie w habit. Czasem przychodziło jej do głowy, że takie postępowanie Bóg może uznać za bluźnierstwo. Prosiła wtedy o wybaczenie, całując z pokorą wilgotne jeszcze palce. Woda święcona smakowała jak rdza.

Tego wieczoru siostra Esmena nie miała czasu myśleć o takich

rzeczach. Przeżegnała się pospiesznie i stanęła za filarem, obserwując, jak powoli kurczy się kolejka czekających na spowiedź zakonnicy. Ostatnia, jak zawsze, spowiadała się siostra Desiderata. Echo szeptanych, zlewających się ze sobą słów miękko odbijało się od kamiennych ścian pustego już kościoła. W innym przypadku Esmena pewnie spróbowałaby wychwycić choć kilka wyrazów, zwróciłaby też uwagę na zupełnie w tym miejscu niestosowne stłumione śmieszki i zauważyła, że oczy odchodzącej od konfesjonału Desideraty błyszczą, a policzki są mocno zaróżowione.

Jednak dziś ten potencjalny temat smakowitych plotek nie interesował jej zupełnie. Podeszła do konfesjonału i uklękła. Ojciec Malaquias, który chciał już wychodzić, usiadł z powrotem. — W imię Ojca...

Przeżegnała się. Niespokojny oddech osiadał na metalowej kratce oddzielającej ją od księdza. Zadrzała. W kościele panował ów charakterystyczny dla wiecznie zacienionych pomieszczeń wilgotny chłód. Tu wszystko, nawet drewniane konfesjonały, zawsze wydawało się zimne. Esmenie przypomniawszy sobie kościółek w jej rodzinnej wsi. Tam lipowe drewno pachniało ciepło słońcem, a wiosną i latem przez otwarte okna wpadały pszczoły.

Odgoniła wspomnienie i rozpoczęła spowiedź.

\* \* \*

Siostra Esmena nie miała żadnego usprawiedliwienia na to, że nie spała poprzedniej nocy. Żadnego prócz tego, że była to noc Davalady, a ona miała siedemnaście lat. Wymknęła się więc do

wirydarza, by stamtąd podziwiać wykwitające na nocnym niebie sztuczne ognie.

Ogarnęło ją znajome uczucie nie goryczy, bo dawno już pogodziła się z klasztornym życiem, ale żalu i tęsknoty. W święta zawsze czuła się samotna. Na myśl, że mogłaby zasypiać teraz w rodzinnym domu, zmęczona zabawą i z brzuchem pełnym po świątecznej kolacji, do jej oczu nabiegły łzy.

Nie rozplakała się jednak. Czas, gdy nocą szlochała z twarzą wtuloną w szorstki siennik, już minął.

Zawróciła i weszła do budynku. Biegący od wirydarza korytarz oświetlano oliwnymi lampkami, z których późną nocą zostawiano zapaloną tylko co trzecią. Zbyt mało, by całkiem rozproszyć ciemność, ale wystarczająco, by nie błąkać się po omacku. Esmena szła od jednego jasnego punktu do drugiego dość pewnie, bo korytarz był prosty i szeroki.

Podeszwy drewniaków wybijały równy rytm na kamiennej posadzce. Nie starała się zachowywać ciszy. Mijała teraz pomieszczenia gospodarcze: pralnię, westiarnię i łaźnię, w których o tej porze nie powinno być nikogo.

Przy łaźni zatrzymała się nagle. Poczekała, aż przebrzmi echo jej ostatniego kroku, potem słyszała już własny oddech i szum krwi tętniącej w uszach.

Ale przecież chwilę wcześniej słyszała coś jeszcze, prawda?

Wolno, ostrożnie schyliła się i zdjęła z nóg drewniaki. Odstawiła je pod ścianę, podeszła pod drzwi łaźni i przyłożyła ucho.

Nie miała już wątpliwości. W środku ktoś był. Ktoś, a może

coś, bo to, co słyszała, brzmiało jak zwierzęce powarkiwanie, przerywane od czasu do czasu krótkimi bolesnymi piskami.

Zupełnie jak pies, który wylizuje sobie skaleczoną łapę, pomyślała.

Przez chwilę ciekawość walczyła w niej z lękiem. Perspektywa powrotu do celi i spokojnego snu z kocem naciągniętym na głowę wydawała się nęcąca, ale Esmena nie należała do tchórzy.

Podniosła jedną stopę, zziębniętą już od stania na kamiennej posadzce, i roztarła ją o łydkę. Potem to samo zrobiła z drugą.

I uchyliła drzwi.

Jedna z balii przesłonięta była parawanem z białego płótna, za którym chwiał się płomień świecy. Na parawanie, obramowany żółtym światłem, wyraźnie rysował się cień. Ktoś siedział na brzegu balii, wydając te właśnie zwierzęce odgłosy, które zwróciły uwagę Esmeny.

Dziewczyna po chwili wahania pchnęła drzwi, otwierając je szerzej.

Parawan ustawiono dość niedbale, tak iż pomiędzy jedną ze ścianek a murem łaźni utworzyła się szpara wystarczająco szeroka, by dojrzeć przez nią drewnianą balię. Do tej szpary zbliżała się teraz Esmena. Skradała się tuż przy murze, zgięta w pół. Gdy była już wystarczająco blisko, przyłożyła policzek do chropowatych cegieł i zajrzała ostrożnie.

Na brzegu balii siedziała kobieta – niemowa o gibkim ciele i drapieżnej, pięknej twarzy. Suknię miała rozerwaną na piersiach i zsuniętą aż do połowy ramion. Pochylała się nad ustawionym na drugim brzegu balii niewielkim zwierciadłem – Esmena rozpoznała

w nim leżące zazwyczaj w refektarzu lusterko, w którym pozwalano przeglądać się nowym zakonnicom tuż po ceremonii obłóczyn.

Kobieta wbiła długie, ostre paznokcie w skórę dekoltu. Spomiędzy jej zaciśniętych zębów wydobyło się warknięcie, a chwilę później cichy skowyt. Z ranki pociekła wąska strużka krwi i znikła między nagimi piersiami. Kobieta wytarła dłonie w suknię. Maleńki odłamek lustra błysnął metalicznie w płomieniu świecy i upadł na posadzkę. Niewielkie, ale wciąż krwawiące skaleczenia pokrywały już jej ramię, szyję i lewy policzek.

Kobieta pochyliła się, zaczerpnęła z balii wody i przemyła skórę.

Esmena wycofała się cichutko i dopiero za drzwiami łaźni odważyła się głębiej odetchnąć.

\* \* \*

Ojciec Malaquias był dobrym kapłanem. Grzeszył zaledwie drobnymi występkami, a swoje obowiązki spełniał gorliwie i nie bez przyjemności. Lubił długie teologiczne dyskusje, lubił też, gdy zwracano się do niego o pomoc i pociechę. Modlitwa, a także msza święta przez powtarzalność słów i rytuałów dawały mu pewność, że świat jest miejscem jeśli nie bezpiecznym i szczęśliwym, to przynajmniej uporządkowanym. Gdy stał u stóp ołtarza, milkły wyrzuty sumienia, które dręczyły go przez większość życia.

Tego wieczoru było inaczej. Dziś nie potrafił przestać myśleć o Serenie Maillieu, na którą sprowadził – ojciec Malaquias zawsze starał się brać winę na siebie – nieszczęście.

— *Judica me Deus, et discerne causam meam de gente non sancta: ab homine iniquo et doloso erue me.*

I nigdy wcześniej nie wypowiedział tych słów z taką pasją.

Czy to możliwe, że jedna z jego owieczek w rzeczywistości jest wilkiem? Z pozoru było to nieprawdopodobne, ale przecież święta Marcjana zajmowała się nawracaniem jawnochrześcijan, a nie zwalczaniem demonów. Demon bez przeszkód mógł wejść do kościoła. Święta nawet nie zwróciłyby na niego uwagi.

A kryjówka w klasztorze marcjanek – choć wydawało się to absurdalne – była dobrym pomysłem. Tutaj kobieta demon była bezpieczna. Nikt jej o nic nie wypytywał, miała dach nad głową i ciepły posiłek każdego dnia. Nie musiała nawet pracować, bo siostry, uznawszy, że jest niespełna rozumu, nie chciały jej powierzyć igły i nici.

Znane na pamięć słowa płynęły z ust księdza. Słyszał odpowiedzi wiernych, ale myślami był daleko.

Siostra Esmena mówiła o długich, ostrych paznokciach kobiety i stopach ubrudzonych ziemią, jakby wieczorami gdzieś wychodziła. I te skaleczenia. Gdy tylko o nich usłyszał, od razu przypomniało mu się rozbite kulą lustro i odłamek, który zranił Serenę w policzek.

— *Jube, Domine, benedicere. Dominussit in corde meo et in labiis meis.*

Wszedł na ambonę. Widział teraz zgromadzonych w kościele wiernych.

Zakonnice siedziały w pierwszych ławkach, a tuż za nimi w karnym rzędku ich podopieczne. Ksiądz, wciąż mówiąc, powiódł

wzrokiem po twarzach, na które nigdy wcześniej nie zwracał uwagi. Kobiety w identycznych sukniach i z ogolonymi głowami były zdumiewająco do siebie podobne. Jedna tylko wyróżniała się z tłumu.

Głos księdza zadrżał i załamał się. Przez pierwsze rzędy przebiegł niespokojny szmer, a przysypiający w dalszych ławkach wierni podnieśli głowy.

Po chwili ojciec Malaquias podjął przerwany wątek. Zwyciężyła w nim wieloletnia rutyna, lecz napominając i mówiąc o karze za grzechy, czynił to całkowicie bezmyślnie.

Wciąż patrzył na tę twarz i dziwił się, jak mógł nie zauważyć jej wcześniej. Być może to przez jej urodę, pomyślał. Teraz, gdy wszystko stało się tak przerażająco, boleśnie jasne, dostrzegł w niej piękno. Była tak podobna do tamtej drugiej, którą znał od lat, a jednocześnie tak od niej różna. Inna, o wiele piękniejsza.

Msza święta dobiegła końca, wierni zaczęli się rozchodzić.

Ojciec Malaquias zatrzymał jedną z sióstr.

— Widziałem — ruchem głowy wskazał demona — że ta kobieta nie przystąpiła do komunii świętej. Dlaczego?

— To głupia niemowa, ojcze. Nie jest zdolna wyspowiadać się, żałować za grzechy ani pojąć prawd wiary.

— Być może mylisz się, córko. Może istnieje sposób, by się z nią porozumieć. Chciałbym spróbować.

Zakonnica z pokorą skłoniła głowę i wyszła z kościoła. Ojciec Malaquias został sam na sam z demonem, który od czternastu lat prześladował Serenę Maillieu.

Spodziewał się, że poczuje gniew, może strach, a tymczasem

zwyczajnie nie miał pojęcia, co teraz robić. Kobieta demon stała naprzeciw niego zupełnie obojętna, ale jednocześnie w pewien zwierzęcy sposób czujna i gotowa do odparcia ataku. Jej niebieskie oczy nie wyrażały nic.

Wcześniejsze doświadczenia kapłana nie przygotowały go do takiej sytuacji. Żadne słowo nie wydawało się stosowne, każdy gest byłby bluźnierstwem. Przelanie w kościele krwi demona to grzech czy też nie?

— Wiem, kim jesteś — powiedział cicho. — I wiem, kto cię wezwał. Nie sądz, że pozwolę, by to dłużej trwało.

Na twarzy kobiety demona nie drgnął ani jeden mięsień. Dopiero teraz ojciec Malaquias poczuł lęk, który sparaliżował go na chwilę. Potem jednak zwyciężył gniew i ksiądz wyciągnął dłoń, by chwycić Cię za łokieć.

— Chodź — rzucił, mając nadzieję, że zabrzmie to ostro.

Nim jednak dotknął demona, poczuł, jak dwie silne ręce chwytają go za ramiona, a jego stopy nagle tracą oparcie. Pchnięty w tył z niesamowitą siłą, ojciec Malaquias wpadł pomiędzy ławki, łamiąc jedną z nich na pół. W ostatnim przeblysku świadomości zarejestrował jeszcze, że leży w idiotycznej pozycji, z głową w dole, sutanną podciągniętą aż do pasa i nogami w górze. Potem ból pozbawił go przytomności.

\* \* \*

— Ojciec Malaquias prosił, by posłać po pana. — Siostra Audeta, pełniąca tego dnia obowiązki furtianki, patrzyła na Jordana z powątpiewaniem. — Nie wiem, po co. Opiekuje się nim już jeden



lekarz.

Domenic Jordan nie odpowiedział. Domyślał się, że kapłan wcale nie oczekuje od niego pomocy medycznej.

Przeszli przez rozmównicę i znaleźli się na terenie klauzury. Skierowali się w stronę domku przeznaczanego dla kapelanów.

— Czy ojciec Malaquias powiedział, co się stało?

— To dziwne, ale nie. — Siostra Audeta lekko zmarszczyła brwi. — Choć z drugiej strony my też nie chcieliśmy za bardzo wypytywać. Ojciec dopiero niedawno odzyskał przytomność, a połamana ręka bardzo mu dokucza. Proszę go oszczędzać, jeśli łaska.

Skinął głową i wszedł do budynku.

Ksiądz leżał na łóżku, blady, z prawą ręką ujętą w łubki i ciasno owiniętą płótnem. W dusznej izbie unosił się lekki zapach laudanum, którym medycy łagodzili ból. Lekarz czuwający przy rozgrzanym do czerwoności piecyku zerwał się na widok Jordana, a ojciec Malaquias otworzył oczy.

— Proszę zostawić nas samych. Tylko na chwilę.

Medyk wyszedł, a Jordan wziął pozostawione przy piecu krzesło, przysunął je do łóżka i usiadł.

— To był on — wyszeptał ksiądz. — Cień. Przybrał postać kobiety. Tej, która go wezwała. Nie przyszło mi do głowy, że to możliwe...

— Nikomu coś takiego nie przyszło do głowy — powiedział Jordan. — Wciąż jeszcze zbyt mało wiemy o tego rodzaju istotach. Ale wiem za to, kto wezwał Cień, wiem, czyją twarz ma demon.

— To dobrze. — Ksiądz przymknął oczy. Mimo bólu był

bardzo senny. Laudanum powodowało taki właśnie efekt. — On zniknął. Trzeba go znaleźć i zabić. Przerwać to wszystko, nim będzie za późno.

\* \* \*

— Więc to już jutro — mruknął Abre Joras. — Jesteś pewien, że czujesz się dobrze? Ostatnio wyglądałeś dość... nieszczęśliwie. Mógłbyś poprosić o przełożenie pojedynku ze względu na zły stan zdrowia. Poćwiczylbyś trochę w międzyczasie, a może... — Wzruszył ramionami. W gruncie rzeczy zdawał sobie sprawę, że Jordan, by dorównać Tobiasowi d'Eyquemowi, musiałby ćwiczyć nie kilka dni, lecz kilka lat.

— Czuję się znakomicie — zapewnił Jordan. — I nie mam zamiaru odkładać pojedynku. Żałuję tylko, że wciąż nie wiem, dlaczego ten człowiek uparł się mnie zabić.

Abre zachichotał cicho.

— Jeśli chcesz, mogę ci powiedzieć.

Wbrew oczekiwaniom Jorasa Jordan nie wydawał się zdumiony. Uśmiechnął się tylko uprzejmie.

— Powiedz.

— Pamiętasz Carlotę Daures, o której mi opowiadałeś? Tobias d'Eyquem jest jej kuzynem. Dość dalekim, a w dodatku rodzina przez dłuższy czas do d'ony Carloty w ogóle nie chciała się przyznać. Widać jednak te więzy okazały się wystarczająco silne, by d'Eyquem zgodził się spełnić prośbę kuzynki.

— A ona chce mojej śmierci? Na litość boską, dlaczego?

— Ponieważ poznałeś jej tajemnicę.

Jaką, u licha, tajemnicę? Dopiero po chwili Jordan przypomniał sobie ten mały, banalny sekret, którego domyślił się, patrząc na twarz dòny Carloty.

— Z powodu czegoś takiego mam jutro umrzeć?

— Nie rozumiesz kobiet — powiedział Joras, usatysfakcjonowany, że wreszcie zobaczył w oczach przyjaciela zdumienie. — Ty w ogóle słabo rozumiesz ludzi, którzy nie myślą tak jak ty. Wydaje ci się, że wszyscy powinni kierować się rozsądkiem i logiką, bo ty tak robisz. A nie ma istoty mniej rozsądnej niż starzejąca się, a niegdyś piękna kobieta. Carlota Daures nie może znieść myśli, że żyje ktoś, kto wie o niej coś takiego. Gdybyś wtedy zgodził się jej pomóc, a ona by ci zapłaciła, wszystko wyglądałoby inaczej. Byłbyś płatnym pracownikiem, prawie służącym, a to, co wie służący, nie ma znaczenia.

— Obiecałem jej dyskrecję — mruknął Jordan. — Byłem bardzo uprzejmy.

O tajemnicy dòny Carloty wspomniał mimochodem tylko Jorasowi. Nie miał najmniejszego zamiaru o tym plotkować. Sekret ten był zbyt błahy, zbyt banalny, by zawracać sobie nim głowę.

Abre Joras uśmiechnął się szeroko.

— Oczywiście. Ty najbardziej niebezpieczny wydajesz się właśnie wtedy, gdy jesteś taki opanowany i uprzejmy. Myślę, że musiałeś wtedy tę kobietę nielicho wystraszyć.

\* \* \*

Jeśli oberża, do której zmierzał właśnie Domenic Jordan, miała kiedyś jakąś nazwę, to dawno już o niej zapomniano. Teraz

nazywano ją po prostu Rozdrożem, bo leżała przy rozwidleniu traktu. Potem, gdy miasteczko, do którego prowadziła jedna z dróg, opustoszało, a z Alestry do Mouls zbudowano nowy, krótszy trakt, oberża podupadła. I pewnie zamieniłaby się w ruinę, gdyby nie kaprys losu. Rozdroże stało się bowiem modnym miejscem pojedynków. Do dobrego tonu należało zjawić się tutaj rankiem, zamówić śniadanie – najlepiej obfite, by udowodnić przeciwnikowi, że strach nie pozbawił nas apetytu – a dopiero potem stanąć do walki.

Domenic Jordan nie miał zamiaru wchodzić do dusznego, ciasnego wnętrza oberży. Usiadł w ogrodzie pod karłowatą jabłonią, pokrytą gruzłowatymi naroślami. Wokół pełno było opadłych maleńkich jabłuszek, które wyglądały tak, jakby zgniły, zanim zdążyły na dobre dojrzeć. Stracił jedno z nich ze stołu, po czym zanurzył łyżkę w miedzianym kociołku. Rozdroże było dość paskudnym miejscem, ale potrawkę z królika dawali tu smaczną.

Tobias d’Eyquem wraz z dwoma sekundantami zjawił się dziesięć minut później. Jordan zaprosił ich do stołu. D’Eyquem jadł szybko, parząc sobie usta gorącą potrawką. W jego oczach błyszczało już nie podniecenie, lecz żądza, jaką opiumista mógłby odczuwać na widok nabitej fajki.

Jordan podsunął mu butelkę wina.

— Proszę spróbować. Znacznie lepsze niż to, które tu podają.

Mężczyzna wyciągnął rękę, zawahał się. Jordan z kpiącym uśmiechem nalał wina do kubka i wypił. D’Eyquem poszedł w jego ślady.

— Jak długo będziemy czekać na pańskich sekundantów?

— spytał.

— Jestem sam — odparł Jordan. — To jakiś kłopot?

D'Eyquem wzruszył obojętnie ramionami, a don Caprasi, jeden z jego sekundantów, skrzywił się lekko na takie pogwałcenie przepisów.

— Dość tego. — D'Eyquem dopił wino i energicznie podniósł się z ławy. — Zaczynajmy.

— Pięć minut — mruknął don Caprasi, gdy przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie. — Założę się, że nie wytrzyma dłużej niż pięć minut. Chyba że d'Eyquem zechce się z nim trochę pobawić.

Dokładnie na to liczył Domenic Jordan.

Don Caprasi dawniej sam był zawołanym szermierzem, jednak z biegiem lat, w miarę jak jego mięśnie sztywniały i słabły, stał się bardziej teoretykiem niż praktykiem. Rzadko już walczył, ale funkcję sekundanta przyjmował chętnie.

Jeden rzut oka na walczących pozwolił mu poznać, że tym razem d'Eyquem miał przeciwnika znacznie lepszego niż ci, którzy trafiali mu się ostatnimi czasy. Don Caprasi lubił bawić się w odgadywanie ludzkich charakterów na podstawie techniki walki, więc od Domenica Jordana, zawsze tak powściągliwego i opanowanego, nie oczekiwał wielu niespodzianek. Mylił się, bo Jordan, choć rzeczywiście przez większość czasu walczył w stylu dość klasycznym, potrafił jednak zaskoczyć jakimś mało ortodoksyjnym, a pomysłowym pchnięciem czy zwodem. Rzecz jasna, nie na wiele się to zdawało. D'Eyquem bez trudu parował każdy atak. Don Caprasi obserwował go z przyjemnością. Ciało szermierza przepełniała kipiąca energia, zawsze jednak

kontrolowana. D'Eyquem, choć walka sprawiała mu niewątpliwą rozkosz, nie zamierzał dać się ponieść emocjom. Jego styl był idealną syntezą agresji i opanowania, siły i zręczności.

Jordan przestał atakować. Mógł już tylko się bronić. Cofał się przy każdym pchnięciu i don Caprasi pojął, że to koniec zabawy.

D'Eyquem nacierał ostro, dążąc do skrócenia dystansu. Jordan zręcznie uniknął pchnięcia w pierś tylko po to, by chwilę później ostrze rozorało mu grzbiet dłoni. Wykorzystując okazję, d'Eyquem uderzył w głownię przeciwnika, próbując wytrącić mu broń z ręki, jednak Jordan pewnie ścisnął śliską od krwi rękojęść.

— Pięć minut... — wymamrotał don Caprasi.

W tym momencie d'Eyquem popełnił pierwszy błąd. Pchnięcie, które miało sięgnąć twarzy, okazało się zbyt krótkie i ostrze zatrzymało się tuż przed celem. Jordan odruchowo cofnął się jeszcze o krok, zdążył jednak dostrzec w oczach przeciwnika zdziwienie. Zła ocena odległości rzadko zdarzała się tak doskonałemu szermierzowi jak Tobias d'Eyquem.

Zraniona dłoń rwała bólem i Jordan wiedział, że nie wytrzyma tego długo. Sparował kolejne pchnięcie, nie dał się zwieść pozorowanemu atakowi i zatrzymał zmierzające w stronę jego serca ostrze. Ruchy przeciwnika, dotąd tak precyzyjne i pełne energii, stały się naraz zbyt szerokie i wolne.

Jordan zaatakował i w momencie, gdy głownie zetknęły się, zmienił kierunek natarcia. Szpada sięgnęła piersi d'Eyquema. Mężczyzna cofnął się, na jego koszuli wykwitła szkarłatna plama. W oczach miał już nie zdziwienie, lecz strach. Jordan nie dał mu czasu na opamiętanie się. Uderzył mocno wzdłuż żelaza

przeciwnika, skręcając jednocześnie nadgarstek. D'Eyquem odsłonił się na jedną krótką chwilę, a wtedy Jordan – z szybkością, precyzją i wyczuciem odległości, które wzbudziły podziw don Caprasiego – wbił mu ostrze w podstawę szyi.

Podtrzymał osuwającego się na ziemię mężczyznę i zbliżył usta do jego ucha. Na piersi czuł ciepło krwi buchającej z przekłutego gardła.

— Mówiłem, że zabiję cię, jeśli mnie do tego zmusisz, pamiętasz? — szepnął.

Pozwolił d'Eyquemowi upaść na ziemię i sięgnął po chusteczkę, by przewiązać zranioną dłoń.

\* \* \*

Serena Maillieu zazwyczaj wstawiała dopiero koło południa, jednak tego ranka obudziła się wcześniej, zaniepokojona panującą w domu ciszą. Przez chwilę nasłuchiwała pilnie, starając się wyłowić znajome odgłosy krzątającej się służby, ale słyszała tylko tykanie stojącego na kominku zegara i dobiegający z ulicy turkot kół powozów. Wyciągnęła rękę, by zbudzić śpiącego obok męża. Jej dłoń natrafiła na zimną pościel. Usiadła na łóżku, pobladła, z mocno bijącym sercem.

Dom był pusty, martwy.

Narzuciła szlafrok i wybiegła z sypialni. Mijała kolejne pomieszczenia rozjaśnione porannym słońcem, opustoszałe i ciche. Echo kroków niesło się daleko, w powietrzu wirowały drobinki kurzu. Nikt nie rozpałił w kominkach, żadna ręka nie zastąpiła zwiędłych kwiatów świeżymi, a z kuchni nie dochodził apetyczny

zapach śniadania.

Serena przyspieszyła kroku i wpadła do salonu.

Domenic Jordan nie wstał na jej powitanie. Odwrócił się tylko i gestem dłoni wskazał stojący obok fotel.

— Proszę usiąść.

— Co się stało? Gdzie się wszyscy podzieli?

Kurczowo ścisnęła poły szlafroka. Pomimo lęku i niepewności pomyślała nagle, że jest rozczochrana, nieubrana, a twarz ma wciąż miękką od snu.

— Siostra pani i mąż pojechali do klasztoru marcjanek — wyjaśnił Jordan. — Wezwał ich pilny list ojca Malaquiasa. Ojciec zgodził się wyświadczyć mi tę przysługę i zatrzymać ich przez jakiś czas. A służbie dałem wolny dzień.

Zabrzmiało to absurdalnie, ale przecież Serena Maillieu sama niedawno poleciła, by służący spełniali wszystkie rozkazy Domenica Jordana.

— Nie rozumiem — powiedziała cicho. — Po co to wszystko?

— Usiądź, pani — powtórzył. Przed nim na stoliczku stała butelka wina. Napełnił szklanicę do połowy i wypił. — Zaczekamy na demona.

Przez jedną krótką chwilę Serena myślała, że mężczyzna upił się albo oszalał. Ta druga możliwość wydawała się bardziej prawdopodobna. Łatwiej było uwierzyć, że Jordan postradał zmysły, niż że przez alkohol stracił nad sobą kontrolę.

— A wiszące na drzwiach zaklęcie? — spytała.

— Usunąłem je.

Gdzieś na dole trzasnęły drzwi. Serena wzdrygnęła się. Jordan



ujął ją za łokieć i posadził w fotelu. Potem wziął stojącą na stoliczku butelkę wina i przeniósł na sekretarzyk.

Za jego plecami rozległ się szcęk odwodzonego kurka. Peyretou stał za uchylonymi drzwiami prowadzącymi na drugi korytarz. Trzymał dwa nabite pistolety.

Skrzypnął stopień przyciśnięty czyjąś stopą, potem następny. Serena zeszywniała.

— Co to?

— Demon — wyjaśnił Jordan tak spokojnie, jakby chodziło o wizytę sąsiadki z naprzeciwka.

Serena Maillieu chciała zerwać się z fotela, jednak Jordan błyskawicznie znalazł się za jej plecami i położył ręce na ramionach kobiety.

— Mój przyjaciel — powiedział — zarzucił mi niedawno, że nie rozumiem ludzi. Być może miał rację. Zbyt dużo czasu zajęło mi domyślenie się, o co w tym wszystkim chodzi.

Kroki na schodach rozbrzmiewały coraz głośniejsze. Jordan wzmocnił nacisk, nie pozwalając kobiecie wstać.

— Zadałem niedawno pani siostrze pewne pytanie — kontynuował. — Chciałem wiedzieć, co takiego uczynił pani demon podczas tego pierwszego ataku, wtedy gdy ponoć przepłoszyło go bicie kościelnych dzwonów. Odpowiedź była zgodna z moimi oczekiwaniami. Tamtego dnia zemdląca pani, owszem, ale ze strachu, a nie dlatego, że Cię wyrządził pani krzywdę. Sądzę, że już wtedy zaczęła się pani domyślać prawdy. Kluczem jest trapiąca panią w dzieciństwie choroba. Niezwykły przypadek, nad którym biedzili się wszyscy lekarze. Nikt nie

potrafił pani pomóc...

Umilkło skrzypienie schodów, teraz kroki rozbrzmiewały na podeście, zbliżając się do salonu. Jordan pozwolił Serenie wstać, ujął ją jednak za ramiona i obrócił twarzą w stronę drzwi. Kobieta dygotała.

— Udręczona Serena, taka biedna i nieszczęśliwa. Wszyscy jej współczuli, zawsze była w centrum uwagi. Święta Ravossa wyrządziła pani niedźwiedzią przysługę. Tak naprawdę pani nigdy nie chciała być zdrowa. Podobało się pani bycie nieuleczalnym przypadkiem, na który nawet najlepsi lekarze nie potrafili nic poradzić. Szukała pani potem możliwości odtworzenia tamtej sytuacji z dzieciństwa. I taka możliwość się znalazła. Wtedy, podczas seansu, gdy wzywaliście demona.

Dobrze naoliwione zawiasy nawet nie skrzypnęły. Drzwi otworzyły się i w progu stanął Cień.

— To nie potrwa długo — cicho zapewnił Jordan.

Serena Maillieu jęknęła głucho. Patrzyła na swoją własną twarz.

— Rozkaz, jaki w czasie tamtego seansu odebrał Cień, nie brzmiał wcale: „Zabij Serenę”, ale „Udawaj, że chcesz zabić Serenę, i zniszcz tych, którzy staną ci na drodze”. Tego typu demony są wystarczająco inteligentne, by zrozumieć tak skomplikowany przekaz. Nie, proszę zostać na miejscu. On odejdzie, jeśli tylko nikt nie będzie próbował pani bronić.

Przynajmniej taką miał nadzieję. Sporo ryzykował i zdawał sobie z tego sprawę. Na szczęście Peyretou z nabitymi pistoletami w dłoniach dodawał mu pewności siebie.

Ciało Sereny skrzyło się konwulsyjnie. Przytrzymał ją, pilnując, by wciąż patrzyła w stronę Cienia.

A ten podchodził do nich tym samym miękkim krokiem, który Jordan pamiętał z namiotu krzywych luster. Ubrany był w podartą szarą suknię, stopy miał bose. Nie zasłaniał twarzy. Nie musiał już. Jordana uderzyła niezwykła uroda demona. Usta, w drapieżnym uśmiechu ukazujące ostre zęby, gibkie ciało, a nawet brak włosów i tradycyjnego mieszczańskiego stroju działały na korzyść Cienia i Jordan z ironią pomyślał, że demon, choć przybrał postać tej, która go wezwała, wygląda o niebo lepiej niż Serena Maillieu.

Cień jednym skokiem przebył odległość dzielącą go od kobiety. Przestała się już wyrywać. Drżała tylko, pojękując od czasu do czasu. Jordan czuł zapach jej potu, a miękkie, pachnące szalwią włosy plątały się pomiędzy palcami, które wciąż zaciskał na ramionach Sereny Maillieu.

Bał się. Bał się, że popełnił błąd i demon jednak zaatakuje, bał się, że Peyretou wpadnie w panikę i postrzeli jego albo kobietę, którą trzymał. Przez chwilę pożałował, że zdecydował się na takie ryzyko.

Cień warknął gardłowo i wyciągnął dłoń. Długi, ostry pazur spoczął na szyi kobiety w miejscu, gdzie bił błękitny młoteczek pulsu.

Peyretou wysunął się ze swej kryjówki. Jordan kątem oka złowił błysk stali.

— Proszę mi pomóc... — wychrypiała Serena. Nie mógł widzieć jej twarzy, domyślał się jednak, że płacze.

— Nie — powiedział cicho. Przeważyla dręcząca go

ciekawość. Gdyby teraz podjął walkę z Cieniem, nigdy nie dowiedziałby się, czy miał rację, czy też nie.

Demon cofnął się odrobinę, a jego dłoń nagle wystrzeliła do przodu.

— Nie! — powtórzył głośniejszym głosem i to słowo skierowane było do Peyretou, nie do Cienia. Tak jak dzisiejszego ranka nie dał się nabrać na sztuczki Tobiasa d’Eyquema, tak i teraz wiedział, że demon tylko udaje, że chce zaatakować.

Pazurzasta dłoń zatrzymała się tuż przed gardłem kobiety. Serena Maillieu krzyknęła cicho.

Cień znów cofnął się, tym razem dalej. Jego rysy straciły wyrazistość, zaczęły rozmywać się jak świeżo namalowany obraz włożony do wody. Szarość sukienki zlała się z bielą twarzy, kontury sylwetki zanikały.

Demon rozpląnął się w powietrzu.

— Już po wszystkim. — Jordan puścił Serenę, która osunęła się na fotel

Podszedł do Peyretou.

— Wracaj do domu. Nie będę cię więcej potrzebował.

Serena Maillieu wstała i sięgnęła po stojące na sekretarzyku wino. Jordan wyjął butelkę z jej rąk.

— Nie radziłbym — powiedział cicho. — W tym winie jest trucizna.

— Pan to pił... — urwała, a jej twarz zmieniła się. — Tobias d’Eyquem.

— Oczywiście, Tobias d’Eyquem. Jest pani bystrzejsza, niż przypuszczałem. Może pani o tym mówić, jeśli chce. Teraz już nikt

nie będzie pani wierzył.

Oczy Sereny rozszerzyły się strachem.

— Co pan zamierza zrobić?

— Powiedzieć o wszystkim pani rodzinie. Niech mąż i siostra pani podejmą decyzję, co z panią zrobić. Moim zdaniem, zasługuje pani na to, by spędzić resztę życia w domu dla obłąkanych, ale nie sądzę, by pani bliskim przypadło do gustu takie rozwiązanie. Zasugeruję więc inne wyjście. Mały, stojący w odosobnieniu domek gdzieś na wsi i para zaufanych służących, którzy dopilnują, by nikogo więcej pani nie skrzywdziła.

Twarz kobiety pobladła i skurczyła się. Jordan pojął, że to, co w jego mniemaniu miało być pocieszeniem, dla Sereny było zapowiedzią najgorszej z możliwych kar.

Wybuchnęła płaczem.

— Zasłużyłam na śmierć — łkała. — Tylu ludzi zginęło przeze mnie! Tylu ludzi! Mój mąż... — urwała i zaniósła się histerycznym szlochem. Jordan obserwował ją z ciekawością naukowca badającego rzadkie zjawisko. — Jestem winna! Nie ma dla mnie przebaczenia! Powinnam umrzeć!

Chwyliła butelkę i przytknęła do ust. Piła dużymi łykami, wino ściekało jej z kącików i plamiło nocną koszulę.

Jordan czekał cierpliwie.

Serena Maillieu wysączyła ostatnią kroplę, usiadła w fotelu i rękoma objęła ramiona.

— Tak... — szepnęła. — Czuję, jak trucizna zaczyna działać. To dobrze... Powinnam odpokutować za grzechy.

— To tylko wyciąg z korzenia irukadii — powiedział Jordan

uprzejmie. — Ma tę zaletę, że stosunkowo szybko można przyzwyczaić do niego organizm. To substancja niezbyt groźna, choć dość nieprzyjemna. Nie czeka panią nic groźniejszego niż chwilowe osłabienie, zaburzenia wzroku i trudności z utrzymaniem równowagi. Nic więcej.

Podniosła na niego załzawione oczy. Jordan podszedł i odgarnął z jej mokrej twarzy miękkie, jasne włosy.

— Nie umrze pani — mówił wciąż zaskakująco łagodnie. — Po pierwsze dlatego, że obiecałem pani ojcu, iż zrobię wszystko, by ocalić pani życie. Po drugie, z powodu Jacmego. Być może odesłała go pani, bo za dużo wiedział, a może bała się pani o jego życie. Wolę wierzyć w tę drugą ewentualność.

— A po trzecie — dodał po chwili — jak na mój gust, myśl o śmierci trochę za bardzo się pani podoba.

## 4. Długie noce

*Ufam Ci, Panie.*

Domenic Jordan pochylił się i dłonią w skórzanej rękawicy odgarnął zalegającą pod ołtarzem warstwę białego puchu. Z ust mężczyzny unosiła się para, mróz szczypał odsłoniętą twarz. Spod śniegu ukazała się dalsza część napisu: *Komu mam ufać?*

Uśmiech, rodzący się na wargach Jordana, zamarł. *Ufam Ci, Panie. Komu mam ufać?* Słowa wypisano czarną farbą z boku kamiennej bryły ołtarza. Jordan poczuł przypływ niepokoju. To nie był napis, jakiego można by się spodziewać w kościele. Bardziej przypominało to desperacki krzyk zdradzonego człowieka, któremu tu, na ziemi, odebrano wszelką nadzieję.

Cofnął się, by objąć spojrzeniem wnętrze świątyni. Drewniany dach pękł i załamał się – może pod naporem śniegu którejś mroźnej zimy? – lecz ściany nadal stały prosto, godząc wyszczerbionymi murami w szare grudniowe niebo. Ławek ani drzwi już nie było, zapewne drewno przydało się miejscowym na opał. Został jednak pokryty białym puchem ołtarz i krzyż z figurą Zbawiciela, która wisiała na obluzowanych gwoździach i wyglądała, jakby za chwilę miała spaść.

Po ołtarzu spacerowały kruki – dwie czarne plamy na białym tle, kontrast uderzająco piękny – a ich łapki zostawiały charakterystyczne czteropalczone ślady. Ktoś dokarmił

mieszkające w ruinach drapieżne ptactwo. W śniegu zabarwionym krwią na rudy brąz leżały resztki mięsa i kości

Kruki zerwały się do lotu i zniknęły w oknie dzwonnicy, która wciąż cała, wznosiła się obok kościoła.

Jordan skierował się w stronę wyjścia. Świat na zewnątrz zasłany był grubym całunem śniegu, pomarańczowego i różowego w blasku zachodzącego słońca z maleńkimi srebrnymi iskierkami lśniącymi tam, gdzie załamywały się promienie.

Naciągnął na głowę kaptur, chroniąc się przed zimnymi podmuchami wiatru, i raz jeszcze spojrzął na zrujnowany budynek. Wiedział już, że odkąd przed kilkudziesięciu laty zawalił się dach kościoła, pobożni mieszkańcy Almayrac chodzili na msze do sąsiedniego Comblat. Każdej niedzieli, miesiąc po miesiącu, z wyjątkiem okresu pomiędzy połową grudnia a końcem stycznia, który to czas nazywali Długimi Nocami. Wtedy Almayrac ogarniała fala najsilniejszych mrozów, a na drogach tworzyły się zasy sięgające dorosłemu człowiekowi do pasa. Miejscowi siedzieli wówczas w domach, grzali się przy piecach i co noc palili w oknach świece. Miały one ponoć odstraszać sivadi, górskie demony, które wraz z mrozem, wichrem i śniegiem schodziły w dolinę.

Wszystko to usłyszał Jordan tydzień temu, gdy po raz pierwszy zobaczył te światła i o nie zapytał.

Tydzień, pomyślał. Tyle czasu mieszkał już w tej niewielkiej, spokojnej miejscinie.

Jesienią wydawało się to znakomitym pomysłem. Kiedy wygrał pojedynek z Tobiasem d'Eyquemem i nagle jego nazwisko stało się znane, Jordan zaczął odczuwać zwiększony w dwójnasób ciężar



popularności. Popularności tym bardziej niebezpiecznej, że ktoś mógł w końcu dojść, w jaki sposób udało mu się zabić d’Eyquema. Dlatego też uznał, że na kilka miesięcy powinien wyjechać z Alestry. Peyretou, opiekujący się ciężko chorą matką, został zwolniony z obowiązków służącego aż do wiosny, a Jordan rozpoczął poszukiwania domu, w którym mogłoby mieszkać przez zimę. Nie miał wielkich wymagań, pragnął jedynie odrobiny spokoju, by móc dokończyć traktat, rozpoczęty rok wcześniej. Od chwili przyjazdu żył w Almayrac dokładnie tak, jak sobie zamierzył: wstawał wcześnie, pisał aż do wieczora i prawie z nikim się nie widywał. Przez siedem dni nie wydarzyło się nic, co mogłoby zmienić raz ustalony rytm. Dziś jednak odkrył, że taki tryb życia niezupełnie mu odpowiada. I nie chodziło wcale o samotność. Jordan należał do rzadkiego typu ludzi, którzy równie dobrze czują się w towarzystwie, jak i bez niego. I wiedział, czego mu brakuje. Tęsknił za niebezpieczeństwem, za emocjami i ryzykiem, za tym, co czuł wtedy w Charnavin i później w Tarris. I w Alestrze, gdy walczył z Tobiasem d’Eyquemem. Tęsknił też za tajemnicą, choćby taką, jakiej kilka tygodni temu dostarczyło mu spotkanie z Emmą Marivel, na której prośbę przerwał swą podróż do Almayrac.

Odkrycie to zaniepokoiło go. Przywykł dotąd uważać się za człowieka opanowanego, który w życiu kieruje się logiką i rozsądkiem.

Podniósł głowę, spojrzął na ośnieżone szczyty otaczające dolinę z miasteczkiem Almayrac. Dolina była maleńka, a szczyty wysokie i bliskie. Jordan urodził się w górach i zawsze darzył je szacunkiem, nie lękiem, lecz teraz miał wrażenie, że się dusi.

Oddychał, wciągając w płuca powietrze tak mroźne i ostre, że z każdym haustem czuł w piersi ukłucie bólu. Od zimnego wiatru oczy zaczęły mu łzawić. Zamrugał, sięgnął po chusteczkę. Nie zdążył i pojedyncza łza spłynęła na policzek.

Wyjedź stąd, podszeptał mu wewnętrzny głos. Wyjedź, póki śnieg nie zasypie wszystkich dróg.

Ale miał tu dom, za którego wynajęcie zapłacił już sporą zaliczkę, miał służącego, który całkiem nieźle zastępował Peyretou, miał w końcu spokój, potrzebny, by dokończyć traktat.

A Jordan był przecież człowiekiem, który kieruje się rozsądkiem, a nie niejasnymi przeczuciami. Chwila słabości przeminęła i myśl o wyjeździe wydawała się już tylko niemądra.

\* \* \*

Almayrac miało zdumiewająco prosty plan. Siedziby najbogatszych obywateli, murowane i okazałe, koncentrowały się wokół niewielkiego rynku, za nimi stały uboższe drewniane domy, a jeszcze dalej, już na stokach gór, można było wypatrzeć chałupy górali, którzy na halach wypasali owce. Miasteczko przecinała droga. Zaczynała się u wrót zrujnowanego kościoła, wiodła przez dzikie łąki, teraz zasłane śniegiem, do Almayrac, a później jeszcze dalej na południe, przełęczą aż do Comblat.

Jordan minął rynek, pocztę i najlepszą w miasteczku gospodę. Zwolnił kroku dopiero tuż koło wynajętego przez siebie domu.

Wczorajszego wieczoru przed przeciwległym budynkiem zauważył załadowany kuframi wóz. Odgadł wówczas, że nie jest jedynym obcym, którego skusił urok spokojnej zimy spędzonej

w odciętym od świata Almayrac, a oceniając po liczbie bagaży, założył też, że jego nowymi sąsiadkami będą kobiety.

Nie mylił się. Przed domem stał teraz powóz, a o drzwiczki opierała się jasnowłosa kobieta. Mówiła coś podniesionym, ostrym tonem. Wdowa Mandrier, właścicielka domu, słuchała jej ze spuszczoną głową.

Jordan podszedł bliżej.

— Spodziewałam się — głos jasnowłosej drżał hamowaną złością — że warunki naszej umowy są jasno określone. Mieszkanie przed naszym przyjazdem miało zostać wysprzątane i ogrzane. Wysprzątane i ogrzane, czy rozumie pani te dwa słowa?

— Proszę o wybaczenie — mamrotała wdowa Mandrier. — Wynajmuję pokoje na piętrze od dawna, od śmierci męża i nigdy nie miałam żadnych kłopotów. Ale to było zawsze latem... To znaczy, nikt dotąd nie wynajmował pokoi zimą. I po prostu nie zdążyłam... Ale obiecuję, że już za chwilę wszystko będzie w porządku. Sara! Sara, gdzie jesteś?! — Pobiegnęła w stronę domu, nawołując po drodze służącą.

Jasnowłosa prychnęła z pogardą. Jordan zastanowił się, jak kobieta bez żadnych skaz fizycznych, przyzwoicie ubrana i jeszcze niestara może sprawiać tak nieprzyjemne wrażenie. Trzymała się prosto, zadzierając jednocześnie głowę, co podkreślało jeszcze jej wysoki wzrost. Włosy związała na karku w ciasny węzeł, odsłaniając w ten sposób wypukłe czoło i regularne, wyraziste rysy. Nie było w nich nic męskiego, a jednak należało ją określić jako „przystojną” raczej niż „ładną”. Ubrana była w wysłużony tani płaszcz, zbyt cienki jak na tę pogodę, a mimo to nie drżała z zimna.

Okrycie miało ten sam kolor co jej szare oczy, które spoglądały teraz na Jordana nieustępliwie i twardo.

W miarę jak lustrowała sylwetkę mężczyzny, jej wzrok łagodniał. W końcu na wargach pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

— Proszę wybaczyć tę awanturę — powiedziała. — Czy myślę się, sądząc, że jest pan naszym nowym sąsiadem?

— Nie mylisz się, pani. Domenic Jordan — przedstawił się.

— Joana Lienard — zrewanżowała się równie uprzejmie. — Pan nie jest stąd, prawda? Spędza pan tu zimę? To zupełnie jak my. Od dawna pan mieszka w Almayrac?

— Już prawie trzy tygodnie.

W tym momencie rozległ się dziecięcy krzyk, a później wybuch śmiechu. Jordan rozpoznał głos Flor, małej córeczki wdowy Mandrier. Dziewczynka wybiegła z za rogu domu, a wokół nóg kręcił się, poszczekując jazgotliwie, łąciaty kundelek. Ścigała ją rudowłosa panna. Złapała kołnierz Flor, przyciągnęła do siebie i drugą ręką wtarła jej w twarz garść śniegu. Dziecko zapiszczało tak przenikliwie, że Jordan zdziwił się, jakim cudem nie popękały jeszcze szyby w oknach.

— Dość tych wygłupów. — Joana Lienard skarciła rudowłosą, która natychmiast puściła Flor i podeszła do nich. — To moja córka.

— Eli — dziewczyna wyciągnęła dłoń. — Proszę mówić mi po imieniu. Wszyscy tak na mnie wołają.

Tym razem Joana Lienard nie upomniała jej, choć bez wątplenia powinna to zrobić. Zdawało się, że zbyt swoboda

córki nie robi na tej surowej kobiecie żadnego wrażenia. Jordan zdziwił się, musiał jednak przyznać, że podobne zachowanie pasuje do noszącej męskie imię dziewczyny. Była starsza, niż wydawała mu się na początku, ale wyczuwało się w niej właściwą młodości zadziorność i dynamikę. W przeciwieństwie do stroju matki ubranie Eli nie wyglądało na tanie ani wysłużone – spod jej krótkiego eleganckiego kożuszka śmiało wyzierała równie elegancka ciemnobłękitna suknia. Włosy panny Lienard były intensywnie czerwone, a tęczęwki równie intensywnie niebieskie. W oczach miała ironiczny błysk, chłodny i twardy, za nic niepasujący do młodej buzi.

— Już gotowe! — Wdowa Mandrier stanęła w drzwiach. W rękę trzymała parciany worek.

Joana Lienard weszła do domu. Eli zatrzymała się przy gospodyni i zajrzała do worka.

— Cóż, przynajmniej szczury mamy z głowy, prawda?

— One zimą zawsze ciągną do domów — wymruczała wdowa usprawiedliwiająco.

Flor, zaczerwieniona jeszcze po zabawie i ze zziąjanym kundlem wciąż kręcącym się wokół nóg, podeszła do Jordana. Szarpnęła go za rękaw.

— To sivadi — szepnęła konspiracyjnie. — Sivadi pozabijały szczury. Widziałam, jak jeden z nich zdychał dziś rano przy drzwiach do piwnicy. Znaczy, Długie Noce zaczęły się na dobre.

W końcu przyszła śnieżycy, zapowiadana przez miejscowych już od kilku tygodni. Trwała dwa długie dni.

Kiedy wieczorem Jordan wyjrzał przez okno, zobaczył

pokrywającą świat czapę białego puchu. Potem pogoda się poprawiła, śnieg padał rzadziej, przeważnie nad ranem lub w nocy. Główna ulica Almayrac była przejezdna, ale już za miasteczkiem, na przełęczy, drogę do Comblat tarasowały zaspasy.

Jordan zastanawiał się, czy w razie potrzeby potrafiłby się stąd wydostać. Takie myśli przychodziły mu do głowy coraz częściej, zwłaszcza wieczorem, kiedy miasto ogarniał mrok, a w oknach zapalały się świece.

Znalazł w tych dniach cztery martwe szczury. Urok starych domów, pomyślał, gdy natrafił na pierwsze truchło. Kazał służącemu sprzątnąć martwe zwierzę i nie myślał o tym więcej. Wdowa Mandrier miała rację: zimą w domach zawsze było dużo szczurów, tak dużo, że nie istniał sposób, by je wszystkie wytępić. Jordan uznał, że to jedna z tych nieprzyjemnych rzeczy, z którymi, chcąc nie chcąc, trzeba się pogodzić.

Tego samego dnia po południu znalazł drugiego szczura. Założył skórzane rękawiczki, cieńsze niż te, które nosił dla ochrony przed zimnem, i podniósł zwierzę, trzymając je za ogonek. Gryzoń był zaskakująco lekki, a jego ciało skurczone, jakby wyschnięte. Zaraza?, pomyślał Jordan z niepokojem.

Wezwał służącego.

Miro według własnych słów miał osiemnaście lat, a wyglądał bez mała na trzydzieści. Był chudy i wysoki, twarz miał pociągłą i zawsze ponurą, a szaroblond włosy spadały mu nieustannie na oczy. Jego policzki i czoło pokrywały wypryski, które – rzecz szczególna – wcale nie nadawały mu młodzieńczego wyglądu. Niezależnie jednak od swojej brzydoty, cierpliwy, dokładny

i pracowity Miro służył dobrze. Jordan, choć zdecydowanie wolał bystrego Peyretou, był z niego zadowolony.

— Szczury zawsze giną w Długie Noce — powiedział młody sługa. — To nic takiego. Nie ma obaw. Ludzie nie umierają. Tylko szczury.

Była to najdłuższa wypowiedź, jaką Jordan usłyszał od tego milkliwego chłopaka.

Gestem wskazał mu stojący przy kominku fotel. Miro usiadł na brzeżku, sztywno wyprostowany, W jednej dłoni ścisnął okrągły słoiczek wosku, a w drugiej ściereczkę, bo pracodawca oderwał go właśnie od pucowania mebli.

— Dlaczego szczury giną?

— Przez sivadi — odparł Miro.

— Sivadi zabijają szczury? — upewnił się Jordan. — A ludzi nie, bo ludzie palą w oknach świece?

Chłopak skinął głową i w przekonaniu, że wszystko zostało już wyjaśnione, chciał wrócić do pracy. Jordan powstrzymał go gestem dłoni.

— A inne zwierzęta? Powiedzmy, koty, psy?

— Czasem też umierają.

— A bydło? Kury, gęsi?

Skinięcie głową.

— Ale nie ludzie. — Jordan umilkł na chwilę. — Zastanówmy się więc. Nie zapalam w nocy świece. Czy to znaczy, że i ja mogę umrzeć?

Miro potrząsnął głową.

— Ja co noc palę świece. Jesteś bezpieczny, panie — wyjaśnił

z niewzruszoną cierpliwością.

— Więc taka świeca chroni nie tylko osobę, która ją zapaliła, ale cały dom?

Młody służący przytaknął.

— Dlaczego więc giną koty, psy czy szczury, które też w tym domu mieszkają?

Chłopak gapił się na Jordana bezmyślnie. Widać logiczne kojarzenie faktów i wyciągnię wniosków leżało poza granicą możliwości jego prostego umysłu.

— Może więc to nie sivadi, lecz jakiś rodzaj zarazy, na którą ludzki organizm jest odporny — odpowiedział mu Jordan.

Miro energicznie potrząsnął głową. Nie zgadzał się, ale brakowało mu argumentów. Jordan westchnął i pozwolił służącemu wrócić do pracy.

Następnego martwego szczura rozkroił nożem. Nie znalazł jednak nic poza tym, co już wcześniej podejrzewał, czyli na wpół zmumifikowanymi tkankami, jakby szczurze truchło leżało przez jakiś czas w suchym pomieszczeniu. Czy zaraza – bo Jordan wciąż wierzył, że to właśnie zaraza – powodowała, iż organizm zwierzęcia gwałtownie tracił wodę? Żałował, że nie trafił dotąd na chorego osobnika. Mieszkające w piwnicach szczury były albo żywe i najzupełniej zdrowe, albo martwe, jakby tajemnicza choroba atakowała je niezwykle szybko, w ciągu kilku chwil odbierając życie.

\* \* \*

— Zrobisz to.



Grzebień zatrzymał się. W blasku świecy włosy Eli miały ciemnoczerwony kolor, prawie jak krew.

Oczy matki spoglądały na dziewczynę z zawieszzonego nad toaletką lustra.

— Nie.

Joana Lienard podjęła pracę, powoli, starannie rozczesując włosy córki.

— Owszem, zrobisz. On jest twoją jedyną szansą.

— Nie jest bogaty.

— Wygląda na bogatego, a ty jesteś po prostu głupia — powiedziała starsza z kobiet tonem nieznoszącym sprzeciwu.

— Przez kogo musiałyśmy uciekać z Talavère? Przez kogo spędzamy zimę w takiej dziurze jak Almayrac?

Mamo, proszę, nie dzisiaj, pomyślała Eli. Odbijające się w srebrnej tafli oczy patrzyły na nią surowo.

— Przeze mnie.

— Wiedziałam, że to się tak skończy — syknęła Joana Lienard, a w jej głosie zabrzmiała nutka triumfu. — Głupia jak wszystkie dziewczuchy, leniwa, pazerna. Przyjemności ciała, wypchany żołądek, świecidełka na palcach. Zupełnie jak zwierzęta. Dlaczego Bóg nie dał mi syna, dobrego, mądrego syna, z którego mogłabym być dumna? Wiesz, ile zapłaciłam za twoją edukację?

Mamo... – to nie był nawet szept, tylko myśl.

— Wiesz?

— Tak.

— I wszystko zmarnowałaś. Wszystko. A teraz jeszcze się sprzeciwiasz? O nie, moja panno. Naprawisz to, co zepsułaś. I to

szybko, póki jest jeszcze czas.

\* \* \*

— Dlaczego nigdy nie odbudowano kościoła? Nie sędzę, by to było trudne. Kamienne mury nadal stoją, wystarczyłoby tylko położyć nowy dach.

Jordan rzucił to pytanie beztrąsko, po prostu jako kolejny temat do rozmowy. Powoli zaczynał żałować, że przyjął zaproszenie don Sebastiena. Wieczór należało zaliczyć do wyjątkowo nieudanych. Po kolacji – niezbyt smacznej zresztą – towarzystwo zasiadło w salonie. Panie we własnym gronie, przy kominku, podjęły niekończące się dywagacje na temat koligacji rodzin mieszkających w Almayrac. Jedynie Eli Lienard wyłamała się i przyłączyła do męskiego towarzystwa. Panowie siedzieli w drugim końcu pokoju na ustawionych w półokrąg fotelach. Zawzięcie dyskutowali o zasadach polowania na lisy i dopiero pytanie Jordana położyło kres tym rozważaniom.

Don Sebastien spojrział na gościa z niechęcią.

— Boga należy czcić we własnym sercu, a nie w kościele. Większość mieszkańców Almayrac podziela tę wiarę. Żyjemy tu trochę na odludziu, panie Jordan, i niektórzy ludzie spoza doliny uznają nas za bezbożników, ale to nieprawda. Po prostu mamy własne zasady. A jeśli ktoś chce brać udział w niedzielnej mszy, to zawsze może wybrać się do Comblat.

Mówiąc to, postukiwał paznokciami o blat stolica z drzewa różanego. Paznokcie miał długie, a na każdym palcu nosił pierścień z dużym kamieniem. Jego koszulę zdobiły koronki, kaftan, choć

staroświecki w kroju, wykonano z najlepszego materiału, brązowe, przetykane srebrnymi nitkami włosy były zaś starannie uczesane i związane na karku czarną aksamitką. Nie trzeba było jednak wielkiej spostrzegawczości, by zauważyć, że koszula jest raczej szara niż biała, na kaftanie widać plamy, a włosy są przetłuszczone. Na Jordanie ta pozorna elegancja i schludność sprawiały bardziej przykre wrażenie, niż gdyby spotkał ubranego w brudne łachmany nędzarza.

Niemniej gospodarz miał trochę racji. Zdarzało się, że izolowane społeczności tworzyły swój własny religijny folklor, czasem bliższy pogańskim obrzędom niż chrześcijaństwu, nie mówiąc już o tym, że na północy wiara zawsze była słabiej zakorzeniona – Jordan dobrze o tym wiedział, bo sam stąd pochodził. Lecz z drugiej strony miasteczko, choćby i maleńkie, od pół wieku pozbawione własnego kościoła to coś zbyt osobliwego, by tłumaczyć ten fakt lokalnymi dziwactwami.

— A co z ostatnim proboszczem? — zainteresował się Jordan.  
— Czy on nie starał się o odbudowanie kościoła?

Don Sebastien patrzył na niego, mrużąc wielkie oczy. Jego głowa dziwnie przypominała odwróconą do góry nogami gruszkę. Miał bardzo szerokie, wypukłe czoło, duże oczy i drobne usta tuż nad równie maleńkim podbródkiem. Mimo to twarz gospodarza wcale nie wyglądała zabawnie, choć przecież powinna.

— Pan uwielbia wsadzać nos w nie swoje sprawy, prawda?

Zdumiony Jordan zmarszczył lekko brwi. Prawda, że na prowincji ludzie bywali nieufni, prawda też, że on sam nie należał do nazbyt zręcznych rozmówców, bo brakowało mu wyczucia

intencji – gdy chciał wyciągnąć z kogoś informacje, posługiwał się cierpliwą uprzejmością wymieszaną w równych proporcjach z zawołowanymi groźbami, czasem jeszcze popierając to wszystko brzęczącą monetą. Nie sądził jednak, że kiedykolwiek zasłuży na tak ostrą reprimendę.

— Proszę o wybaczenie — powiedział gładko, ale twarz don Sebastiena nie złagodniała. Skinął głową, a w skinieniu tym było ostrzeżenie, by gość na przyszłość uważał.

Jordan uznał, że pora zakończyć wizytę. Gestem przywołał stojącego przy drzwiach służącego i poprosił, by osiodłano i wyprowadzono ze stajni jego konia. Potem wyszedł na balkon, oparł łokcie o poręcz i spojrzał na zaśnieżoną ulicę.

Po chwili dołączyła do niego Eli Lienard. W oczach miała ten sam chłodny, ironiczny błysk, na który zwrócił uwagę już przy pierwszym spotkaniu.

— Mogę panu powiedzieć, co stało się z ostatnim proboszczem Almayrac. Nasza gospodyni o wszystkim mi opowiedziała. Chce pan?

Przytaknął.

— On zniknął. W dniu, w którym zawalił się dach kościoła. A wcześniej jeszcze podpalił plebanię. To, co z niej pozostało, rozebrano wiosną. Ludzie mówią, że ksiądz oszalał i porwał go diabeł. A mnie się zdaje, że księżulo po prostu uciekł z miasta.

Jordan powoli pokręcił głową.

— Jeśli zawalił się dach, to znaczy, że śniegu było naprawdę bardzo dużo. Nie zdołałby przedostać się przez przełęcz.

— Więc może zginął w kościele?

— Znalezione by ciało.

Usta Eli wciąż jeszcze wyginały się w kpiącym uśmiechu, ale w jej oczach już widać było niepokój.

— Więc co pan sugeruje? Morderstwo? Ciało zakopane w ogródku?

— W zmarzniętej na kość ziemi i pod sięgającą kilku stóp warstwą śniegu?

Przestała się uśmiechać.

— Pan jest dość dziwny, wie pan o tym?

— Bo staram się myśleć logicznie?

— Więc co pana zdaniem stało się z księdzem?

Spojrzał na nią, a dziewczyna cofnęła się lekko.

— Nie wiem, ale nie sądzę, by udało mu się opuścić Almayrac.

Potrząsnęła głową, najwyraźniej niepewna, co powiedzieć. Jordan niemal jej pożałował. Pod wieloma względami była jeszcze bardzo młoda i śmierć wciąż wydawała jej się zbyt nierealna, by brać ją na poważnie.

Ale przecież jeszcze przed chwilą oczy dziewczyny błyszczały chłodnym rozbawieniem, prawie cynicznym, jeśli dobrze się zastanowić, a zachowanie – choć nigdy nie prostackie, bo Eli Lienard maniery miała doskonałe – było zdecydowanie zbyt swobodne jak na niewinną pannę. Jordan pamiętał też parę wypowiedzianych przez nią zdań, które wpadły mu w ucho przy kolacji.

Przed domem dostrzegł służącego, który właśnie wyprowadzał konia. To nic, pomyślał. Poczeka chwilę.

— Przy stole zacytowała pani fragment traktatu *O państwie*

*i religii.* Zna pani Parsona?

Oczy Eli błyskawicznie odzyskały kpiący wyraz.

— Niewiele mi z tego przyszło, prawda? Nikt nie podjął dyskusji.

— A Francesco Corba? Czy i jego teorię pani zna?

Skinęła głową.

— A Donnet? Leo d’Estevenon?

— Urządza mi pan egzamin?

A więc po raz drugi tego wieczoru został skarcony. Nie miał jednak ochoty na kolejne przeprosiny, a poza tym zastanawiał się, czy panna Lienard w ogóle jest osobą, którą warto przeproszać.

\* \* \*

— Nazwiemy go Łatka, dobrze?

Flor spojrzała na Eli z dezaprobatą.

— To imię dla krowy, nie dla psa

— Więc może Guinòt?

Łaciaty kundel, nieświadom problemów, jakie powoduje jego imię, stał na ganku z rozstawionymi szeroko łapami i chłeptał mleko z miski.

Flor z komiczną powagą zmarszczyła brwi.

— Guinòt. Podoba mi się. Jesteś Guinòt, wiesz? — Objęła psa za szyję, a ten wyrwał się i prosto ze schodków skoczył w wysoką zaspę. Dziewczynka roześmiała się, uszczęśliwiona.

Eli westchnęła i poszła na piętro, skąd dobiegało wołanie matki. Po drodze przygotowała się na kolejną porcję pretensji, że nie zajmuje się tym, czym powinna.

\* \* \*

Stali przed domem. Trzy barczyste, odziane w długie płaszcze sylwetki, wciąż jeszcze widoczne mimo gęstniejącego mroku. Po prostu stali z zadartymi głowami, patrząc w okna Jordana.

Ponad brukiem ulicy zapłonęły światła. Jedno, dwa, a czasem nawet więcej, w każdym domu. Liczne, ale wciąż zbyt słabe, by rozjaśnić ciemność, wbrew pozorom nie dawały wrażenia przytulności i bezpieczeństwa. Przeciwnie, te małe żółte punkciki zawieszane nieruchomo pośród wietrznej nocy wyglądały niepokojąco.

Mężczyźni wciąż stali w tym samym miejscu – teraz ich sylwetki były tylko czarną plamą na tle odrobinę jaśniejszego mroku. Lodowaty wiatr szarpał ich płaszczami, a oni tkwili w miejscu, jakby zimno nie robiło na nich żadnego wrażenia.

Jordan zastanawiał się, czemu ma służyć ta demonstracja. Zastraszeniu go? Powstrzymaniu przed wtykaniem nosa w nie swoje sprawy?

Potrząsnął głową i odsunął się od okna. Nie miał zamiaru rezygnować. Nie teraz.

Przed prawie pięćdziesięciu laty w Almayrac zima była tak ostra, że gdy w końcu ustała trwająca tydzień zamieć, z niektórych domów ludzie wychodzili przez okna, wygrzebywali się ze śniegu jak powstający z mogiły wampir. Wtedy zawalił się dach kościoła i proboszcz zniknął bez śladu. A przecież nie mógł opuścić miasteczka. Nie podczas tak surowej zimy.

Mniej więcej w tym samym czasie z gór zaczęły schodzić sivadi zabijające szczury, psy i koty. Ludzie zaś zaczęli palić

świece, by ochronić się przed demonami.

Wszystko to Jordan wiedział od wdowy Mandrier, a ona z kolei od zmarłej niedawno matki. Kobieta bez oporów zgodziła się porozmawiać z Jordanem. W Almayrac, gdzie najwyraźniej mieszkali ludzie małomówni i pilnujący swych interesów, wdowa Mandrier była jedyną osobą, która miała ochotę i czas gawędzić z obcymi.

Nie można było też zapomnieć o kościele.

*Ufam Ci, Panie. Komu mam ufać?* – napisał ktoś z boku ołtarza. Kto? Proboszcz, nim tak tajemniczo zniknął z miasta? I dlaczego?

*Ufam Ci, Panie. Komu mam ufać?* Jordan raz jeszcze powtórzył sobie w myślach te słowa i dopiero teraz – nie na widok barczystych sylwetek wciąż tkwiących przed jego domem – poczuł rozlewający się w piersi chłodny lęk.

\* \* \*

Flor stała w wejściu zrujnowanego kościoła, patrząc przed siebie. Zmrużyła oczy. Oślepiła ją biel śniegu, całego mnóstwa śniegu rozciągającego się na płaskiej jak stół powierzchni aż do pierwszych zabudowań Almayrac. Matka Flor zastanawiała się kiedyś, dlaczego kościół zbudowano tak daleko od centrum miasta, ale wydawało się, że nikt nie zna odpowiedzi na to pytanie.

Drogą od strony miasteczka nadchodziła charakterystyczna, wysoka i smukła postać w czarnym płaszczu, wyraźnie odcinającym się od wszechobecnej bieli. Domenic Jordan.

Może przyjdzie i nas stąd wyrzuci, myślała dziewczynka, spoglądając na niego z nadzieją. Dorośli zawsze krzyczą na dzieci,



że bawią się w niebezpiecznych miejscach.

Jordan był teraz dokładnie w połowie drogi i choć szedł w dobrym tempie, to nic nie wskazywało na to, by nagle miały mu wyrosnąć skrzydła i przenieść go do wrót zrujnowanej świątyni.

— Tchórzysz, Flor? — zapytał Lari.

Chłopak, choć starszy o całe dwa lata, chętnie się z nią bawił, bo była odważna, a przy tym silna i zręczna. Zwykle bez trudu radziła sobie z wyzywanką, ale dziś stali w ruinach kościoła, a ona nigdy tego miejsca nie lubiła. Zawsze, kiedy tu przychodziła, ciarki zaczynały jej biegać po plecach. To miejsce było inne, dziwne i Flor długo szukała stosownego określenia dla tej odmienności. Kościół wydawał się jakby... ciemniejszy niż reszta świata.

— Masz tylko wejść na dzwonnice i dotknąć serca dzwonu.

— W głosie Lariego brzmiała pogarda. Jak wszystkie dzieci błyskawicznie potrafił wyczuć słabość i nie zawahał się okazać swojej wyższości. — Chyba nie stchórzysz przed tak prostym wyzwaniem?

Zaczerwieniła się. Domenic Jordan był już bliżej, ale wciąż zbyt daleko, by liczyć na jego pomoc.

Odwróciła się i ruszyła w stronę prowadzących na dzwonnice schodków. Niepewnie postawiła nogę na pierwszym stopniu. Serce biło jej szybko, a w płucach brakowało tchu. Nie obejrzała się jednak. Wiedziała, że Lari spogląda na nią złośliwie, czekając, aż okaże lęk.

Kręcone schodki były wąziutkie. Wspinając się, Flor uważała, by nie dotknąć przypadkiem ścian. Kamiennych, brudnych ścian. Zazwyczaj brud nie przeszkadzał jej jakoś specjalnie, ale tutaj

nawet kurz wydawał się w specyficzny sposób nieprzyjemny: tłusty i ciężki jak cementarna ziemia. Dziewczynka wzdrygnęła się z obrzydzeniem. Promienie słońca przedostające się przez wąskie okna dawały akurat tyle światła, by nie potykać się na schodach. Od czasu do czasu do środka wpadały też powiewy mroźnego powietrza, ale nawet one nie zdołały rozproszyć panującego w dzwonnicy zaduchu. Zupełnie jakby ta wieża stała tu od tysiąca lat, myślała Flor (a „tysiąc lat” znaczyło dla niej to samo, co „od początku świata”), i jakby przez cały ten czas zbierał się tu kurz, brud i mnóstwo martwych pajaków.

I smród, dodała po chwili, ostrożnie pociągając nosem.

Schodki kończyły swój bieg na wyciętym w suficie otworze.

W innym miejscu Flor pewnie wzięłaby głęboki wdech, ale tutaj starała się oddychać płytko, wciągając powietrze przez zęby.

Nie boję się, nie boję się, powtarzała.

Ale dziś to zaklęcie jakoś nie działało. Mimo to nie miała zamiaru rezygnować.

Ostrożnie, powolutku weszła na ostatnie stopnie i wysunęła głowę przez otwór.

Najpierw zobaczyła dzwon, masę spiżu tak wielką, że rozkołysany, mógłby ją zmiażdżyć o ścianę.

A potem ujrzała martwe ptaki.

Siedziały przycupnięte na krokwiach, belkach, nawet na kamiennej podłodze. Z nastroszonymi czarnymi piórami, pokraczne i brzydkie, jakby śmierć odebrała im cały wdzięk. Wionęło od nich ciepłym, niezbyt silnym odorem zgnilizny.

Flor otworzyła usta i wrzasnęła.

\* \* \*

Jordan zręcznie złapał dziewczynkę, która wpadła na niego z impetem i omal nie wylądowała na ziemi.

— Co się stało? — zapytał, nie licząc specjalnie na odpowiedź. Płaczące i rozhisteryzowane dzieci rzadko kiedy mówią rozsądnie.

Odpowiedział mu stojący tuż obok chłopak.

— Wystraszyła się martwych ptaków. — Starał się, naprawdę się starał nadać głosowi pogardliwe i zimne brzmienie, ale w jego oczach widać było lęk.

\* \* \*

Ptak, którego Jordan wyrzucił przez okno dzwonnicy, by obejrzeć go w pełnym świetle, leżał teraz na śniegu. Był martwy od dwóch, może nawet trzech tygodni – dłużej z pewnością nie, bo pod koniec grudnia Jordan widział jeszcze mieszkające w kościele kruki, całe i zdrowe.

Niska temperatura dobrze zachowała ciało. Jordan wyjął ze skórzanej pochewki cienki i bardzo ostry nóż, który nosił przy sobie, odkąd w Almayrac tak tajemniczo zaczęły ginąć zwierzęta. Pochylił się, ostrożnie naciął krucze zwłoki i odsunął pióra. Nie zdziwił się, widząc, że tkanki ptaka są lekko skurczone i podeschnięte, zupełnie jak u szczurów, które znalazł w domu.

\* \* \*

— Pan jesteś zdumiewająco upartym człowiekiem, panie Jordan. Jakich argumentów mamy użyć, by nauczyć pana

pilnowania własnych spraw?

Podeszli cicho i niespodziewanie. Jordan nie zdążył nawet sięgnąć po pistolety. A przecież ulica pokryta była śniegiem skrzypiącym pod butami przy każdym kroku, śniegiem tak białym, że na jego tle ludzkie sylwetki od razu rzucały się w oczy. Jednak niczego nie usłyszał ani nie zobaczył i stał teraz przed drzwiami swego domu, czując zimną lufę wbijającą się w kark pomiędzy linią włosów a opuszczonym kapturem płaszcza.

Delikatnie przekręcił głowę. Było ich trzech, tylu, ilu zeszłej nocy. Dwaj pozostali ustawili się tak, by zasłonić tego, który trzymał pistolet przy jego karku. Z daleka musieli wyglądać na grupkę znajomych rozmawiających przed drzwiami domu.

— Proszę nie chodzić więcej do kościoła — powiedział ten z pistoletem. — To ostatnie ostrzeżenie. Rozumiesz pan?

Znał ten głos. Rogier Graille, którego spotkał w domu don Sebastiena. Rogier Graille, który według własnych słów urodził się i wychował w Bastenie i wspominał, że wciąż jeszcze nie pozbył się tamtejszego akcentu. „Basteńczyka zawsze można poznać po tym, że uwielbia wino i leciutko przeciąga samogłoski, prawda?”

Zabawne, ale bywały chwile, gdy Rogier Graille wcale nie przeciągał samogłosek, czego nikt poza Jordanem zdawał się nie zauważać. Rogier Graille był w tym samym stopniu Basteńczykiem, co ubrany w poplamiony kaftan don Sebastien elegantem.

— Rozumiesz pan?

— Tak.

— Koniec z wizytami w kościele? Koniec z wypytywaniem

ludzi?

— Tak.

Rogier Graille parsknął pogardliwie. Chłodny nacisk na karku Jordana zelżał.

Odwrócił się. Mężczyźni, miast rozpląnąć się w powietrzu, czego trochę się spodziewał, po prostu odchodzili ulicą. Wyglądali jak najzwyklejsi mieszkańcy Almayrac.

Mieszkańcy, którzy skrywali tajemnicę na tyle niebezpieczną, że gotowi byli dla niej zabić.

\* \* \*

Wdowa Mandrier, która była niewyczerpaną kopalnią informacji o miasteczku, powiedziała Jordanowi, kto dokarmia mieszkające w ruinach ptaki. Miłośnik kruków nazywał się Fotin Trelodi i mieszkał na obrzeżach Almayrac.

Jordan spodziewał się jednego z owych niechlujnych dziwaków, którzy bliźnich traktują z pogardą, bo nad ludzi przedkładają zwierzęta. Tymczasem Trelodi okazał się miłym staruszkiem, niskim, okrągłym i ubranym według przebrzmiałej dwadzieścia lat temu mody – nawet siwe włosy miał ułożone w misterne loczki wokół twarzy. Jego dom był wysprzątnany, a każda rzecz najwyraźniej miała w nim swoje miejsce. Jednak czuło się tu brak kobiecej ręki. Typowe gospodarstwo starego kawalera, dwóch nawet, bo Trelodi miał służącego, który przez lata upodobnił się do swego pana i był teraz tak samo schludny i po staroświecku elegancki.

— Co pan wie o krukach, panie Jordan? — zapytał staruszek,

gestem zapraszając Jordana do pomieszczenia, które było czymś pomiędzy niewielkim salonikiem a biblioteką. Większość stojących na półkach książek traktowała o ornitologii: ptaki egzotyczne i zwykłe, ptactwo drapieżne, hodowla gołębi pocztowych, a nawet podręczniki sokolnictwa – Trelodi zbierał wszystko, co w ten czy inny sposób dotyczyło ptaków.

— Wiem, że kruki bardzo rzadko łączą się w stada. Najczęściej żyją pojedynczo lub w parach — powiedział Jordan ostrożnie, bojąc się, że taki entuzjasta jak Trelodi natychmiast zechce skorygować jego marną wiedzę w długim wykładzie.

— A więc mamy tu ciekawy przypadek, prawda? Rok po roku do ruin kościoła przylatują kruki, całe mnóstwo kruków, zakładają gniazda i rok po roku giną w czasie Długich Nocy, a na ich miejsce zlatują się następne ptaki. Dlaczego tak jest, panie Jordan? Jak pan sądzi? Kruki są mądre, czemu więc upierają się mieszkać w miejscu, które je zabija? Myślałem kiedyś, że zdychają, bo dla tak wielkiego stada po prostu nie starcza pożywienia. Dlatego zacząłem je dokarmiać. A one i tak giną. Syte i na pozór całkiem zdrowe, umierają w czasie Długich Nocy.

— A w tym roku? Kiedy widział je pan po raz ostatni?

— Kruki zginęły w nocy dwudziestego dziewiątego grudnia — odpowiedział Fotin Trelodi.

Jordan odetchnął. Dokładnie o tę informację mu chodziło.

— Kruki zawsze giną pierwsze — dodał jeszcze staruszek, spoglądając na Jordana z uśmiechem. Na jego drobnej twarzy, wyglądającej jak pomarszczony płatek róży, malowała się satysfakcja. Pewnie rzadko się zdarzało, by ktoś słuchał go z taką

uwagą. — Ludzie umierają ostatni.

Jordan lekko zmarszczył brwi, ale była to jedyna oznaka zdziwienia.

— Powiedziano mi, że ludzie nie giną w czasie Długich Nocy.

— Gina, ale bardzo rzadko — powiedział staruszek, wciąż z lekkim uśmiechem na cienkich wargach. — Umierają tylko chorzy i słabi, dlatego ludzie sądzą, że to po prostu przez pogodę, bo zimą zawsze jest więcej zgonów. Ale ja widziałem moją siostrę. Chorowała na gruźlicę i umarła w czasie Długich Nocy. Zgasła w jednej chwili jak zduszony palcami płomień świecy. Tak samo umierają kruki i ptactwo domowe.

— Ptactwo domowe?

— Kury i gęsi. — Trelodi skinął głową. — Hodowałem je kiedyś, bo lubię nie tylko dzikie ptaki. Najpierw umierają kruki, a później ptactwo domowe. Zawsze tak jest.

— A bydło? Szczury? Psy i koty?

Uśmiezek satysfakcji znikł z twarzy staruszka. Wzruszył ramionami.

— Gina tuż po ptactwie, a wcześniej niż ludzie. To oczywiste.

Jordan pomyślał o tych, którzy grozili mu dziś rano. Kiedy jeszcze żyły kruki, Fotin Trelodi prawie codziennie bywał w zrujnowanym kościele, a mimo to nikt nigdy nie usiłował mu przeszkodzić – pewnie dlatego, że tamci uważali go po prostu za nieszkodliwego dziwaka.

A jednak Trelodi zdołał dostrzec zaskakująco dużo. I choć brakowało mu bystrości – albo odwagi – by pójść odrobinę dalej i wyciągnąć właściwe wnioski, to Jordan miał pewność, że

spostreżenia starego miłośnika ptaków nie spodobalyby się tamtym mężczyznom. Miał nadzieję, że nikt nie wpadnie na to, by spytać staruszka o mieszkające w ruinach kruki, bo nie było co liczyć na to, że w razie czego Fotin Trelodi będzie na tyle mądry, by trzymać język za zębami.

\* \* \*

— Gorączka niedługo spadnie — powiedział Jordan.  
— Dziewczynka powinna teraz wypocząć.

Wdowa Mandrier patrzyła na niego zalęknionymi oczami. Jej dłoń bezwiednie gładziła potargane, mokre od potu włosy śpiącej Flor. Z drugiej strony łóżka siedziała Eli Lienard. Nie odzywała się, ale na jej twarzy malował się niepokój.

— A te sny? — spytała wdowa Mandrier. — Panie Jordan, te sny? Moja córka krzyczała przez całą noc, bo wciąż śni jeden i ten sam koszmar.

— O czym śni pani córka?

— O głosach. Głosach szepczących w śniegu i zimowym wicherze. One... podobno mówią złe rzeczy.

To przez ten kościół, pomyślał. Strach uruchomił w dziecku zdolność jasnego widzenia, dość nietypową, bo zamiast w wizjach przejawia się w snach.

— Jakie?

— Panie Jordan, czy to naprawdę takie ważne?

— Tak. To bardzo ważne. — Jordan był cierpliwy i uprzejmy, ale nie zamierzał ustąpić.

Dłoń kobiety zacisnęła się na jasnych włosach dziewczynki.



— Mówią o śmierci. Śmierci, zapomnieniu i nicości. Moja Flor jest jeszcze dzieckiem i nie pojmuje takich spraw, ale tak właśnie zrozumiałam jej słowa. Panie Jordan, czy te sny się kiedyś skończą?

— Będą coraz rzadsze, aż w końcu ustaną zupełnie. Ale to trochę potrwa. Nie ma na to lekarstwa, przykro mi. I jeszcze jedno — dodał. — Proszę o nich nikomu nie wspominać. To dla pani bezpieczeństwa. I jej. — Wskazał Flor, która zajęczała nagle i potrząsnęła głową.

Kobieta pochyliła się nad córką.

— Już dobrze, kochanie. Ciii...

Jordan, świadom, że nic tu po nim, skierował się w stronę wyjścia. Eli Lienard poszła za nim. Cicho zamknęła drzwi i gestem wskazała mu położony tuż obok salonik.

— Muszę przyznać, że pańskie słowa mają bardzo uspokajający wpływ — parsknęła z ironią, gdy znaleźli się w środku. — „Na to nie ma lekarstwa, przykro mi” — przedrzeźniała go z nienagannym akcentem wyższych sfer. — „To dla pani bezpieczeństwa”. Brakowało tylko, żeby zaczął pan przepytować małą Flor!

— Zrobiłbym to, gdybym sądził, że dowiem się czegoś więcej, niż powiedziała mi jej matka.

— Czy pan nie ma w sercu odrobiny litości?!

Jordan patrzył na dziewczynę z przyjemnością. Wychowanie, jakie otrzymała, zamiast stępić jej temperament, co miałyby niewątpliwie miejsce w przypadku zwykłej panny, tylko go oszlifowało, dając niezwykły rezultat. Eli Lienard potrafiła się złościć, ale też nawet w złości umiała nad sobą panować, wciąż zachowując chłodny, ironiczny dystans do samej siebie i doskonale

manieri. A przy tym była szczerą, co wśród kobiet jej profesji zdarzało się niezwykle rzadko, i Jordan, który przyklepnej obłudy kurtyzan nie znosił szczególnie, docenił to.

— Litość nigdy nie była moją mocną stroną — przyznał z lekkim uśmiechem, wcale nie rozgniewany.

Eli odetchnęła, uspokajając się.

— Co się, u diabła, dzieje w tym mieście? — W jej ustach nawet przekleństwo zabrzmiało elegancko.

— Właśnie próbuję się tego dowiedzieć. Być może będzie mi mogła pani pomóc. Sądzę, że przynajmniej część odpowiedzi kryje się w ruinach kościoła, w przeciwnym razie nie ostrzegano by mnie, bym tam nie chodził. Kłopot polega tylko na tym, że prócz jednego dość dziwnego napisu nic ciekawego tam nie widzę. Ale gdyby spojrział na to ktoś nieuprzedzony, ktoś, kto nigdy jeszcze tam nie był, cóż, być może znalazłby odpowiedź.

Dziewczyna zmarszczyła brwi i spojrzała na niego z powątpiewaniem.

— Nie mam żadnych magicznych zdolności.

— To nie ma znaczenia.

— I to mogłoby wyjaśnić wszystkie te dziwne zdarzenia? Śmierć szcurów? Sny Flor?

Skinął głową.

— Dobrze więc. Spróbuję panu pomóc, choć szczerze mówiąc, nie sądzę, by to coś dało.

W tym momencie do saloniku zajrzała wdowa Mandrier.

— Eli, kochanie, nie wiesz może, gdzie jest Guinòt? Flor obudziła się i marudzi, żeby przyprowadzić jej psa.

— Poszukam go — obiecała Eli. — Guinòt! Guinòt! Gdzieś z dołu dobiegło głucho, stłumione szczeknięcie.

Eli wyszła z salonu i otworzyła drzwi prowadzące do piwnic. Psi głos słyhać było teraz wyraźniej, zawzięte ujadanie raz po raz przechodzące w pełen złości warkot.

— Co on tam robi? — Wdowa Mandrier spojrzała bezradnie na Eli.

— Pewnie znalazł kolejnego martwego szczura. Wezmę świecę i zejdem po niego.

Chwilę później szła już zakurzonymi schodkami, a ponad jej wyciągniętą dłonią chybotał wąski płomień świecy. Jordan zawahał się, ale ruszył za nią.

Korytarz rozgałęział się na dole. Po lewej kończył się zamkniętymi na kłódkę drzwiami, prawa odnoga biegła dalej, ginąc w ciemności. W powietrzu unosiły się kurz, delikatne niczym przędza nitki pajęczyn, a także woń pleśni i winnego moszczu.

— Do piwnic się nie dostał — powiedziała Eli. — Są zamknięte na klucz. Musi być gdzieś tu, w korytarzu.

Skręciła w prawo i rzeczywiście po chwili płomień świecy wyłowił z mroku psa obszczekującego coś zawzięcie, z nosem wciśniętym w kąt tuż przy kolejnych zamkniętych na kłódkę drzwiach.

— Coś ty tam znalazł? Zostaw to, Guinòt! Niedobry pies!

Guinòt ani myślał słyhać. Z jego gardła wydobył się warkot, a krótki, zabawny ogonek chwiał się i podrygiwał.

— Proszę potrzymać świecę.

Jordan wziął lichtarz, a Eli schyliła się.

— No tak, miałam rację. Po prostu jeszcze jeden zdechły szczur! Chodź!

Chwyciła psa za luźną skórę na karku i pociągnęła w tył.

W tym momencie Guinòt szczerknął raz jeszcze, krótko i boleśnie. Eli odruchowo poluźniła chwyt, ale nie puściła szczeniaka.

Przez ciało zwierzęcia przebiegło drzenie, od pyska aż po ogonek, który przez krótką chwilę dygotał jak poruszana wiatrem trawka.

Guinòt pisnął.

— Co mu się...?

Nie przytrzymała już psa. Po prostu głaskała go, próbując uspokoić. Sierść była ciepła i sucha. Dziewczyna nie wyczuwała pod dłonią bicia serca, a boki szczeniaka nie poruszały się w rytm oddechu.

Jordan pochylił się. Płomień świecy odbił się w oczach Guinòta.

Eli cofnęła rękę. Głaskała martwe zwierzę.

\* \* \*

— Chwilowo muszę radzić sobie sam — powiedział Jordan, odkorkowując butelkę wina. — Dziś rano porzucił mnie służący. Po prostu odszedł bez słowa.

— Dlaczego?

— Prawdopodobnie przekonano go, by to zrobił.

Eli rozejrzała się dyskretnie. Mieszkanie, wynajęte tak jak i jej z całym umeblowaniem, było typowym małomiasteczkowym

wnętrzem. Nic tu nie nosiło piętna indywidualności chwilowego właściciela. Nic, z wyjątkiem może leżącego na sekretarzyku pliku kartek.

Sięgnęła po nie. Już w pierwszej chwili jej wzrok padł na rysunek obdartego ze skóry ciała. Odsłonięte mięśnie wyrysowane były z niezwykłą precyzją. Kolejne karty przedstawiały poszczególne części ciała. Ramiona, tors, uda. I znów częściowo zdarta skóra i widoczne mięśnie – tym razem większe i wyraźniejsze.

Wzdrygnęła się odruchowo.

— Umarli bardzo rzadko robią krzywdę żywym — powiedział Jordan uprzejmie, wyjmując jej z dłoni kartki. — A jeśli pokroić ich na kawałki, prawdopodobieństwo to spada prawie do zera.

Zareagowała nerwowym chichotem. Odkąd tak nagle, w tak niewyjaśniony sposób zdechł Guinòt, nie opuszczał jej strach. Bała się nawet bardziej niż wtedy w Talavère. Wtedy przynajmniej wiedziała, co jej grozi, i wiedziała też, co robić, by tego uniknąć. To zaś, co działo się w Almayrac, wykaczało daleko poza jej doświadczenie. Być może Domenic Jordan potrafił sobie z tym poradzić. Z pewnością nie wzbudzał zaufania – już raczej niepokój, jeśli o to chodzi – ale, Eli nie mogła się oprzeć takiemu właśnie skojarzeniu, wydawał się tu właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Jordan rozlał wino do kieliszków, potem podał dziewczynie notes w skórzanej oprawie.

— Proszę na to spojrzeć. Jestem ciekaw, czy dojdzie pani do tych samych wniosków, co ja.

Usiadła w fotelu, upiła łyk i odstawiła kieliszek na stolik. Otworzyła notes, w duchu przygotowując się na kolejny makabryczny rysunek.

Na pierwszej stronie równym, eleganckim charakterem wypisano tylko kilka słów:

*Bydło, kury, gęsi, króliki*

*Szczury*

*Koty, psy*

*Ludzie (tylko chorzy)*

Podniosła na Jordana zdumione spojrzenie.

— Co to?

— Wypytywałem mieszkańców Almayrac i ustaliłem na tej podstawie kolejność, według której w czasie Długich Nocy giną zwierzęta i ludzie. Proszę nad tym chwilę pomyśleć.

Przeczytała te słowa ponownie i jeszcze raz.

— Jest w tym pewien schemat, dość niepokojący zresztą — podpowiedział jej Jordan.

— Wielkość zwierzęcia? Nie, to z pewnością nie to. Rodzaj? Też nie, bo dlaczego kury i gęsi nie giną wraz z krukami, lecz wtedy, gdy umiera bydło?

Milczała chwilę. W salonie słychać było trzask płonącego na kominku drewna i ciche tykanie zegara.

— Kruki — powiedziała cicho. — Kruki żyją dziko i mieszkają w ruinach kościoła. Bydło, kury i gęsi żyją przy gospodarstwie, ale nie w domu. I szczury. One z kolei żyją w domu, ale kryją się przed

człowiekiem. W końcu psy i koty...

— Dalej — ponaglił ją łagodnie Jordan. — Proszę mówić dalej, nawet jeśli wydaje się to pani mało prawdopodobne.

— To wygląda... — zawahała się. — Jakby zaciskała się pętla. Pętla wokół człowieka. Coraz bliżej i bliżej. Od dzikich ptaków aż do zwierzęcia, które żyje wraz z nim, siada u jego stóp czy na kolanach. Czy to, co mówię, ma sens?

Ku przerażeniu Eli, Jordan powoli skinął głową

\* \* \*

Słońce stało wysoko na niebie, oświetlając mury kościoła. Śnieg skrzył się srebrzyście, powietrze było mroźne i nieruchome. Za ruinami rysowała się linia świerków, ciemnozielonych i przykrytych puchatą czapą bieli, jeszcze dalej wznosiły się górskie szczyty. Z drugiej strony leżało pogrążone w sennej ciszy Almayrac.

Jordan i Eli Lienard przekroczyli próg kościoła.

Wzrok Jordana natychmiast przyciągnęły wypisane z boku ołtarza słowa.

*Ufam Ci, Panie.*

Dalsza część napisu znów kryła się pod śniegiem, ale on wiedział przecież, jak brzmi.

Dziewczyna zrzuciła kaptur. Na tle skrzącej się bieli jej włosy lśniły jak płomień.

— Napis rzeczywiście jest osobliwy — przyznała, odgarniając śnieg. — Ale to, że tutejszy proboszcz był bliski utraty wiary, nie pomoże nam w rozwiązaniu zagadki.

Wciąż się bała, ale potrafiła już zapanować nad strachem i sprawiało jej to nawet pewnego rodzaju przyjemność. Odkąd wyrosła z wieku dziecięcego, ćwiczona była w ukrywaniu uczuć i bardzo sobie tę umiejętność ceniła – być może dlatego, że właśnie tego najtrudniej było się nauczyć. Spojrzała na Jordana i przez jej usta przemknął cień kpiącego uśmiechu. Tak czy inaczej, nigdy nie będzie w tym równie dobra, jak ten milczący mężczyzna.

Jordan zdawał się mieć w sobie niewyczerpane pokłady spokoju i cierpliwości, których brakowało Eli. Dziewczyna kręciła się niespokojnie, ale w kościele prócz owego napisu i krzyża, który wciąż wznosił się nad ołtarzem, dźwigając ciężar Zbawiciela, nie było nic do oglądania.

— Pani pochodzi z Talavère, prawda? — zapytał Jordan niespodziewanie. — Poznałem po akcencie. Dlaczego więc spędza pani zimę w miejscu takim jak Almayrac?

Uśmiechnęła się. Domenic Jordan był niewątpliwie człowiekiem znakomicie wychowanym i uprzejmym, a jednak nie potrafił nadać tej rozmowie pozorów naturalności. Zadał jej pytanie po prostu po to, by zatrzymać ją w kościele jeszcze przez jakiś czas.

Mimo to chciała odpowiedzieć uczciwie. Dość już miała kłamstw i uników. Okazało się to jednak niełatwe.

Być może rzeczywiście była to jej wina, a może też – w jakimś szerszym zakresie – zawiniła jej matka i Eli wolała tak właśnie myśleć. Joana Lienard gardziła własną płcią. Kobieta w jej pojęciu była istotą słabą i głupią, z natury skłonną do grzechu i chętnie ulegającą najniższym instynktom. Dla młodej dziewczyny istniały tylko dwie drogi: jak najsurowsze wychowanie i życie pod ciągłą



opieką ojca, męża czy brata lub druga droga, dostępna tylko dla najzdolniejszych, czyli zostanie kurtyzana.

Kurtyzany wykształceniem dorównywały mężczyznom, wolno im było uczęszczać do bibliotek publicznych, mogły też wchodzić do męskich klubów i brać udział w męskich rozrywkach. Kurtyzany, jeśli były inteligentne i potrafiły zadbać o swoją pozycję, cieszyły się specyficznym rodzajem szacunku.

Tę właśnie drogę wybrała dla córki Joana Lienard. Nie szczędziła środków, by ją wykształcić, a mimo to od początku powtarzała, że Eli z pewnością się nie uda. Bo przecież dziewczęta zwykle marnują swoją szansę: rodzą nieślubne dziecko albo uciekają z przystojnym chłopcem bez grosza przy duszy. Przez pięć lat swojego towarzyskiego życia w Talavère Eli czuła się jak cyrkowiec spacerujący po linie, podczas gdy oczy wszystkich widzów spoglądają na niego z nadzieją, że wreszcie spadnie i złamie sobie kark.

I rzeczywiście, choć niezupełnie zgodnie z przepowiedniami Joany Lienard, tak właśnie się stało.

W tamtych dniach Eli zrozumiała, że matka jej nienawidzi. Myśl ta, na pozór tak absurdalna, okazała się zaskakująco trafna i dziewczyna nie potrafiła już się od niej uwolnić.

Matka nienawidziła jej, bo Eli była młoda i ładna. Bo mogło jej się udać. Dzień, w którym Joana Lienard powiedziała córce: „A nie mówiłam”, traktowała jak dzień gorzkiego triumfu.

Relacja Eli o wydarzeniach, które sprawiły, iż tej zimy znalazła się w Almayrac, była znacznie krótsza i bardziej konkretna.

— Przez pewien czas opiekował się mną pewien starszy

mężczyzna — powiedziała. — Tak to właśnie nazywamy w Talavère. Nie „przyjaciół”, tylko „opiekun”. Uważał mnie za ładną zabawkę, nic więcej, i drażniło mnie to. Mężczyzna owdowiał parę lat wcześniej, a największym skarbem jego zmarłej żony była piękna diamentowa kolia. On także kochał ten klejnot i chwalił się nim przy każdej okazji. A ja chciałam go ukarać. Ukradłam mu więc kolię i odesłałam następnego ranka wraz z liścikiem, by lepiej jej pilnował.

— Miała pani wyrzuty sumienia?

W pytaniu tym był haczyk i Eli wyczuła go błyskawicznie.

— Nie — odpowiedziała szczerze. — On nawet mnie nie podejrzewał i to właśnie bolało najbardziej. Chciałam, żeby wiedział, iż jestem wystarczająco bystra i odważna, by zrobić coś takiego.

Jordan roześmiał się. Zaskoczyło ją to, bo nie sądziła dotąd, że ten człowiek w ogóle potrafi się śmiać. Spoważniał zaraz, ale w jego oczach wciąż widziała wesołe błyski, które równie dobrze można było odczytać jako kpinę, i jako aprobację.

— Jak dawno temu to się zdarzyło? — zapytał.

— Dwa i pół roku. Matka zapłaciła wysoką grzywnę, by uchronić mnie przed więzieniem.

— Talavère leży daleko na południu, a dwa i pół roku to dość czasu, by ludzie zdążyli zapomnieć. Dlaczego nie zamieszka pani wraz z matką w jakimś dużym mieście czy nawet w Alestrze? Gdyby ktoś wiedział tam o tej aferze, zawsze mogłaby pani po prostu twierdzić, że było to coś w rodzaju szubackiego żartu.

— Nie zna pan mojej matki. W im gorszych mieszkamy

warunkach, tym większe wzbudza we mnie poczucie winy. Karze mnie w ten sposób. Co nie przeszkadza jej przy tym — uśmiechnęła się ironicznie — tłumaczyć mi każdego dnia, że jedyną moją szansą na powrót do dawnego życia jest uwiedzenie pana.

Jordan, wciąż stojący przy ołtarzu, pochylił się i raz jeszcze końcami palców dotknął wymalowanego czarną farbą napisu.

*Ufam Ci, Panie. Komu mam ufać?*

— Nie mam pieniędzy, by utrzymywać stałą kochankę — powiedział uprzejmie.

Usłyszał śmiech dziewczyny.

— Tak właśnie myślałam. W przeciwnym wypadku nie mieszkałby pan zimą w Almayrac, prawda? Tłumaczyłam to matce, ale ona...

Umilkła. Jordan wodził dłonią po czarnych konturach. Zerwał się wiatr i wiszący nad jego głową Zbawiciel zakołysał się na krzyżu, poskrzypując.

Jordan wyprostował się, spojrzął na Eli. Jej twarz była biała jak śnieg, a oczy rozszerzone strachem. Wezwała go gestem ręki, ale nim podszedł, chmura przesłoniła słońce i nad ruiny, sunąc po ziemi jak cień olbrzymiego ptaka, nadciągnął mrok.

Chwyciła go za ramię.

— Proszę patrzeć... Nie... Teraz!

Wiatr przegnał chmurę, rozbłysło słońce i Jordan ujrzał to, co przed chwilą widziała Eli.

Promienie słoneczne padały pod takim kątem, że cień poziomych ramion krzyża zlał się w jedno z cieniem pionowej belki, który mocno wydłużony i cienki, rysował się na śniegu. Przy

nim drugi, odstający od pierwszego pod lekkim kątem: głowa, tors, przekrzywione, kołyszące się w podmuchach wiatru stopy. Cień wisielca.

— To nie przypadek! — Eli wciąż ścisnęła jego ramię. Jordan uwolnił je delikatnie.

— Wiem — powiedział. Przypomniał sobie szepczące w śniegu i wietrze głosy, o których mówiła matka Flor. Głosy opowiadające „złe rzeczy” człowiekowi uwięzionemu samotnie na plebanii, daleko od miasta, podczas trwającej cały tydzień śnieżnej zamieci. — Zmusili księdza, by powiesił się w kościele. Wie pani, co to znaczy, prawda?

Skinęła głową. Przez jej ciało przebiegł dreszcz.

— Chodźmy stąd. Proszę.

Objęła się ramionami. Bardziej po to, by zapewnić sobie poczucie bezpieczeństwa niż z powodu zimna. Jordana ogarnęło współczucie. Dziewczyna, która pewnie przywykła uważać się za odważniejszą i bardziej zaradną niż przeciętna przedstawicielka jej płci, teraz sprawiała wrażenie przerażonej i zupełnie zagubionej.

Poprowadził ją w stronę wyjścia z kościoła. Tuż przed kamiennym progiem przystanął nagle i pociągnął Eli w bok.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Proszę wyjrzeć, tylko ostrożnie — polecił.

Bez słowa wysunęła głowę. Na drodze, na razie jeszcze dość daleko, widać było trzy barczyste sylwetki.

— Idą po mnie — wyjaśnił lakonicznie Jordan. — Sądzę, że mają zamiar mnie zabić.

— Jak możemy uciec? Jest stąd jakieś inne wyjście?

— Owszem, ale prowadzi wprost w głęboki śnieg. Przykro mi, ale to jedyna droga. — Ruchem głowy wskazał kierunek, skąd nadchodzili mężczyźni. — Ja zostaję, ty wracasz do Almayrac.

— Tędy?

— Po prostu przejdź obok nich — tłumaczył cierpliwie. — Pozdrów ich, a jeśli będą pytać, powiedz, że poszłaś na spacer do zrujnowanego kościoła i spotkałaś mnie przypadkiem. Dopóki będziesz zachowywać się naturalnie, nic ci nie zrobią.

Przy ich pierwszym spotkaniu Eli pozwoliła, by mówił jej po imieniu i Jordan postanowił teraz skorzystać z tej możliwości, sądząc, że w ten sposób szybciej trafi do przestraszonej dziewczyny. Poskutkowało, bo dojrzał w jej oczach błysk zrozumienia.

— A pan?

— Nie jesteś w stanie mi pomóc. I nie wołaj nikogo. Nim dobiegniesz do pierwszych domów i namówisz kogoś, by przyszedł mi z pomocą, będzie już po wszystkim. Będziesz bezpieczna, jeśli nie zdradzisz się, że cokolwiek wiesz. Rozumiesz? Jeśli mnie zabiją, poczekaj, aż stopnieją śniegi, jedź do Comblat i znajdź tam kogoś, komu wszystko opowiesz. No już, idź!

Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, wypchnął ją na zewnątrz. Sam zaś zdjął krępujący ruchy płaszcz i położył go na śniegu. Oparł się o mur, wziął w ręce dwustrzałowe pistolety i w myślach odtwarzał drogę, jaką musiała przebyć Eli. Z na wpół przymkniętymi oczami niespokojnie oczekiwał krzyku świadczącego o tym, że dziewczyna jednak czymś się zdradziła.

Nie usłyszał nic i kiedy znów zdecydował się wyjrzeć, jej

sylwetka była o dobre kilkadziesiąt kroków za nadchodzącymi.

Dał jej jeszcze chwilę, nim wychylił się, wycelował i pociągnął za spust. Pierwsza kula zniknęła gdzieś w śniegu. Mężczyźni nie zatrzymali się zdezorientowani, nie zaczęli krzyczeć do niewidocznego strzelca, nie próbowali zawrócić.

Przyspieszyli tylko kroku.

Jordan zacisnął wargi. Przynajmniej teraz sytuacja jest jasna, pomyślał.

Kim byli? Z pewnością nie ludźmi. Wielu nazwałoby ich po prostu demonami, dla Jordana jednak takie określenie było za mało precyzyjne. Więc niech będzie sivadi.

Nazwa równie dobra jak inne.

Wycelował i strzelił. Jeden z nadchodzących zachwiał się. W wyciągniętej dłoni drugiego coś błysnęło w promieniach zimowego słońca. Jordan, nim uskoczył w bok, zauważył jeszcze, że trafiony osuwa się w śnieg, a jego dwaj towarzysze idą dalej, zupełnie jakby nic się nie stało. Tylko strzelec zatrzymał się na jedną krótką chwilę. Kula uderzyła w mur kościoła, odłupując spory kawał kamienia.

Już wcześniej bariera pomiędzy ich światem a naszym musiała być w Almayrac wyjątkowo cienka, a sivadi wywierały wpływ na ludzkie umysły. Były tu od zawsze, szepcząc w śniegu i wicherze w długie zimowe noce. Aż w końcu pod wpływem ich słów ksiądz popełnił w kościele samobójstwo. Ziemia święta została zbezczeszczona i dla sivadi otworzyła się brama wiodąca do naszego świata.

Jordan cofnął się i wziął do ręki drugi pistolet. O mur kościoła, na wysokości jego głowy, ale dobrych kilka stóp w lewo, uderzyły dwie kule. Opanował przypływ niepokoju. Był sam, ale był też niewątpliwie w lepszej sytuacji. Tamci zbliżali się szybko i cicho, a czasem, gdy na nich patrzył, ich sylwetki zdawały się w osobliwy sposób zlewać ze śnieżną bielą. Niemniej wciąż stanowili dobry cel, o wiele lepszy niż Jordan, a jeden z nich został daleko z tyłu, ranny lub martwy.

A więc można ich zabić.

Zastanowił się przelotnie, co stało się z ciałem księdza. Sivadi z pewnością nie mogły pozwolić, by mieszkańcy Almayrac znaleźli trupa i dowiedzieli się tym samym, że kościół został zbezczeszczony. Jordan niedługo szukał właściwej odpowiedzi. Kruki były pierwszymi stworzeniami, których ciała opanowywały sivadi tuż po przekroczeniu bramy. Kruki mogły rozdziobać zwłoki, ogołocić szkielet z mięsa, mięśni i ścięgien, a później rozwłóczyć kości.

Wychylił się zbyt mocno i kolejna kula mało nie oderwała mu ucha. Ale warto było, bo tym razem nie chybił. Jeden z mężczyzn zachwiał się i upadł, ale ku rozczarowaniu Jordana wstał zaraz i dołączył do swego towarzysza. Szedł niepewnie, potykając się. Ale szedł.

Kruki, bydło, kury, gęsi i króliki. Później szczury, a w końcu koty i psy. Każdej zimy w czasie Długich Nocy sivadi przechodziły przez bramę i przenosiły się z jednego ciała w drugie, obserwując przedtem przyszłą ofiarę, ucząc się jej, by potem móc zachowywać się jak najbardziej naturalnie. Zdradzały się jednak drobnymi

szczegółami, zwłaszcza już w człowieczej postaci.

Nie miało to większego znaczenia. Ludzie najczęściej są zbyt leniwi, by zauważać takie drobiazgi, a nawet jeśli, to i tak nie potrafią wyciągnąć właściwych wniosków.

Jordan rozpoznawał już twarze zbliżającej się dwójki mężczyzn. Don Sebastien, a za nim jasnowłosy, ranny młodzieniec, idący coraz szybciej i mniej chwiejnie.

Jeden z pistoletów Jordana był już bezużyteczny. W drugim została mu ostatnia kula.

Jak wiele sivadi docierało każdej zimy do celu, czyli do ludzkiej postaci? Jeden, góra dwa, pomyślał, a zdarzały się pewnie i lata, gdy nie udawało się to żadnemu – w przeciwnym wypadku sivadi byłoby już wystarczająco dużo, by opanować miasteczko. Reszta demonów porzucała zwierzęce ciała i wracała do własnego świata, by czekać na następną szansę, do kolejnych Długich Nocy.

Pochylił się, sięgnął do kieszeni leżącego na ziemi płaszcza.

Czym kierowały się sivadi, wybierając ofiarę? Odległość pomiędzy kolejną ofiarą a poprzednią w chwili, gdy demon przenosił się z ciała do ciała, nie miała znaczenia – Jordan pamiętał przecież, że kruki umarły na kościelnej wieży, z dala od Almayrac. Może więc chodziło o jakąś specyficzną podatność, która pozwalała demonowi zamieszkać w ludzkim ciele. Tak czy inaczej, człowiek taki musiał być całkowicie zdrowy – demon, przypadkiem opanowawszy chorego, szybko go opuszczał, porzucając wyschnięte, spustoszone ciało, z którego wcześniej zdążył wyssać wszelkie siły żywotne.

Jasnowłosy zginął w chwili, gdy podnosił broń do strzału. Kula



trafiła go w sam środek twarzy. Jordan błyskawicznie cofnął się i wypuścił z ręki pusty pistolet. W tym czasie don Sebastien trzema długimi susami przebył dzielącą go od kościoła odległość i przypadł do muru. Jordan stał z drugiej strony, kątem oka obserwując cień na progu. Przeciwnik był cierpliwy, cień nawet nie drgnął. Ale Domenic Jordan również potrafił czekać, zwłaszcza teraz, gdy chodziło o jego życie. Powoli mijały minuty, liczone uderzeniami serca i cichym, równym oddechem.

W końcu cień poruszył się i to wystarczyło. Gdy tylko don Sebastien pojawił się w progu, nim zdążył unieść gotową do strzału broń, nim zdążył zrobić cokolwiek, Jordan wbił mu w oko cienki, ostry nóż.

\* \* \*

Eli stała przy oknie, spoglądając w gęstniejący na zewnątrz mrok.

Matka wyjątkowo tego wieczoru dała jej spokój. Żadnych połajanek, żadnych pretensji. Joana Lienard raz tylko spojrzała na córkę znajomym, surowym i oskarżającym spojrzeniem. Cóż, pomyślała Eli, dziękujmy Bogu i za to.

Choć przecież Bóg nie miał powodu, by akurat dziś wyświadczyć jej tę drobną łaskę.

I znów myśli dziewczyny, dokładnie tak jak minutę, dwie i pięć temu, wróciły do tego, o czym tak bardzo chciała zapomnieć. Do strzałów, które słyszała za plecami, i do tego, jak bardzo starała się nie oglądać, uciekając do miasteczka. A także do ulgi, jaką poczuła, gdy w końcu zdyszana wpadła pomiędzy pierwsze zabudowania

Almayrac. Tak się cieszyła, że żyje, że po prostu jest. Nawet twarz matki powitałaby wtedy jak najukochańszy na świecie widok. Mdlące poczucie winy przyszło dopiero później. Zachowała się dziś po południu jak tchórz i nie pomagało tłumaczenie samej sobie, że Domenic Jordan w gruncie rzeczy miał rację – zostając w kościele, nie pomogłaby mu, a prędzej nawet zaszkodziła. Dziś okazało się, że Joana Lienard ma rację: Eli była słaba i głupia, niezdolna do podjęcia decyzji i stawienia czoła niebezpieczeństwu.

Matka, słysząc o tym, co wydarzyło się dzisiejszego popołudnia, z pewnością wzruszyłaby z pogardą ramionami. Spodziewałam się po tobie więcej, powiedziałyby, ale bez złości, bo przecież Eli jest tylko kobietą.

Dziewczynę zdumiewało, że jeszcze wczoraj żyła najzupełniej normalnie, lekceważąc niepokojące sygnały: śmierć szczurów, opowieści o tajemniczym zniknięciu księdza. Dopiero od dzisiejszego ranka, od choroby Flor, wszystko nagle zaczęło zmierzać ku katastrofie, coraz szybciej i szybciej. Jeszcze wczoraj w tym samym pokoju rozważała możliwość uwiedzenia Domenica Jordana. Bo nudziła się tu trochę. Bo mimo wszystko ona i Jordan należeli do jednego świata i bywały chwile, kiedy Eli rozumiała go zaskakująco dobrze. A w każdym razie znacznie lepiej niż któregokolwiek z tych prowincjuszy, myślących tylko o tym, jak upolować lisa, jak zdjąć skórę z lisa i jak ugotować lisa, by mięso było kruche. Bo – to chyba najważniejszy powód – Jordan był momentami tak obojętny, skryty za swoimi doskonałymi manierami i poważną twarzą, że irytowało ją to i intrygowało zarazem.

A teraz Jordan prawdopodobnie nie żyje, a ona musi mieszkać

w tym mieście aż do wiosny, pod groźbą śmierci ukrywając to, czego się dowiedziała.

Myśl ta sprawiła, że na chwilę serce w niej zamarło i zabrakło jej tchu. Przymknęła oczy, starając się opanować dławiącą falę paniki. Kiedy podniosła powieki, zobaczyła, że ktoś stoi na ganku przeciwległego budynku i pochyła się, kluczem otwierając drzwi.

Dziewczyna bez namysłu chwyciła płaszcz i wybiegła z domu.

\* \* \*

Wszystkie okna były zasłonięte, a drzwi zaryglowane. W salonie paliła się tylko jedna świeca. Eli siedziała na kanapie, słuchając słów Jordana.

— Muszę jak najszybciej dostać się do Comblat — zakończył, a dziewczyna poruszyła się niespokojnie.

— Teraz?

— O świcie. Próba pokonania przełęczy zimą i do tego nocą to niemal pewne samobójstwo.

— To możliwe? To znaczy, zawsze słyszałam, że w czasie Długich Nocy Almayrac jest całkowicie odcięte od świata.

— Tego roku śniegu jest mało, a ja wychowałem się w górach. Poradzę sobie. Jeśli nie przyjdzie śnieżycy — dodał uczciwie. — Powinnaś pomodlić się, by do rana nie zmieniła się pogoda.

Eli patrzyła w płomień świecy tak długo, aż poczuła ból w oczach. Zamrugła.

— A... tamci? Jak wielu ich jest w Almayrac?

— Trudno powiedzieć. Około pięćdziesięciu?

— Wiedzą już o śmierci swoich towarzyszy?

— Nie sędę. Usunąłem ciała z głównej drogi i przysypałem śniegiem.

— Ale to możliwe? — upierała się. — I możliwe jest, że jutro przyjdą cię zabić?

— Owszem, to możliwe, ale sędę też, że wciąż zależy im na załatwieniu całej sprawy jak najdyskretniej. W końcu nadal większość mieszkańców miasta stanowią ludzie. Dlatego nie wierzę, by jutrzejszego ranka pięćdziesięciu na pozór całkiem zwyczajnych obywateli Almayrac wyszło nagle z domów i zaczęło mnie ścigać.

Eli Lienard odetchnęła.

— Chciałabym pójść z tobą — powiedziała cicho.

W pierwszej chwili miał zamiar odmówić, zawahał się jednak. Dziewczyna była silna i zręczna. Powinna sobie poradzić. Musiałby jej tylko pożyczyć coś do ubrania, bo przecież nie mogła brnąć przez śnieg w sukni. Ale i to nie stanowiło problemu – Eli była wysoka i rzeczy Jordana powinny na nią pasować.

— Jeśli pogoda się popsuje albo ty okażesz się zbyt słaba — powiedział więc tylko — nie będę ryzykował własnego życia. Przynajmniej nie od pewnego momentu. Zostawię cię.

Odruchowo skinęła głową. Jordan podszedł do niej.

— Nie, spójrz na mnie. Naprawdę to zrobię — powtórzył, gdy patrzyła mu w oczy.

— Wiem.

Bezlitosna uczciwość tego mężczyzny w jakiś absurdalny sposób uspokoiła Eli. Przynajmniej teraz wiedziała, na czym stoi. Jej rysy odprężyły się, w oczach pojawił się swawolny błysk.

Cóż, skoro i tak musimy zostać tu do rana... – pomyślała.

— Usiądź koło mnie, proszę.

Zręcznie rozpięła haftki sukni, potem tym samym pełnym wdzięku i niewymuszonej elegancji ruchem zsunęła z ramion jedwabną koszulkę, odsłaniając piersi. W świetle świecy skóra Eli miała złocistobursztynowy odcień, jak miód. Z daleka jej uśmiech można by wziąć za uśmiech dziewczynki planującej jakąś psotę, z bliska jednak zbyt wiele było w nim chłodnej kpiny.

Długie palce równie zręcznie poradziły sobie z koszulą Jordana. Chwilę później ręce Eli zatrzymały się. Zmarszczyła lekko brwi, potrząsnęła głową. Na lewym ramieniu i barku zobaczyła kilkanaście krótkich klinowatych blizn. Tknęło ją złe przecucie. Pod naciskiem jej dłoni mężczyzna odwrócił się posłusznie, a dziewczyna gwałtownie wciągnęła powietrze.

Plecy Jordana pokrywały blizny. Niektóre szerokie na dwa palce, o poszarpanych brzegach, i wijące się na skórze jak sinusrebrne gąsienice, inne w kształcie małych trójkątów, zupełnie jakby ktoś w tym miejscu wbił w skórę dłuto. I z pewnością nie mogły to być ślady po chłóście, o czym w pierwszej chwili pomyślała. Blizny były na to zbyt krótkie, zbyt nieregularne.

Widok ten sprawił Eli niemal fizyczny ból. Być może potrafiłaby to ukryć, ale wydarzenia dzisiejszego koszmarne dnia i tak już mocno osłabiły jej zdolność panowania nad sobą. Poczuła się, jakby ktoś pięścią uderzył ją w żołądek. Co mogło pozostawić takie ślady?

Chciała przestać o tym myśleć, ale nie potrafiła. Niektóre z tych ran musiały być bardzo głębokie, sięgające mięśni, kości...

Poczuła przypływ współczucia, a zaraz potem – jej emocje zmieniały się teraz błyskawicznie – irracjonalną panikę. Tak jakby przyłapano ją w cudzym domu, przetrząsając szuflady w poszukiwaniu tajemnic.

Mocno zacisnęła powieki.

— Przepraszam — szepnęła. — Przepraszam...

— To tylko blizny — powiedział Jordan łagodnie, odwracając się w jej stronę.

Objął ją i pocałował. Zachowuję się jak idiotka, pomyślała, oddając mu pocałunek. Strach powoli mijał, dziewczyna przymknęła oczy. Pieszczoty Jordana były zbyt wyrachowane, by mogło jej się to podobać, i w pewnym momencie obok fizycznej przyjemności poczuła prawie złość, ale nie miała siły, by z nim walczyć. Nie teraz.

Zastanawiała się później, czy Jordan w ogóle spał tej nocy. Ona przysypiała na kanapie, zawieszona pomiędzy jawą i snem, a za każdym razem, gdy się budziła, widziała go siedzącego tuż obok i napotykała spojrzenie jego oczu.

Wstała przed brzaskiem i z kocem zarzuconym na ramiona podeszła do okna. Przyszło jej do głowy, że powinna wrócić do domu i zostawić matce pożegnalny liścik...

Patrzyła w okna przeciwległego budynku. Na dole, w mieszkaniu wdowy Mandrier i Flor, płonęła świeca, okna na piętrze były ciemne.

Jej matka, choć niezbyt pobożna, czuła respekt przed ciemnymi siłami i odkąd przyjechały do Almayrac, każdego wieczoru stawiała na parapecie płonąca świecę.

Lecz nie tej nocy.

Eli przypomniała sobie ten niezwykły spokój, który uderzył ją w zachowaniu matki, i zrozumiała, że nie ma po co wracać do domu.

Joana Lienard nie bała się już demonów.

## 5. Pełnia lata

Pod wieczór mężczyźnie po raz pierwszy przyszło do głowy, że może umrzeć.

Wyruszył wczesnym rankiem traktem wiodącym z Mouls do Alestry. Dobremu piechurowi przy słonecznej pogodzie droga ta powinna zająć nie więcej niż osiem godzin. On nie uważał się za dobrego piechura – przywykł podróżować wynajętym powozem, nie zaś na własnych nogach, a pogoda była typowo listopadowa. Siąpił deszcz, czasem zmieniając się w krótką, gwałtowną ulewę. W powietrzu unosiły się pasma mgły, a rankiem kałuże ścięła cienka warstwa lodu. Potem rozpadało się i lód szybko stopniał, ale mężczyzna nie zapomniał o nim. Znaczyło to, że zima jest już bardzo blisko. Zima taka, jaka bywa w okolicach Alestry – dżdżysta i wietrzna, z wilgotnym mrozem przenikającym nocą ciało spóźnionego przechodnia.

Mimo to zdecydował się ruszyć w drogę. W Mouls stracił niemal wszystko, co miał, a miasto nie oferowało zbyt wielu okazji do zarobku. W Alestrze liczył na życie, jakie lubił: pieniądze zdobywane bez wysiłku, nie zawsze uczciwymi metodami, a potem równie łatwo tracone na hulanki, karty i drogie kobiety. Był młody, przywykł radzić sobie sam i robić, co mu się podoba.

Pierwsze objawy choroby poczuł przed południem, gdy minął już stojącą przy trakcie oberżę. Męczył go ból żołądka, mdłości



i zawroty głowy. Mimo to nie zdecydował się zawrócić. Przeklął tylko śniadanie, które zjadł za ostatnie półtora eccu, i brnął dalej błotnistym leśnym traktem. Miał nadzieję, że to chwilowa słabość, która szybko przejdzie. Czuł się jednak coraz gorzej. Gdy po raz kolejny pochylał głowę, opierając dłonie o szorstki pień sosny, jego pusty żołądek kurczył się gwałtownie, a z otwartych ust zwisała nitka śliny, pojął, że to coś poważniejszego niż skutki jedzenia nieświeżej pieczeni.

Rękawem otarł usta i spocone czoło. Materiał płaszcza był wilgotny i ten chłód przyniósł mężczyźnie chwilową ulgę. Miał gorączkę, to pewne. Chwilę później minęły go dwa wozy. Zszedł z drogi. Chęć poproszenia o pomoc walczyła w nim z dumą. Duma zwyciężyła. Bez słowa odprowadził wozy spojrzeniem.

Szybko pożałował tej decyzji.

Lunął deszcz. Mężczyzna poszukał schronienia w lesie i skulił się pod drzewem, zawinięty w cienki płaszcz – elegancki, ale niezbyt odporny na wilgoć. Jednak okrycie wciąż dawało odrobinę ciepła, zamknął więc oczy, czując, jak ogarnia go senność. Był taki słaby, zziębnięty i wyczerpany...

\* \* \*

Przerażony, szarpnął głową. Nie mógł sobie pozwolić na sen, nie tutaj, nie teraz. Wstał z trudem i powłókł się traktem, na wpół przytomny i coraz bardziej przemoknięty. Upadał kilkakrotnie – nie pamiętał już nawet, ile razy – i wstawał jedynie dlatego, że dotyk zimnego błota na twarzy przywracał mu świadomość. Dręczyło go pragnienie, bał się jednak pić wodę z leśnych, wzburzonych

potoków, żółtobrązową od błota i pełną gnijących liści. Pił więc chwytaną w dłonie deszczówkę.

Chwilami miał wrażenie, że brodzi pod wodą: gorączka zniekształcała poczucie odległości, a linia traktu zamazywała się przed oczami. Szedł jak pijany: kilka kroków w przód i jeden drobny w tył, chwila kiwania się w miejscu na ugiętych nogach i rozpaczliwej walki, by utrzymać równowagę, a później znów do przodu, niepewnie i zataczając się.

\* \* \*

Deszcz przestał padać, ale to wiele nie pomogło. Mężczyzna przemókł już do suchej nitki, a ponieważ las stawał się coraz rzadszy, mocniej odczuwał podmuchy zimnego wiatru, który pozbawiał ciało resztek ciepła.

Gdyby lubił ironizować, być może rozbawiłaby go myśl o człowieku umierającym w lesie nie od kłów i pazurów dzikich zwierząt, lecz z powodu zatrucia jakimś świństwem. Ale on nigdy nie grzeszył poczuciem humoru.

Droga była pusta. Nic dziwnego o tej porze roku i przy takiej pogodzie. Mężczyzna nie liczył, że spotka jeszcze kogoś, kogo mógłby poprosić o pomoc. Mimo to tuż przed zmrokiem usłyszał za plecami parskanie koni i chwilę później z mgły wyłoniły się dwa grubokościste kasztanki zaprzężone do chłopskiego wozu. Z ich boków unosiła się para. Woźnicę okrywał gruby płaszcz. Obok niego siedziało dziecko – dziewczynka bądź chłopiec, trudno było rozpoznać – z twarzą ukrytą pod obszernym kapturem.

Mężczyzna stanął na środku drogi i wyjąkał prośbę o pomoc.

Dziecko odrzuciło kaptur i przyjrzało mu się uważnie. To była jasnowłosa pyzata dziewczuszka. Jej usta otworzyły się w wyrazie zdumienia.

— Tato, ten pan nie ma... — pisnęła.

— Cicho — skarcił ją woźnica. Wsunął dyskretnie dłoń pod płaszcz, a w jego oczach pojawił się zmieszany z determinacją strach.

— Czego chcesz?

Zbliżył się, a dziewczynka zabawnie zmarszczyła nosek. Prawda, że musiał mocno cuchnąć – odkąd zachorował, wciąż chodził w las za potrzebą, a nie zawsze w porę zdążył zdjąć spodnie.

Chłop na wozie nie zwracał uwagi na smród. Patrzył w twarz stojącego na drodze mężczyzny, a ten – jeszcze nim woźnica zdążył cokolwiek powiedzieć – pojął, że przegrał.

— Skazaniec... — wymruczał chłop. — Zostaw nas w spokoju!

Zaciął batem konie, zmuszając je do szybkiego truchtu. Spod kół trysnęła błotnista woda.

— Nie jestem skazańcem... — zaprotestował mężczyzna, ale było za późno. Wóz zniknął we mgle.

Do Alestry pozostały dwie godziny drogi.

Dla zdrowego, idącego normalnym tempem człowieka i przy dobrej pogodzie, gdy mgła nie ogranicza widoczności, a stopy nie grzęzną po kostki w błocie.

\* \* \*

— Proszę spojrzeć tu: oto scena przedstawiająca Wezwanie

Szatana. Szatan już, już wyrywa się z nakreślonego nieumiejętną ręką kręgu, by pożreć nieostrożnego maga. Mag cofa się, lecz jest za późno. Wie o tym, proszę spojrzeć na ów wyraz przerażenia wykrzywiający jego rysy. A ten obraz na prawo przedstawia kamień ofiarny, na nim zaś dwoje nagich dzieci oczekujących na śmierć. Czy ciemna postać, która skrada się ku nim, jest pogańskim bóstwem, które dawni mieszkańcy tych ziem prześlągiwali ofiarą z niewinnej krwi? Któż to wie? Treści kolejnego obrazu nie muszę chyba nikomu objaśniać: oto mamy przed sobą tak dobrze nam znaną z kościelnych malowideł scenę strącenia grzeszników do piekieł. Nie jest to jednak grzeczny, godny podstarzałej dewotki obrazek, o nie. Nieznanemu autorowi tego dzieła udało się oddać grzech w całej jego ohydzie i obrzydliwości, lecz także, nie mylicie się, moi mili słuchacze, w jego kusicielskim uroku. Proszę spojrzeć na nagie ciała grzeszników: obrzmiałe i zdeformowane, nasyczone jadłem i winem, krwią i wynaturzoną miłością. Ci ludzie z pewnością nie odmawiali sobie niczego, z radością folgując najohydniejszym pragnieniom. Lecz czy żałują? Czy cierpią w oczekiwaniu na ogień piekielny, czy też wręcz przeciwnie, pogrążeni są w słodkiej ospałości, jaka towarzyszy nasyceniu rozkoszą?

Książę Auban d'Ennodi Cazères przerwał, by nabrać tchu. Policzki miał tak czerwone, że wydawało się, iż wystarczy lekko je nakłuć, a pękną jak przejrzały pomidor. Przy najlżejszym wysiłku sapał ciężko. Gdyby był niższy i drobniejszy, z pewnością uważano by go za grubasa, jednak tłuszcz rozłożony równomiernie na wysokiej, grubokościstej sylwetce sprawiał, że książę zyskał sobie

po prostu miano potężnego mężczyzny. Miał blisko pięćdziesiąt lat i w Villatelle wciąż jeszcze uchodził za młodego człowieka. Kobiety chwaliły jego męską posturę i rumianą cerę; Jordan natomiast widział przed sobą starzejącego się tłuściocha, który z dużym prawdopodobieństwem w ciągu najbliższych lat, a może nawet miesięcy, umrze na serce.

Książę osuszył chustką spoczone czoło. W podziemnej galerii, mimo powietrza wpadającego przez otwory w suficie, było duszno. Na obrazy padał blask smukłych czarnych świec, które włożono w przytwierdzone do ściany uchwyty w kształcie rąk kościotrupa. Dość długie, lecz wąskie pomieszczenie wypełniał dym, a gdy goście podchodzili bliżej, by przyjrzeć się malowidłom, gorący oddech płomieni owiewał im twarze.

Gospodarz starł kolejną strużkę potu i rozejrzał się po słuchaczach, sprawdzając, jakie wrażenie wywarła jego kolekcja.

Jeden z gości patrzył nie na *Strącenie grzeszników*, lecz na przeciwległą ścianę galerii, gdzie samotnie wisiał niewielkich rozmiarów obraz. Jakby dla odwrócenia od niego uwagi, na ścianie płonęła jedna tylko świeca, nie czarna, lecz ze zwyczajnego, mlecznożółtego wosku. Dzięki temu zresztą malowidło zachowało się w znacznie lepszym stanie niż wisząca naprzeciw „demoniczna” seria, poczerniała od dymu i z popękaną, kruszącą się w wielu miejscach farbą.

Książę poczuł przypływ irytacji.

— A pan, panie Jordan? Który z mych obrazów budzi w panu największe przerażenie? — spytał, próbując skierować zainteresowanie gościa z powrotem na właściwe tory.

— Ten właśnie. — Zapytany, skinieniem głowy wskazał niepozorny malunek.

Na obrazie dwie młode kobiety siedziały w ogrodzie – jedna na huśtawce, druga u jej stóp, wprost na trawie. Ta na huśtawce, blondynka, pochylała się i wpinała we włosy swej śniadej towarzyszki rozkwitłe purpurowe róże. Kwiaty były tak wielkie, że drobne ręce jasnowłosej niemal w nich ginęły, a ich barwa tak intensywna, że płatki zdawały się rzucać na dłonie jednej i czoło drugiej kobiety krwawe cienie. Róże zwieszały się także z krzewów, uginając pod swym ciężarem zbyt delikatne gałązki. Słońce świeciło mocno, liście były świeże i zielone, a trawa pełna soków. Kobiety wyglądały na rozleniwione upałem i szczęśliwe. Rysy blondynki przesłaniały rozpuszczone włosy, brunetka przymknęła oczy, wystawiając twarz na pieszczotę gorących promieni. Uśmiechała się uśmiechem subtelnym, ledwo zarysowanym na wargach, a przecież trudnym do przeoczenia i w pewien sposób niepokojącym. Ciemnowłosa kobieta przypominała trochę kota, pozbawionego ludzkich wątpliwości i wahań. Kota, który najadł się tłustych myszy, opił śmietanką i teraz wygrzewa na słońcu, nie pragnąc już nic od życia.

Obraz nosił tytuł *Pełnia lata*.

— Ależ... — Właściciel galerii zająknął się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. — Pan żartuje, prawda?

Jordan wolno pokręcił głową.

\* \* \*

— Panie Jordan, czy mógłbym prosić o przysługę? — spytał

książę Cazères tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że pewien jest zgody.

Jordan w pierwszej chwili zmarszczył brwi, potem – tłumiąc niechęć – uprzejmie skinął głową.

Pozostali goście właśnie wychodzili, na podjeździe słysząc już było turkot kół powozów. Książę zatrzymał Jordana, nim służący zdążył podać mu płaszcz i rękawiczki. Wciąż mówiąc, prowadził go w bok, w stronę szerokich schodów wiodących z holu na piętro pałacu.

— Chciałbym, aby rzucił pan okiem na moją żonę. Nic właściwie jej nie dolega, ale trochę się o nią martwię. Jest blada, nie ma apetytu... To zajmie tylko chwilkę. Po prostu pomyślałem, że skoro jest pan lekarzem, dlaczego by nie skorzystać z okazji. Rozumie pan...

Nie, Jordan nie rozumiał. Wykorzystywanie zawodu zaproszonego na kolację gościa było poważnym nietaktem. Jordanowi, tak jak i wszystkim medykom, zdarzało się to już wcześniej – wielu ludzi przy okazji towarzyskiej wizyty chętnie korzystało z porady lekarskiej, oszczędzając czas i pieniądze. Ale po księciu Cazères, kuzynie królewskim w drugiej linii i właścicielu jednego z największych majątków Okcytanii, można by się spodziewać lepszych manier.

W pierwszym odruchu chciał odmówić. Nie przypadł mu do gustu ani gospodarz, ani jego pałac. Chciał jak najszybciej znaleźć się w swoim mieszkaniu i zapomnieć o wszystkim, co tu zobaczył. Pragnienie to było tak silne i jednocześnie tak irracjonalne, że w Jordanie niespodziewanie obudziła się ciekawość. Na przekór

własnym uczuciom postanowił zostać. Chciał wiedzieć, skąd wzięła się w nim tak silna niechęć.

Idąc za gospodarzem po szerokich schodach, analizował dzisiejszy wieczór. Czy zaniepokoiła go kolekcja znajdująca się w podziemnej galerii? Z pewnością nie. Były to niewiele warte, pochlebające najniższemu gustowi dzieła i tylko ktoś taki jak książę Cazères – głupiec po sztubacku zafascynowany wszystkim, co „mroczne” i „demoniczne” – mógł je podziwiać.

Oczywiście była jeszcze *Pełnia lata*.

To jest to, pomyślał Jordan. W pewnym sensie niepokoił mnie ten obraz. Ale jest jeszcze coś. Coś w atmosferze tego domu, czego nie potrafię rozpoznać...

Pałac leżał niedaleko Alestry, w miejscowości zwanej Villatelle. Dni chwały miasteczko miało już za sobą. Sto pięćdziesiąt lat temu przodek obecnego króla wybudował tu jedną ze swych podmiejskich rezydencji, a ponieważ spędzał w niej większość czasu, wkrótce wokół królewskiego pałacu wyrosły siedziby okcytańskich wielmożów. Przez półtora wieku w Villatelle ważyły się losy całego kraju. Tutaj urządzano najhuczniejsze zabawy, tutaj snuto intrygi, te błahe i te o najbardziej dalekosiężnych skutkach, tutaj pod płaszczykiem dworskich manier trwała nieustanna walka o władzę, zaszczyty i wpływy. Kres temu położył dopiero Karol Emmanuel, koronowany przed dwunastu laty. Kazał on odnowić i rozbudować stojący w centrum Alestry pałac, a później przeniósł się tam, zabierając ze sobą garstkę najwierniejszych przyjaciół. Król w niczym nie przypominał swych poprzedników: do przesady pobożny, wiódł skromne życie,



a jedynym człowiekiem, którego rad słuchał, był ksiądz Verdemi, jego dawny wychowawca. W tej sytuacji część mieszkańców porzuciła dotychczasowe siedziby i wróciła do swych dóbr, którymi dotąd zarządzali intendenci czy młodsi bracia, inni – przeważnie młodzi – przenieśli się do Alestry, by tam korzystać z rozrywek, nie oglądając się już na królewski majestat.

Niektórzy pozostali jednak w Villatelle. Tkwili w swych pałacach coraz bardziej rozgoryczeni i zdziwaczali, udając jednocześnie, że nic się nie zmieniło. Byli zbyt wiekowi, by bawić się jak dawniej, i zbyt staroświeccy, by przyciągnąć alestrańską młodzież, w gruncie rzeczy nią gardzili, tak jak każdym, kto nie należał do ich świata. Wydawali więc pieniądze na utrzymanie sal balowych, w których nikt już nie tańczył, i ogrodów, w których nikt nie urządzał zabaw. Spotykali się tylko we własnym gronie, a byli wśród nich i tacy, którzy zamykali się wraz z kilkorgiem służących w opustoszałych rezydencjach, nie wychodzili na zewnątrz ani nie wpuszczali nikogo do środka. Cazères stanowił chlubny wyjątek – on przynajmniej od czasu do czasu zapraszał do swego domu kogoś spoza Villatelle.

Jordan szedł za gospodarzem długimi, pustymi korytarzami. Echo ich kroków tłumili grube dywany i zakurzone draperie. Niegdyś zapewne purpurowe, teraz brązowoczerwone niczym zaschnięta krew.

Książę wprowadził Jordana do jednej z komnat, przeprosił grzecznie i pozostawił samego.

Zauważywszy toaletkę z leżącym na niej kompletem szczotek w srebrnej oprawie, Jordan domyślił się, że to sypialnia pani domu.

Poza tym komnata była podobna do innych w pałacu: przestronna i nieprzytulna, umeblowana staroświeckimi, choć dobrze utrzymanymi sprzętami. Tutaj czas zatrzymał się pięćdziesiąt lat temu. Każde krzesło, stolik, każda solidna dębowa szafka – tak różna od najmodniejszych lekkich mebelków – zaklinały przeszłość, by nie odchodziła.

Pomieszczenie to przeznaczono nie dla żywych ludzi, lecz dla duchów.

Jordan zbliżył się do płonącego w kominku ognia i wyciągnął dłonie, choć przecież nie było mu zimno.

Weszła stara służąca, kucnęła przy palenisku i dorzuciła drew. Podnosząc się, spojrzała na Jordana ciekawie. Mimo starannie wykrochmalonego fartuszka i czepka wyglądała na zwykłą chłopkę i gapiła się z chłopską prostotą, bez zażenowania, bez świadomości tego, co przystoi służbie, a co nie.

— Pan doktor, nie? — spytała.

Jordan pomyślał, że za czasów świetności Villatelle taka kobieta pracowałaby co najwyżej w kuchni, przenigdy nie wpuszczono by jej na pokoje państwa. Skinął głową. Nie zamierzał się tłumaczyć, ale też nie czuł urazy. Naiwna bezczelność służącej nawet go bawiła.

— Jak trzeba, to doktora nie wołają, a jak nie trzeba, to sam przychodzi — powiedziała zagadkowo. Dygnęła niezgrabnie w drzwiach i wyszła.

Chwilę później do komnaty wrócił książę, prowadząc ze sobą żonę, dònę Lucianę.

Księżna Luciana Cazères nie urodziła się w Villatelle.

Pochodziła z Alestry, z ubogiej mieszczańskiej rodziny. W młodości uważano ją za matematycznego geniusza, a dziewczyna wierzyła w swe zdolności tak bardzo, że zapragnęła się kształcić na uniwersytecie. Władze uczelni odmówiły, lecz Luciana się nie poddała. Wysyłała do rektora listy, ponoć tak przekonujące, że Matell – wówczas już stary i niechętny wszelkim nowinkom – poważnie zaczął rozważać przyjęcie jej w poczet studentów.

I wtedy właśnie pojawił się książę Cazères, kupił Lucianę od rodziny, poślubił i zamieszkał z nią w Villatelle. Wszystko to wydarzyło się dokładnie przed piętnastu laty.

Plotki głosiły, że Cazères ożenił się z miłości, lecz Jordan z natury był zbyt cyniczny, by w to uwierzyć. Podejrzewał, że księciu po prostu sprawiło przyjemność zrujnowanie śmiałych planów kobiety.

Dòna Luciana miała trzydzieści kilka lat, była chuda i bardzo wysoka. Jakimś cudem zdołała osiągnąć wzrost prawie sześciu stóp, lecz jej zdeformowany kręgosłup świadczył wyraźnie o tym, że w dzieciństwie odżywiała się marnie. Była też bardzo blada, pozbawione połysku włosy miały kolor popiołu, a oczy, jasne i przezroczyste, przypominały kawałki bladobłękitnego szkła.

— Proszę zostawić nas samych — powiedział Jordan.

— Wolałbym towarzyszyć żonie. Tak będzie lepiej, prawda, kochanie? — Książę uśmiechnął się z teatralną czułością.

Jordan nie zdziwił się. Wielu mężczyzn życzyło sobie asystować przy badaniu żon i pilnować, by lekarz nie przekroczył granic przyzwoitości.

Zdumiały go dopiero kolejne słowa gospodarza.

— Rozbierz się — polecił żonie.

— To nie jest konieczne — zaprotestował Jordan.

— Lekarza nie należy się wstydzić. A my chcemy przecież, by badanie było dokładne, prawda? — ksiązę znów zwrócił się do żony, a ona ponownie odpowiedziała mu skinieniem głowy.

Wydawała się spokojna, zbyt spokojna i zrezygnowana. Jednak jej apatia nie miała w sobie nic chorobliwego. Jordan spotykał już takie kobiety, które po jakimś ciosie – nieszczęśliwej miłości bądź śmierci kogoś bliskiego – godziły się z losem i żyły, zadowolając się maleńkimi radościami i smutkami, niepodatne na silniejsze emocje, zawsze rozsądne i zawsze obojętne.

Dòna Luciana rozbierała się, a w jej ruchach nie było ani zalotności, ani wstydu. Z haftkami i wiązaniami sukni poradziła sobie z wprawą osoby przyzwyczajonej do samodzielności. Na ziemię opadła suknia wierzchnia, potem spodnia, bielizna i pończochy. Kobieta stanęła przed Jordanem naga jak Ewa w raju. Garbata, białoskóra i popielatowłosa, przypominała pozbawionego wdzięku anioła tulącego do pleców zwinięte skrzydła.

Ksiązę, niczym biblijny król Kandaleus, patrzył na obnażone ciało żony z wyraźną przyjemnością.

— Jesteśmy do siebie podobni, panie Jordan — mówił, nie odrywając wzroku od nagiej postaci — choć właściwie powinienem zwracać się do pana don Domenic, prawda? Uzyskanie doktoratu wiąże się przecież z nadaniem szlachectwa.

Jordan skinął głową. Nie wspomniał, że prawo do tytułu szlacheckiego ma od urodzenia.

— Obaj lubimy to, co budzi lęk w zwykłych śmiertelnikach. Mrok, śmierć, może nawet... — Cazères spojrzał na Jordana i uśmiechnął się, ukazując na chwilę drobne, ostre zęby kontrastujące z czerwoną twarzą grubasa — diabła?

— Proszę znaleźć mi jakąś łyżeczkę.

Wezwany przez księcia służący przyniósł srebrną łyżeczkę do kremów i lodów osadzoną na długim trzonku.

Jordan zajrzał do gardła kobiety, spytał o samopoczucie, potem ocenił sylwetkę, starając się nie dotykać ciała częściej, niż było to konieczne.

Księżę patrzył na palce lekarza ślizgające się po nagiej skórze żony. Jego górna warga znów uniosła się w odsłaniającym kły uśmiechu. Na zębach błyszczały kropelki śliny.

Jordan polecił kobiecie ubrać się, sam zaś odwrócił się w stronę gospodarza.

— Księżna jest odrobinę anemiczna, przydałaby się więc dieta bogata w sycące potrawy i od czasu do czasu parę tygodni spędzonych w jakimś morskim uzdrowisku. Mogę też przepisać mieszankę ziołową na poprawę apetytu. Jedna rzecz jest ważna. Pana żona — świadomie pominął książęcy tytuł — nie powinna rodzić dzieci. Pewnie zresztą już o tym pan wie. Jej miednica jest zbyt wąska, a do tego zdeformowana. Poród ją zabije

Cazères wstał, podszedł do żony, ujął jej twarz w dłonie i patrzył przez chwilę w oczy. Nadal się uśmiechał. Wydawał się zadowolony z opinii Jordana.

\* \* \*

Późnym rankiem Peyretou zbudził Jordana, dotykając delikatnie jego ramienia.

— Panie — szepnął — jakiś człowiek koniecznie chce się z panem widzieć. Tomas Magatou. Mówi, że jest porucznikiem alestrańskiej policji konnej.

Domenic Jordan usiadł na łóżku. Zbudzony ze snu, błyskawicznie odzyskiwał przytomność i doskonale zrozumiał, co Peyretou przed chwilą powiedział.

— Poproś go do środka.

Młody służący wrócił po chwili.

— On nie chce wejść — rzekł, pomagając swemu panu włożyć kaftan. — Stoi w drzwiach i wciąż powtarza, że koniecznie musi się z panem zobaczyć.

Co za lichy?, zastanowił się Jordan. Znał Magatou – był to człowiek niezbyt inteligentny, ale uczciwy, a przede wszystkim bardzo rozsądny. Zazwyczaj nie zachowywał się tak dziwacznie.

Ubrany już, ze starannie uczesanymi i związanymi na karku włosami, Jordan podszedł do drzwi.

Magatou opierał się o framugę. Jego szczupła i wysoka sylwetka wydawała się lekko przygarbiona, końce uczernionych wąsów zwisały smętnie, a w niebieskich oczach widać było niepokój.

— Co się stało? — spytał Jordan.

— Księżna Cazères została zamordowana dzisiejszej nocy — oznajmił porucznik, przechodząc od razu do sedna sprawy. — A księżę oskarża pana o jej śmierć.

Jordan nie wydawał się przestraszony ani nawet zaskoczony.

Przez jeden krótki moment porucznik Magatou miał tylko wrażenie, że stojący przed nim mężczyzna zamierza gwizdnąć, jakby z podziwu. Lecz to musiało być złudzenie.

— Jadł pan już śniadanie?

— Nie — odparł speszony porucznik.

— Więc proszę wejść. Chyba nieczęsto ma pan okazję dzielić posiłek z potencjalnym mordercą, prawda?

\* \* \*

— Czy pan... eee... czy...

— Czy zabiłem księżną Cazères?

Magatou skinął głową, jednocześnie wpychając do ust kawałek pieczonej kuropatwy.

— A uwierzy mi pan, jeśli powiem, że nie? — Jordan uśmiechnął się ironicznie.

Porucznik, zaskoczony tak bezpośrednim pytaniem, przytaknął po chwili. Szanował Jordana, lubił go nawet, lecz nie rozumiał.

— Niesłusznie — powiedział Jordan. — W takich kwestiach nie należy nikomu wierzyć na słowo. Musi być jakiś powód, dla którego Cazères oskarża właśnie mnie. Wie pan dlaczego?

Peyretou wciąż donosił nowe potrawy, irytująco wolno i długo szukając dla nich miejsca na stole. Stała tu już misa smażonych w cukrze owoców, sery, jabłka, makowe ciasto, imbirowe suchary i do niczego niepasujący zielony pieprz.

Jordan zdenerwował się odrobinę.

— Wyjdź i zajmij się swoimi sprawami albo zostań, jeśli koniecznie chcesz posłuchać, o czym mówimy.

Zaczerwieniony Peyretou usiadł na brzeżku krzesła.

— Księżna Cazères przeprowadziła się wczorajszego dnia do nowych pokoi — wyjaśnił porucznik Magatou. — Wcześniej mieszkała w północnym skrzydle pałacu. Jediną osobą, która wie, gdzie znajdowała się jej nowa sypialnia, jest pan. A ona została zamordowana w nocy, we własnym łóżku.

— Służba też musiała wiedzieć o przeprowadzce — zaprotestował Jordan.

— Księżę nie podejrzewa nikogo ze służby. To wierni, oddani rodzinie ludzie, od dawna służą w pałacu. Tak mówi księżę.

Jordana zdziwiło to stwierdzenie. Arystokracja – jakkolwiek skłócona i zawsze chętna do intryg – o tego rodzaju zbrodni skłonna była zazwyczaj podejrzewać kogoś z plebsu, nie z własnego grona.

— I pan przyszedł mnie aresztować? — Uśmiechnął się lekko, bynajmniej nie zaniepokojony. — Dowody przeciw mnie są dość marne.

— To samo powiedziałem księciu. — Magatou skinął głową. Nie był zbyt bystry, ale nie zbywało mu na odwadze. Jordan poczuł do niego przyływ sympatii. — Jednak... — Porucznik urwał i pochylił się nad talerzem, na którym tłusta kuropatwa zmieniała się już w ogryziony do czysta szkielet.

Nie musiał kończyć. Jeśli księżę naprawdę chce, by Jordan odpowiedział za śmierć d'ony Luciany, to wkrótce znajdą się nowe, mocniejsze dowody. Albo po prostu Cazères pociągnie za odpowiednie sznurki i Jordan tak czy inaczej zostanie skazany.

— Czy jest ktoś, kto mógłby poświadczyć, że w nocy nie



wychodził pan z domu? Pański służący?

Peyretou zakręcił się niespokojnie na krześle.

— Mój służący większość nocy spędza teraz w towarzystwie siostrzenicy karczmarza z Błękitnego Dzbana — powiedział Jordan z uśmiechem.

Policzki Peyretou znów pokryły się rumieńcem. Wierzył dotąd, że jego nocne eskapady są tajemnicą.

— A jasnowidz? Badał już ciało?

— Księżę Cazères nie pozwolił. Twierdzi, że to nie po chrześcijańsku.

— Bzdura. Większość kościelnych hierarchów akceptuje jasnowidzów, jeśli tylko korzystają oni z opieki jednego ze świętych.

Magatou wzruszył ramionami.

— Wiem, ale księżę uparł się i nic nie mogłem na to poradzić.

Jordan uniósł brwi. Była to kolejna niepokojąca okoliczność. Obstawanie przy niewinności służących, którzy w tej sytuacji byli najbardziej oczywistymi podejrzanymi, niepoparte żadnymi poważnymi dowodami oskarżenia rzucające na Jordana, a teraz sprzeciwianie się badaniu ciała przez jasnowidza. Co, u diabła, działo się w pałacu księcia Cazères?

Jordana zastanawiało jeszcze jedno. Poprzedniego wieczoru zauważył, że w pałacu nie ma wiele służby. Choć księcia z pewnością stać było, by prowadzić życie na dawnym poziomie, to jego rezydencja sprawiała wrażenie opustoszałej. Niemniej księżna Cazères miała chyba pokojówkę, która pomagała jej przy wieczornej i porannej toalecie? Zapytał o to.

— Miała — potwierdził Magatou. — To właśnie jest następna rzecz, o której chciałem panu opowiedzieć. Pokojówka ma na imię Rosela i pochodzi ze wsi leżącej kilka mil za Villatelle. Zazwyczaj sypia w garderobie, przy komnacie swej pani. Ale dzisiejszej nocy w ogóle nie było jej w pałacu. Raz na miesiąc dziewczyna ma wolny dzień i rusza wtedy pieszo do rodzinnej wioski. Wychodzi o świcie i wraca przed zmrokiem.

— A wczoraj nie wróciła — domyślił się Jordan.

— Nie. Posłałem już jednego z moich ludzi, by porozmawiał z jej rodzicami. Wedle ich słów, Rosela odwiedziła dom wczoraj, a po południu jak zwykle wyruszyła w powrotną drogę do pałacu. Tylko że nigdy tam nie dotarła. Kazałem wszcząć poszukiwania. Moim ludziom pomagają chłopci z rodzinnej wioski Roseli. Zdaje się, że była bardzo lubiana...

— Dziewczyna prawdopodobnie już nie żyje — powiedział Jordan spokojnie. — Komuś zależało, by usunąć ją z drogi. Ktoś chciał, by księżna została dzisiejszej nocy sama.

\* \* \*

— Dziecko, co ty masz na sobie? — spytał Jordan łagodnie.

Dziewczyna zaczerwieniła się, opuściła głowę. Nosiła kanarkowożółtą suknię obramowaną szkarłatnymi koronkami, z wielką, sięgającą ucha różą przypiętą na ramieniu. Figurę miała już pełną i kobiecą, ale jej twarz wciąż była po dziecinnemu pyzata. Miała piętnaście lat. Na chrzcie nadano jej imię Bernadeta, ona jednak wolała, by wołano ją Netta. Talent jasnowidza obudził się w niej niedawno i jeszcze nie przyzwyczała się do swej nowej

pozycji społecznej i bogactwa. Drogie stroje nosiła tak, jakby starała się je oszczędzać, a przy tym najwyraźniej miała fatalny gust.

Wygładziła materiał, jakby chcąc pocieszyć wzgardzoną suknię.

— On — mruknęła, wciąż wbijając wzrok w podłogę i ledwo dostrzegalnym ruchem głowy wskazując stojącego obok Peyretou — powiedział, że wybieramy się z wizytą do jednej wielkiej pani.

— Owszem, z okazji pogrzebu tej pani.

Netta zarumieniła się i nerwowym gestem poprawiła kosmyk jasnych włosów wymykający się z fryzury nieudolnie imitującej potrójny warkocz. Sprawiała wrażenie bezradnej i dziecinnej, i taka w rzeczywistości była.

Jordan nakazał Peyretou znaleźć jasnowidza, który w żadnym razie na jasnowidza nie wygląda; trzeba było przyznać, że młody służący doskonale wywiązał się z zadania.

— Peyretou — powiedział Jordan — jesteś bystrym chłopcem, a mam nadzieję, że siostrzenica karczmarza nauczyła cię co nieco o kobiecych strojach. Idź więc na rynek i pomóż Necie wybrać jakąś skromną żałobną suknię. I wróćcie przed dziesiątą. Nie wypada spóźnić się na ostatnią uroczystość księżnej Cazères.

\* \* \*

Dònę Lucianę postanowiono pochować niezwykle szybko, ledwo trzy dni od śmierci.

Rankiem, w dzień pogrzebu, po prawie trzech tygodniach pluchy niebo rozpogodziło się niespodziewanie i nad Alestrą

zabłysło zimowe słońce, odbijając się w brudnych kałużach. Jedna z takich kałuż, wielka niemal jak mały staw, rozlewała się przed kościołem, w którym miała się odbyć msza żałobna. A ponieważ na pogrzeb księżnej Cazères postanowili się stawić prawie wszyscy mieszkańcy Villatelle, co rusz rozgrywała się tu jedna i ta sama scena. Przed świątynią stawał staroświecki powóz i z wnętrza dumnie wysuwała się siwa głowa, tylko po to, by na widok zagradzającej drogę kałuży cofnąć się natychmiast. Po chwili głowa wynurzała się ponownie, już znacznie wolniej i mniej pewnie, a zaniepokojone spojrzenie padało na czekającego w pogotowiu służącego. Służący stawał na wysokości zadania: pomagał sędziwemu pasażerowi lub pasażerce zejść po schodkach karety i prowadził do wrót kościoła, przy czym podopieczny szedł ścieżką ułożoną z chybotliwych kamieni, a sługa brnął obok po kostki w wodzie.

Jako ostatni do kościoła wszedł Domenic Jordan, podtrzymując uczeptioną jego ramienia Nette. Dziewczyna posapywała przez nos, kołysząc się na obcasach wysokich bucików.

Zatrzymali się w prawej nawie, w pobliżu ołtarza, bezpiecznie ukryci za jednym z filarów. Niedaleko stanął Tomas Magatou.

Kościół był wypełniony po brzegi. Tuż przed ołtarzem, na obitych purpurowym pluszem krzesłach siedziała szlachta, w dalszych drewnianych ławach miejsca zajęła służba. W tylnych rzędach od czasu do czasu ktoś kręcił się w miejscu, chrząkał, smarkał bądź trącał łokciem sąsiada i szeptał. Z przodu panowała cisza. Szlachetnie urodzeni starszycy siedzieli nieruchomo i milcząco jak wypchane słomą truchła. Trzy rzędy pudrowanych

siwych peruk, sztucznych pieprzyków na pomarszczonych policzkach, podwójnych podbródków i na wpół ślepych oczu. Pełni rozkosznego napięcia, patrzyli nie na odprawiającego mszę księdza, lecz na otwartą trumnę. Nikt nic nie mówił, a jednak to przerażające i ekscytujące jednocześnie słowo „morderstwo” unosiło się w powietrzu.

Potem jeden po drugim, podtrzymywani przez służących, którzy naraz zjawiali się u ich boku, z godnością podchodzili do trumny. Bóg wie, ile złożonych wyschniętymi ustami pocałunków spoczęło tego dnia na czole księżnej Cazères, ile powykręcanych artretyzmem palców dotykało jej zimnych policzków. Nikt nie chciał zrezygnować z okazji obejrzenia z bliska ciała zamordowanej.

Jordan i Netta dyskretnie wmieszali się w kolejkę. Porucznik Magatou podszedł i ustawił się tak, by zasłonić Jordana i dziewczynę przed wzrokiem księcia Cazères, gdyby temu ostatniemu przyszła ochota spojrzeć jeszcze raz na ciało żony.

Netta oparła dłonie na brzegu trumny, pochyliła się i wargami dotknęła czoła martwej kobiety, potem jej powiek. Trwało to długo, znacznie dłużej niż pożegnalny pocałunek.

Jordan wciąż trzymał ją za ramię. Ciałem dziewczyny targnął dreszcz, bardzo mocny, potem zmienił się w słabe dygotanie. Zacisnęła dłonie na brzegu trumny.

Za plecami Jordana rozległ się niecierpliwy syk. Zignorował go. Odwrócił się dopiero wtedy, gdy ktoś pchnął go lekko.

— Była do niej bardzo przywiązana — powiedział, nie mając pojęcia, jak stojący za nim zinterpretują te słowa. I niewiele go to

obchodziło. Chciał po prostu zyskać trochę czasu.

Wysoka kobieta o bezmyślnej twarzy skinęła uprzejmie głową. To właśnie ona przed chwilą trąciła go w plecy. Nie z własnej woli bynajmniej, ale dlatego że pchnął ją następny w kolejce, mężczyzna drobniutki i dla odmiany sprawiający wrażenie dość bystrego. Teraz wyglądał zza kobiety – zabawnie, raz zza lewego, raz zza prawego ramienia jak wyskakujący z pudełka diabełek – a pełne złości paciorkowate oczka zatrzymywały się na Jordanie.

— Co się dzieje? Czy ktoś źle się poczuł? — W jego głosie nie było ani odrobiny troski. — W takim razie trzeba wyprowadzić go z kościoła, a nie tarasować przejście!

W tym momencie Netta – zupełnie jakby usłyszała te słowa – uniosła głowę, jęknęła przeciągle i zaczęła się miękko osuwać. Jordan złapał ją, w ostatniej chwili ratując przed rozbiciem nosa o brzeg trumny. Zaraz obstąpili ich starszycy, spoglądając z ciekawością na dziewczynę. Na chwilę zemdlona stała się większą atrakcją niż leżąca w trumnie księżna.

— Chciałbym przejść — powtarzał cierpliwie Jordan. Netta, którą trzymał na rękach, wcale nie była lekka.

Przepraszając grzecznie, ale stanowczo, posuwał się w stronę wyjścia. Pomagał mu porucznik Magatou, zręcznie torując drogę pośród ciżby. Tymczasem zamieszanie zwróciło uwagę księcia Cazères. Na jego twarzy odmalowało się najpierw zdumienie, a później gniew.

Magatou spojrział na towarzysza, prosząc go wzrokiem, by wziął na siebie wymyślenie jakiegoś wiarygodnego kłamstwa, lecz Jordan lekko pokręcił głową. Nie miało to sensu.

Księżę Cazères prędzej czy później i tak musiałby się dowiedzieć, co właśnie zaszło w kościele.

\* \* \*

Dòna Luciana, księżna Cazères, ostrożnie wysunęła stopę poza teren przytulnego gniazdko, które wygrzała sobie, leżąc zwinięta w pościeli. Poczowała zimno i natychmiast cofnęła stopę. Ogień w kominku już zgasł, a przyniesiony przez Briandę gorący kamień, owinięty w szmaty i położony w nogach łóżka, dawno wystygł.

W pałacu panowały cisza i ciemność. W głębokiej czerni unosił się, jakby zawieszony w powietrzu, szary prostokąt okna. Dòna Luciana odwróciła się, zamknęła oczy. Nie zmieniło to niczego. Nadal otaczał ją zimny i cichy mrok.

Przysypiała, a myśli jak szereg szarych skrzętnych myszek spacerowały pod jej czołem. Myśli niegdyś bolesne, a teraz wyblakłe już od nieustannego obracania w głowie, tragedie o stępionych kantach, pozbawione goryczy rozczarowania.

Czy warto było zostać księżną Cazères po to, by teraz sypiać w zimnym łóżku, ubierać się w dziesięcioletnie aksamity, a na śniadanie jadać resztki z kolacji?

I druga sprawa, związana z poprzednią. Księżę Cazères, jej mąż, zmienił się. Kiedy to się zaczęło? Pięć, sześć lat temu? Może jeszcze wcześniej. Tak, wcześniej, mniej więcej w czasie choroby don Sicarta. Księżę, dotąd ignorujący swego starszego kuzyna, ni stąd, ni zowąd wykazał się dobrym sercem. Spędzał przy chorym całe dnie, bawił rozmową, pielęgnował. W efekcie don Sicart wkrótce wstał z łóżka, za to przemęczony księżę zapadł na zdrowiu.

Gdy choroba minęła, zaczął się zmieniać jego charakter. Proces był tak powolny, że dòna Luciana z początku niczego nie zauważyła. Książę zdziwaczał, skąpił pieniędzy na rezydencję, którą niegdyś się chlubił, za to wydawał je na kolekcję niepokojących obrazów. Stracił swe dawne zainteresowanie polowaniem, grą w karty czy frywolnymi komediami. Wciąż był drażliwy na własnym punkcie i gadatliwy, plół czasem niemądrze trzy po trzy, ale w jego słowach coś przejmowało rozmówcę dreszczem. Mówił o śmierci, najczęściej właśnie o tym, a wyglądało na to, że drażnienie żony, która tego typu tematów szczerze nie znosiła, sprawia mu przyjemność. Czas spędzał teraz pośród obrazów, pokazując je każdemu, kogo tylko udało mu się zaciągnąć do podziemnej galerii.

Nie wiedzieć czemu, dònie Lucianie, gdy myślała o obrazach, zawsze przychodziła do głowy *Pełnia lata*. Przywykła do wymalowanych diabłów, potępieńców i krwawych ofiar. Nie budzili już w niej lęku. Ale na widok *Pełni* wciąż przejmował ją niepokój. Bała się tego obrazu, widoku triumfującego lata, tak gorącego, przesyconego błogością i szczęściem. Zbyt wiele było tego gorąca i szczęścia. Słońce nie mogło grzać silniej, róże nie mogły mocniej rozkwitnąć, a trawa być bardziej zielona. Nadszedł moment pełni, przesilenia...

Dòna Luciana powoli zasypiała.

Na korytarzu rozległ się cichy odgłos kroków, potem coś jakby westchnienie.

Kobieta poderwała się i usiadła, wciąż na wpół przytomna, ale z sercem już tłukącym się w gardle. Wstrzymała oddech. Czując w całym ciele paskudną drętwotę, niezdolna do żadnego ruchu,



wytrzeszczała oczy w czerni.

Ktoś tam stał, w ciemności, tuż przy drzwiach.

Czekała na szcęk naciskanej klamki, skrzyp zawiasów i chłodny powiew świadczący o tym, że nocny gość wchodzi do sypialni. Nie doczekała się. Pierwszy moment oszołomienia spowodowanego nagłym wytrąceniem z półsnu i paniczny lęk minęły. Dòna Luciana mogła już myśleć jasno.

Zdawało mi się. Nikogo tam nie ma, to tylko złudzenie.

A jeśli nawet, to przecież nie ma powodów do paniki. Może to ktoś ze służby przyszedł zbudzić mnie z jakiegoś ważnego powodu. Niedawno coś takiego właśnie się zdarzyło. Wtedy, gdy...

Ale w takim razie dlaczego przyszedł bez światła? Dlaczego stoi tam w ciemności i milczy?

— Jest tam ktoś? — jej głos zabrzmiał jak skrzek.  
— Odkaszlęła i chwyciła w usta powietrze.

Nie było odpowiedzi.

A potem znów to usłyszała: cichutki, jakby celowo tłumiony szmer oddechu. Szelest, jakby ktoś się poruszył. Tam, przy drzwiach jej własnej sypialni.

W panice odwróciła się i sięgnęła do wiszącej na ścianie rączki dzwonka. Mimo ciemności trafiła na nią niemal od razu – była duża, rzeźbiona, dawała nadzieję. Szarpnęła silnie raz, drugi i trzeci, szarpała, aż rozbolała ją ręka. Krzyknęłaby, ale wiedziała, że nikt jej tu nie usłyszy.

Na dole odgłos dzwonka powinien wyrywać teraz służących ze snu.

Potem sięgnęła do nocnego stolika, na oślep, przewracając

lichtarz i coś jeszcze, co zimną strugą pociekło jej po kolanach. Prawda, miała przecież przy łóżku szklankę mleka „na dobry sen”, które dziś wypila tylko do połowy...

Długo, bardzo długo trwało, nim zdołała w ciemności trzęsącymi się rękami skrzesać ogień i zapalić świecę. Przez ten czas, pochyłona, czuła mrowienie w odsłoniętym karku, po prostu pewność, że ktoś za chwilę położy tam kościstą, zimną dłoń.

Ciepły blask płomienia odepchnął nieco ciemność, zgęstniała teraz poza kręgiem światła, przyczaiła się.

Ogień dodał dōnie Lucianie pewności siebie, niewiele, ale to wystarczyło, by zmienić ją z przerażonego dziecka z powrotem w dorosłą kobietę.

Och, dlaczego Rosela nie wróciła wieczorem, tak jak powinna? Pewnie została z jakimś młodym mężczyzną... Dōna Luciana obiecała sobie, że następnego ranka, gdy tylko Rosela zjawi się w pałacu, zwolni ją i znajdzie bardziej obowiązkową służącą.

Myśl o niefrasobliwej pokojówce przywiodła jej do głowy pocieszające przypuszczenie. Może to tylko jakiś rodzaj niemądrego żartu, pomyślała. Może któryś z młodszych służących postanowił zabawić się w ducha.

— Proszę natychmiast się odezwać! — Chciała, by zabrzmiało to groźnie i władczo, lecz w jej głosie był tylko strach.

Za drzwiami panowała cisza i dōna Luciana znów prawie uwierzyła, że się przesłyszała. Z lichtarzem w ręce podeszła do drzwi, raz po raz nakazując, by nocny gość przemówił. Nie liczyła, że tak się stanie, ale dźwięk własnego głosu dodawał jej odwagi.

Otworzyła drzwi, najpierw ciągnąc je powoli, a potem szarpiąc

mocno i cofając się jednocześnie tak gwałtownie, że płomień świecy zachybotał.

Niepotrzebnie. Za drzwiami nikogo nie było. Odetchnęła z ulgą. Zaraz jednak w jej głowie pojawiła się kolejna myśl.

A jeśli nocny gość schował się w którymś z pustych pokoi ciągnących się wzdłuż korytarza? Ostrożnie zajrzała do jednej komnaty, potem do następnej. Zorientowała się, że niewiele ma to sensu. Najlepiej będzie, jeśli poczeka na służbę w swojej sypialni, a nie na środku korytarza, bosa i zziębnięta, w nocnej koszuli mokrej od zimnego mleka.

Wróciła więc, zamknęła drzwi i usiadła na łóżku. Trochę już żałowała, że wezwała służbę, zaczynała wierzyć, że zrobiła to niepotrzebnie.

Lichtarz stał na nocnym stoliku, a dòna Luciana grzała się w dodającym otuchy kręgu złotego blasku. Czekała.

Wtedy właśnie na linii odgraniczającej światło i mrok ciemność wybrzuszyła się w zarys głowy, potem zwężyła w cienką szyję i znów rozszerzyła, tworząc ramiona. Tym razem nie było nic, żadnych szmerów i szelestów. Tylko cień.

Dòna Luciana uniosła głowę i na jeden krótki moment spojrzała w śniadą twarz. Zerwała się, pewna, że nie zdoła uciec ani nawet krzyknąć, że zaraz kolana załamią się pod nią i upadnie.

I rzeczywiście upadła, nie zemdlona jednak, ale dlatego, że coś z potężną siłą uderzyło ją w pierś.

Dòna Luciana oddychała jeszcze, gdy mężczyzna opuszczał sypialnię, ale biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, można już było uznać ją za martwą.

\* \* \*

Tomas Magatou wymógł na księciu Cazères zaproszenie do pałacu. Księżę na widok Jordana wciąż pozostającego na wolności wybuchnął złością i zażądał natychmiastowego aresztowania, jednak pod wpływem uspokajających słów porucznika ustąpił. Może nawet zbyt szybko, jakby w gruncie rzeczy nie zależało mu na zatrzymaniu kogoś, kogo uważał przecież za mordercę. Potem, gdy w pałacu słuchał słów Netty i asystował przy przepytywaniu służby, sprawiał nawet wrażenie podnieconego w jakiś niezdrowy sposób.

Służba przyniosła dodatkowe fotele dla Netty i porucznika Magatou i siedzieli teraz razem w komnacie, w której umarła księżna Cazères. To Jordan wybrał miejsce. Księżę nie odzywał się od pewnego czasu, lecz tylko słuchał. W jego oczach odbijał się blask płonącego w kominku ognia.

— Chciałbym jeszcze porozmawiać z kuzynem waszej księżęcej mości — powiedział Magatou. — Don Sicartem. Jego pokoje są wszak położone na drugim piętrze, tuż nad sypialnią księżnej?

— I czegoż się pan spodziewa? — rzucił ze złością Cazères. — Że usłyszał jej krzyki o pomoc? Ona przecież nie krzyczała. Zresztą i tak nic by do niego nie dotarło. Ściany w pałacu są grube, a kuzyn mój ma blisko osiemdziesiąt lat, jest ślepy i prawie głuchy. I ciężko chory.

— Mimo to...

— Don Sicart śpi teraz — przerwał księżę ostro. — Wziął sporą dawkę laudanum i, tak czy inaczej, nie da się go obudzić. Mogę

zawołać jego osobistego służącego, który potwierdzi moje słowa.

— Nie trzeba. — Porucznik odetchnął głęboko. Nie miało to większego znaczenia. Don Sicarta chciał przepytac tylko dla formalności, bo nie sądził, że staruszek będzie miał do dodania coś rzeczywiście ważnego. — Podsumujmy więc wszystko, czego się dzisiaj dowiedzieliśmy, i spróbujmy wyciągnąć jakieś wnioski. Ale najpierw upewnijmy się jeszcze raz... — Odwrócił się do Netty, uśmiechając jednocześnie kpiąco pod wąsem. — Czy człowiek, który zabił księżnę Cazères, był podobny do tego tu oto Domenica Jordana?

— Nie, panie. Ona... znaczy się jej książęca mość, widziała go tylko przez chwilę, ale on był zupełnie inny. Śniady taki i miał bardzo wydatny nos. Właściwie niewiele więcej widziała. I oczy. Czarne oczy.

— W takim świetle wszystkie oczy wydawałyby się czarne — mruknął Jordan.

— A czy przypominał kogoś ze służby?

— Nie, panie — powtórzyła Netta, której zdążono już pokazać wszystkich mieszkańców pałacu. — Mówiłam, on miał...

— Tak, wiemy. Śniada cera, wydatny nos — przerwał jej Jordan.

Poszukała wzrokiem pomocy u Magatou. Czowała się źle w tym wielkim, starym i cichym pałacu, w sypialni, gdzie niedawno zamordowano kobietę. A ponieważ Jordan nie okazywał jej troski, przylgnęła do porucznika, który od czasu do czasu poklepywał ją po ramieniu, trochę tak, jakby dziewczyna była nerwowym koniem.

— Podsumujmy więc — powtórzył Tomas Magatou.

— Księżna zginęła z ręki kogoś obcego, komu udało się dostać do pałacu. Ryzykowne, ale możliwe. Istnieją dwa komplety kluczy: jeden ma w swym posiadaniu gospodyni, drugi należał do pani domu. Klucze gospodyni są tam, gdzie powinny być, czyli przy pasku właścicielki. Komplet księżnej leży w kasetce w jej dawnej sypialni, wśród rzeczy, których nie zdążono jeszcze przenieść. Brakuje jednego klucza: do tylnych drzwi. Nikt nie wie, kiedy zginął, bo kluczy tych w ogóle nie używano. Dalej jest dziwna sprawa sznura od dzwonka wzywającego służbę. Sznur jest w jednym miejscu przerwany: przecięty lub przetarty, trudno powiedzieć. Może być zwyczajnie przetarty; sypialnia przez długi czas była nieużywana i gdy księżna przeprowadziła się, nikt nie sprawdził, czy dzwonek działa. Ale może być i tak, że ktoś ten sznur przeciął specjalnie. Świadczyłoby o tym zaginięcie pokojówki, która sypiała obok komnaty swej pani. Szukaliśmy dziewczyny, niestety, bez skutku.

— Czy sugeruje pan, że ktoś z tego domu pomógł zamordować moją żonę? — spytał Cazères wolno, a jego twarz poczerwieniała ze złości.

A jednak Jordan nie miał wątpliwości, że księżę poniekąd rozkoszuje się tą sytuacją, że świadomie podsycy, a trochę także udaje gniew.

— Tak, to właśnie sugeruję — powiedział chłodno porucznik, czując do księcia wzrastającą niechęć.

— Może ja?! — wybuchnął Cazères i zerwał się z fotela.  
— Pan jest...

— Ciekaw jestem jeszcze jednego. — Jordan przerwał ten

spektakl. Mówił spokojnie, nie podnosząc głosu, a jednak i Netta, i Magatou natychmiast na nim skupili uwagę. Pozbawiony publiczności Cazères jakby skurczył się w sobie, łapał przez chwilę spazmatycznie powietrze, a potem opadł na fotel. — Kto podjął decyzję o przeprowadzce księżnej do nowych komnat?

Zwrócił się do księcia, a ten po chwili, gdy odzyskał już oddech, odparł niechętnie:

— Ona sama.

— Dlaczego?

Cazères zastanowił się.

— Z okien tej sypialni jest ładniejszy widok.

Jordan spojrzał na rozciągający się wokół pałacu park pełen drzew, których konarów czepiały się resztki jesiennych liści. Była trzecia po południu, a wydawało się, że zapada już zmrok. Niebo zasnuły brzuchate, sine chmury i znów padał deszcz. Krople uderzały o szybę i rozpląwały się, tworząc wzory podobne do rozszczepionych żmijowych języczków.

— Rzeczywiście — przyznał Jordan. — Stąd deszcz wygląda na trochę mniej mokry i zimny, a liście na mniej zwiędłe.

— Pan ze mnie kpi? — Cazères znów się nastroszył.

— Tak — potwierdził Jordan. — Trochę kpię. A pan przez cały dzisiejszy dzień nie powiedział ani słowa prawdy.

\* \* \*

— Zabił ją, prawda? — spytał porucznik Magatou.

Netta została przekazana jednemu z podwładnych porucznika, który chętnie zgodził się odprowadzić ją do domu, a Jordan

zapropował, że odwiezie Tomasa Magatou własnym powozem. Teraz, zamknięci w mrocznym wnętrzu pudła podskakującego na nierównym bruku, dzielili się myślami, którymi nie mogli podzielić się w obecności księcia.

— Pyta pan, czy księżę Cazères zabił własną żonę?

— To drań — ze złością rzucił Magatou. — Sukinsyn.

Zawstydził się użycia tak mocnego słowa i niepewnie spojrzął na majaczącą w półmroku twarz towarzysza.

— On się z nas śmieje. Śmieje nam się w nos — w głosie Jordana nie było gniewu, tylko stwierdzenie faktu.

— I kłamie, sam pan tak powiedział.

Jordan skinął głową.

— Mógł zabić żonę. Więcej, myślę, że cieszy się z jej śmierci. Myślę też, że chciał ją zabić, nie własnymi rękami, rzecz jasna. Na to jest zbyt tchórzliwy.

— Wynajął w tym celu kogoś — upierał się Magatou.

— Nie mamy dowodów — łagodnie upomniał go Jordan. — Mamy za to mnóstwo pytań, na które nie znamy odpowiedzi. I mnóstwo wątpliwości.

— Na przykład, dlaczego księżna przeniosła się do nowej sypialni? Ja też nie wierzę, by zrobiła to z własnej woli, dla lepszego widoku. A jedyną osobą, która mogłaby nakazać jej przeprowadzkę, jest właśnie księżę. Wszystko się zgadza.

— Tak, ale dlaczego zależało mu na tych przenosinach? Nie po to, by morderca mógł łatwiej dostać się do jej sypialni. Widziałem obie komnaty. Obie są położone na pierwszym piętrze, z dala od zamieszkanego pokoi, do obu, idąc od tylnych drzwi, mniej więcej



tak samo trudno dotrzeć. Jaki jest sens przenoszenia ofiary z jednej trudno dostępnej komnaty do innej?

— Może po to, by rzucić na pana oskarżenie — zasugerował Magatou.

— Nie. Gdyby to była pułapka na mnie, zastawiono by ją o wiele sprytniej. Sądzę, że księżę oskarżył mnie, niejako korzystając z okazji, być może dlatego, że nie zachwyciły mnie jego obrazy. On czasem przypomina dziecko. Wielkie, głupie dziecko, które w złości wyrywa pająkom nóżki.

Porucznik uśmiechnął się na tak pozbawione szacunku określenie księcia Cazères.

— A prawdziwy powód przeprowadzki?

— Nie wiem. Ale bardzo chciałbym wiedzieć, dlaczego księżna musiała umrzeć właśnie w tej, nie innej komnacie.

— Tak czy inaczej, pewien jestem, że zamordował ją mąż — oznajmił porucznik. — To znaczy, miałem na myśli, że zapłacił komuś za jej zabicie. Niepokoi mnie trochę osoba mordercy. Zabił tę nieszczęsną kobietę, rzucając w nią nożem jak jakiś cyrkowiec. A poza tym wcale nie tak łatwo przemknąć od tylnych drzwi do sypialni księżnej. Przeszedłem tę trasę dziś po południu. Dużo korytarzy, schodków, spore ryzyko, że kogoś obudzi odgłos kroków albo blask latarni...

— On nie miał latarni — powiedział Jordan cicho. — Nie potrzebował jej. Widzi w ciemności.

— Słucham?

— Widzi w ciemności. I potrafi chodzić cicho jak kot.

— Księżna go usłyszała — zaprotestował Magatou.

— Chciał wtedy, by go usłyszała.

— Pan mnie przeraża.

Jordan odpowiedział dopiero po chwili:

— Jest coś jeszcze bardziej przerażającego.

— Dajże pan spokój, czuję się jak dzieciak straszony przez nianię. — Porucznik skrzywił się w półmroku. — Dotąd sądziłem, że morderca to zwykły rzezimieszek, może tylko nieco zręczniejszy od innych. A pan mi wmawia, że to jest... właściwie kto?

— Opowiem panu historię. — Jordan rozparł się wygodnie na siedzeniu. — Zdarzyło się to w Alestrze kilkanaście lat temu. Pewien człowiek został na ulicy ugodzony nożem. Prosto w serce. Mimo to szedł dalej. Upadł i zmarł dopiero po kilkunastu minutach. Gdy rozcięto jego klatkę piersiową, okazało się, iż ostrze sięgnęło serca i mężczyźni nie pomogłaby pomoc najlepszemu nawet medyka. A mimo to nie zginął na miejscu, lecz miał jeszcze siłę iść przez miasto. Opowiedziano mi to, gdy zaczynałem studia, jako swego rodzaju ciekawostkę. Zapamiętałem tę historię.

— I jaki z tego wniosek? Że księżna Cazères mogła żyć jeszcze przez jakiś czas?

Jordan przytaknął.

— Była taka możliwość. Dlatego spytałem Nette. I rzeczywiście. Księżna konała długo. Umierająca nie zdawała sobie jasno sprawy z upływu czasu, więc trudno powiedzieć, ile to trwało, ale z moją pomocą Netta doszła do wniosku, że księżna żyła jeszcze co najmniej przez pięć, może dziesięć minut od ciosu.

— I co z tego wynika?

— Morderca rzucił w nią nożem. Jak cyrkowiec właśnie.

— Jordan uśmiechnął się. — Ale nie to mnie niepokoi. Spotykałem już ludzi świetnie radzących sobie z nożem. Niepokoi mnie natomiast to, że człowiek ów nie podszedł potem do księżnej, nie sprawdził, czy jego cios trafił w serce, czy kobieta żyje, czy już skołała. Nie próbował jej dobić, wpychając nóż głębiej.

Tu już Tomas Magatou pogubił się.

— Nie bardzo pojmuję...

— Chodzi o to — wyjaśnił Jordan — że morderca miał całkowitą, niezachwianą pewność, iż jego cios nie chybi. A nawet jeśli w sztuce rzucania nożem jest prawdziwym mistrzem, to pewności takiej nie mógł mieć. Nie na sto procent. Miał czas, by podejść do kobiety i ją dobić, tak zachowałby się każdy zabójca. On jednak tego nie zrobił. To właśnie mnie martwi.

\* \* \*

Peyretou postawił kołnierz płaszczu i skulił się. Płatki uszu i czubek nosa miał lodowate, zgrabiałe z zimna ręce schował w kieszeniach. Szedł szybko, chcąc się rozgrzać, a z jego ust unosiły się obłoczki pary.

Był pierwszy grudnia. Nad Alestrą wstawał wilgotny zimowy świt. Ulice były prawie puste, choć czasem dostrzegał ludzi równie jak on zziębniętych i niewyspanych.

Uśmiechnął się. Przenikało go zimno, a oczy kleiły się sennie, ale nie żałował. Głęboko pod skórą, nietknięte przez grudniowy ziąb, wciąż tkwiło ciepłe wspomnienie dotyku Ivety, jej pieszczot i pocałunków.

Przynaglony potrzebą, skręcił w pierwszą lepszą bramę, jedną

z tych łukowato sklepionych i wąskich, gdzie zawsze czuć było woń stęchłego moczu. Pogwizdując cicho, rozwiązał rzemyk przy spodniach. Czubki uszu, w które nie dął już zimny wiatr, tajały powoli.

Z ulgą opróżniał pęcherz, gdy usłyszał stukot kroków. Ki diabeł?, pomyślał z niechęcią, przysuwając się bliżej ściany. Tyle mógł zrobić dla intruza, który przeszkodził mu w tak ważnej czynności.

Zamiast przejść za jego plecami, nieznajomy zatrzymał się. Jedną silną ręką chwycił chłopaka w pól, unieruchamiając ramiona, druga przyłożyła do szyi ostrze noża, zimne jak kawałek lodu.

Peyretou kwiknął. Strużka moczu pociekła mu po nogawce i cholewce buta.

— Nie bój się. — Ktoś syknął mu w ucho słowa, idiotyczne przecież w tej sytuacji. — Nic ci się nie stanie. — Ostrze noża wciąż uciskało jego szyję, a oddech nieznajomego łaskotał w ucho. — Mam tylko wiadomość dla twego pana. Powiedz, żeby przestał interesować się śmiercią księżnej. W przeciwnym razie będę musiał zrobić mu krzywdę...

Syczący głos zamilkł, a dłoń zwolniła ucisk. A potem ostrze noża płytko przesunęło się po skórze. W pierwszej chwili chłopak nawet nie poczuł bólu. Tylko ciepło, gdy na koszulę, pod płaszcz, spłynęła krew.

— To na pamiątkę, by twój pan wiedział, że ty nie kłamiesz, a ja nie żartuję.

Nieznajomy odszedł, a upokorzony, przerażony Peyretou trzęsącymi się dłońmi zawiązał rzemyk. Lewa nogawka jego

spodni, ta mokra, była już zimna jak lód i lepiła mu się do ciała, a za koszulę wciąż kapła krew.

\* \* \*

Tomas Magatou najchętniej przestałby już szukać zaginionej Roseli, ale na prośbę Jordana nakazał swym ludziom, by wciąż przetrząsali las ciągnący się wzdłuż drogi, którą tamtego wieczoru musiała iść młoda służąca. Według opinii Magatou, dziewczynę przekupiono, by wyniosła się z miasta; według Jordana natomiast, Rosela nie żyła, a jej ciało ukryto gdzieś w lesie.

Zwłoki znalazły się nazajutrz po pogrzebie księżnej Cazères. Morderca próbował zepchnąć je w głąb wąwozu, którego dnem płynął leśny strumyk. Ciało zatrzymało się jednak w połowie zbocza, zaplątane w cierniste gałęzie krzewów. Jasnowłosa głowa skierowana była w dół, a nogi sterczały w górę. Na jednej brakowało bucika, na drugiej pończocha zsunęła się aż do kolana, ukazując podrapaną i brudną skórę uda. Jeszcze niżej spódnica owinięta wokół pasa dziewczyny odsłaniała dwa chude, sine pośladki.

Patrząc na to, Jordan poczuł nieoczekiwanie gniew i ból. Nie sądził, że jeszcze kiedyś tak zareaguje na śmierć kogoś, kogo nie znał.

Jeden z ludzi porucznika Magatou, niski, ale barczysty mężczyzna z czarną jak u rozbójnika brodą pochylił się i chwycił martwą dziewczynę za kostki nóg. Pociągnął, ale ciało nie przesunęło się ani o paznokieć. Brodacz sapnął.

— Mocniej — polecił mu porucznik. — Trzeba ją przecież

wydostać na górę.

Brodacz naprężył mięśnie i szarpnął. Martwa Rosela uniosła się, zawisając nad ziemią. Z jednej strony trzymały ją ludzkie ręce, z drugiej cierniste gałęzie, pomiędzy którymi utkwiała górna połowa ciała. Brodacz pociągnął mocniej i złote, zaplątane w ciernie włosy dziewczyny rozłożyły się wokół jej głowy jak aureola.

— Nie da rady. Trzeba by chyba zejść i obciąć jej te kudły.

— Jak szarpniesz mocniej, to je wyrwiesz — powiedział ktoś za plecami Jordana. — Jej to przecież bez różnicy. Jest martwa.

— Zostawcie ją — powiedział Jordan. — Zejdę tam.

Ostrożnie, stawiając stopy bokiem i mocno wbijając krawędzie butów w ziemię, zszedł zboczem w głąb wąwozu. Skórzane rękawice ochraniały mu dłonie, gdy ciął nożem cierniste gałęzie i wrzucał do strumienia. Mógł już sięgnąć włosów dziewczyny. Zebrał je w garść i przeciął jednym ruchem ostrza. Złote pasma wisiały teraz na ocalałych spod noża kikutach krzewów, powiewając leciutko na wietrze.

Jordan chwycił Roselę pod ramiona, podniósł i nie bez wysiłku podał czekającemu na górze porucznikowi Magatou.

Ostrożnie położyli dziewczynę na ziemi.

Jej twarz była sinoczerwona od spływającej w dół krwi, a w czole widniał okrągły otwór o nadpalonych prochem brzegach. Dokładnie pośrodku, jakby twarz Roseli była tarczą, na której ktoś popisywał się zręcznością.

Jordan, podnosząc się znad ciała, usłyszał zbliżający się znajomy głos. Książę Cazères przedzierał się niezgrabnie przez krzaki i strofował jednocześnie sługę, który nie potrafił

poprowadzić swego pana inną, łatwiejszą drogą.

Jordan spojrzął na porucznika Magatou, który z niechęcią zmarszczył brwi.

— Co on tu, do licha, robi?

— Sądzę, że przyszedł zobaczyć zwłoki. Na pana miejscu nie pozwoliłbym mu na to.

— Z jakiegoś konkretnego powodu?

— Takiego — powiedział Jordan szeptem i pospiesznie, bo Cazères był coraz bliżej i jeśli chcieli go zatrzymać, to musieli zrobić to szybko — że widok śmierci sprawia księciu przyjemność.

\* \* \*

— Widziała go — powiedział Magatou z satysfakcją, ale i z niejakim zdziwieniem. — Rosela widziała twarz człowieka, który ją zabił. Nawet nie próbował jej ukrywać. Netta podała mi opis tego człowieka. Chce pan posłuchać?

Jordan skinął głową. Rozparty wygodnie w głębokim fotelu, grzał dłonie o kubek gorącego wina z korzeniami.

Porucznik wybrał bardziej bezpośredni sposób wypędzania z kości grudniowego ziąbu. Nos poczerwieniał mu od trunku, a oczy błyszczały mocno. Wino Jordana było dobre, bardzo dobre i Magatou nie zamierzał marnować okazji delektowania się tym specjałem.

— Zabójca jest wysoki i chudy, ale wygląda na silnego, choć Bóg jeden wie, co może mieć na myśli taka pannica, mówiąc, że mężczyzna jest chudy i silny zarazem. Ma ciemne włosy i ciemne oczy, nie czarne oczywiście, lecz ciemnoszare lub brązowe, i śniadą

cerę. Jego twarz jest wąska, z rzucającym się w oczy dużym garbatym nosem. Usta cienkie, oczy osadzone blisko siebie, czoło wypukłe. Dość charakterystyczna fizjonomia, nie sądzi pan? Ale to jeszcze nic. Mężczyzna ten oszpecony jest w pewien niezwykle sposób, nie zgadnie pan w jaki...

— Zgadnę — powiedział Jordan. — Brakuje mu jednego lub obojga uszu.

Magatou spojrział na niego z ciekawością. Spod ciekawości wyzierał niepokój.

— Zdumiewająco dużo wie pan o tym człowieku — rzekł wolno, a w jego głosie zabrzmiała ledwo uchwytna groźba. — Nie jestem pewien, czy mi się to podoba.

— Nie znam go, jeśli o to chodzi. Nigdy go nie widziałem, nie znam imienia ani nazwiska tego człowieka, nie wiem, gdzie w tej chwili się znajduje. Nie wiem o nim nic prócz jednego: znam miejsce jego urodzenia.

— Tak?

— Mężczyzna ów — Jordan uśmiechnął się, ale w jego oczach nie było wesołości — przyszedł na świat w Mandracourt u podnóża Gór Tanabryjskich. Dokładnie tam, gdzie ja.

\* \* \*

— Jeszcze jedno. — Lekko już wstawiony porucznik Magatou zachichotał.

Peyretou próbował właśnie wcisnąć go w płaszcz i wypchnąć na zewnątrz, gdzie czekał powóz.

— Słucham — powiedział Jordan cierpliwie.



— Wie pan, kto jest owym kuzynem mieszkającym w rezydencji księcia Cazères? Mówią o nim don Sicart, ale jego pełne nazwisko brzmi: Sicart Mons-d’Erard. Kojarzy pan? Ten sam d’Erard, który wykrył i schwytał mordercę małoletniego pupilka arcybiskupa Romegi, a później udaremnił spisek na życie króla. Człowiek legenda, o którego inteligencji do dziś opowiada się niesamowite rzeczy. Jaka szkoda, że jest tak stary i schorowany! — Porucznik znów zachichotał. — Niech pan tylko pomyśli: mamy pod nosem człowieka, który w mig odnalazłby mordercę, gdyby nie był już zramolałym, śliniącym się staruszkiem. Zabawne, prawda?

\* \* \*

Sicart Mons-d’Erard. Jordan znał to nazwisko, choć szczyt sławy don Sicarta przypadał na lata jeszcze przed jego urodzeniem.

Czy człowiek ten rzeczywiście, będąc w pełni sił umysłowych, mógł rozwiązać zagadkę śmierci księżnej Cazères? Biorąc pod uwagę legendy, jakie o nim krążyły, było to prawdopodobne.

A może potrafiłby to zrobić i teraz? Co z tego, pomyślał Jordan, że don Sicart ma prawie osiemdziesiąt lat, jest chory, a nadto niedowidzi i niedosłyszy? To nie świadczy jeszcze, że nie potrafi myśleć! Spotykałem już przecież staruszków tak chorych i słabych, że o własnych siłach nie potrafili wstać z łóżka, a którzy mimo to umysł wciąż mieli ostry jak brzytwa i żelazną dłońią rządzą swymi krewnymi.

Możliwe więc, że rozwiązanie mam w zasięgu ręki – wystarczy tylko spytać don Sicarta.

A jednak Jordan nie wierzył, że w ten sposób zdoła znaleźć

odpowiedź choć na jedno pytanie. Jego niewiara nie opierała się na niczym konkretnym, było to tylko przeczucie, niezwykle silne, zupełnie jak niechęć, którą poczuł do księcia Cazères podczas swej pierwszej wizyty w pałacu.

Lecz Jordan wiedział też, że przeczucia nie biorą się znikąd, że zawsze mają swoją przyczynę.

Skąd wzięło się to konkretne wrażenie?

Dlaczego nie wierzył, że Sicart d'Erard zdoła mu pomóc?

Obraz, odpowiedział sam sobie ze zdumieniem. To przez *Pełnię lata*. Niepokoiły go w nim dwie rzeczy. Z pierwszej zdawał sobie sprawę od początku, od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył kolekcję księcia.

*Pełnia* była pechowym, przynoszącym nieszczęście malowidłem. O przedmiotach tego typu zawsze krążyły liczne opowieści, a połowa z nich wyssana była z palca. Lecz Jordan dzięki swemu przyjacielowi znał prawdziwą historię *Pełni lata*. Ulfen Chafre, który namalował obraz, podarował go swej siostrzenicy. Z siedmiorga dzieci, które urodziła, żadne nie dożyło piątego roku życia. Kobieta sprzedała *Pełnię* hrabiemu Dubourgoux. Wkrótce spłonęły należące do niego stajnie, a w nich trzydzieści idealnie białych, pochodzących z południa koni, których hodowla była największą pasją i chlubą hrabiego. Potem obraz trafił w ręce syna Dubourgoux. Osiem miesięcy później jego żona zmarła w połogu, rodząc martwe dziecko. Już wówczas wokół *Pełni lata* zaczęła narastać czarna legenda. Młody Dubourgoux pozbył się obrazu. Kupcem był niejaki Fermin Saura, który skuszony niską ceną, zapragnął zrobić prezent swej matce. Nie minęło pół roku, jak

w domu staruszki wydarzyło się wyjątkowo paskudne morderstwo – jeden z lokai oszalał i siekierą zabił służącą. Przez prawie pół wieku gdziekolwiek *Pełnia lata* się znalazła, niosła nieszczęście. Ślad obrazu urwał się przed pięciu laty. Jego ówczesny właściciel, pijak i hazardzista, nim popełnił samobójstwo, sprzedał bądź oddał komuś obraz, Abre Joras, który badał historię *Pełni*, nie mógł zaś dojść komu.

Było jednak coś jeszcze, coś, co Domenic Jordan pojął dopiero teraz.

W *Pełni lata* uchwyciono moment szczytowy, wszystko było tam tak doskonałe, że teraz zmierzać mogło tylko do nieuniknionej śmierci i rozkładu.

A gdy to zrozumiał, mając wciąż w pamięci nazwisko Sicarta d'Erarda, wiedział już, na czyje polecenie i dlaczego zamordowano księżnę Cazères, a także dlaczego musiała umrzeć właśnie w tej, nie innej komnacie.

\* \* \*

Pod nieobecność księcia Cazères Jordan udał się do pałacu. Służba, która wcześniej widziała go w towarzystwie porucznika Magatou, pozwoliła mu wejść.

Jordan polecił lokajowi, by wezwał do sypialni księżnej jedną ze służących. Nie znał jej imienia, ale potrafił ją dokładnie opisać; była to ta sama bezczelna chłopka, z którą rozmawiał podczas swej pierwszej wizyty w pałacu.

Kobieta miała na imię Brianda. Lokaj przekazał słowa Jordana i chwilę później służąca otworzyła drzwi komnaty księżnej. Na jej

topornej chłopskiej twarzy pojawił się wyraz zdumienia, niezbyt silny co prawda, bo Briandę trudno było czymkolwiek zadziwić.

Ktoś przesunął stojący pod ścianą sekretarzyk na środek pomieszczenia i ustawił na nim krzesło. Na krześle zaś tkwił ów osobliwy, blady i czarno ubrany mężczyzna, który chciał z nią rozmawiać. Z zadartą głową oglądał sufit. Na widok Briandy zręcznie zeskoczył na podłogę.

— Chciałem się upewnić, czy tynk nie odpada — oznajmił swobodnie.

Brianda skwitowała to stwierdzenie wyrozumiałym skinieniem głowy. W jej pojęciu szlachetnie urodzeni stanowili zupełnie inny gatunek ludzi: robili i mówili dziwne rzeczy, a połowa z tego nie miała żadnego sensu.

— Chciałbym zapytać tylko o jedno — powiedział Jordan, podczas gdy Brianda spoglądała na niego z niewinnie beczelną ciekawością. — Do kogo w tym domu nie wezwano medyka, gdy było trzeba?

\* \* \*

Rogaty księżyc wychylał się zza sosen rysujących się poszarpaną linią na tle granatowego nieba. Noc była zimna, wilgotna i bezwietrzna. Idący skrajem lasu mężczyzna naciągnął kaptur, a ręce włożył w kieszenie płaszcza. Dokuczał mu grudniowy ziąb, przyspieszył więc kroku. Chwilę później potknął się, zaklął i zwolnił. W świetle księżyca widział wprawdzie wąską i prostą ścieżkę, ale już nie korzenie drzew, które wystawały ponad ziemię.

Szedł teraz wolno, ostrożnie. Za plecami, po lewej, zostawił pałac księcia Cazères. Mijał teraz park innej rezydencji. Nie znał nazwiska jej właściciela, nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Po prawej wciąż ciągnął się sosnowy las, gęsty i mroczny. Gdyby skręcił między drzewa, wkrótce wyszedłby na wiodący z Mouls do Alestry trakt, który łukiem omijał Villatelle.

Zwolnił jeszcze bardziej, zatrzymał się. Zerwał się wiatr i płaszcz mężczyzny załopotał. Było to bardzo charakterystyczne okrycie: długie, o modnym kroju, dobrze dopasowane do wysokiej i szczupłej sylwetki. Powinno mieć jasnoszarą bądź beżową barwę, bo takie kolory uważano za najmodniejsze, jednak w świetle księżyca płaszcz wydawał się zdecydowanie zbyt ciemny: granatowy lub brązowy. Może nawet czarny.

Napastnik wynurzył się z mroku lasu szybko i cicho jak atakujący kot. Człowiek w ciemnym płaszczu nie drgnął nawet, gdy jego szyi dotknęło ostrze noża. Przez chwilę słychać było tylko dwa oddechy: szybki, nerwowy atakującego i spokojny zaatakowanego.

— Prosiłem przez twego sługę, byś nie kręcił się wokół pałacu księcia Cazères. Nie posłuchałeś mnie...

Napastnik szarpnięciem odwrócił ofiarę, chcąc spojrzeć jej w twarz. Kaptur płaszcza opadł, a człowiek z nożem wciągnął powietrze i cofnął się gwałtownie.

— Co, u licha...

Nie dokończył. Z lewej strony spomiędzy rosnących w parku drzew huknął strzał. W ręce, która trzymała nóż, wybuchł ból, błyskawicznie porażając nerwy. Mężczyzna krzyknął i wypuścił ostrze. U jego boku nagle pojawiły się dwie postacie. Jedna, chuda

i chłopięca, w dłoni trzymała pistolet. Druga, wyższa i bardziej męska, skrzesała ognia, zapaliła latarnię. Człowiek w ciemnym płaszczu chwycił napastnika za zdrowe ramię.

— No, no... kogo my tu mamy... — powiedział Tomas Magatou.

Jordan podniósł latarnię. Światło padło na młodą, śniadą twarz, wilgotną teraz od łez.

— Ejże, nie taki diabeł straszny, co? — Magatou przyglądał się schwytanemu. — On nie ma chyba więcej jak dwadzieścia lat... Jak cię wołają, ptaszku?

— Rafael Sanié — odparł z wysiłkiem młodzieniec. Jego usta wykrzywił grymas bólu, a z kącika oka spłynęła kolejna łza.

— Celowałem w rękę. — Peyretou wyjrzał zza ramienia Jordana. — Stałem blisko, no i nie jest znów tak ciemno. Powinienem trafić. Trafiłem?

— Owszem. Na moje oko, ma strzaskany łokieć. — Jordan ocenił zwisającą pod nienaturalnym kątem rękę. — W prawej dłoni już nigdy nie będzie trzymał noża ani pistoletu. Znakomity strzał.

Peyretou zarumienił się z zadowolenia. Porucznik Magatou zdjął płaszcz i zamienił go na wojskową kurtkę, którą dotąd miał na sobie Jordan.

— Dość mam roli przynęty — powiedział i na przekór tym słowom uśmiechnął się pod wąsem. Sam zresztą o tę rolę prosił, argumentując, że Jordan i Peyretou potrafią poruszać się znacznie ciszej i ostrożniej niż on.

Potem wziął z rąk Jordana latarnię i odwrócił się do Rafaela.

— Posłuchaj, chłopcze — przybrał protekcjonalny ton, jak

zawsze, gdy mówił do młodzików.

I tu właśnie popełnił błąd. Bo gdyby przyjrzał się uważniej, dostrzegłby, że Rafael owszem, wciąż cierpi z bólu, ale nie jest już oszołomiony ani przerażony, a jego usta zaciskają się z determinacją. Ale Rafael był młody i dla porucznika wcale nie wyglądał groźnie.

— Pan Jordan ma dla ciebie pewną propozycję. Może unikniesz katowskiego topora, jeśli pomożesz nam... Psiakrew!

Rafael lewą ręką mocno podbił trzymaną przez Magatou latarnię. Porucznik puścił uchwyt i odskoczył. Gorący olej trysnął mu na kurtkę, płomień zgasł, a szkło upadło na ziemię i rozbiło się z brzękiem.

Magatou zdarł kurtkę, szybko, nim olej zdążył przesiąknąć przez grubą warstwę płótna. Sylwetka Rafaela już zniknęła w ciemnym lesie. Jordan i Peyretou odruchowo puścili się za nim w pogoń. Porucznik dołączył do nich po chwili, klnąc na czym świat stoi.

W lesie było znacznie ciemniej niż na drodze. Peyretou potknął się chyba o pierwszy z brzegu korzeń i wpadł na drzewo. W uszach mu zadzwoniło, w ustach poczuł smak krwi, zapiekła zdarta z policzka skóra. Podniósł się jednak, gotów biec dalej, ścigać w ciemności Rafaela. Chciał go dopaść i udusić własnymi rękami. Dlaczego – nie wiedział. Sama atmosfera pościgu sprawiła, że krew w jego żyłach wrzała.

Jordan powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

— Dość tego — powiedział. — To nie ma sensu. Nie złapiemy go. Pamiętaj, że on widzi w ciemności.

Wrócili na ścieżkę. Po chwili dołączył do nich Magatou. Jego głośne przekleństwa zmieniły się w gniewne pomrukiwania. Otrzepał igliwie z ubrania, potem podniósł z ziemi kurtkę i przewiesił ją sobie przez ramię.

— Niech to... — wymamrotał raz jeszcze, powoli odzyskując równowagę. — No, nic już tu nie zwojujemy... Trzeba wracać...

Powóz Jordana stał przy głównej drodze biegnącej przez środek Villatelle. Woźnica przysypiał na koźle, zawinięty aż po pachy w wytarte i wystrzępione futro.

Podwieszony pod dom, Tomas Magatou wcale nie kwapił się z wysiadaniem.

Wczoraj otrzymał rozkaz, by nie szukać więcej mordercy księżnej Cazères. Rozkaz przekazał swym podwładnym, lecz sam go nie posłuchał. Zgodził się na zaproponowany przez Jordana plan i teraz miały nim sprzeczne uczucia. Z jednej strony, cieszył się, że zrobił cokolwiek – nawet jeśli próba schwytania zabójcy skończyła się fiaskiem – bo siedzenie z założonymi rękami nie leżało w jego naturze. Jednak z drugiej strony, zdawał sobie sprawę, że zadarł w ten sposób ze zbyt wysoko postawionymi ludźmi, a na to mógł sobie pozwolić Domenic Jordan, nie on.

Chciał wrócić do domu, ale wcześniej jeszcze potrzebował pochwały za to, że odważył się sprzeciwić rozkazom, a jednocześnie pretekstu, by wycofać się teraz bez uszczerbku na honorze.

Uczucia porucznika, który stał na schodkach powozu, były dla Peyretou jasne.

Dla Jordana nie.



— Dziękuję za pomoc — powiedział tylko Domenic Jordan.  
— Teraz już poradzę sobie sam.

To były gładkie, uprzejme słowa. Tomas Magatou nie wydawał się jednak usatysfakcjonowany. Zszedł na ziemię i przestępował przez chwilę z nogi na nogę, jakby na coś czekając.

Peyretou poczuł żal, bo porucznik zasługiwał na więcej niż „dziękuję”, które otrzymał.

A potem spojrzał na swego pana. Jordan, w przekonaniu, że wszystko jest w porządku, uderzył pięścią w ścianę powozu i woźnica smagnął konie batem.

Peyretou pokręcił głową. Na początku swej służby bał się pracodawcy. Potem zaczął go bezkrytycznie podziwiać. Teraz ze zdumieniem odkrywał, że Domenic Jordan ma także wady. Ot, choćby jak przed chwilą. On czasem zupełnie nie rozumie ludzi, myślał chłopak. Niby jest taki uprzejmy i dobrze wychowany, ale tak od serca nigdy nic nie powie. A przecież tu wystarczyłoby niewiele słów...

Tego dnia stosunek Peyretou do pracodawcy zmienił się w przywiązanie, niepozbawione podziwu, ale i pewnej wyższości. Wyższość ta zaś szybko przekształciła się w chęć pomocy.

Bo przecież były sprawy, z którymi to on, Peyretou, radził sobie lepiej, i chłopak z młodzieńczą pewnością siebie założył, że Jordan pod jego opieką też mógłby się czegoś nauczyć.

\* \* \*

— Przykro mi, ale księżę nie życzy sobie pana widzieć  
— przekazał Jordanowi lokaj wyglądający jak relikw dawno

minionych czasów: siwy, o żołnierskiej postawie, nienagannie uprzejmy, a jednocześnie nieprzejeđnany.

— Sądę, że jednak zgodzi się mnie przyjąć. Proszę powtórzyć, że chciałbym porozmawiać o jednym z jego obrazów.

Lokaj odszedł i wrócił po chwili, a za nim postępował książę Cazères. W holu książę wyprzedził sługę, odprawił go niecierpliwym machnięciem ręki, a sam truchcikiem podbiegł do stojącego w drzwiach Domenica Jordana.

— Ach, moje obrazy. Trudno o nich zapomnieć, co? — powiedział, chwytając oddech.

Jego policzki przybrały już nie czerwony, lecz wręcz purpurowy kolor, złocista kamizelka z trudnością dopinała się na potężnym brzuszysku. Cazères uśmiechał się, ukazując pokryte śliną drobne kły.

Poprowadził Jordana do podziemnej galerii. Ku niezadowoleniu księcia gość zatrzymał się przed *Pełnią lata*.

Jordan patrzył przez chwilę na dwie kobiety, jasno- i ciemnowłosą, siedzące w letnim ogrodzie. Spoglądał na ich rozleniwione, nasycone upałem ciała, na bujną zieleń liści i traw, na krwistą purpurę rozkwitłych ciężkich róż.

— Kto kupił ten obraz? — zapytał. Cazères zmarszczył brwi.

— Nie sądę, by miało to jakiegokolwiek znaczenie...

— Mimo to chciałbym wiedzieć. Kto kupił *Pełnię lata*?

— Kuzyn mój, don Sicart — odparł książę po chwili wahania.

— Uparł się, by zawiesić tu malowidło, sam nie wiem czemu...

Jordan odetchnął. Był pewien, że taka właśnie będzie odpowiedź.

— Chciałbym z nim porozmawiać.

— Z moim kuzynem? — oburzył się książę. — On jest chory. Z pewnością nie zechce...

Na schodkach prowadzących do podziemnej galerii rozległ się odgłos kroków: drobnych, delikatnych, ale jednocześnie zbyt wolnych i ostrożnych, by uznać je za dziecinne. Ktoś stanął na podeście, w mroku, patrząc na galerię oświetloną czarnymi świecami.

— Auban, choć raz w życiu nie bądź głupcem — powiedział. — Oczywiście, że chcę porozmawiać z panem Jordanem. I jeszcze jedno — dodał po chwili — poproś któregoś ze służących, by przeniósł do mego pokoju *Pełnię lata*. Albo sam to zrób. Chcę spojrzeć na ten obraz jeszcze raz.

\* \* \*

— Widzę — powiedział Jordan ostrożnie, świadom, że teraz musi uważać na każde słowo — że pogłoski o pańskich niedomaganiach były przesadzone. Ani wzrok, ani słuch pana nie są tak przytępione, jak słyszałem. A i czujesz się, panie, nie najgorzej.

— Mam osiemdziesiąt lat — odparł don Sicart. — W takim wieku człowiekowi dolega już wszystko. Lecz przyznaję, że widzę i słyszę jeszcze, co się wokół mnie dzieje, a czasem mam nawet siły na krótki spacer po pałacowych ogrodach.

Drobna postać don Sicarta ginęła w głębokim, obitym wytartym pluszem fotelu. Nawet w młodości Sicart d'Erard musiał być niewiele wyższy od dwunastoletniego dziecka, a teraz jego sylwetka jeszcze się skurczyła. Trudno było uwierzyć, że jest on

spokrewniony z potężnym Aubanem Cazèresem. Z okrągłą, żółtą jak pergamin i pomarszczoną twarzą, kartoflanym nosem i zbyt szerokimi ustami wyglądał raczej na złośliwego gнома niż na okcytańskiego arystokratę.

Czarne, głęboko osadzone oczy don Sicarta spoglądały na Jordana uważnie. Dzieliła ich *Pełnia lata*, obraz ustawiony na niewysokim stoliku pomiędzy fotelami i oparty o ścianę.

— To malowidło przynosi nieszczęście — rzekł Jordan, starając się zapanować nad głosem, w którym drżały leciutkie nutki niepokoju. — Zawsze tak było, od chwili jego powstania. Za każdym razem, gdy ktoś kupował *Pełnię lata*, wkrótce w jego domu zdarzało się coś złego. Najczęściej gwałtowna śmierć lub samobójstwo. Albo morderstwo.

Odetchnął. Szerokie usta don Sicarta wykrzywiły się w delikatnym uśmiechu. Jego ciemne oczy – nie czarne, pomyślał Jordan, żaden człowiek nie ma czarnych oczu, choć te właśnie takie się wydają – patrzyły w twarz rozmówcy.

— Rozumiem, że sugerujesz, panie, iż żonę mego kuzyna zabił obraz? — rzekł z kpina.

— Nic podobnego — zaprotestował Jordan. — Księżna Cazères zginęła na pańskie polecenie.

Twarz don Sicarta nie zmieniła wyrazu. Dopiero po chwili w jego oczach pojawiła się łagodna, zaprawiona ironią aprobata.

— Proszę mówić dalej.

— Historia *Pełni lata* to nie jedyne, co niepokoiło mnie w tym obrazie. Było jeszcze coś. Coś, czego na początku nie potrafiłem określić.

Jordan ponownie spojrział na siedzące w bujnym letnim ogrodzie kobiety. Potem z wysiłkiem odwrócił wzrok.

— Pełnia lata — powiedział cicho. — Moment szczytowy. Ale po lecie nieuchronnie przychodzi jesień, a później zima. Nie ma tego na tym obrazie. Choć może i jest. Czasem w momencie triumfu życia pojawia się myśl o śmierci. Bo przecież logiczne następstwo pełni, momentu, gdy niemożliwy jest dalszy rozwój, to regres. Rozkład, zmierzch, konanie. Pomyślałem wówczas o Villatelle, które ów złoty okres triumfu ma za sobą. Ci, którzy tu pozostali, żyją już tylko wspomnieniami o dawnych czasach. W Okcytanii sporo jest takich miasteczek, których świetność przeminęła, miasteczek, z których wyjechała młodzież, a większość mieszkańców to staruszkowie. A więc i w Villatelle nie byłoby nic niezwykłego, gdyby nie jedna rzecz...

Jordan urwał. Czekał na jakąś reakcję ze strony don Sicarta: zaciekawienie, oburzenie, może nawet strach. Nie doczekał się. Pod uważnym, kpiącym wzrokiem starca czuł się coraz bardziej nieswojo.

Opanował się i podjął wątek.

— Villatelle było królewską siedzibą, a więc mieszkali tu ludzie inteligentni i sprytni, przywykli do intryg, nieustannej walki o zaszczyty. Ludzie, od których niegdyś w mniejszym lub większym stopniu zależał los kraju. Wyobraziłem sobie wówczas człowieka, niemłodego już, ale o wciąż rzutkim i giętym umyśle, dla którego inteligencji nagle zabrakło naturalnego pola do popisu. Nie było już przeciw komu motać intryg, nie było zaszczytów, o które można by walczyć, ani tych ekscytujących momentów, gdy

jedna podejmowana na szybko decyzja rozstrzyga o powodzeniu lub fiasku przedsięwzięcia. Życie stało się nudne i monotonne. Przez lata samotności i beczynności coś złego stało się z umysłem tego człowieka. Jego zdolności wypaczyły się, nadal był niezwykle inteligentny, ale myśli zwracał coraz częściej ku temu, co budzi lęk i obrzydzenie zwykłych ludzi. Myślał o krwi, śmierci, zabijaniu...

— Mówisz, panie, o moim kuzynie.

— Nie. Przede wszystkim mówię o panu. Księżę Cazères jest pod pana wpływem – nie wiem, od jak dawna to trwa, zresztą nie ma to większego znaczenia. Zainteresowania księcia, ta seria „demonicznych” obrazów, mówienie o diable i śmierci to bezmyślne i prostackie naśladowanie pańskich fascynacji. Pewnego rodzaju dwoistość w zachowaniu księcia uderzyła mnie już podczas pierwszej wizyty w pałacu. Cazères niewątpliwie zalicza się do głupców, lecz jednocześnie w jego słowach i czynach naprawdę kryje się coś niepokojącego. Tamtego wieczoru księżę niemal zmusił mnie, bym dotykał nagiego ciała jego żony. To było, nie potrafię tego lepiej określić, jak proszenie się o nieszczęście, jakby Cazères głośno wzywał tragedię. Pan, don Sicart, również pragnął tragedii, najlepiej krwawej, która przerwałaby monotonię zwykłych dni. A ponieważ nie zanosilo się na to, postanowiłeś wziąć sprawy we własne ręce. Śmierć dony Luciany to pańskie dzieło, nie pańskiego kuzyna. On był tylko narzędziem w pana ręku, mniej lub bardziej świadomym. Masz, panie, swego kuzyna za głupca, o czym najlepiej świadczy to, iż nie powiedziałaś mu, że jedynym naprawdę mrocznym obrazem w jego kolekcji jest właśnie *Pełnia lata* – obraz, który księżę uważał za zwyczajne, sentymentalne

malowidło. To był taki maleńki żarcik z pana strony: śmiałeś się, panie, w duchu, wiedząc, że Cazères podziwia niewiele warte bohomyzy, a na *Pełnię lata* nawet nie zwraca uwagi.

Jordan odetchnął i wrócił do właściwego wątku.

— Znalazłem więc odpowiedź na pytanie, które dręczyło mnie od początku. Dlaczego księżna Cazères nie mogła umrzeć w swej dawnej komnacie? Dlaczego trzeba było przenieść ją do nowej?

— Jaka jest ta odpowiedź? — cicho spytał don Sicart, nie spuszczać wzroku z Jordana. Nieruchome rysy sprawiały, że jego oblicze przypominało pergaminową maskę. W tej twarzy żyły tylko ciemne, wciąż kpiąco spoglądające oczy.

— W podłodze pańskiej komnaty wybity jest niewielki otwór, przez który zajrzeć można do znajdującej się poniżej sypialni. Sądzę, że w pałacu znalazłoby się jeszcze kilka takich przemyślnych, służących podglądaniu i podsłuchiowaniu połączeń...

Jordan urwał. Rysy don Sicarta drgnęły leciutko, brwi uniosły się w górę, a kąciki ust wygięły się w uśmiechu.

— I?

— Tamtej nocy obserwowałeś, panie, *dònę Lucianę*. Właśnie dlatego mąż, na pańską prośbę, nakłonił ją do przeprowadzki. Po to, byś mógł rozkoszować się jej przerażeniem, a potem śmiercią.

— Brawo — rzekł don Sicart. — Bardzo logiczny sposób rozumowania. Choć i ja, nie chwając się, popisałem się inteligencją. To był impuls, decyzja podjęta w mgnieniu oka. Pomógł mi szczęśliwy los. Ów młodzieniec, Rafael, trafił do nas przypadkiem. Szedł z Mouls do Alestry i we mgle zmylił drogę, skręcając do Villatelle. Rafael widzi w ciemności, ale już nie we mgle. Zabawne,

prawda? Jak widać, nawet dary świętych nie są doskonałe. Zresztą był wtedy bardzo chory i ledwo widział na oczy. Przywłókł się tu w środku nocy. Wpuściła go Brianda; żeby otworzyć tylne drzwi od zewnątrz, trzeba mieć klucz, ale od środka wystarczy tylko odsunąć skobel. Tak czy inaczej, Brianda pobiegła zaraz zbudzić mego kuzyna, jego żonę, a także mnie. Jestem stary, panie Jordan, ale nic w tym pałacu nie ma prawa wydarzyć się bez mojej wiedzy. Gdy tylko ujrzałem Rafaela, pojąłem, kim on może być. Pojąłem też, w jaki sposób mogę go wykorzystać. Brianda i mój kuzyn zanieśli młodzieńca do jednej z nieużywanych komnat, a dōna Luciana podjęła się opieki nad nim. Z chorymi biedaczka radziła sobie całkiem nieźle, znacznie lepiej niż wypadałoby księżnej. Kazałem im trzymać obecność Rafaela w sekrecie i zabroniłem wzywać lekarza. Powiedziałem, że to dlatego, iż młodzieniec najprawdopodobniej jest zbiegłym skazańcem i za ukrywanie go grozi kara. Brak uszu był wystarczającym dowodem, że mówię prawdę. Jednak ja od dawna interesuję się tego typu sprawami i dla mnie mógł to być dowód czegoś zupełnie innego. — Don Sicart uśmiechnął się szerzej. — Mogło to świadczyć, że Rafael urodził się w miejscowości zwanej Mandracourt i w zamian za okaleczenie uzyskał pewne... niezwykle zdolności. Okazało się, że miałem rację. Gdy tylko Rafael wydobrzeał, bez trudu przyznał mi się do swych talentów. Uwierzysz, panie, że młodzieniec wykorzystywał je głównie po to, by w karczmach wygrywać zakłady z bogatymi paniczami i popisywać się ku uciesze gawiedzi? Cóż za marnotrawstwo! Przekonałem go więc, że lepiej robi, używając swych zdolności w innym celu. Przyszło mi to zadziwiająco łatwo.



Rafael, nim przybył do tego domu, w głębi duszy już był mordercą. Potem wystarczyło tylko powiedzieć mu, gdzie dóna Luciana trzyma komplet kluczy, i wskazać sznur od dzwonka, który należało przeciąć. To wszystko. Rafael, już całkowicie zdrowy, opuścił pałac. Zjawiał się co jakiś czas w parku, a mnie, jak już wspomniałem, starcza sił, by od czasu do czasu odbyć mały spacer, więc mogliśmy jeszcze pogawędzić. Plan był gotów, czekaliśmy tylko na właściwy moment. Moment ów zdarzył się, gdy zdecydowałeś się, panie, przyjąć zaproszenie mego kuzyna. Przyznaję bowiem, że bardzo zależało mi na zainteresowaniu tą sprawą właśnie pana. Pragnąłem... jak by to rzec... mieć godnego siebie przeciwnika.

— I dlatego straszylesz, panie, mojego służącego?

— Och, w tej kwestii mój podopieczny zawiódł odrobinę. Kazałem mu postraszyć pana, nie pańskiego Bogu ducha winnego sługę. On jednak stchórzył najwyraźniej i wybrał taką właśnie określną metodę. A ja chciałem po prostu przekonać się, czy mimo gróźb wrócisz, panie, by dalej badać sprawę śmierci dóny Luciany. Wróciłbyś? Nawet gdyby Rafael w ramach ostrzeżenia uczynił panu krzywdę?

Jordan skinął głową.

— Tak silne jest w panu pragnienie sprawiedliwości? — Don Sicart kolejnym delikatnym uśmiechem dał do zrozumienia, że świetnie wie, iż nie jest to właściwa odpowiedź.

— Nie — odparł Jordan. — Tak silna jest we mnie ciekawość. Zawsze chciałem wiedzieć. To największa moja wada. Albo zaleta, zależy, jak na to patrzeć.

— I cóż zamierzasz, panie, uczynić z tą wiedzą? Rafael uciekł...

— Domyślam się dokąd. Teraz, gdy ma prawą dłoń niesprawną, pojedzie prawdopodobnie do Mandracourt, by wyblagać u świętego kolejną łaskę.

— Zamierzasz go, panie, ścigać?

— Być może — odpowiedział wymijająco.

— A co ze mną? — Don Sicart już się nie uśmiechał. — Zdajesz sobie, panie, sprawę, że niełatwo będzie oddać mnie w ręce kata? A może zgodzisz się zapomnieć o całej sprawie? Proszę wziąć pod uwagę mój wiek. Ile życia mi pozostało? Rok, dwa? Śmierć szybko się o mnie upomni. Dostanę, na co zasłużyłem.

Jordan wolno pokręcił głową.

Don Sicart pochylił się w jego stronę.

— Nienasycona ciekawość, bystrość umysłu, wiara w moc rozumu i logikę. I brak litości. Wiesz, don Domenicu, że w młodości byłem do pana bardzo podobny? Zastanawiam się, czy i pana zgubią te cechy, jak zgubiły mnie.

Jordan zacisnął dłonie na poręczach fotela tak mocno, że poczuł ból.

W towarzystwie tego zepsutego do szpiku kości, mądrego starca poczuł się nagle młody, niedoświadczony i bezradny. A już od bardzo dawna tak się nie czuł. Ogarnął go lęk, ale wiedział, że nie ma sensu zaprzeczać istnieniu tego uczucia. Zaakceptował je, opanował się. I czekał.

— Zresztą — ciągnął don Sicart — nie spodziewałem się innej odpowiedzi po kimś, kogo ludzie nazywają za plecami katem

Almayrac. O, tak. — Oczy mówiącego zaiskrzyły się, gdy Jordan drgnął lekko. — Tak właśnie pana nazywają, choć w krążących plotkach więcej pewnie jest fantazji niż prawdy. Ponoć wystarczył jeden tylko list do biskupa Malartre, pańskiego protektora, by do Almayrac wysłać oddział wojska, który tej wiosny wymordował jedną czwartą mieszkańców. Co napisałeś w tym liście, panie? „Proszę o pomoc, bo trzeba zabić kilkudziesięciu obywateli Almayrac z takiego to a takiego powodu”?

— Nie — powiedział Jordan, który zdążył już odzyskać równowagę. — Napisałem: „Proszę o pomoc, bo trzeba zabić kilkudziesięciu obywateli Almayrac”. Nie podałem powodu.

Przez twarz don Sicarta przemknął cień niepewności. Starzec cofnął się, wtulił w oparcie fotela.

— Czy mógłbyś, panie, podejść do okna?

Jordan spojrział zdziwiony, ale spełnił prośbę.

— Co widzisz?

— Villatelle — odparł. — Parki i ogrody. I rezydencje.

— Właśnie. — Don Sicart skinął głową. — Villatelle. Załóżmy nawet, że uda się panu mnie zniszczyć. Lecz jak myślisz, panie, ilu podobnych mnie ludzi kryje się jeszcze w tych starych, moknących w jesiennym deszczu pałacach?

Jordan usłyszał pytanie, ale nie odpowiedział. Wciąż stał przy oknie, spoglądając na moknący w deszczu krajobraz. Myślał o Rafaelu Sanié. Był pewien, że okaleczony młodzieniec uda się teraz z powrotem do źródła swych niezwykłych zdolności. Prosić świętego o kolejną łaskę.

A więc Jordan, gdyby chciał ścigać Rafaela, musiałby wrócić

w jedyne miejsce, w które już nigdy wracać nie chciał.

Do Mandracourt.